

CARD ORSON SCOTT

CZERWONY PROROK

(Tłumaczył: Piotr W. Cholewa)

UWAGI TŁUMACZA

W wiekach XVI-XVIII (a nawet później) istniał w krajach anglojęzycznych zwyczaj nadawania imion, które oznaczały coś, niezależnie od swej funkcji określania konkretnej osoby. W Polsce i krajach słowiańskich działo się podobnie (np. Bogumił, czyli Bogu miły), choć z czasem znaczenie imienia zostało zapomniane. Jednak w dobrych, presbiteriańskich czy purytańskich rodzinach zasada ta obowiązywała jeszcze w czasie zasiedlania Ameryki, choć nie była regułą obowiązującą bez wyjątków (zdarzały się "zwykłe" imiona, jak choćby David, Alvin czy Eleanor). Tłumaczenie imion wydało mi się czynnością niezbyt rozsądną, ponieważ o ile w języku angielskim konwencja ta jest dość naturalna, to po polsku brzmiałoby to dziwnie (choćby Armor-of-God Weaver stałby się czymś w rodzaju Tkacza-Boskiej-Zbroi, Wastenot Miller byłby Oszczędnym Młynarzem, albo - odwrotnie - Bogumił Kowalski Kowalem Bożej Miłości). Jednak, dla informacji czytelnika, podaję znaczenie imion głównych bohaterów powieści. Dodatkowo część nazwisk pochodziła od zawodów wykonywanych przez osoby te nazwiska noszące, co jest chyba regułą na całym świecie (np. wspomniany już Kowalski).

Podaję również tłumaczenie tych nazwisk, choć są w zasadzie oczywiste.

Armor-of-God - dosł. tarcza boża czy pancerz boży Calm - spokój Faith - wiara Ferryman - przewoźnik Guester - ktoś, kto przyjmuje gości; oberżysta Hickory - gatunek amerykańskiego orzecha, rodzaj leszczyny Makepeace - czyniący pokój Measure - umiar Miller - młynarz Smith - kowal Vigor - wigor Wastenot i Wantnot - imiona bliźniaków - tworzą razem przysłowie (Waste not, want not), odpowiadające w przybliżeniu polskiemu "oszczędnością i pracą ludzie się bogacą" (dosłownie: "kto nie marnuje, ten nie potrzebuje") Weaver - tkacz (zapewne przodkowie Armora-of-God Weavera zajmowali się tkactwem)

OD AUTORA

Opowieść ta rozgrywa się w Ameryce, której historia często jest podobna, a często zupełnie inna od naszej. Czytelnik nie powinien zakładać, że przedstawiony w książce portret bohatera, noszącego nazwisko postaci znanej z historii Ameryki, jest dokładnym portretem owej postaci. W szczególności należy zaznaczyć, że William Henry Harrison, znany w naszej historii z najkrótszego sprawowania urzędu prezydenta i niezapomnianego sloganu wyborczego "Tippecanoe i Tyler też", był w rzeczywistości osobą bardziej sympatyczną niż jego odpowiednik w tej powieści.

Dziękuję Carol Breakstone za wiedzę o Indianach, Beth Meacham za Ośmiokątny Kopiec i Krzemienny Grzbiet, Wayne Williamsowi za heroiczną cierpliwość oraz mojemu prapradziadkowi za opowieści ukryte w fabule tej książki.

Jak zwykle w mojej pracy, Kristine A. Card wpłynęła i udoskonaliła każdą stronę tej książki.

ROZDZIAŁ 1 - HOOCH

Niewiele łodzi spływało w tych dniach po Hio. W każdym razie niewiele takich, co wiozły pionierów, ich rodziny, narzędzia, meble, nasiona i parę prosiaków na początek przyszłego stada. Wystarczyło kilka płonących strzał i plemię Czerwonych niesło pęk wpeł spalonych skalpów na sprzedaż Francuzom w Detroit.

Ale Hooch Palmer nie miał takich kłopotów. Wszyscy Czerwoni wiedzieli, jak wygląda jego łódź, wysoko załadowana beczułkami. Na ogół słysząc w nich było chlupot whisky, co jest chyba jedyną muzyką, jaką Czerwoni potrafią zrozumieć. Ale w samym środku wielkiego stosu antałów znajdował się jeden, który nie chlupotał. Był pełen prochu i miał umocowany lont.

Czemu miał służyć ten proch? Płynęli na przykład z prądem, drogami kierując łodzią na zakręcie, kiedy nagle zjawiało się pół tuzina kanoe pełnych wymalowanych Czerwonych z rodzaju Kicky-Poo. Albo widzieli nad brzegiem ognisko, a diabły Shaw-Nee tańczyły dookoła ze strzałami gotowymi do podpalenia.

Dla większości ludzi oznaczało to, że czas się modlić, walczyć i ginąć. Ale nie dla Hoocha. Z pochodnią w jednej ręce i lontem w drugiej, stawał na samym środku łodzi i krzychał:

- Wysadzić whisky! Wysadzić whisky!

Co prawda Czerwoni rzadko znali angielski, ale wszyscy wiedzieli, co oznacza "wysadzić" i "whisky". I zamiast zasypywać krypę deszczem strzał albo ją atakować, kanoe wyprzedzały Hoocha, płynąc przy brzegu.

- Carthage City! - krzyczeli Czerwoni.

A Hooch wrzeszczał:

- Zgadza się!

I kanoe pędziły po Hio do miejsca, gdzie wkrótce będą sprzedawać alkohol.

Naturalnie, jeśli dla chłopców przy drogach była to pierwsza wyprawa w dół rzeki, nie wiedzieli tego wszystkiego, co wiedział Hooch Palmer. I prawie robili w portki na widok Czerwonych z płonącymi strzałami. A kiedy Hooch sięgał pochodnią do lontu, chcieli skakać za burtę. Hooch śmiał się z nich.

- Chłopaki, nie macie pojęcia o Czerwonych i whisky - mówił. - Taki zrobiłby wszystko, żeby nawet kropla z zawartości tych beczulek nie spłynęła do Hio. Bez namysłu

zabiliby własną matkę, gdyby stanęła między nimi a beczułką. Ale nas nie tkną, póki mam proch i mogę go podpalić, jak tylko któryś mnie zaczepi.

Chłopcy zastanawiali się często, czy Hooch naprawdę by wysadził całą łódź, załogę i w ogóle. Otóż zrobiłby to. Nie był myślicielem i nie marnował czasu na rozważania o śmierci, tamtym świecie czy innych podobnych problemach filozoficznych. Postanowił za to, że umierając zadba, żeby nie ginąć w samotności. Nie chciał też, żeby ten, co go zabije, miał z tego jakąś korzyść. Jakąkolwiek. A już zwłaszcza wpółpijany, tchórzliwy i podstępny Czerwony z nożem do skalpowania.

A najlepsze było, że Hooch wcale nie potrzebował pochodni ani lontu. Wcale. Prawdę mówiąc, lont nie sięgał nawet do wnętrza beczułki - Hooch nie chciał ryzykować przypadkowego wybuchu. Nie; gdyby zechciał wysadzić swoją krypę, wystarczyłoby, żeby usiadł i chwilę o tym pomyślał. I zaraz cały proch zacząłby się podgrzewać jak należy, może wypłynęłaby smużka dymu, a potem bum! wybuchłoby wszystko.

Tak jest. Stary Hooch był iskrą. Pewnie, niektórzy twierdzą, że nie ma żadnych iskier. A na dowód pytają:

- A czy ty sam spotkałeś kiedy iskrę albo znałeś kogoś, kto spotkał?

Ale to żaden dowód. Ponieważ kiedy już ktoś jest iskrą, nie rozpowiada o tym naokoło, prawda? Usługi iskry nie są szczególnie poszukiwane, za łatwo jest użyć krzemienia i żelaza czy nawet tych alchemicznych zapalek. Nie. Iskra nabiera wartości tylko wtedy, kiedy trzeba rozpalić ogień z daleka, a ludzie chcą tego jedynie wówczas, kiedy chodzi o zły ogień: żeby komuś zaszkodzić albo spalić budynek. A jeśli ktoś świadczy takie usługi, nie wywiesza zwykle szyldów "Iskra do wynajęcia" czy czegoś w tym rodzaju.

Co najgorsze, kiedy już się rozniesie, że ktoś jest iskrą, zrzucają na niego winę za każdy najmniejszy pożar. Synowie jakiegoś farmera chowają się w stodole, żeby palić fajkę - i stodołę niszczy ogień. Czy któryś z chłopców powie:

- Tak, tato, to przeze mnie. Nie. Powie:

- Na pewno jakiś iskra podłożył ogień, tato.

A potem zaczynają szukać tej iskry, wygodnego kozła ofiarnego. Nie, Hooch nie był durniem. Nie mówił nikomu, że może swoimi myślami podgrzewać i podpalać.

Był jeszcze jeden powód, dla którego Hooch nieczęsto wykorzystywał swój talent iskry. Powód tak sekretny, że Hooch sam właściwie o nim nie wiedział. Rzecz w tym, że ogień go przerażał. Niektórzy ludzie boją się wody, i wyruszają na morze; niektórzy boją się śmierci, i zostają grabarzami; inni jeszcze boją się Boga, i są kaznodziejami. A Hooch bał się ognia, bał się jak niczego innego na świecie, i dlatego ogień zawsze go pociągał, choć budził

kurcze żołądka. Ale kiedy Hooch sam miał podłożyć ogień, wtedy cofał się, zwlekał, szukał pretekstów, żeby wcale tego nie robić. Miał talent, lecz bardzo niechętnie z niego korzystał.

Ale zrobiłby to. Zanim jakiś Czerwony drogą mordy zdobyłby całą tę whisky, Hooch wysadziłby proch, siebie, swoich chłopców i ładunek. Może i boi się ognia, ale bez trudu przezwycięży strach, jeśli tylko będzie odpowiednio wściekły.

Dobrze się zatem składało, że Czerwoni tak lubili alkohol i nie chcieli zmarnować ani kropli. Ani jedno kanoe nie podpłynęło za blisko, ani jedna strzała nie świsnęła w powietrzu, żeby stuknąć o drewno. Hooch ze swoimi beczkami, beczułkami i antałkami spływał wodą spokojnie jak nikt, wprost do Carthage City. Takim pompatycznym imieniem nazwał gubernator Harrison palisadę z setką żołnierzy w środku, wystawioną dokładnie tam, gdzie Mała My-Ammy spotyka się z Hio. I proszę, już prawie pięćdziesiąt kominów dymi wokół palisady, co oznacza, że Carthage City osiągnęło niemal wielkość wioski.

Słyszał, jak krzyczą, zanim jeszcze zobaczyli go z nabrzeża. To z pewnością Czerwoni, którzy połowę życia spędzali na brzegu, czekając, kiedy przypłynie krypa z whisky. A Hooch wiedział, że tym razem są szczególnie spragnieni. Widział, jak w Fort Dekane pieniądze przechodzą z rąk do rąk, gdy zatrzymują się tam inni handlarze. Carthage City jest już pewnie suche jak bycze wymię. I oto zjawia się Hooch z krypą wyładowaną bardziej niż kiedykolwiek widzieli. I tym razem dobrze mu zapłacą, to pewne.

Bill Harrison może się puszyć jak paw, zadzierać nosa i nazywać się gubernatorem, chociaż nikt go nie wybrał ani nikt nie wyznaczył prócz jego własnej chęci... Ale trzeba mu przyznać, zna się na interesach. Ustawił tych chłopców w eleganckich mundurach szeregiem na nabrzeżu, równo aż miło popatrzeć. Mieli nabite muszkiety i byli gotowi zastrzelić każdego Czerwonego, który zrobiłby chociaż jeden krok w stronę brzegu. I nie była to czysta formalność - Czerwoni byli spragnieni jak nigdy. Hooch dostrzegł to od razu. Nie podskakiwali jak dzieci, ma się rozumieć, tylko stali tam, stali i patrzyli, wcale się nie kryjąc, nie dbając o to, kto ich może zobaczyć, półmadzy, jak zawsze latem. Stali tak pokornie, gotowi kłaniać się i czołgać, błagać i żebrać, powtarzać: panie Hooch, jedna beczułka za trzydzieści skór jelenich, tak, to będzie cudowne, cudowne, panie Hooch, jeden kubek whisky za te dziesięć skórek piżmowców.

- Hiiha! - wrzasnął Hooch.

Chłopcy od drągów spojrzeli na niego jak na szaleńca, bo nigdy nie widzieli, jak wyglądali ci Czerwoni dawniej, zanim jeszcze gubernator Harrison wystawił tu fort. Wtedy nie zniżali się, żeby spojrzeć na Białego, człowiek musiał wczłogiwać się do ich lepianek, dusić się od dymu i wilgoci, siedzieć, pokazywać jakieś znaki i gadać w tym ich bełkocie,

żeby pozwolili mu handlować. A potem Czerwoni stali dookoła z łukami i włóczniami, a człowiek się trząsł, żeby przypadkiem nie doszli do wniosku, że jego skalp wart jest więcej niż towar.

Teraz już nie. Teraz nie mieli u siebie ani jednej sztuki broni. Teraz tylko wywieszali języki, czekając na alkohol. I będą pić i pić, i pić, i pić, i pić, aż hiiha! padną trupem, zanim skończą z piciem, a to najlepsze, najlepsze, co może się zdarzyć. Dobry Czerwony to wyłącznie martwy Czerwony, Hooch zawsze to powtarzał. A on i Bill Harrison wprowadzili takie porządki, że Czerwoni zdychali od whisky w dobrym tempie, w dodatku płacąc za ten przywilej.

Dlatego cumując do nabrzeża w Carthage City, Hooch był zadowolony jak mało kto. Sierżant zsalutował mu nawet, patrzcie tylko! Całkiem inaczej, niż traktowali go szeryfowie Stanów Zjednoczonych jeszcze w Suskwahenny. Zachowywali się tak, jakby był gnojem zeszkrobany z deski w wychodku. Tutaj, w nowym kraju, do ludzi wolnego ducha, takich jak on, wszyscy odnosili się jak do dżentelmenów. Bardzo to Hoochowi odpowiadało. Niech sobie ci pionierzy ze swoimi brzydkimi żonami i chudymi bachorami rąbią drzewa i grzebią się w ziemi, niech hodują kukurydzę i świny, żeby przeżyć. To nie dla Hoocha. Przybędzie tam o wiele, wiele później, kiedy pola będą już zasiane i piękne, a domy staną w równych rzędkach wzdłuż ulic. Wtedy wyjmie swoje pieniądze i kupi sobie największy dom w mieście, wtedy bankier zejdzie z chodnika w błoto, żeby zrobić mu przejście, a burmistrz będzie się do niego zwracał "szanowny panie". A może Hooch sam się zdecyduje zostać burmistrzem...

To oznaczał salut sierżanta. Przepowiadał przyszłość Hoocha.

Hooch zszedł na brzeg.

- Rozładujemy tutaj, panie Hooch - powiedział sierżant.

- Mam listę przewozową - odparł Hooch. - Więc niech twoi chłopcy nie próbują czegoś ściągnąć. Chociaż, sam nie wiem skąd, jest tam chyba beczułka dobrej żytniej whisky, której jakoś nie policzyliśmy. Założę się, że nikt nie zauważy jej zniknięcia.

- Będziemy bardzo ostrożni, proszę pana - zapewnił sierżant, ale uśmiechał się tak szeroko, że pokazywał tylne zęby.

Hooch wiedział, że sierżant znajdzie jakiś sposób, żeby zachować dla siebie większą część tej dodatkowej beczuлки. Jeśli jest głupi, po trochu sprzeda tę whisky Czerwonym. Nie wzbogaci się na połowie beczuлки. Nie, jeśli sierżant jest sprytny, podzieli się swoją połową - szklaneczka po szklaneczce - z oficerami, którzy mogą dać mu awans. A po pewnym czasie

ten sierżant nie będzie już wychodził na brzeg przyjmować kropy. O nie, będzie siedział w kwaterach oficerskich, z piękną żoną w sypialni i dobrą stalową szablą u boku.

Hooch nigdy by tego sierżantowi nie powiedział. Uważał, że jak ktoś nie ma dość rozumu, żeby robić co należy, to tłumaczenie nie pomoże. A jeśli ma dość rozumu, nie potrzebuje, żeby mu handlarz whisky mówił, co powinien robić.

- Gubernator Harrison chce pana widzieć - oznajmił sierżant.

- A ja chcę widzieć jego - odparł Hooch. - Ale najpierw muszę się wykąpać, ogolić i przebrać.

- Gubernator mówił, żeby się pan zatrzymał w starej rezydencji.

- Starej? - powtórzył Hooch.

Harrison ledwie cztery lata temu wybudował oficjalną rezydencję. Istniał tylko jeden powód, żeby tak prędko wznosić nową. - Czyżby gubernator Bill znalazł sobie żonę?

- Tak jest. Śliczną jak obrazek i dopiero piętnastoletnią. Pochodzi z Manhattanu, więc nie bardzo mówi po angielsku. A nawet kiedy mówi, nie przypomina to angielskiego.

Hoochowi to nie przeszkadzało. Dobrze znał holenderski, prawie tak dobrze jak angielski i o wiele lepiej niż mowę Shaw-Nee. Bez trudu zaprzyjaźnił się z żoną Harrisona. Zastanowił się nawet... ale nie, nie należy odbijać kobiety innemu mężczyźnie. Hooch nierzadko miał na to ochotę, ale wiedział, że kiedy człowiek już raz wejdzie na taką ścieżkę, sprawy straszliwie się komplikują. Poza tym nie potrzebował białej kobiety. Dokoła było dosyć spragnionych squaw.

Skoro Bill Harrison ma już drugą żonę, ciekawe czy sprowadzi tutaj swoje dzieci. Hooch nie wiedział, jak duzi są chłopcy, ale dość duzi, żeby spodobało im się życie na pograniczu. Mimo to Hooch miał niejasne wrażenie, że lepiej byłoby dla nich, gdyby zostali w Filadelfii, ze swoją ciotką. Nie dlatego, że nie powinni mieszkać w dzikim kraju, ale dlatego, że nie powinni mieszkać za blisko ojca. Hooch lubił Billa Harrisona, nie można powiedzieć, ale nie wybrałby go na idealnego opiekuna dla dzieci, nawet dla jego własnych dzieci.

Przystanął przed bramą w palisadzie. Musiał przyznać, że robiła wrażenie. Obok typowych heksów i amuletów, które miały strzec przed nieprzyjaciółmi, ogniem i tak dalej, gubernator Bill przybił tu tablicę szeroką jak sama brama. Wielkimi literami napisał na niej:

CARTHAGE CITY

i mniejszymi, niżej:

STOLICA STANU WOBBISH

Właśnie czegoś takiego można było się po Billu spodziewać. W pewien sposób wierzył, że ta tablica jest potężniejsza niż wszystkie hekсы. Jako iskra Hooch wiedział, że na przykład heks chroniący przed pożarem nie przeszkodziłby mu, a tylko utrudnił rozpalenie ognia w pobliżu. Gdyby jednak rozniecił solidny płomień gdzie indziej, heks spłonąłby jak wszystko inne. Ale tablica nazywająca Wobbish stanem, a Carthage jego stolicą... No cóż, mogła posiadać jakąś moc, władzę nad myślami ludzi. Jeśli powtarza się coś dostatecznie często, ludzie zaczynają wierzyć, że to prawda, a wkrótce potem staje się to prawdą. Oczywiście, nie coś w rodzaju "Dziś w nocy księżyc się zatrzyma i zawróci na niebie", ponieważ żeby to się udało, księżyc musiałby słyszeć te słowa. Ale jeśli powiedzieć: "Ta dziewczyna jest łatwa" albo "Tamten człowiek to złodziej", nie ma znaczenia, czy osoba, o której mowa, uwierzy w to czy nie. Wszyscy inni uwierzą i zaczną ją traktować, jakby to była prawda. Hooch uznał zatem, że kiedy dostatecznie wielu ludzi zobaczy tablicę nazywającą Carthage stolicą stanu Wobbish, pewnego dnia słowo stanie się ciałem.

Rzecz w tym, że Hoocha wcale nie obchodziło, czy gubernatorem zostanie Harrison i założy swoją stolicę w Carthage City, czy ten abstynent, zarozumiały i cnotliwy Armor-of-God Weaver założy jako gubernator stolicę w Vigor Kościele, na północy, gdzie strumień Chybotliwego Kanoe wpada do Wobbish. Niech ci dwaj wojują ze sobą; którykolwiek zwycięży, Hooch zamierzał być człowiekiem bogatym i robić to, co mu się spodoba. A jeśli nie, cała okolica stanie w płomieniach. Gdyby Hooch przegrał kiedyś z kreteśsem, dopilnowałby, żeby nikt inny nie zyskał. Kiedy iskra nie ma już żadnej nadziei, wciąż jeszcze może wyrównać rachunki. To jedyny pożytek z bycia iskrami.

Oczywiście, jako iskra dbał zawsze, żeby mieć gorącą wodę do kąpieli, czyli talent dawał jednak jakieś korzyści. Przyjemnie było zejść z krypy i wrócić do cywilizowanego życia. Czyste ubranie już czekało i miło w końcu zgolić z brody ten kłujący zarost. Nie wspominając o tym, że kąpiącej go squaw naprawdę zależało na dodatkowej porcji whisky. Gdyby Harrison nie przysłał żołnierza, który stukał do drzwi i wołał, żeby się spieszyć, Hooch mógłby od razu odebrać pierwszą ratę jej towaru. Zamiast tego wytarł się i ubrał.

Była naprawdę zmartwiona, kiedy ruszył do drzwi.

- Ty wrócić? - zapytała.

- Pewnie, że wrócę - obiecał. - I przyniosę ze sobą beczułkę.

- Byle przed zmrokiem - poprosiła.

- Może tak, a może i nie. Co za różnica?

- Po zmroku wszyscy czerwoni jak ja, poza fortem.

- Ach tak... - mruknął Hooch. - Dobrze, spróbuję wrócić przed zmrokiem. A jeśli nie, będę o tobie pamiętał. Mogę zapomnieć twoją twarz, ale zapamiętam ręce. To była bardzo przyjemna kąpiel.

Uśmiechnęła się groteskową imitacją prawdziwego uśmiechu. Hooch nie mógł zrozumieć, dlaczego Czerwoni już dawno nie wymarli, skoro ich squaw są takie brzydkie. Ale jeśli człowiek trochę przymknie oczy, squaw zupełnie wystarczy, póki się nie wróci do normalnych kobiet.

Harrison zbudował nie tylko nową rezydencję. Dodał też spory kawałek palisady, tak że fort urósł prawie dwukrotnie.

A wzdłuż całej palisady biegł solidny parapet. Harrison był gotów do wojny. Hooch zaniepokoił się nie na żarty. W czasie wojny handel whisky nie szedł zbyt dobrze. Czerwoni, którzy walczyli w bitwach, nie byli tymi, którzy pili alkohol. Hooch tak często widywał ten drugi ich rodzaj, że prawie zapomniał o istnieniu pierwszego. Zauważył też dział. Nie, dwa działa. Stanowczo wyglądało to groźnie.

Harrison nie urządził sobie biura w rezydencji. Mieściło się w innym, całkiem nowym budynku sztabowym. Gabinet Harrisona zajmował południowo-zachodni róg, gdzie jest najwięcej światła. Hooch zauważył, że - oprócz zwykłego oddziału żołnierzy na warcie i grupy zajętych papierami oficerów - w budynku sztabu siedzi albo leży kilku Czerwonych. Oczywiście, to oswojeni Czerwoni Harrisona - zawsze trzymał paru pod ręką.

Tyle że było ich tu więcej niż zwykle, a Hooch rozpoznał tylko Lolę-Wossiky. Ten jednooki Shaw-Nee był najbardziej zapitym Czerwonym, który jeszcze nie umarł. Nawet inni Czerwoni nabijali się z niego, takim był pijakiem. Prawdziwa szmata.

Najzabawniejsze, że to Harrison osobiście zastrzelił ojca Lolli-Wossiky - jakieś piętnaście lat temu, kiedy Lolla-Wossiky był całkiem mały, stał obok i patrzył. Harrison opowiadał o tym czasem przy Lolli-Wossiky, a jednooki pijak tylko kiwał głową, śmiał się, szczyrzył zęby i zachowywał tak, jakby nie miał krzty rozumu ani ludzkiej godności. Hooch w życiu nie widział gorszego, obrzydliwszego Czerwonego. Nie obchodziła go nawet zemsta za śmierć ojca, byle tylko dostał swoją whisky. Nie, Hooch wcale się nie zdziwił, że Lolla-Wossiky leży na podłodze przed gabinetem Harrisona, tak że za każdym razem otwierane drzwi walą go prosto w tyłek. Niesamowite, ale nawet teraz, kiedy od czterech miesięcy nikt nie dowoził do Carthage City whisky, Lolla-Wossiky potrafił się jakoś zaprawić. Zobaczył wchodzącego Hoocha, uniósł się na łokciu, pomachał ręką i bez słowa zwał się na podłogę.

Chustka zsunęła mu się z głowy, odsłaniając pusty oczodół z zapadniętą powieką. Hooch miał uczucie, że to puste oko go obserwuje. Nie lubił tego uczucia. Nie lubił Lolli-

Wossiky. Harrison chętnie trzymał przy sobie takie nędzne kreatury - prawem kontrastu lepiej się prezentował we własnych oczach, zgadywał Hooch. Ale Hooch nie lubił patrzeć na tak godne pogardy egzemplarze człowieczeństwa. Dlaczego Lolla-Wossiky jeszcze nie umarł?

Oderwał wzrok od pijanego jednookiego Czerwonego i miał właśnie otworzyć drzwi do gabinetu Harrisona, gdy spojrzał w oczy innego człowieka. Śmieszne: przez moment miał wrażenie, że to znów Lolla-Wossiky... Tak byli podobni. Tylko że to był Lolla-Wossiky z dwoma oczami i wcale nie pijany, o nie. Ten Czerwony musiał mieć jakieś sześć stóp od pięt po skalp, kiedy tak opierał się o ścianę; na wygolonej głowie pozostał jeden kosmyk włosów; nosił czyste ubranie. Stał prosto, jak żołnierz na baczość, i nawet nie spojrzał na Hoocha. Wpatrywał się w przestrzeń. A jednak Hooch wiedział, że chociaż ten chłopak na nic nie patrzy, widzi wszystko. Już bardzo dawno nie spotkał Czerwonego, który by tak wyglądał: taki zimny i opanowany.

Niebezpieczny, niebezpieczny... Czyżby Harrison stawał się nieostrożny? Skoro do własnego sztabu wpuszczał Czerwonego z takimi oczami? Z królewską postawą i rękami tak silnymi, że potrafiłyby chyba napiąć łuk z pnia sześćioletniego dębu? Lolla-Wossiky był obrzydliwy aż do mdłości. A ten Czerwony, taki do niego podobny, był jego przeciwieństwem. I zamiast budzić mdłości, rozwścieczył Hoocha. Jak śmie zachowywać się tak dumnie i wyzywająco, jakby myślał, że jest wart tyle samo, co Biały? Nie, więcej: jakby sądził, że jest lepszy. Tak właśnie wyglądał.

I wtedy Hooch uświadomił sobie, że stoi z ręką na gałce drzwi i gapi się na Czerwonego. Czyżby tak długo się nie ruszał? Nie powinien ludziom pokazywać, jak bardzo zaniepokoił go ten dzikus.

Otworzył drzwi i wszedł do środka.

Ale nie mówił o Czerwonych, o nie, to na nic. Po co Harrison ma wiedzieć, że jeden dumny Shaw-Nee przestraszył i rozzłościł Hoocha? Bo oto za wielkim biurkiem, niczym Bóg na swym tronie, siedział sam gubernator Bill. Hooch zrozumiał, że wiele się tu zmieniło. Nie tylko to, że fort urósł - urosła też próżność Billa Harrisona. A jeśli Hooch ma zarobić tyle, ile się spodziewał po tej wyprawie, musi się postarać, żeby gubernator Bill zszedł o szczebel czy dwa niżej. Wtedy będą rozmawiać jak równy z równym, nie jak gubernator i handlarz.

- Widziałem twoje działa - oznajmił Hooch, nie mówiąc nawet "dzień dobry". - Po co ta artyleria: na Francuzów z Detroit, Hiszpanów z Florydy, czy na Czerwonych?

- Nieważne, kto kupuje skalpy, i tak zawsze chodzi o Czerwonych - odparł Harrison. - Ale siadaj, Hooch, odpocznij. Kiedy drzwi są zamknięte, nie musimy dbać o te ceremonie.

O tak, gubernator Bill, jak każdy polityk, lubił takie gierki. Przekonać człowieka, że robi mu łaskę, pozwalając siedzieć w swoim towarzystwie, pochlebić mu, żeby czuł się jak prawdziwy kumpel, a potem obrobić kieszenie. No cóż, pomyślał Hooch, ja też znam parę zagrywek i jeszcze zobaczymy, czyje będzie na wierzchu.

Usiadł i oparł nogi o biurko gubernatora. Wyjął kawałek tytoniu i wsunął sobie pod policzek. Zauważył, że Bill drgnął lekko. Pewny znak, że żona zmusiła go do zerwania z męskimi nałogami.

- Poczęstujesz się? - zapytał Hooch.

Całą minutę trwało, zanim Harrison przyznał, że nie chce.

- Rzuciłem to - wyznał z żalem.

A zatem Harrison nadal tęsknił za kawalerskim życiem. Hooch ucieszył się. Zawsze to jakiś punkt zaczepienia i będzie można wyprowadzić gubernatora z równowagi.

- Słyszałem, że sprowadziłeś sobie z Manhattanu białą grzałkę do łóżka.

Udało się - Harrison poczerwieniał.

- Ożeniłem się z damą z Nowego Amsterdamu - oznajmił.

Głos miał spokojny i lodowaty. Na Hoochu nie zrobił wrażenia. Właśnie to chciał osiągnąć.

- Żona - zawołał. - A niech mnie! Przepraszam, gubernatorze, ale słyszałem co innego. Musisz mi wybaczyć, ale wiem tyle, ile ludzie powiedzą.

- Ludzie?

- Nie, naprawdę się nie przejmuj. Wiesz, jak plotkują żołnierze. Wstyd mi, że w ogóle ich słuchałem. No cóż, pamięć pierwszej żony przez tyle lat była dla ciebie święta... Gdybym rzeczywiście był ci przyjacielem, odgadłbym, że kobieta, którą wprowadzisz do swojego domu, będzie damą i prawnie poślubioną małżonką.

- Chcę tylko wiedzieć - oświadczył Harrison - kto ci powiedział, że jest kimś innym?

- Nie, Bill. To tylko żołnierskie gadanie. Nie chcę, żeby ktoś miał przeze mnie kłopoty tylko dlatego, że nie umie trzymać języka za zębami. Na miłość boską, właśnie przywiozłem transport. Nie będziesz miał do nich pretensji o to, co mówią, kiedy myślą tylko o whisky. Nie, poczęstuj się tytoniem i pamiętaj, że twoi chłopcy przepadają za tobą.

Harrison nabrał tytoniu z podsuniętego kapciucha i wsunął sobie do ust.

- Wiem, Hooch. Wcale się nimi nie przejmuję.

Ale Hooch wiedział, że Harrison się przejmuje. Jest tak wściekły, że nie potrafi nawet prosto splunąć, co wykazał, nie trafiając do spluwaczki. Spluwaczki, jak zauważył Hooch, lśniącej czystością. Czyżby oprócz Hoocha nikt tutaj nie pluł?

- Cywilizujesz się - stwierdził Hooch. - Jeszcze trochę, a będziesz miał koronkowe firanki.

- Mam je - oświadczył Harrison. - W domu.

- I małe porcelanowe nocniki?

- Hooch, masz umysł węża i głowę wieprza.

- Dlatego tak mnie lubisz, Bill. Bo sam masz umysł wieprza i głowę węża.

- I nie zapominaj o tym - rzucił Harrison. - Pamiętaj, że potrafię ukąsić, ukąsić mocno i jadownicie. Pamiętaj, zanim znowu zaczniesz te swoje gierki.

- Gierki? - wykrzyknął oburzony Hooch. - O co ty mnie oskarżasz, Billu Harrisonie?

- Oskarżam cię, że whisky nie docierała do nas przez cztery miesiące. Musiałem powiesić trzech Czerwonych, którzy włamali się do wojskowych magazynów. Nawet moi żołnierze nie wytrzymywali.

- Ja? Dostarczyłem tu whisky najszybciej, jak tylko zdołałem.

Harrison uśmiechnął się tylko.

Na twarzy Hoocha zagościł wyraz bolesnej obrazy - była to jedna z jego najlepszych min, w dodatku częściowo szczerą. Gdyby ktoś z handlarzy whisky miał choć szczyptę rozumu, mimo wszelkich wysiłków Hoocha znalazłby drogę w dół rzeki. To przecież nie wina Hoocha, że jest najsprytniejszym, najzłośliwszym, najwredniejszym i najbardziej chytrym śmierzdem w tym fachu, i tak niezbyt czystym i niezbyt uczciwym.

Wyraz urażonej niewinności na twarzy Hoocha trwał dłużej niż uśmiech Harrisona. Handlarz domyślał się, że tak będzie.

- Posłuchaj, Hooch - zaczął Harrison.

- Może lepiej zwracaj się do mnie: pan Ulysses Palmer. Tylko przyjaciele wołają do mnie Hooch.

Ale Harrison nie złapał przynęty i nie zaczął zapewniać o swojej nie gasnącej przyjaźni.

- Proszę posłuchać, panie Palmer - powiedział. - Obaj wiemy, że nie ma to nic wspólnego z przyjaźnią. Pan chce być bogaty, a ja chcę zostać gubernatorem prawdziwego stanu. Potrzebuję whisky, żeby zostać gubernatorem, pan potrzebuje mojej ochrony, żeby zdobyć majątek. Ale tym razem posunął się pan za daleko. Rozumiemy się? Może pan sobie utrzymywać ten monopol, to mnie nie obchodzi. Ale jeśli nie zapewni mi pan stałych dostaw, znajdę je gdzie indziej.

- Spokojnie, gubernatorze. Rozumiem, że mógł się pan zaniepokoić. Chętnie ureguluję te sprawy. Co by pan powiedział na sześć beczulek najlepszej whisky tylko dla siebie...

Ale Harrison nie był w nastroju do przyjmowania łapówek.

- Zapomina pan, panie Palmer, że jeśli zechcę, będę miał całą tę whisky.

Tak, Harrison potrafił być brutalny. Ale Hooch także, choć z zasady mówił takie rzeczy z uśmiechem.

- Panie gubernatorze, może pan zabrać moją whisky raz. Ale potem jaki handlarz zechce z panem robić interesy?

Harrison śmiał się i śmiał.

- Każdy handlarz. Każdy, i ty wiesz o tym dobrze, Hoochu Palmerze.

Hooch wiedział, kiedy przegrywa. Roześmiał się także. Ktoś zastukał do drzwi.

- Wejść! - krzyknął Harrison.

Równocześnie skinął Hoochowi, żeby nie wstawał z fotela. W progu stanął żołnierz. Zasalutował.

- Pan Andrew Jackson chce się z panem widzieć, sir - zameldował. - Twierdzi, że przybywa z Tennizy.

- Czekam na niego od paru dni - odparł Harrison. - Ale jestem zachwycony. Nie mógł mi sprawić większej radości, wprowadź go natychmiast.

Andrew Jackson. To pewnie ten adwokat, którego nazywają Hickory. Za dawnych czasów, kiedy Hooch działał w Tennizy, Hickory Jackson był prawdziwym chłopakiem z pogranicza: zabił człowieka w pojedynku, przykładał niekiedy pięści do paru szczęk, znany był z tego, że dotrzymuje słowa. I podobno nie zawarł uczciwego ślubu ze swoją żoną, która w przeszłości miała innego męża, a on jeszcze nie umarł. Taka jest różnica między Hickorym a Hoochem: Hooch już dawno by się upewnił, czy tamten jest martwy i pogrzebany. Dlatego Hooch poczuł lekkie zdziwienie. Czyżby Jackson urósł tak bardzo, że interesy doprowadziły go z Tennizy aż do Carthage City?

Nie był za to zdziwiony, kiedy Jackson przekroczył próg wyprostowany jak struna, z płomiennym wzrokiem. Przeszedł przez pokój i podał rękę gubernatorowi Harrisonowi. Nazywał go "panem" Harrisonem. To znaczy, że albo jest głupi, albo jeszcze nie pojął, że potrzebuje Harrisona nie mniej, niż Harrison jego.

- Trzyma pan tutaj zbyt wielu Czerwonych - oznajmił. - Ten jednooki pijak pod drzwiami wystarczy, żeby człowiekowi zrobiło się niedobrze.

- No cóż - odparł Harrison. - Traktuję go jako coś w rodzaju domowego zwierzęcia. Mój własny domowy Czerwony.

- Lolla-Wossiky - odpowiedział uprzejmie Hooch.

A właściwie wcale nie uprzejmie. Nie spodobało mu się, że Jackson go nie zauważa, a Harrison nie pamięta o prezentacji. Jackson spojrzał na niego.

- Co pan powiedział?

- Lolla-Wossiky - powtórzył Hooch.

- Tak ma na imię ten jednooki Czerwony - wyjaśnił Harrison.

Jackson przyglądał się lodowato Hoochowi.

- Imię konia jest mi potrzebne tylko wtedy, kiedy zamierzam go dosiąść - stwierdził.

- Nazywam się Hooch Palmer. - Hooch wyciągnął rękę.

Jackson nie podał swojej.

- Nazywa się pan Ulysses Brock - oświadczył. - Ma pan ponad dziesięć funtów nie spłaconych długów w Nashville. Ponieważ Appalachee przyjęło walutę Stanów Zjednoczonych, jest pan winien dwieście dwadzieścia dolarów w złocie. Wykupiłem ten dług, i tak się składa, że mam przy sobie odpowiednie papiery. Słyszałem bowiem, że handluje pan whisky w tych okolicach. Myślę więc, że każę pana aresztować.

Hoochowi nigdy by nie przyszło do głowy, że Jackson ma taką pamięć ani że jest takim draniem, co wykupuje weksle innych ludzi. Zwłaszcza weksle sprzed siedmiu lat, o których on sam już prawie zapomniał. Ale rzeczywiście, Jackson wyjął z kieszeni płaszcza nakaz i położył na biurku Harrisona.

- Wdzięczny jestem, że zatrzymał pan już tego człowieka, zanim przybyłem - mówił dalej Jackson. - Z zadowoleniem muszę pana poinformować, że według prawa Appalachee, oficer dokonujący aresztowania ma prawo do dziesięciu procent odzyskanych funduszy.

Harrison rozparł się w fotelu i wyszczerzył zęby.

- Może usiądziesz, Hooch, i przedstawiś się. A może nie trzeba, skoro ten oto pan Jackson zna cię chyba o wiele lepiej niż ja.

- Znam Ulyssesa Brocka, to prawda. Należy do takich śmierzeli, jakich musieliśmy usunąć, zanim mogliśmy nazywać Tennyzy krajem cywilizowanym. Spodziewam się, że i wy pozbędziecie się ich szybko... jeśli chcecie włączyć Wobbish do Stanów Zjednoczonych.

- Zbyt wiele pan zakłada - wtrącił Harrison. - Możemy próbować działać niezależnie.

- Skoro Appalachee nie zdołało zaistnieć samodzielnie, choć prezydentem był tam Tom Jefferson, moim zdaniem wam też nie pójdzie lepiej.

- To możliwe - przyznał Harrison. - A może powinniśmy uczynić coś, na co Tomowi Jeffersonowi zabrakło odwagi. I może potrzebni są nam tacy ludzie jak Hooch.

- Potrzebni są wam żołnierze - odparł Jackson. - Nie handlarze whisky.

Harrison pokręcił głową.

- Zmusza mnie pan, żeby przejść do sedna, panie Jackson. Rozumiem, dlaczego ludzie z Tennizy właśnie pana wysłali na spotkanie ze mną. Przejdźmy więc do sedna. Mamy tutaj takie same kłopoty jak wy, a kłopoty te można określić jednym słowem: Czerwoni.

- Dlatego jestem zdumiony, że pozwala pan tym pijanym dzikusom przebywać we własnym sztabie. To przecież jasne jak słońce, że ich miejsce jest na zachód od Mizzipy. Póki ich tam nie zepchniemy, nie będziemy mieli pokoju ani cywilizacji. Niestety, Appalachee i Stany Zjednoczone są przekonane, że Czerwonych należy traktować jak istoty ludzkie. Musimy zatem rozwiązać ten problem, zanim wejdziemy do Unii. To proste.

- Widzi pan? - zawołał Harrison. - Całkowicie się ze sobą zgadzamy.

- Dlaczego w takim razie w pańskim sztabie jest tylu Czerwonych, co na ulicy Niepodległości w Waszyngtonie? Mają tam ludzi z Cherriky, którzy pracują jako urzędnicy, a nawet zajmują stanowiska rządowe w Appalachee, w samej stolicy. Te stanowiska należą się Białym. A potem zjawiam się tutaj i widzę, że pan też trzyma Czerwonych.

- Spokojnie, panie Jackson. Czy sam król nie trzyma w pałacu swoich Czarnych?

- Jego Czarni to niewolnicy. Wszyscy wiedzą, że nie można zrobić niewolnika z Czerwonego. Mają za mało inteligencji, żeby ich szkolić.

- Niech pan usiądzie, panie Jackson, a ja spróbuję jak najlepiej wytłumaczyć, o co mi chodzi. W tym celu zaprezentuję panu dwa znakomite egzemplarze Shaw-Nee. Proszę siadać.

Jackson przesunął krzesło na drugi koniec pokoju, jak najdalej od Hoocha. Zachowywał się tak, że Hoocha aż brzuch rozboleł. Tacy ludzie jak Jackson wydają się szczerzy i uczciwi. Ale Hooch wiedział, że nie istnieje ktoś taki jak uczciwy człowiek. Jest tylko człowiek, którego jeszcze nikt nie kupił, który nie wpadł w dostatecznie poważne kłopoty albo nie ma dość odwagi, by wziąć to, czego pragnie. Doświadczenie życiowe nauczyło Hoocha, że do tego sprowadza się cnota. Ale oto zjawia się Jackson, nadyma się i żąda od Billa Harrisona, żeby jego, Hoocha, aresztował. Pomyśleć tylko! Ten przybłęda z Tennizy przyjeżdża tutaj i wymachuje nakazem wystawionym przez jakiegoś sędziego z Appalachee. Dokument ma w Wobbish taką wagę, jakby wystawił go król Etiopii. No cóż, panie Jackson, zawędrował pan daleko od domu. Zobaczymy, czy w drodze powrotnej nie spotka pana jakiś wypadek.

Nie, nie, nie, powiedział sobie Hooch. Takie wyrównywanie rachunków do niczego w tym świecie nie prowadzi. Człowiek tylko na tym traci. Najlepsza zemsta to wzbogacić się i zmusić ich wszystkich, żeby mówili do niego "szanowny panie". Tak wyrównuje się rachunki z tymi ludźmi. Żadnego zabijania. Jeśli zaczną krążyć o tobie plotki, Hoochu Palmerze, będziesz skończony.

Dlatego Hooch uśmiechał się tylko, kiedy Harrison wezwał adiutanta.

- Może zaprosisz tu Lollę-Wossiky? A przy okazji powiedz jego bratu, że też może wejść.

Brat Lolli-Wossiky... To pewnie ten zuchwały Czerwony, który stał pod ścianą. Zabawne, jak bardzo mogą się różnić dwa groszki z tego samego strąka.

Lolla-Wossiky wszedł z pokornym uśmiechem. Spoglądał po kolei na białych ludzi, zastanawiając się, czego chcą i jak może ich zadowolić, żeby wynagrodzili go whisky. Całym sobą pokazywał, jak bardzo jest spragniony; a przecież był już tak pijany, że nie potrafił prosto chodzić. A może wypił już tyle, że nie potrafił chodzić prosto nawet na trzeźwo? Hooch zastanowił się nad tym, ale wkrótce poznał odpowiedź. Harrison sięgnął do biurka, wyjął karafkę i szklaneczkę. Lolla-Wossiky obserwował czujnie, jak brunatny płyn leje się do naczynia; jedyne oko wpatrywało się w nie z takim natężeniem, jakby dzikus potrafił samym wzrokiem smakować alkohol. Nie zrobił jednak ani kroku w stronę Harrisona. Gubernator postawił szklaneczkę na stole niedaleko Czerwonego, ale tamten nadal stał na miejscu. Z uśmiechem spoglądał to na alkohol, to na Harrisona. I czekał... czekał... Harrison zwrócił się do Jacksona.

- Lolla-Wossiky to chyba najbardziej cywilizowany Czerwony w całym Wobbish. Nigdy nie bierze tego, co do niego nie należy. Nie odzywa się nie pytany. Jest posłuszny i robi to, co mu powiem. W zamian chce tylko kieliszka. To nie musi być nawet dobry trunek: całkiem mu wystarcza kukurydziana whisky albo marny hiszpański rum. Prawda, Lolla-Wossiky?

- Prawda, panie ekscelencjo - potwierdził Lolla-Wossiky. Jak na Czerwonego miał zdumiewająco czystą wymowę.

Zwłaszcza jak na pijanego Czerwonego.

Hooch widział, że Jackson z niesmakiem przygląda się jednookiemu dzikusowi. Po chwili prawnik z Tennizy zerknął w stronę drzwi. W progu stanął wysoki, silny, bezczelny Czerwony. Hooch z satysfakcją obserwował twarz Jacksona. Wyraz niesmaku na tej twarzy zmienił się w gniew. Gniew i... otóż to, strach. Tak, panie Jackson, nie jest pan nieustraszony. Wie pan, kim jest brat Lolli-Wossiky. To pański wróg i mój wróg, wróg każdego białego człowieka, który chciałby posiąść tę ziemię. Ponieważ ten arogancki Czerwony wbije panu w głowę swój tommy-hawk, a potem zdejmie skalp, powolutku. I nie sprzeda go żadnym Francuzom, panie Jackson. Zatrzyma go, przekaże dzieciom i powie: "Oto jedyny dobry Biały. Oto jedyny Biały, który nie łamie danego słowa. Tak należy postępować z Białymi". Hooch to wiedział, Harrison to wiedział i Jackson to wiedział. Ten młody byczek na progu to

śmierć. To przez takich młodych byczków Biali muszą się trzymać wschodniej strony gór, stłoczeni w miastach razem ze swoimi prawnikami, profesorami i ludźmi z wyższych sfer, którzy nigdy nie dadzą człowiekowi swobodnie odetchnąć. Szczerze mówiąc, z takimi właśnie ludźmi jak Jackson. Hooch parsknął śmiechem: Jackson to właśnie tego rodzaju typ. Inni wędrują na zachód, byle tylko od takich uciec. Jak daleko na zachód muszę odjechać, żeby prawnicy zgubili mój ślad?

- Widzę, że zauważył pan Ta-Kumsawa, starszego brata Lolli-Wossiky i mojego drogiego przyjaciela. Znałem tego chłopca, zanim jeszcze zginął jego ojciec. Niech pan spojrzy, na jakiego byczka wyrósł od tego czasu.

Jeśli nawet Ta-Kumsaw pojął, że drwią z niego, nie dał tego po sobie poznać. Nie zwracał uwagi na nikogo z obecnych, patrzył w okno na ścianie za gubernatorem. Hoocha jednak nie oszukał. Hooch wiedział, że Ta-Kumsaw widzi, i domyślał się, co w tej chwili czuje. Ci Czerwoni bardzo poważnie traktują rodzinę. Ta-Kumsaw dyskretnie przyglądał się Lolli-Wossiky, a jeśli Lolla-Wossiky był zbyt pijany, by odczuwać wstyd, Ta-Kumsaw odczuwał go podwójnie.

- Ta-Kumsaw - zwrócił się do niego Harrison. - Jak widzisz, nalałem ci szklaneczkę. Usiądź, wypij i możemy porozmawiać.

Lolla-Wossiky zeszytniał. Czy to możliwe, że trunek nie był jednak przeznaczony dla niego? Za to Ta-Kumsaw nie drgnął nawet - jakby nie usłyszał ani słowa.

- Widzi pan? - zapytał Jacksona Harrison. - Ta-Kumsaw nie jest dostatecznie ucywilizowany, żeby usiąść i wypić tradycyjnego drinka z przyjaciółmi. Za to jego młodszy brat jest cywilizowany. Prawda, Lolly? Przykro mi, ale nie mam dla ciebie krzesła, przyjacielu. Ale możesz usiąść na podłodze pod moim biurkiem, dokładnie u moich stóp, i wypić ten rum.

- Jest pan niezwykle łaskawy - rzekł Lolla-Wossiky tym swoim czystym, wyraźnym głosem.

Ku zdumieniu Hoocha, Czerwony nie rzucił się do alkoholu. Podeszedł bardzo ostrożnie, każdy jego krok był studium precyzji. Ujął szklaneczkę w lekko tylko drżące dłonie, potem uklęknął przed biurkiem Harrisona i balansując naczyniem opadł do pozycji siedzącej. Skrzyżował nogi.

Nadal jednak siedział przed, nie pod biurkiem. Harrison zwrócił mu na to uwagę.

- Chciałbym, żebyś usiadł pod biurkiem - powiedział. - Uznam to za wielką uprzejmość z twojej strony.

Lolla-Wossikey pochylił się więc niemal do kolan i na samych pośladkach wsunął pod blat. Niełatwo mu było pić w tej pozycji, bo nie mógł nawet wyprostować głowy, a co dopiero odchylić jej do tyłu. Dokonał tego, kołysząc się z boku na bok.

Przez cały ten czas Ta-Kumsaw nie wypowiedział ani jednego słowa. Nie okazał nawet, że widzi, jak poniżają jego brata. Boże święty, pomyślał Hooch. Jakiś ogień płonie teraz w sercu tego chłopaka. Harrison poważnie ryzykuje. Poza tym jeśli Ta-Kumsaw jest bratem Lolli-Wossikey, musi wiedzieć, że Harrison zabił ich ojca - w latach dziewięćdziesiątych, kiedy generał Wayne walczył z Francuzami. Człowiek nie zapomina takich rzeczy. Zwłaszcza Czerwony. A teraz Harrison sprawdza jego odporność, i to do samej granicy wytrzymałości.

- Teraz, kiedy wszyscy już zajęliśmy miejsca - powiedział Harrison - może usiądziesz, Ta-Kumsaw, i wyjaśnisz, co cię do nas sprowadza.

Ta-Kumsaw nie usiadł. Nie zamknął drzwi. Nie wszedł nawet za próg pokoju.

- Ja mówię od Shaw-Nee, Caska-Skeeaw, Pee-Orawa, Winny-Baygo.

- Spokojnie, Ta-Kumsaw. Wiesz, że nie przemawiasz nawet w imieniu wszystkich Shaw-Nee, a już z pewnością nie w imieniu pozostałych.

- Wszystkich plemion, które podpisać traktat generała Wayne'a - mówił dalej Ta-Kumsaw, jakby Harrison wcale się nie odzywał. - Traktat mówi, że Biali nie sprzedawać whisky Czerwonym.

- Zgadza się - przyznał Harrison. - I dotrzymujemy tego traktatu.

Ta-Kumsaw nie spojrzał na Hoocha, ale wyciągnął rękę w jego stronę. Hooch miał wrażenie, że naprawdę dotknął go palcem. Tym razem nie zezłościł się, lecz był zwyczajnie przerażony. Podobno niektórzy Czerwoni znają przywołania tak silne, że żaden heks człowieka nie ochroni. Zwabia go samego do lasu, a potem nożami potną na kawałki, żeby sobie posłuchać, jak wrzeszczy. O tym właśnie pomyślał, kiedy poczuł, że Ta-Kumsaw wskazuje na niego z nienawiścią.

- Dlaczego wskazujesz na mojego starego przyjaciela, Hoocha Palmera? - zapytał Harrison.

- Widzę, że dzisiaj jakoś nikt mnie nie lubi - roześmiał się Hooch. Lecz śmiech nie rozproszył lęku.

- On przywieźć łódź pełną whisky - oświadczył Ta-Kumsaw.

- Przywiózł wiele rzeczy - stwierdził Harrison. - Jeżeli również whisky, zostanie dostarczona do markietana w forcie. Możesz być pewien, że Czerwonym nie sprzedamy ani kropli. Dotrzymujemy traktatu, chociaż wam nie idzie to ostatnio najlepiej. Doszło do tego,

przyjacielu, że łodzie nie mogą już samotnie pływać po Hio. Uważam, że jeśli to się nie zmieni, armia zostanie zmuszona do podjęcia jakiejś akcji.

- Spalić wieś? - zapytał Ta-Kumsaw. - Wystrzelać nasze dzieci? Naszych starców? Nasze kobiety?

- Skąd ci to przyszło do głowy?

Harrison mówił oburzonym tonem, chociaż Hooch wiedział, że Ta-Kumsaw opisał tu typową operację wojskową. Hooch powiedział to głośno:

- Czerwoni palą bezbronných farmerów w ich chatach i pionierów na łodziach, prawda? Dlaczego więc uważacie, że wasze wsie powinny być bezpieczne? Wytlumacz mi to.

Ta-Kumsaw wciąż na niego nie patrzył.

- Angielskie prawo mówić: zabić człowieka, który kraść twoja ziemia, nie jest złem. Zabić człowieka, żeby jemu ukraść ziemia, jest bardzo źle. Kiedy my zabijają biali farmerzy, my nie być źli. Kiedy wy zabijają czerwonych ludzi, którzy żyć tutaj tysiące lat, wy być bardzo źli. Traktat mówić: wy zostać na wschód rzeki My-Ammy, ale oni nie zostawać, a ty im pomagać.

- Pan Palmer niewłaściwie to ujął - rzekł Harrison. - Cokolwiek wy, dzicy, robicie naszym ludziom: torturujecie mężczyzn, gwałcicie kobiety, porywacie dzieci w niewolę, my nie prowadzimy wojny z bezbronnymi. Jesteśmy ludźmi cywilizowanymi i zachowujemy się w sposób cywilizowany.

- Ten człowiek sprzedawać whisky czerwonym ludziom. Przez niego oni leżeć w brudzie jak robaki. On dać whisky czerwonym kobietom. Przez niego one słabe jak krwawiące sarny i robić wszystko, co on chce.

- Gdyby próbował, aresztujemy go - zapewnił Harrison. - Osądzimy go i ukarzymy za naruszanie prawa.

- Kiedy on to zrobić, ty go nie karać. Ty dzielić się z nim futrami. Ty go ochraniać.

- Nie nazywaj mnie kłamcą - zaprotestował Harrison.

- To ty nie kłamać - odpowiedział Ta-Kumsaw.

- Jeżeli będziesz się tak odzywał do Białych, Ta-Kumsaw, drogi chłopcze, któryś może naprawdę się rozzłościć i rozwali ci głowę.

- Ja wiedzieć, że wtedy ty aresztować go i ukarać za łamanie prawa.

Ta-Kumsaw powiedział to bez uśmiechu, ale Hooch dostatecznie długo handlował z Czerwonymi, żeby rozpoznać ich rodzaj humoru.

Harrison z powagą skinął głową. Hoochowi przyszło na myśl, iż Harrison nie zrozumiał, że to tylko żart. Mógł sądzić, że Ta-Kumsaw naprawdę w to wierzy. Ale nie:

Harrison wiedział, że on i Ta-Kumsaw okłamują się nawzajem. Hooch pomyślał, że kiedy obie strony kłamią i wiedzą o kłamstwach rozmówcy, to prawie tak, jakby mówili prawdę.

Najzabawniejsze, że ten prawnik z Tennezy na poważnie uwierzył w te bzdury.

- To prawda - oznajmił. - Przestrzeganie prawa odróżnia ludzi cywilizowanych od dzikusów. Czerwoni nie są jeszcze wystarczająco rozwinięci. Jeśli nie chcecie stosować się do praw Białych, musicie ustąpić.

Po raz pierwszy Ta-Kumsaw spojrzał któremuś z nich prosto w oczy. Zimno obserwował Jacksona.

- Ci dwaj to kłamcy - powiedział. - Oni znać prawdę, ale mówić nieprawdę. Ty nie być kłamcą. Ty wierzyć w to, co mówić.

Jackson z powagą pokiwał głową. Minę miał tak próżną, zarożumiałą i pobożną, że Hooch nie wytrzymał. Podgrzał siedzenie krzesła Jacksona, tylko trochę, tyle, żeby tamten musiał przesunąć tyłek. To usunęło kilka warstw godności. Ale Jackson wciąż był nadęty.

- Wierzę w to, co mówię, ponieważ mówię prawdę.

- Ty mówić to, w co wierzyć. Ale to ciągle nie być prawda. Jakie być twoje imię?

- Andrew Jackson.

Ta-Kumsaw skinął głową.

- Hickory.

Jackson był wyraźnie zaskoczony i zadowolony, że Ta-Kumsaw o nim słyszał.

- Niektórzy tak mnie nazywają.

Hooch podgrzał jego krzesło jeszcze trochę.

- Niebieska Kurtka mówić: Hickory dobry człowiek.

Jackson wciąż nie miał pojęcia, czemu jego krzesło zrobiło się takie niewygodne. W końcu nie mógł już wytrzymać. Zerwał się i zaczął spacerować. Przy każdym kroku jakby lekko potrząsał nogami, żeby je ochłodzić. Ale nadal przemawiał z godnością.

- Cieszę się, że Niebieska Kurtka tak sądzi. Jest wodzem Shaw-Nee w Tennizy, prawda?

- Czasami - odparł Ta-Kumsaw.

- Co to znaczy "czasami"? - zdziwił się Harrison. - Albo jest wodzem, albo nie jest.

- Kiedy on mówić szczerze, wtedy być wodzem.

- No cóż, przyjemnie usłyszeć, że mi ufa - oświadczył Jackson.

Uśmiechał się trochę niepewnie, ponieważ Hooch właśnie podgrzewał podłogę pod jego stopami. Od tego Hickory nie ucieknie tak łatwo, chyba że potrafi latać. Zresztą Hooch nie zamierzał dręczyć go zbyt długo. Tylko do chwili, kiedy Jackson podskoczy parę razy, a

potem wytłumaczy, czemu tańczy w obecności młodego wojownika Shaw-Nee i gubernatora Williama Henry'ego Harrisona.

Jednak zabawę Hoocha popsuł Lolla-Wossiky, który w tej właśnie chwili upadł do przodu i wytoczył się spod biurka. Na twarzy miał uśmiech idioty, i zamknięte oko.

- Niebieska Kurtka! - zawołał.

Hooch zauważył, że po alkoholu zaczął wreszcie mówić bełkotliwie.

- Hickory! - wrzasnął.

- Ty być moim wrogiem. - Ta-Kumsaw zignorował zachowanie brata.

- Mylisz się - zapewnił go Harrison. - Jestem twoim przyjacielem. Twój wróg mieszka na północy, w miasteczku Vigor Kościół. Twoim wrogiem jest ten renegat, Armor-of-God Weaver.

- Armor-of-God Weaver nie sprzedaje Czerwonym whisky.

- Ja też nie - zapewnił Harrison. - Ale on robi mapy całej krainy na zachód od Wobbish. Żeby podzielić ją na działki i sprzedać, kiedy zabije już wszystkich Czerwonych.

Ta-Kumsaw nie zwracał uwagi na próby Harrisona, by skierować jego gniew przeciwko rywalowi z północy.

- Ja przyjść cię ostrzec - powiedział.

- Mnie ostrzec? - powtórzył Harrison. - Ty, nędzny Shaw-Nee, który nikogo nie reprezentuje, ostrzegasz mnie, tutaj, w moim forcie, gdzie setka żołnierzy gotowa jest cię zastrzelić, jeśli powiem słowo?

- Ty przestrzegać traktatu.

- Przestrzegamy traktatu! To wy zawsze łamiecie umowy!

- Ty przestrzegać traktatu - powtórzył Ta-Kumsaw.

- Bo co? - wtrącił Jackson.

- Bo wszyscy Czerwoni na zachód od gór przyjść tu razem i porąbać was na kawałki.

Harrison odchylił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem. Ta-Kumsaw przyglądał mu się z kamienną twarzą.

- Wszyscy Czerwoni, Ta-Kumsaw? Nawet ten tutaj, Lolly? Nawet mój domowy Shaw-Nee, oswojony Czerwony? Nawet on?

Po raz pierwszy Ta-Kumsaw spojrzał na chrapiącego na podłodze brata.

- Słońce wschodzić każdego dnia, biały człowieku - oświadczył. - Ale czy być oswojone? Deszcz zawsze spada. Czy być oswojony?

- Wybacz, Ta-Kumsaw, ale ten jednooki pijak jest równie pokorny, jak mój koń.

- O tak - zgodził się Ta-Kumsaw. - Ty założyć mu siodło. Ty założyć wędzidło. Ty wsiąść i jechać. Zobaczyć, gdzie cię powieźć ten domowy Czerwony. Nie tam, gdzie ty chcesz.

- Dokładnie tam, gdzie zechcę - stwierdził Harrison. - Nie zapominaj o tym. Twój brat jest zawsze w moim zasięgu. I jeśli, chłopcze, zachowasz się niewłaściwie, każę go aresztować jako twojego współnika i powieszę wysoko.

Ta-Kumsaw uśmiechnął się lekko.

- Ty tak myśleć. Lolla-Wossiky tak myśleć. Ale zanim ty go dotkną, on nauczyć się patrzeć swoim drugim okiem.

Ta-Kumsaw odwrócił się i wyszedł. Spokojnie, płynnie, pewnie, bez gniewu. Nawet nie zamknął za sobą drzwi. Poruszał się z gracją, niby dzikie zwierzę... bardzo groźne zwierzę. Dawno temu, kiedy Hooch znalazł się w górach, sam widział pumę. Tym właśnie był Ta-Kumsaw - drapieżnym kotem.

Adiutant Harrisona zamknął drzwi.

Gubernator z uśmiechem zwrócił się do Jacksona.

- Widzi pan?

- A co powinienem widzieć, panie Harrison?

- Czy mam to panu przeliterować, panie Jackson?

- Jestem prawnikiem. Lubię, kiedy mi się wszystko przeliteruje. Jeśli potrafi pan literować.

- Ja nie potrafię nawet czytać - oznajmił grzecznie Hooch.

- I nie potrafisz trzymać gęby na kłódkę - burknął Harrison. - Dobrze, Jackson, wytłumaczę panu. Pan i pańscy chłopcy z Tennizy chcecie usunąć Czerwonych na wschodni brzeg Mizzipy. Powiedzmy, że wam się to uda. Co pan wtedy zrobi? Rozstawi nad rzeką żołnierzy, żeby dzień i noc trzymali straż? Tamci wrócą na nasz brzeg, kiedy tylko zechcą, będą palić, rabować, torturować i zabijać.

- Nie jestem durniem - przypomniał Jackson. - Wiem, że niezbędna jest długa i ciężka wojna. Ale kiedy wypędzimy ich za rzekę, załamią się. A tacy ludzie jak Ta-Kumsaw zginą albo stracą wszelki autorytet.

- Tak pan sądzi? No cóż, podczas tej wielkiej wojny, o której pan łaskawie wspominał, zginie też wielu białych chłopców, a przy nich także kobiet i dzieci. Ale ja mam lepszy pomysł. Ci Czerwoni ssą whisky, tak jak cielak ssie mleko z wymienia matki. Dwa lata temu tysiąc Pee-Ankashawów mieszkało na wschód od My-Ammy. Potem zaczęli się zaprawiać. Przestali pracować, przestali jeść i tak osłabli, że starła ich z powierzchni ziemi pierwsza

lekka choroba, jaka tędy przeszła. Po prostu wymarli. Nie został ani jeden żywy Pee-Ankashaw. To samo zdarzyło się na północy z Chippy-Wa, tyle że tam załatwili ich francuscy handlarze. To w alkoholu najlepsze: zabija Czerwonych, a nie ginie przy tym ani jeden Biały.

Jackson wstał powoli.

- Kiedy wrócę do domu - oświadczył - będę musiał wykapać się trzy razy. I nawet wtedy nie będę czysty.

Hooch przekonał się z zachwytem, że Harrison jest naprawdę wściekły: poderwał się i wrzasnął na Jacksona tak głośno, że krzesło Hoocha zadygotało.

- Nie nadymaj się przede mną, ty hipokryto! Chcesz ich wszystkich zobaczyć martwych, dokładnie tak jak ja! Nie ma między nami żadnej różnicy!

Jackson zatrzymał się w drzwiach i spojrzał na gubernatora z niesmakiem.

- Morderca, panie Harrison, truciciel nie potrafi może dostrzec różnicy między sobą a żołnierzem. Ale żołnierz ją widzi.

W przeciwieństwie do Ta-Kumsawa Jackson zniżył się do trzaśnięcia drzwiami.

Harrison opadł na krzesło.

- Muszę powiedzieć, Hooch, że nie podoba mi się ten facet.

- Nie przejmuj się - pocieszył go Hooch. - On jest z tobą.

Harrison uśmiechnął się lekko.

- Wiem. Kiedy dojdzie do wojny, wszyscy staniemy ramię w ramię... może z wyjątkiem tego wielbiciela Czerwonych z Vigor Kościoła.

- Nawet on. Kiedy wybuchnie wojna, Czerwoni nie będą robić różnicy między jednym a drugim Białym. Jego ludzie będą ginąć tak samo jak nasi. I wtedy Armor-of-God Weaver stanie do walki.

- Gdyby Jackson i Weaver lali w swoich Czerwonych whisky tak jak my, nie byłoby żadnej wojny.

Hooch wymierzył śliną do spluwaczki i nie chybił o wiele.

- Ten Czerwony... ten Ta-Kumsaw...

- Co z nim? - zdziwił się Harrison.

- Martwi mnie.

- A mnie wcale. Mam jego brata zachlanego na podłodze. Ta-Kumsaw nic nie robi.

- Kiedy wskazał mnie palcem, czułem, że mnie dotyka przez cały pokój. Myślę, że ma dar przywołania. Albo dotyku. Uważam, że jest niebezpieczny.

- Nie wierzysz chyba w te przesady, Hooch? Jesteś wykształconym człowiekiem. Myślałem, że takie brednie nie robią na tobie wrażenia.

- Robią. I na tobie też, Billu Harrisonie. Kiedy budowałeś palisadę, sprowadziłeś ródzkarza, żeby sprawdził, gdzie jest twardy grunt. A kiedy twoja pierwsza żona rodziła, ściągnąłeś żagiew, żeby sprawdzić, jak dzieci leżą jej w brzuchu.

- Ostrzegam cię - warknął Harrison. - Nie życzę sobie uwag na temat mojej żony.

- Której żony, Bill? Tej zimnej czy tej gorącej?

Harrison wyrzucił z siebie długi łańcuch przekleństw. Tak, Hooch był zachwycony. Trudno zaprzeczyć, że miał talent do podgrzewania. A o wiele zabawniej jest podgrzewać czyjś nastrój, ponieważ nie ma wtedy płomieni, jedynie masa pary i gorącego powietrza.

Pozwolił Harrisonowi wściekać się przez dłuższą chwilę. A potem z rozbajającym uśmiechem podniósł ręce, jakby się poddawał.

- Przecież wiesz, że nie myślałem nic złego, Bill. Nie mam pojęcia, dlaczego ostatnio zrobiłeś się taki delikatny. Obaj chyba wiemy, skąd się biorą dzieci, jak się tam dostają i jak wychodzą na świat. Twoje kobiety nie rodzą ich inaczej niż moje. A kiedy któraś leży już i krzyczy, ściągasz położną, co wie, jak rzucić na nią sen albo odegnąć ból. A kiedy dziecko się spóźnia, sprowadzasz żagiew, żeby sprawdzić, jak jest ułożone. Dlatego wysłuchaj mnie uważnie, Billu Harrisonie. Ten Ta-Kumsaw ma jakiś dar, jakąś moc. Jest w nim więcej, niż się wydaje.

- Doprawdy, Hooch? Może jest, a może wcale nie. Ale powiedział, że zanim go dotknę, Lolla-Wossiky przejrzy na swoje drugie oko. Szybko udowodnię, że żaden z niego prorok.

- Skoro już mowa o tym jednookim, to zaczyna okropnie śmierdzieć.

Harrison przywołał adiutanta.

- Przyślijcie mi zaraz kaprała Withersa i czterech żołnierzy.

Hooch podziwiał wojskową dyscyplinę u Harrisona. Nie minęło nawet trzydzieści sekund, a wbiegli żołnierze. Kapral Withers zasalutował.

- Na rozkaz, panie generale.

- Trzech waszych ludzi zechce uprzejmie wynieść to zwierzę do stajni.

Kapral Withers natychmiast wyznaczył trójkę żołnierzy. Zatrzymał się tylko, by rzucić:

- Tak jest, panie generale.

Generał... Hooch uśmiechnął się. Wiedział, że Harrison uzyskał tylko patent pułkownika u generała Wayne'a podczas ostatniej wojny z Francuzami. I nawet wtedy nie liczył się w armii. Generał... Gubernator... Co za nadęty...

Ale Harrison znowu mówił coś do Withersa. Przyglądał się Hoochowi.

- Natomiast wy razem z szeregowym Dickeyem bądźcie łaskawi aresztować tego oto pana Palmera i zamknąć go w celi.

- Mnie aresztować! - krzyknął Hooch. - Co ty wygadujesz!

- Ma przy sobie broń, więc przeszukajcie go dokładnie - polecił Harrison. - Radzę rozebrać go przed odprowadzeniem do celi i zostawić rozebranego. Żeby się nie wysliznął.

- Za co mnie zamykacie!?

- Jak to? Mamy nakaz aresztowania za nie spłacone długi - oświadczył Harrison. - Zostałeś też oskarżony o sprzedaż whisky Czerwonym. Naturalnie, musimy zająć wszystkie twoje ruchomości, zwłaszcza te podejrzane beczułki, które moi chłopcy przez cały dzień nosili do fortu. Jeżeli sprzedamy je za odpowiednią cenę, a uda się oczyścić cię z tych nieprzyjemnych zarzutów handlu alkoholem z Czerwonymi... no cóż, wtedy cię wypuścimy.

Po czym Harrison wyszedł z gabinetu. Hooch przeklinał, pluł i wygłaszał uwagi na temat żony i matki Harrisona. Jednak szeregowy Dickey mocno trzymał się muszkietu, a muszkiet miał bagnet umocowany do roboczego końca; dlatego Hooch poddał się rewizji i rozbieraniu. Było jeszcze gorzej, kiedy Withers poprowadził go przez fort, całkiem gołego, i nie dając nawet koca, zamknął w magazynie. W magazynie pełnym pustych beczulek z poprzedniego transportu whisky.

Dwa dni czekał tam na proces. Po raz pierwszy w życiu żądza mordu wypełniła mu serce. Miał wiele pomysłów, jak się zemścić - to pewne. Myślał o podpaleniu koronkowych firanek w domu Harrisona albo spaleniu szopy, gdzie trzymali whisky, o wywołaniu najróżniejszych pożarów. Bo co człowiekowi z bycia iskrą, jeśli nie może wyrównać rachunków z takimi, co udają przyjaciół, a potem zamykają w więzieniu?

Jednak niczego nie podpałił. Nie był durniem. Po pierwsze, wiedział, że gdyby gdziekolwiek w forcie wybuchł pożar, w ciągu pół godziny mógłby ogarnąć wszystko, od końca do końca. A kiedy ludzie będą biegać i ratować swoje żony, dzieci, proch i whisky, mogą zapomnieć o pewnym handlarzu zamkniętym w magazynie. Hooch nie miał ochoty ginąć w ogniu przez siebie wywołanym - to żadna zemsta. Przyjdzie czas na pożary, jeśli pewnego dnia założą mu pętlę na szyję... Na razie nie zamierzał narażać się na spalenie z powodu takiej drobnostki.

Ale zasadniczym powodem, dla którego nie wzniecał pożarów, nie był strach, lecz zwykłe wycucie interesu. Harrison chciał pokazać, że nie podoba mu się, jak Hooch opóźnia dostawy, żeby podnieść cenę. Harrison dawał do zrozumienia, że ma tu prawdziwą władzę, a Hooch tylko pieniądze. Dobrze, niech Harrison bawi się w mocnego człowieka. Hooch też wiedział o kilku sprawach. Wiedział, że pewnego dnia region Wobbish zwróci się do

Kongresu Stanów Zjednoczonych w Filadelfii z petycją, by uczynić ich stanem. A wtedy niejaki William Henry Harrison zamarzy w swoim małym serduszkach, żeby zostać gubernatorem. Hooch widział już niejedne wybory w Suskwahenny, Pensylwanii i Appalachee. Wiedział, że nie zdobędzie się głosów, nie rozdając wkoło srebrnych dolarów. I kiedy nadejdzie czas, może przekazać te srebrne dolary wyborcom Harrisona, a może ich nie przekazać. Po prostu nie. Może komuś innemu pomóc zasiąść w gubernatorskiej posiadłości. I pewnego dnia, kiedy Carthage stanie się prawdziwym miastem, a Wobbish prawdziwym stanem, Harrison będzie siedział tu przez resztę swojego życia i wspominał, jak to było, gdy mógł zamykać ludzi. Będzie zgrzytał zębami ze złości na myśl o tym, że tacy ludzie jak Hooch odebrali mu to wszystko.

Takim rozrywką oddawał się Hooch, siedząc w areszcie przez dwa długie dni i dwie noce.

Potem wyciągnęli go i zawlekli do sądu - nie ogolonego, rozczochranego, w pogniecionym ubraniu. Generał Harrison był sędzią, wszyscy ławnicy w mundurach, a jako obrońca wystąpił... Andrew Jackson! To jasne: gubernator Bill próbował rozzłościć Hoocha. Chciał, żeby zaczął wrzeszczeć. Ale przecież Hooch nie urodził się wczoraj. Wiedział, że cokolwiek zaplanował Harrison, krzyki do niczego nie doprowadzą. Trzeba siedzieć spokojnie i wytrzymać to wszystko.

Proces trwał parę minut.

Hooch z kamienną twarzą słuchał, jak młody porucznik zaświadcza, że cała whisky została sprzedana markietanowi za cenę dokładnie taką jak poprzednim razem. Według oficjalnych dokumentów, Hooch nie zarobił ani centa na tym, że bite cztery miesiące kazał im czekać na dostawę. No cóż, pomyślał, to uczciwe. Harrison mi pokazuje, jak to powinno wyglądać. Dlatego nie powiedział ani słowa. Harrison był wyraźnie zadowolony, choć ukrywał to za urzędową powagą. Baw się dobrze, myślał Hooch. Nie wyprowadzisz mnie z równowagi.

A jednak udało mu się to. Wzięli z zapłaty dwieście dwadzieścia dolarów i jeszcze w sądzie wręczyli Jacksonowi. Odliczyli jedenaście złotych dwudziestodolarówek. Hooch odczuwał fizyczny ból, patrząc, jak ognisty metal wpada w ręce Jacksona. Nie mógł dłużej milczeć. Zdołał jednak przemówić spokojnie i grzecznym tonem.

- To chyba wbrew prawu - oświadczył - żeby powód działał jako obrońca.

- Nie jest twoim obrońcą w sprawie o długi - wyjaśnił Jego Sędziowska Wysokość Harrison. - Tylko w sprawie o whisky.

Potem uśmiechnął się i zamknął rozprawę.

Sprawa o whisky nie trwała wiele dłużej. Jackson przedłożył te same rachunki jako dowód, że wszystkie beczułki whisky trafiły do markietana w Carthage, zaś Czerwoni nie dostali ani kropelki.

- Chociaż moim zdaniem - dodał Jackson - ilość whisky, o której mówią te dokumenty, wystarczyłaby na trzy lata dla dziesięciokrotnie większej armii.

- Mamy tu sporo żołnierzy, którzy lubią sobie popić - wyjaśnił sędzia Harrison. - Według mnie, alkohol wystarczy najwyżej na sześć miesięcy. Ale Czerwonym ani kropli, panie Jackson. Może pan być spokojny.

Po czym oddalił wszelkie zarzuty wobec Hoocha Palmera alias Ulyssesa Brocka.

- Ale niech pan zapamięta tę lekcję, panie Palmer - dodał na zakończenie swoim najlepszym sędziowskim tonem. - Sprawiedliwość na pograniczu działa szybko i sprawnie. Na przyszłość niech pan spłaca swoje długi. I unika nawet pozorów przestępstwa.

- Jasne - odpowiedział grzecznie Hooch.

Harrison nieźle mu przyłożył, ale wszystko dobrze się skończyło. Oczywiście Hooch irytowało te dwieście dwadzieścia dolarów, tak samo jak dwa dni spędzone w więzieniu, ale Harrison nie chciał, żeby Hooch za bardzo ucierpiał. Ponieważ - o czym Jackson nie wiedział, a nikt inny nie uznał za stosowne wspomnieć - Hooch Palmer miał kontrakt jako markietan armii Stanów Zjednoczonych na Terytorium Wobbish. Wszystkie papiery dowodzące, że nie sprzedał whisky Czerwonym, w gruncie rzeczy wykazywały, że sprzedał whisky samemu sobie, i to z zyskiem. Teraz Jackson odjedzie do domu, a Hooch otworzy magazyn, po niebotycznych cenach sprzeda alkohol Czerwonym, podzieli się zyskiem z gubernatorem Billem i będzie patrzył, jak Czerwoni padają jak muchy. Harrison zażartował sobie z Hoocha, to prawda, ale o wiele bardziej zażartował z Jacksona.

Hooch postarał się być na brzegu, kiedy prom przewoził Jacksona przez Hio. Jackson przywiózł ze sobą dwóch chłopaków z gór z karabinami, kto by uwierzył. Hooch zauważył, że jeden z nich wyglądał jak półczerwony, pewnie mieszaniec Cherriky. Wiele jest takich w Appalachee, gdzie Biali żenią się ze squaw jak z prawdziwymi kobietami. A oba karabiny miały na lufach wybite "Eli Whitney", co oznaczało, że wyprodukowano je w stanie Irrakwa, gdzie ten Whitney założył warsztat i produkował strzelby tak szybko, że aż spadły ceny. Plotka głosiła, że pracują u niego kobiety, squaw Irrakwa. Kto by uwierzył. Jackson mógł sobie gadać o zepchnięciu Czerwonych na zachód od Mizzipy, ale na to jest już za późno. Ben Franklin do tego doprowadził, dając Irrakwa własny stan na północy, a Tom Jefferson jeszcze pogorszył sprawę, uznając Cherriky za obywateli z prawem głosu, kiedy w Appalachee walczyli z królem. Wystarczy tych Czerwonych potraktować jak obywateli, a

zaczynają wierzyć, że mają takie same prawa jak Biali. Nie powstanie porządne społeczeństwo, jeśli przyjmą się takie rzeczy. Zaraz potem Czarni nie zechcą być niewolnikami, a potem ani się człowiek obejrzy, a siądzie przy barze w saloonie, zerknie w lewo, a tam Czerwony, zerknie w prawo, a tam Czarny... To przecież wbrew naturze.

Tam płynął Jackson wierząc, że ocali białych ludzi przed Czerwonymi, a tymczasem podróżował z mieszańcem i wioził strzelby wyprodukowane u Czerwonych. A co najgorsze, Jackson wioził w sakwie przy siodle jedenaście złotych monet, wedle prawa należących do Hoocha Palmera. Hooch rozzłościł się tak, że ledwie potrafił sensownie myśleć.

Dlatego podgrzał trochę tę sakwę, dokładnie w miejscu, gdzie metalowy nit mocował ją do siodła. Czuł, jak skóra marszczy się, czernieje i twardnieje wokół nitu. Już niedługo, kiedy koń ruszy w drogę, sakwa odpadnie. Z pewnością to zauważą... Hooch doszedł do wniosku, że sakwa to za mało. W kilku miejscach podgrzał jeszcze siodło Jacksona i siodła dwóch pozostałych także. Dotarli na drugi brzeg, dosiedli koni i odjechali, on jednak wiedział, że do Nashville dotrą już na oklep. Miał błogą nadzieję, że siodło Jacksona rozpadnie się w takiej chwili i w taki sposób, iż stary Hickory wyląduje na tyłku, a może nawet złamie rękę. Sama myśl o takiej możliwości poprawiła Hoochowi humor. Niekiedy dobrze jest być iskrą. Żeby utrzyć nosa takiemu nadętemu, zadufanemu prawnikowi.

Rzecz w tym, że uczciwy człowiek - jak Andrew Jackson - nie miał żadnych szans z parą takich zimnych drani jak Bill Harrison i Hooch Palmer. To istny skandal, że armia nie daje orderów żołnierzom, którzy rozbijają Czerwonych na śmierć, zamiast do nich strzelać. Gdyby tak było, Hooch wiedział z całą pewnością, on i Harrison zostaliby bohaterami.

Ale i tak, zdaniem Hoocha, Harrison znajdzie jakiś sposób, żeby zostać bohaterem. A Hooch dojdzie jedynie do pieniędzy. Takie jest życie, pomyślał. Jedni zdobywają sławę, inni majątek. Ale mnie to nie przeszkadza, bylebym się nie znalazł wśród tych, co zostają z niczym. Nie chciałbym być jednym z takich, to pewne. A gdyby do tego doszło, wszyscy pożałują.

ROZDZIAŁ 2 - TA-KUMSAW

Gdy Hooch przyglądał się przeprawie Jacksona przez rzekę, Ta-Kumsaw obserwował białego handlarza whisky i wiedział, co Hooch robi. Tak samo wiedziałby każdy Czerwony, który by spojrzał w tamtą stronę... w każdym razie trzeźwy Czerwony. Biały człowiek robi wiele rzeczy niepojętych, ale kiedy wyczynia sztuczki z ogniem, wodą, powietrzem i ziemią, nie zdoła się ukryć przed Czerwonym.

Ta-Kumsaw nie widział, jak przypala się siodło Jacksona. Nie czuł żaru. Zobaczył jakby drzenie, maleńki wir poprzez wodę, ściągający jego uwagę. Zakłócenie gładzi krainy. Większość Czerwonych nie wyczuwała tego tak wyraźnie jak Ta-Kumsaw. Młodszy brat Ta-Kumsawa, Lolla-Wossikey, był jedynym, który odczuwał to jeszcze mocniej. O wiele mocniej. Znał wszystkie te wiry, te fale na strumieniu. Ta-Kumsaw pamiętał, jak ich ojciec, Pucky-Shinwa, powtarzał, że Lolla-Wossikey zostanie szamanem, a Ta-Kumsaw wodzem.

Było to jeszcze zanim Kłamlivy Język Harrison zastrzelił Pucky-Shinwę na oczach Lolli-Wossikey. Ta-Kumsaw wyruszył wtedy na polowanie, cztery dłonie marszu na północ, ale wyczuł ten mord, jakby strzelba wypaliła tuż za jego plecami. Kiedy biały człowiek kreślił heks, rzucał urok czy klątwę, czy używał różdżki, Ta-Kumsaw odczuwał to jako swędzenie pod skórą; ale gdy biały człowiek zabijał, było to jak pchnięcie nożem.

Towarzyszył mu wtedy drugi brat, Methowa-Tasky.

- Poczuleś? - zawołał do niego.

Methowa-Tasky szeroko otworzył oczy. Nie poczuł. Ale nawet wtedy, nawet w tak młodym wieku - miał wówczas trzynaście lat - Ta-Kumsaw nie zwątpił w siebie. Czuł to. To się zdarzyło. Dokonano mordu i musi biec do konającego.

Pobiegli przez las. Jak wszyscy Czerwoni w tych latach, był całkowicie zharmonizowany z krainą. Nie myślał, gdzie stawia stopy; wiedział, że gałązki na ziemi zmiękną i ugną się, liście zwilgotnieją i nie będą szeleścić, odsuwane na bok gałęzie szybko powrócą na swoje miejsca i nie pozostanie żaden ślad jego przejścia. Niektórzy Biali przechwalali się, że potrafią się poruszać tak cicho jak Czerwoni. I rzeczywiście, niektórzy potrafili - ale osiągalni to, poruszając się wolno, ostrożnie, obserwując grunt, okrążając krzaki. Nie mieli pojęcia, jak mało uwagi poświęca czerwony człowiek temu, żeby nie wydawać dźwięku, nie zostawiać śladów.

Ta-Kumsaw nie myślał o swoich ruchach, w ogóle nie myślał o sobie. Widział tylko zielone życie lasu dookoła i czarny wir pośrodku, wsysający go w głąb, coraz mocniej,

szybciej, do miejsca, gdzie żywą zieleń rozdarła szrama, która przepuściła mordercę. Zanim dotarli na owo miejsce, nawet Methowa-Tasky to wyczuwał. Tam, na ziemi, leży ich ojciec z przestrzeloną głową. A obok, cichy i niewidzący, stoi dziesięcioletni Lolla-Wossiky.

Do domu Ta-Kumsaw przeniósł ciało ojca przerzucone przez ramiona, jak jelenia. Methowa-Tasky musiał prowadzić za rękę Lollę-Wossiky - inaczej chłopiec nie chciał się ruszyć. Matka powitała ich płaczem i lamentem - ona również wyczuła mord, ale póki synowie nie wrócili z ciałem, nie wiedziała, że to jej mąż.

Przywiązała zwłoki do pleców Ta-Kumsawa, a on wspiał się na najwyższe drzewo, odwiązał ciało ojca i przywiązał je znowu do najwyższej gałęzi, jakiej zdołał dosięgnąć.

Niedobrze by się stało, gdyby Ta-Kumsawowi brakło sił i wypuścił ciało ojca. Ale Ta-Kumsawowi sił nie zabrakło. Przywiązał ojca do gałęzi tak wysokiej, że słońce przez cały dzień muskało jego twarz. Zjedzą go ptaki i insekty; wysuszy go słońce i wiatr; deszcz splucze szczątki na ziemię. Tak właśnie Ta-Kumsaw zwrócił swojego ojca krainie.

Cóż jednak mogli zrobić z Lollą-Wossiky? Nic nie mówił, nie jadł, chyba że ktoś go karmił, a gdyby nie wziąć go za rękę i nie poprowadzić, pozostałby w jednym miejscu na zawsze. Matka była przerażona tym, co się działo z jej synem. Matka bardzo kochała Ta-Kumsawa - bardziej niż jakakolwiek inna matka w ich szczepie kochała innego syna; ale i tak Lollę-Wossiky kochała jeszcze bardziej. Wiele razy opowiadała, jak mały Lolla-Wossiky płakał, kiedy co zimę nadchodził mróz. Nie mogła go uspokoić, choć okrywała malca skórą jeleni i bizonów. Aż pewnej zimy, gdy potrafił już mówić, wytłumaczył jej, czemu płacze.

- Gina wszystkie pszczoły - powiedział.

Taki był Lolla-Wossiky, jedyny Shaw-Nee, który czuł śmierć pszczoł.

Taki był chłopiec stojący u boku ojca, gdy pułkownik Bill Harrison go zastrzelił. Skoro Ta-Kumsaw o pół dnia drogi czuł ten mord jak cios noża, co czuł Lolla-Wossiky, stojący tak blisko i już tak wrażliwy? Jeśli płakał nad śmiercią pszczoł zimą, co czuł, gdy biały człowiek na jego oczach zamordował jego ojca?

Po kilku latach Lolla-Wossiky znów zaczął się odzywać, ale oczy mu przygały i stał się nieuważny. Stracił oko, bo potknął się i przewrócił na krótkim, nierównym pniaku złamanego krzewu. Potknął się i przewrócił! Komu z Czerwonych mogło się to przytrafić? Zupełnie jakby Lolla-Wossiky zatracił poczucie krainy; stał się tępy niczym Biały.

A może, myślał Ta-Kumsaw, może trzask dawnego wystrzału wciąż dzwoni mu w uszach tak głośno, że nie może usłyszeć tykania żyjącego świata? Bezustanny ból... do chwili, gdy pierwszy łyk whisky pokazał Lolli-Wossiky, jak stępieć jego ostrze.

Dlatego Ta-Kumsaw nigdy nie bił Lolli-Wossiky za pijaństwo, chociaż zbilby każdego Shaw-Nee - nawet własnego brata, nawet starca - gdyby spotkał go z trucizną białego człowieka w ręku.

Ale Biali nie mogli odgadnąć, co widzi, słyszy i czuje Czerwony. Biali przynieśli tu śmierć i pustkę. Biali ścinali mądre stare drzewa, które wiele miały do opowiadania. I młode pędy, przed którymi były jeszcze długie lata życia. Białły człowiek nigdy nie pytał: "Czy zechcesz stworzyć chatę dla mnie i mojego szczepu?" Rąbać, ciąć, łamać i palić - oto metoda Białych. Brać od lasu, od ziemi, od rzeki, ale nic w zamian nie dawać. Biali zabijali zwierzęta, których nie potrzebowali, zwierzęta, które nie zrobiły im krzywdy. A kiedy głodny niedźwiedź przebudził się zimą i porwał choćby jedną świnię, Biali tropili go i zabijali z zemsty. Nigdy nie wyczuwali równowagi krainy.

Nic dziwnego, że kraina nienawidziła Białych. Nic dziwnego, że wszelkie rzeczy naturalne buntowały się przeciwko ich krokom: trzaskały pod stopami, wyginały się w złą stronę, krzyczały do Czerwonych: tutaj stał wróg! Tędy przeszedł intruz, przez te krzaki, na tamto wzgórze! Biali żartowali, że Czerwoni potrafią wytropić człowieka nawet w wodzie, i śmiali się, jakby to była nieprawda. Ale to prawda, gdyż kiedy Białły przekraczał rzekę albo jezioro, woda bulgotała i pieniała się jeszcze przez długie godziny.

A teraz Hooch Palmer, handlarz trucizny, chytry zabójca, stał i rozpalał ten swój śmieszny ogień na siodle innego Białego.

I myślał, że nikt o tym nie wie. Ci Biali ze swoimi słabymi, nieważnymi darami... Ci Biali ze swoimi heksami i ochronami... Czy nie wiedzą, że hekсы bronią tylko przed rzeczami nienaturalnymi? Jeśli przychodzi złodziej i wie, że źle postępuje, wtedy dobry, mocny heks obronny budzi w nim lęk coraz większy, aż złodziej krzyczy i ucieka. Ale Czerwony nigdy nie jest złodziejem. Zawsze jest na swoim miejscu, gdziekolwiek zatrzyma się w tej krainie. Dla niego heks to zimny obszar, drżenie powietrza... nic więcej. Dla niego dar to zwykła mucha, bzz bzz bzz. Wysoko ponad nią moc żyjącej krainy jest setką jastrzębi, które krążą i patrzą.

Ta-Kumsaw widział, jak Hooch odwraca się i rusza do fortu. Wkrótce zacznie sprzedawać truciznę. Większość żyjących tam Czerwonych się upije. Ta-Kumsaw zostanie i będzie trzymać straż. Nie musi się nawet odzywać. Zobaczą go tylko, a ci, którym pozostała odrobina godności, odwrócą się i przestaną pić. Ta-Kumsaw nie jest jeszcze wodzem. Ale Ta-Kumsawa nie można ignorować. Ta-Kumsaw to chluba Shaw-Nee. Wszyscy Czerwoni ze wszystkich szczepów próbują mu dorównać. Whisky-Czerwoni stają się bardzo mali, widząc tego silnego wysokiego mężczyznę.

Przeszedł na miejsce, gdzie stał Hooch, by swym spokojem uciszyć wiry i skrzęty wywołane przez handlarza. Po chwili umilkły brzęczące, rozzłoszczone owady. Rozwiał się zapach whisky. Woda znowu obmywała brzeg z przypadkową pieśnią.

Jak łatwo jest uleczyć ziemię po przejściu Białych. Gdyby oni wszyscy dzisiaj odeszli, jutro w krainie zapanowałby spokój, a po roku nie pozostałby żaden ślad ich pobytu. Nawet ruiny budynków Białych stałyby się znowu częścią krainy, domami małych zwierząt, kruszącymi się w uścisku głodnych powojów. Żelazo Białych zmieniłoby się w rdzę, kamienne budowle w niskie wzgórza i niewielkie groty. Morderstwa Białych pozostałyby jako żalosne, piękne nuty w pieśni drozda, gdyż drozd pamięta wszystko i jeśli może, zmienia to na dobro.

Przez cały dzień Ta-Kumsaw stał przed fortem i patrzył, jak Czerwoni wchodzić kupować truciznę. Mężczyźni i kobiety ze wszystkich plemion: Wee-Aw i Kicky-Poo, Potty-Wottamee i Chippy-Waa, Winny-Baygo i Pee-Orawa - przybywali, niosąc futra i kosze, a odchodzili z kubkami czy dzbankami trunku, czasami tylko z tym, co nieśli we własnych brzuchach. Ta-Kumsaw milczał, ale wyczuwał, że Czerwoni pijący whisky zostali odcięci od ziemi. Nie zakłócali zieleni życia tak jak Biali; było raczej tak, jakby w ogóle nie istnieli. Według krainy, Czerwoni pijący whisky byli już martwi. Nie, nawet nie martwi, gdyż niczego nie oddawali ziemi. Stoję tutaj i patrzę na upiory, myślał Ta-Kumsaw. Nie martwych, ale i nie żywych. Mówił to tylko w swoich myślach, ale kraina wyczuwała jego cierpienie, a wiatr odpowiedział, łkając wśród liści.

Nadszedł zmierzch i czerwonopióry drozd przeszedł przed Ta-Kumsawem.

Opowiedz mi historię, mówi drozd bezgłośnie, zerkając na wysokiego Czerwonego.

Znasz moją historię, zanim ci ją opowiem, odpowiada milcząc Ta-Kumsaw. Wyczuwasz moje łzy, zanim popłyną. Smakujesz moją krew, zanim ją przeleję.

Dlaczego rozpaczasz nad Czerwonymi, którzy nie są Shaw-Nee?

Zanim przybył biały człowiek, odpowiada bez słów Ta-Kumsaw, nie rozumieliśmy, że wszyscy Czerwoni są podobni, są braćmi krainy. Wierzyliśmy, że wszystkie istoty są właśnie takie, i dlatego kłóciliśmy się z innym Czerwonymi, tak jak niedźwiedź kłóci się z pumą, jak szczur piżmowy prychnie na bobra. A potem przyszli Biali i przekonałem się, że w porównaniu z nimi wszyscy Czerwoni są niczym bliźniacy.

Czym jest biały człowiek? Co robi?

Biały człowiek podobny jest do ludzkiej istoty, ale miazdzy pod stopą wszelkie inne stworzenia.

Dlaczego więc, Ta-Kumsawie, kiedy spoglądam w twoje serce, widzę, że nie chcesz skrzywdzić, nie chcesz zabić białego człowieka?

Biały nie rozumie zła, które czyni. Biały nie wyczuwa spokoju krainy. Jak więc może rozpoznać śmierć, którą zadaje? Nie mogę winić białego człowieka. Ale nie mogę mu pozwolić tu zostać. Dlatego, kiedy zmuszę go do opuszczenia tej krainy, nie będę go nienawidził.

Jeśli wolny jesteś od nienawiści, Ta-Kumsawie, z pewnością przepędzisz stąd Białych.

Nie sprawię im więcej bólu niż to konieczne, aby odeszli.

Drozd kiwa głową. Raz, dwa, trzy, cztery razy. Podfruwa na gałąź przy głowie Ta-Kumsawa. Śpiewa nową pieśń. W pieśni tej Ta-Kumsaw nie słyszy słów; słyszy za to własną historię. Od tej chwili jego historia istnieje w pieśni każdego czerwonopiórego drozda w krainie, co bowiem poznał jeden drozd, wszystkie pamiętają.

Gdyby ktoś obserwował w tej chwili Ta-Kumsawa, nie domyśliłby się, co powiedział, co usłyszał i zobaczył. Jego twarz nie wyrażała niczego. Stał wciąż w tym samym miejscu; drozd wylądował obok, został przez chwilę, zaśpiewał i odleciał.

A jednak ten moment odmienił życie Ta-Kumsawa. Dobrze o tym wiedział. Do dzisiejszego dnia był młodym mężczyzną. Podziwiano jego siłę, spokój i odwagę, ale przemawiał tylko tak, jak mógłby przemawiać każdy Shaw-Nee. Kiedy się odezwał, czekał na decyzję starszych. Teraz będzie sam decydował, jak prawdziwy wódz, jak wódz na wojnie. I to nie wódz Shaw-Nee ani nawet wódz wszystkich Czerwonych na północy, ale jak wódz wszystkich plemion Czerwonych w ich wojnie z białymi ludźmi. Od wielu już lat wiedział, że taka wojna wybuchnie; jednak do tej chwili był przekonany, że poprowadzi ich ktoś inny, może wódz Pęd Kukurydzy, Czarna Ryba czy nawet jakiś Cree-Ek albo Chok-Taw z południa. Ale drozd przyleciał do niego, Ta-Kumsawa, i jego upamiętnił w swej pieśni. Gdziekolwiek wyruszy teraz przez krainy, które znają pieśni drozdów, najmądrzejsi z czerwonych ludzi znać będą jego imię. Został wodzem wszystkich Czerwonych kochających krainę; kraina wybrała jego.

Kiedy stał tak nad brzegiem Hio, miał wrażenie, że jest obliczem krainy. Ogień słońca, tchnienie powietrza, siła ziemi i szybkość wody - wszystko to docierało do niego i jego oczami spoglądało na świat. Ja jestem krainą, jestem dłońmi i stopami, ustami i głosem krainy, kiedy usiłuje pozbyć się białych ludzi.

Takie były jego myśli.

Stał tam, aż zapadła całkowita ciemność. Inni Czerwoni powrócili do swoich szałasów i chat. Spali... albo leżeli pijani, martwi aż do świtu. Ta-Kumsaw otrząsnął się z drozdowego transu i usłyszał śmiechy z wioski Czerwonych, śmiechy i śpiewy białych żołnierzy z fortu.

Oddalił się z miejsca, gdzie stał od tylu godzin. Nogi mu zeszywniały, ale szedł pewnie. Zmuszał je, by poruszały się płynnie, a ziemia ugiwała się łagodnie pod jego stopami. Aby dojść gdzieś w krainie, Biali musieli nosić ciężkie buty, ponieważ grunt drapał i ranił im stopy. Czerwony mógł latami nosić te same mokasyny, gdyż ziemia była delikatna i z radością witała jego kroki. Idąc, Ta-Kumsaw czuł glebę, wiatr, rzekę i światło; wszystko krążyło w nim; w nim istniała kraina, w nim trwały wszelkie żywe stworzenia, a on był dłońmi, stopami i obliczem krainy.

Jakiś krzyk rozległ się w forcie. A po nim następne.

- Złodziej! Złodziej!

- Łapać go!

- Porwał beczułkę!

Przekleństwa, wrzaski. A potem najgorszy z odgłosów: strzał. Ta-Kumsaw czekał na odór śmierci.. Nie napłynął.

Cień człowieka stanął na palisadzie. Ktokolwiek to był, dźwigał na ramieniu beczułkę. Przez jedną chwilę chwiał się na czubkach bali... wreszcie skoczył. Ta-Kumsaw wiedział, że to Czerwony, gdyż z ciężką beczułką potrafił zeskoczyć z potrójnej wysokości człowieka i lądując nie wydał prawie dźwięku.

Może celowo, a może przypadkiem, uciekający złodziej podbiegł wprost do Ta-Kumsawa i zatrzymał się. Ta-Kumsaw spojrzał w dół. W blasku gwiazd rozpoznał tego człowieka.

- Lolla-Wossiky - powiedział.

- Mam beczułkę - odparł Lolla-Wossiky.

- Powinienem ją rozbić.

Lolla-Wossiky pochylił głowę na bok, jak drozd, i przyjrzał się bratu.

- Wtedy będę musiał zabrać następną.

Biali ścigający Lollę-Wossiky dobiegli do bramy, krzycząc do strażników, żeby otwierali. Muszę to zapamiętać, pomyślał Ta-Kumsaw. Tak mogę sprawić, żeby otworzyli przede mną fort.

Ale już myśląc o tym, objął ramieniem brata razem z beczułką. Ta-Kumsaw czuł w sobie zieleń krainy jak mocne uderzenia drugiego serca, a kiedy przytulił brata, moc krainy popłynęła także przez Lollę-Wossiky. Ta-Kumsaw słyszał głębokie westchnienie brata.

Biali wybiegli z fortu. A chociaż Ta-Kumsaw i Lolla-Wossiky stali na otwartym terenie, niczym nie zasłonięci, żołnierze nie widzieli ich. A raczej widzieli; po prostu nie zauważyli dwóch Shaw-Nee. Przebiegli obok, krzycząc i strzelając na oślep w kierunku lasu. Po chwili zebrali się koło braci - tak blisko, że wystarczyło unieść ramię, by ich dotknąć. Ale nie unosili ramion, nie dotykali czerwonych ludzi.

Po chwili Biali zrezygnowali z poszukiwań. Klnąc i narzekając zawrócili do fortu.

- To ten jednooki Czerwony.

- Ten wiecznie pijany Shaw-Nee.

- Lolla-Wossiky.

- Jak go złapię, zabiję.

- Powiesimy tego diabelskiego złodziejzka.

Mówili to wszystko, a Lolla-Wossiky z beczką na ramieniu stał o rzut kamieniem od nich.

Kiedy ostatni z Białych zniknął wewnątrz fortu, Lolla-Wossiky zachichotał.

- Śmiejesz się z trucizną Białych na ramieniu - rzekł Ta-Kumsaw.

- Śmieję się z ręką brata na plecach - odparł Lolla-Wossiky.

- Rzuć tę whisky, bracie, i chodź ze mną - poprosił Ta-Kumsaw. - Drozd wysłuchał mojej historii i zapamiętał mnie w swojej pieśni.

- Będę więc nasłuchiwał tej pieśni i radował się przez całe życie.

- Kraina jest ze mną, bracie. Jestem jej obliczem, ona jest moim oddechem i krwią.

- Będę więc słyszał bicie twego serca w pulsie wiatru.

- Odepchnę białego człowieka z powrotem w morze - oświadczył Ta-Kumsaw.

W odpowiedzi Lolla-Wossiky zaszlochał. Nie był to pijacki szloch, lecz suche łkanie człowieka cierpiącego. Ta-Kumsaw próbował uścisnąć go mocniej, ale brat odtrącił go i odszedł niepewnie, z beczką na ramieniu, w ciemność, pomiędzy drzewa.

Ta-Kumsaw nie poszedł za nim. Wiedział, dlaczego cierpi jego brat: ponieważ kraina dała Ta-Kumsawowi moc, potęgę taką, że mógł stanąć wśród pijanych Białych i być dla nich niewidoczny, niczym drzewo. A Lolla-Wossiky wiedział, że on sam powinien zyskać moc dziesięciokroć większą od mocy Ta-Kumsawa. Ale biały człowiek ukradł ją Lolli-Wossiky, używając morderstw i alkoholu, aż wreszcie Lolla-Wossiky przestał być mężczyzną, drozd nie zapamiętał jego pieśni i kraina nie wypełniła mu serca.

To nic, to nic, to nic.

Kraina wybrała mnie, żebym był jej głosem, dlatego muszę przemówić. Nie zostanę tutaj, próbując zawstydząć nędznych pijaków, których zabiło już pragnienie trucizny Białych.

Nie będę już ostrzegał białych kłamców. Odejdę do Czerwonych, którzy nadal są żywi, nadal są mężczyznami. Zbiore ich razem. Jako jeden potężny naród wypędzimy białego człowieka za morze.

ROZDZIAŁ 3 - DE MAUREPAS

Frederic, młody hrabia de Maurepas, i Gilbert, podstarzały markiz de La Fayette, stali przy relingu barki, spoglądając na jezioro Irrakwa. Żagiel Marie-Philippe był teraz wyraźnie widoczny; przez długie godziny obserwowali, jak zbliża się płynąc po tym najmniejszym i najniżej położonym z Wielkich Jezior.

Frederic nie pamiętał już, kiedy ostatnio musiał tak się poniżyć dla swego narodu. Może wtedy, gdy kardynał Jak-Mu-Tam-Było usiłował przekupić Marie-Antoinette. Ale oczywiście wtedy był chłopcem zaledwie dwudziestopięcioletnim, niedojrzałym i bez żadnego doświadczenia w sprawach światowych. Uważał, że Francji nie mogła spotkać większa hańba: kardynał uwierzył, że można przekupić królową diamentowym naszyjnikiem. Że w ogóle można ją przekupić. Teraz oczywiście pojmował, co jest prawdziwym poniżeniem: francuski kardynał okazał się takim durniem, że uznał przekupywanie królowej za w ogóle warte zachodu. W końcu mogła co najwyżej wpłynąć na króla, a że stary Ludwik nie miał żadnego wpływu na nikogo... co tu jeszcze dodać?

Osobiste poniżenie jest rzeczą bolesną. Niesława rodu jest o wiele gorsza. Wstyd dla swojego stanu to czysta agonía. Ale hańba całego narodu to najbardziej dotkliwe ze wszystkich ludzkich cierpień.

A teraz stał tu, na tej nędznej barce, amerykańskiej barce przycumowanej w amerykańskim kanale, czekając na francuskiego generała. Dlaczego nie jest to francuski kanał? Dlaczego nie Francuz zaprojektował te sprytne śluzy i nie Francuz wybudował kanał po kanadyjskiej stronie wodospadu?

- Nie dąsaj się, drogi Fredericu - wymruczał La Fayette.
- Nie dąsam się, drogi Gilbercie.
- A więc prychasz. Prychasz co chwila.
- Kicham. Przeziębilem się.

Kanada jest bez wątpienia składowiskiem odpadów francuskiego społeczeństwa, pomyślał Frederic po raz tysięczny. Nawet arystokracja, która tu trafia, budzi zakłopotanie. Markiz de La Fayette, członek... nie, założyciel Klubu Feuillantów, a to tak, jakby powiedzieć, że jest zadeklarowanym zdrajcą króla Karola. Demokratyczny agitator. Równie dobrze mógł być jakobinem, jak ten terrorysta Robespierre. Nic dziwnego, że wygnali La Fayette'a do Kanady, gdzie nie mógł zbyt szkodzić. Prawie wcale... tyle że swoim zachowaniem przynosił wstyd Francji.

- Nasz nowy generał przywiózł ze sobą kilku oficerów sztabowych - oznajmił La Fayette. - I cały ich bagaż. Nie warto wyladowywać tego z pokładu i podróżować w nędznych warunkach na wozach i karetach, skoro wszystko można przetransportować wodą. W dodatku przez ten czas możemy go lepiej poznać.

Ponieważ La Fayette na swój zwykły, szorstki sposób (hańba dla arystokracji) uparcie mówił wprost o tej sprawie, Frederic musiał zniżyć się do jego poziomu i wyjaśnić równie bezpośrednio:

- Francuski generał nie powinien podróżować po obcej ziemi, by objąć swoje stanowisko!

- Ależ drogi Fredericu, on nie postawi nawet stopy na amerykańskiej ziemi! Ze statku na statek, przez cały czas na wodzie.

Uśmiezek La Fayette'a doprowadzał do szału. Jak można lekceważyć tę plamę na honorze Francji? Czemuż, ach czemuż ojciec nie mógł pozostać w łaskach króla choć trochę dłużej? On, Frederic, mógłby wtedy mieszkać we Francji, uzyskać awans na jakieś eleganckie stanowisko, jak Lord Marchii Włoskich lub coś w tym rodzaju... czy istniała taka pozycja? W każdym razie miałby porządną kuchnię, muzykę i teatr... ach, Moliere... W Europie, gdzie mógłby walczyć z cywilizowanym przeciwnikiem, na przykład z Prusakami czy Austriakami, a nawet Anglikami, choć wymagało to rozszerzenia sensu słowa "cywilizowany". A trafił tutaj, uwięziony na zawsze - chyba że ojciec powróci jakoś do królewskich łask - w obliczu bezustannej inwazji nędznych, niewykształconych Anglików, najgorszych, beznadziejnych mętów brytyjskiego społeczeństwa. Nie wspominając już o Holendrach, Szwedach i Niemcach... zbyt straszne, by o tym myśleć. A ci sprzymierzeńcy są jeszcze gorsi! Plemiona Czerwonych, którzy nawet nie są chrześcijanami, choćby i heretykami... To poganie, a połowa operacji wojskowych w Detroit polega na skupowaniu od nich ohydnych krwawych trofeów...

- Widzę, drogi Fredericu, że naprawdę się przeziębileś - zauważył La Fayette.

- Ależ skąd.

- Ty drżysz.

- Trzęsę się ze złości.

- Przestań się dąsać. Trzeba brać to, co nam dają. Irrakwa okazali się bardzo pomocni. Udostępnili osobistą barcę gubernator, bez żadnych opłat. To gest dobrej woli.

- Gubernator? Gubernator? Chcesz powiedzieć, że ta tłusta, obrzydliwa, czerwonoskóra poganka jest gubernatorem?

- Nic nie może poradzić na swoją czerwoną skórę. I nie jest poganką. W istocie jest baptystką, a to prawie to samo co chrześcijanie, tylko głośniejsze.

- Kto może spamiętać wszystkie angielskie herezje?

- Uważam, że jest w tym pewna elegancja. Kobieta jako gubernator stanu Irrakwa, w dodatku Czerwona, zasiada jak równa z gubernatorami Suskwahenny, Pensylwanii, Nowego Amsterdamu, Nowej Szwecji, New Orange, Nowej Holandii...

- Chwilami mam wrażenie, że wolisz te wstrętne małe Stany Zjednoczone od naszego kraju ojczystego.

- Jestem Francuzem do szpiku kości - zapewnił spokojnie La Fayette. - Ale podziwiam amerykański duch egalitaryzmu.

Znowu egalitaryzm... Markiz de La Fayette przypominał fortepian z jednym klawiszem.

- Zapominasz, że w Detroit naszym wrogiem są Amerykanie.

- To ty zapominasz, że naszym wrogiem jest horda nielegalnych osadników, nieważne jakiej narodowości, którzy zajęli ziemię na terenach Czerwonych.

- To nieistotne. Wszyscy są Amerykanami. W drodze na zachód przechodzą przez Nowy Amsterdam albo Filadelfię. Ty sam zachęcasz ich do tego na wschodzie: wszyscy wiedzą, że aprobujesz ich antymonarchistyczną filozofię. A potem ja muszę płacić za ich skalpy, kiedy na zachodzie zmasakrują ich Czerwoni.

- Spokojnie, Fredericu. Nawet żartem nie wolno ci mnie oskarżać o antymonarchistyczne poglądy. Ta chytra maszyna do rąbania mięsa, wymyślona przez monsieur Guillotin, czeka na każdego oskarżonego o takie rzeczy.

- Bądź poważny, Gilbercie. Nigdy by jej nie użyli przeciwko markizowi. Nie ścinają głów arystokratom, którzy głoszą te obłąkane demokratyczne idee. Wysyłają ich tylko do Quebec. - Frederic uśmiechnął się. Nie mógł się powstrzymać od wbicia ostatniej szpilki. - Tych, którymi naprawdę pogardzają, wysyłają do Niagary.

- Cóż w takim razie mogłeś uczynić, że zesłali cię do Detroit? - wymruczał La Fayette. Kolejne poniżenie. Czy to się już nigdy nie skończy?

Marie-Philippe była już tak blisko, że widzieli marynarzy na pokładzie i słyszeli ich krzyki, gdy statek ostatnim halsem wchodził do Portu Irrakwa. Najniżej położone z Wielkich Jezior - Irrakwa - było też jedynym, na które mogły wpływać statki oceaniczne. Wodospad Niagara blokował dostęp do pozostałych. Przez ostatnie trzy lata, odkąd Irrakwa ukończyli kanał, prawie wszystkie ładunki wymagające transportu poza wodospad, na jezioro Kanada, trafiały na brzeg amerykański i wędrowały Kanałem Niagara. Francuskie miasteczka portowe

umierały; niepokojąca liczba Francuzów przenosiła się na drugą stronę jeziora, by zamieszkać na amerykańskiej ziemi. A Irrakwa chętnie dawali im pracę. Natomiast markiz de La Fayette, teoretycznie gubernator całej Kanady na południe i na zachód od Quebec, jakoś się tym nie przejmował. Jeśli ojciec Frederica wróci do królewskich łask, Frederic dopilnuje, żeby La Fayette jako pierwszy arystokrata poczuł na szyi dotyk ostrza Guillotina. To, co robił w Kanadzie, było oczywistą zdradą.

Jakby czytał mu w myślach, La Fayette poklepał Frederica po ramieniu.

- Już niedługo - powiedział. - Bądź cierpliwy.

Przez jedną chwilę Frederic miał wrażenie, że La Fayette spokojnie prorokuje własną egzekucję za zdradę stanu.

La Fayette jednak mówił o tym, że Marie-Philippe zbliżyła się do wybrzeża i może rzucić cumę. Dokerzy Irrakwa pochwycili linę, umocowali ją do kabestanu i śpiewając w swojej nieartykułowanej mowie, przyciągnęli statek do mola. I natychmiast rozpoczęli rozładunek: towarów z jednej strony, pasażerów z drugiej.

- Czy nie przemyślnie przyspieszyli transport ładunków? - zauważył La Fayette. - Wyładowują je na te ciężkie wozy, jadące po szynach... po szynach, jak wózki w kopalniach... A potem konie holują je do góry, gładko i bez wysiłku. Wiesz, na szynach można przewieźć większy ciężar niż na zwyczajnych wozach. Stephenson tłumaczył mi to ostatnio. To dlatego, że nie trzeba nimi kierować.

Paplał bez przerwy. Naturalnie po chwili znowu wrócił do tej maszyny parowej Stephensona, która - La Fayette był tego pewien - zastąpi kiedyś konie. Stephenson zbudował kilka w Anglii, Szkocji czy gdzieś tam, a teraz przypłynął do Ameryki. Ale czy La Fayette pomyślał, żeby zaprosić go do budowania tych parowych wozów w Kanadzie? Nic podobnego. La Fayette pozwalał, żeby tamten budował je dla Irrakwa. Podawał przy tym jakieś idiotyczne preteksty: że Irrakwa wykorzystują już maszyny parowe do napędu krosien albo że wszystkie złoża węgla znajdują się po stronie amerykańskiej. Lecz Frederic de Maurepas znał prawdziwy powód. La Fayette wierzył, że parowa maszyna, ciągnąca wozy po szynach, uczyni podróż i handel nieskończenie tańszymi i szybszymi. I uznał, że lepiej będzie dla świata, jeśli zbudują to wszystko w kraju... demokratycznym! Oczywiście Frederic nie wierzył, by maszyny dorównały kiedyś szybkością koniom, ale cóż z tego. La Fayette w to wierzył, zatem fakt, że nie sprowadził ich do Kanady, był dowodem zdrady.

Musiał formować słowa wargami. Albo La Fayette słyszał myśli innych ludzi - podobno miał taki dar - a może zwyczajnie zgadywał. Albo diabeł mu podpowiadał... To jest myśl! W każdym razie La Fayette roześmiał się.

- Fredericu - powiedział. - Gdybym kazał Stephensonowi budować swoją kolej żelazną w Kanadzie, oskarżyłbyś mnie o wyrzucanie pieniędzy na bzdury. A tak, gdybyś w raporcie zarzucił mi zdradę, gdyż zachęcałem Stephensona do pozostania w Iraku, wezwą cię do kraju i zamkną w pokoju bez klamek.

- O zdradę? Ja miałbym cię oskarżyć o zdradę? To ostatnia myśl, która by mi przyszła do głowy. - Na wszelki wypadek przeżegnał się, gdyby to jednak diabeł przemawiał do La Fayette'a. - Może już dość tego oglądania tragarzy z ładunkiem? Mamy tu powitać oficera.

- Czemu nagle tak ci na nim zależy? Wczoraj ciągle mi przypominałeś, że pochodzi z gminu. Rozpoczął służbę jako kapral, twierdziłeś chyba.

- Teraz jest generałem, a Jego Wysokość zechciał przysłać go do nas.

Frederic przemawiał sztywno i z godnością. Mimo to La Fayette nie przestawał uśmiechać się z rozbawieniem. Kiedyś to się zmieni, pomyślał Gilbert. Kiedyś...

Kilku oficerów w pełnym umundurowaniu kręciło się po nabrzeżu, żaden z nich jednak nie miał stopnia generała. Bohater bitwy o Madryt najwyraźniej czekał, by z należytą pompą wejść na scenę. A może spodziewał się, że markiz i syn hrabiego przywitają go w kajucie? Niewyobrażalne.

I rzeczywiście, nie liczył na to. Oficerowie rozstąpili się i ze swojego miejsca przy relingu de Maurepas i La Fayette widzieli, jak schodzi z pokładu Marie-Philippe na brzeg.

- Nie jest zbyt wysoki - zauważył Frederic.

- Ludzie na południu Francji są dość niscy.

- Południe Francji - powtórzył z niesmakiem Frederic. - On pochodzi z Korsyki, Gilbertcie. To już prawie nie Francja. Raczej Włochy.

- W niecałe trzy tygodnie pokonał hiszpańską armię, kiedy jego dowódca był niedysponowany z powodu dyzenterii - przypomniał La Fayette.

- To niesubordynacja, za którą powinien zostać ukarany.

- Zgadza się z tobą całkowicie. Tyle że, widzisz, on wygrał tę wojnę. A skoro król Karol dołożył koronę hiszpańską do swojej kolekcji nakryć głowy, uznał, że nieładnie byłoby stawiać przed sądem wojskowym oficera, który ją dla niego zdobył.

- Dyscyplina ponad wszystko. Każdy powinien znać swoje miejsce i trzymać się go. Inaczej zapanuje chaos.

- Bez wątpienia. Ale przecież ukarali go. Mianowali go generałem, ale przysłali tutaj. Nie chcieli, żeby się mieszał do kampanii włoskiej. Jego Wysokość chętnie zostałby weneckim dożą, ale ten generał Bonaparte mógłby posunąć się za daleko, wziąć do niewoli kolegium kardynałów i uczynić króla Karola papieżem.

- Twoje poczucie humoru to zbrodnia.
- Fredericu, przyjrzyj się temu człowiekowi.
- Patrzę na niego.

- W takim razie nie patrz na niego. Spójrz na pozostałych, na jego oficerów. Widziałeś kiedy, żeby żołnierze okazywali swemu dowódcy tyle miłości?

Frederic niechętnie odwrócił wzrok od korsykańskiego generała i zerknął na jego podwładnych, którzy maszerowali za nim. Nie jak dworacy - nie sprawiali wrażenia walczących o swoje pozycje. Raczej... tak jak... Frederic nie potrafił znaleźć odpowiedniego określenia...

- Jak gdyby każdy z tych ludzi wiedział, że Bonaparte kocha go i ceni.
- Idiotyczny system, jeśli to rzeczywiście system - ocenił Frederic. - Nie można kierować podwładnymi, jeśli nie utrzymuje się w nich ciągłego lęku o stanowisko.
- Chodźmy go przywitać.
- To absurd! On musi przyjść do nas.

Jednak La Fayette - jak zwykle - nie wahał się przed wprowadzeniem swego zamiaru w czyn. Był już na brzegu i szybko pokonał ostatnie kilkanaście sążni. Stał przed Bonapartem i przyjął jego salut. Frederic jednak był świadom swej pozycji, znał takich jak Bonaparte i wiedział, że to Bonaparte musi przyjść do niego. Mogą mianować go generałem, ale nie mogą przerobić na dżentelmena.

La Fayette płaszczył się, naturalnie.

- Generale Bonaparte, jesteśmy zaszczytzeni pańskim przybyciem. Żałuję tylko, że nie możemy panu zaoferować paryskich wygód...
- Panie gubernatorze - odparł Bonaparte, oczywiście myląc właściwe brzmienie tytułu.
- Nigdy nie zaznałem paryskich wygód. Najszczęśliwsze chwile swego życia spędziłem na polu bitwy.

- Najszczęśliwsze są też dla Francji, gdy wyrusza pan w pole. Proszę za mną, przedstawię pana generałowi de Maurepas. Będzie pańskim przełożonym w Detroit.

Frederic dosłyszał króciutką pauzę, nim La Fayette wymówił słowo "przełożony". Wiedział, kiedy kpią z niego. Zapamiętam każdy afront, Gilbertcie, i za wszystkie ci odpłacę.

Irrakwa sprawnie przenieśli ładunek i po godzinie barka ruszyła w drogę. Naturalnie, przez cały wieczór La Fayette opowiadał Bonapartemu o parowej maszynie Stephensona. Bonaparte demonstracyjnie okazywał zainteresowanie, wypytywał o możliwość przewożenia nią wojska, jak szybko można kłaść szyny za nacierającą armią, czy nieprzyjaciel łatwo może je zniszczyć... Ale wszystko to było tak meczące i nudne, że Frederic nie mógł sobie

wyobrazić, jak Bonaparte może podtrzymywać tę rozmowę. Oczywiście, oficer musi udawać zaniepokojenie tym, co mówi gubernator, ale ten Korsykańin naprawdę przesadzał.

Po dłuższej chwili Frederic poczuł się całkiem wyłączony z rozmowy... Nie przeszkadzało mu to. Myślami wrócił do wspomnień o tej aktorce, jakże się nazywała, która tak wspaniale zagrała rolę, jaką właściwie... a może to była baletnica? W każdym razie zapamiętał jej nogi, wspaniałe... Ale nie chciała wyjechać z nim do Kanady, chociaż zapewniał o swej miłości i obiecał, że podaruje jej domek ładniejszy nawet od tego, który postawi dla żony. Gdyby tak przyjechała... Oczywiście, mogła umrzeć od zarazy, tak jak jego żona. Może więc tak było najlepiej. Czy w Paryżu nadal występuje na scenie? Oczywiście, Bonaparte nie będzie wiedział, ale któryś z młodszych oficerów mógł ją widzieć. Trzeba ich wypytać.

Jedli przy stole gubernator Tęczy, ponieważ był to jedyny stół na pokładzie. Gubernator przesłała wyrazy żalu, że nie może osobiście spotkać dostojnych francuskich gości, ma jednak nadzieję, że jej służba zadba o wszystkie wygody. Frederic uznał, że oznacza to kucharza Irrakwa i przygotował się już na kolejne niesmaczne dania z twardego jeleniego mięsa - trudno takie jedzenie nazywać dziczyzną. Ale kucharz okazał się... Francuzem. Hugenotem czy raczej wnukiem hugenotów, ale nie nosił w sercu urazy, więc obiad był wspaniały. Kto by uwierzył w znakomitą francuską kuchnię w takim miejscu... w dodatku nie w ostrym, akademickim stylu?

Przy kolacji, po której na stole nie została nawet odrobina jedzenia, Frederic starał się brać bardziej aktywny udział w konwersacji. Usiłował wyjaśnić Bonapartemu tę prawie niemożliwą sytuację militarną na południowym zachodzie. Wyliczał kolejne problemy: niedyscyplinowani czerwoni sprzymierzeńcy, nie mający końca napływ imigrantów...

- Ale najgorsi są nasi żołnierze. Przeróżnie zabobonni, jak zwykle klasy niższe. Wszędzie widzą omeny. Jakiś holenderski czy niemiecki osadnik wyrysuje heksa na drzwiach, i trzeba ich niemal kijami zaganiać do wejścia.

Bonaparte sączył kawę (barbarzyński napój!, ale jemu wyraźnie smakował, tak samo jak Czerwonym Irrakwa). Odchylił się w fotelu i spojrzał na Frederica spokojnym, przenikliwym wzrokiem.

- To znaczy, że towarzyszysz zwykłym żołnierzom podczas przeszukań?

To poczucie wyższości było nie do zniesienia. Zanim jednak Frederic zdążył wypowiedzieć zgryźliwą uwagę, którą miał już na końcu języka, La Fayette roześmiał się głośno.

- Napoleonie, drogi przyjacielu, z takim właśnie przeciwnikiem mamy do czynienia w tej wojnie - rzekł. - Kiedy w promieniu pięćdziesięciu mil największe miasto składa się z czterech chałup i kuźni, nie przeszukuje się domów. Każdy dom jest fortecą wroga.

Napoleon zmarszczył brwi.

- Nie koncentrują swoich sił?

- Nie wyprowadzili w pole prawdziwej armii od czasów, gdy generał Wayne pokonał wodza Pontiac. To było wiele lat temu i armia była angielska. Stany Zjednoczone mają kilka fortów, ale wszystkie położone na brzegach Hio.

- W takim razie czemu te forty jeszcze stoją?

La Fayette parsknął znowu.

- Nie czytałeś raportów o wojnie króla Anglii przeciwko buntownikom z Appalachee?

- Byłem wtedy zajęty czymś innym.

- Nie musisz nam przypominać, że walczyłeś w Hiszpanii - wtrącił Frederic. - My wszyscy też chętnie byśmy się tam znaleźli.

- Doprawdy? - mruknął Bonaparte.

- Pozwól, że opowiem w skrócie, co spotkało armię lorda Cornwallisa - podjął La Fayette. - Prowadził ją z Virginii i próbował dotrzeć do stolicy Appalachee, Franklina, w górnym biegu Tenuis.

- Może ja - wtrącił Frederic. - Twoje streszczenia, Gilberte, trwają zwykle dłużej niż oryginały.

La Fayette'a zirytowała chyba ta uwaga, ale przecież sam nalegał, by jako bracia generałowie zwracali się do siebie po imieniu. Gdyby chciał, żeby traktowano go jak markiza, trzymałby się protokołu.

- Mów.

- Cornwallis wyruszył na poszukiwanie armii Appalachee.

Nigdy jej nie znalazł. Sporo pustych chat, które spalił... ale oni w ciągu jednego dnia mogli zbudować nowe. A codziennie pół tuzina jego żołnierzy padało zabitych lub rannych od ognia muszkietów.

- Strzelb - poprawił La Fayette.

- No tak... Amerykanie wolą gwintowane lufy.

- Ale nie mogą oddawać salw. Strzelby nie da się szybko ładować - zauważył Bonaparte.

- Oni nie prowadzą normalnego ostrzału. Chyba że mają przewagę - wyjaśnił La Fayette.

- Ja opowiadam - przypomniał Frederic. - Cornwallis dotarł do Franklina i uświadomił sobie, że połowa jego żołnierzy jest martwa, ranna albo strzeże dróg zaopatrzenia. Benedict Arnold, dowódca sił Appalachee, ufortyfikował miasto. Nasypy, aprosze, okopy - na wszystkich zboczach. Lord Cornwallis próbował ich oblegać, ale Cherriky poruszali się tak cicho, że patrole Kawalerów nie słyszały nawet, jak nocami dostarczają zaopatrzenie. To potworne, jak ci Biali z Appalachee współpracowali z Czerwonymi. Od samego początku nadali im obywatelstwo, możesz to sobie wyobrazić? Tym razem im się to opłaciło. Żołnierze Appalachee bez przerwy atakowali też linie zaopatrzeniowe i po miesiącu stało się jasne, że Cornwallis nie jest oblegającym, lecz obleganym. W końcu poddał całą swoją armię, a angielski król musiał przyznać Appalachee niepodległość.

Bonaparte posępnie kiwnął głową.

- A teraz najciekawsze - dodał La Fayette. - Po kapitulacji Cornwallisa wprowadzono do Franklin City. Przekonał się, że wszyscy mieszkańcy z rodzinami opuścili miasto na długo przed jego przybyciem. To typowe dla tych Amerykanów z pogranicza. Mogą zebrać dobytek i przenieść się gdziekolwiek. Nie da się ich przyszpilić.

- Ale można ich pozabijać - zauważył Bonaparte.

- Najpierw trzeba ich złapać.

- Mają pola i farmy.

- No tak, można szukać wszystkich farm po kolei - zgodził się La Fayette. - Ale kiedy je znajdziesz, jeśli nawet zastaniesz tam kogoś, będzie to zwykła farmerska rodzina. Żadnych żołnierzy. Nie ma armii. Ale ledwie odejdiesz, ktoś strzela do ciebie z lasu. Może ten sam prosty farmer, a może nie.

- To ciekawy problem - stwierdził Bonaparte. - Nie znacie swoich wrogów. Nie koncentrują sił.

- Dlatego właśnie dogadujemy się z Czerwonymi - wtrącił Frederic. - Nie wypada nam osobiście mordować niewinnych farmerów z rodzinami.

- Więc płacicie Czerwonym, żeby zabijali ich dla was.

- Tak. To całkiem dobry sposób. Nie planujemy niczego innego.

- Dobry? Dobry sposób? - powtórzył pogardliwie Bonaparte. - Dziesięć lat temu na zachód od gór Appalachee mieszkało najwyżej pięciuset amerykańskich osadników z rodzinami. Teraz dziesięć tysięcy zajmuje teren między Appalachami a My-Ammy, a więcej jeszcze ciągnie dalej na zachód.

La Fayette mrugnął do Frederica. Frederic nienawidził go, kiedy to robił.

- Napoleon czytał nasze raporty - stwierdził wesoło La Fayette. - Zapamiętał nasze szacunki osadnictwa na terenach Czerwonych.

- Król pragnie zatrzymać tę amerykańską inwazję na francuskie terytorium - oświadczył Bonaparte. - I to zatrzymać natychmiast.

- Doprawdy? - zdziwił się La Fayette. - Okazuje to w niezwykle sposób.

- Niezwykły? Przecież przysłał tu mnie - przypomniał Bonaparte. - To znaczy, że oczekuje zwycięstwa.

- Ale ty jesteś generałem - odparł La Fayette. - Mamy tu już generałów.

- Poza tym - dodał Frederic - nie ty dowodzisz. Ja dowodzę.

- Markiz ma tu najwyższą władzę wojskową - zauważył Bonaparte.

Frederic rozumiał go doskonale: gdyby La Fayette zechciał, miał prawo postawić Bonapartego ponad Frederikiem. Zerknął nerwowo na La Fayette'a, który obojętnie smarował chleb pasztetem z gęsich wątróbek.

- Generał Bonaparte jest pod twoim dowództwem, Fredericu. - Markiz uśmiechnął się dobrodusznie. - To się nie zmieni. Nigdy. Mam nadzieję, że to jasne, drogi Napoleonie.

- Oczywiście - odparł Bonaparte. - Zmiana nie śni mi się nawet. Ale musicie wiedzieć, że król wysyła do Kanady nie tylko generałów. Na wiosnę stanie tutaj tysiąc żołnierzy.

- Jestem zachwycony, że znowu obiecał nam przysłać żołnierzy. Czy nie słyszeliśmy już, Fredericu, przynajmniej tuzina takich obietnic? Każda kolejna zawsze dodaje mi sił. - La Fayette dopił kieliszek wina. - Ale rzecz w tym, mój drogi Napoleonie, że żołnierzy również tu mamy. Nic nie robią, siedzą tylko w garnizonach w Fort Detroit i Fort Chicago i bourbonem płacą za skalpy. Cóż za marnotrawstwo bourbona. Czerwoni piją go jak wodę i umierają.

- Skoro nie trzeba nam generałów i nie trzeba żołnierzy, co twoim zdaniem jest niezbędne, aby wygrać tę wojnę? - zapytał z wyższością Bonaparte.

Frederic nie mógł się zdecydować, czy nienawidzi Bonapartego za to, że tak wulgarnie zwraca się do arystokraty, czy kocha go za to, że tak wulgarnie zwraca się do tego obrzydliwego markiza de La Fayette'a.

- Aby wygrać? Dziesięć tysięcy francuskich osadników - oświadczył La Fayette. - Dorównać Amerykanom. Mężczyzna na mężczyznę, kobieta na kobietę, dziecko na dziecko. Żeby nikt, kto nie mówi po francusku, nie mógł w tej części kraju robić interesów. Przytłoczyć ich liczbą ludności.

- Nikt nie zechce zamieszkać w takiej dziczy - zauważył Frederic, jak to czynił już wiele razy.

- Wystarczy im obiecać ziemię za darmo, a przyplyną - nie ustępował La Fayette.

- Motłoch - odparł Frederic. - Nie potrzeba nam tu motłochu. Bonaparte przez chwilę w milczeniu wpatrywał się w twarz La Fayette'a.

- Wartość tych ziem tkwi w handlu futrami - stwierdził spokojnie. - Król wyraźnie dał to do zrozumienia. Nie życzysz sobie europejskich osad poza fortami.

- W takim razie król przegra wojnę - oznajmił wesoło La Fayette. - Nieważne, ilu tu przyśle generałów. I na tym, panowie, zakończymy chyba kolację.

Wstał i szybko odszedł od stołu.

Bonaparte zwrócił się do Frederica, który również już wstawał. Wyciągnął rękę i dotknął jego przegubu.

- Zostań, proszę - powiedział.

A właściwie nie. Powiedział tylko "zostań", ale Frederic miał wrażenie, że dodał to "proszę", że szczerze pragnie, by Frederic mu towarzyszył, że kocha Frederica i szanuje...

Ale to niemożliwe, nie, całkiem niemożliwe, to przecież człowiek z gminu i Frederic nie ma mu nic do powiedzenia...

- Panie de Maurepas - dodał kapral z Korsyki.

Czy może powiedział tylko "Maurepas", a resztę Frederic tylko sobie wyobraził? Mniejsza o słowa... głos wibrował respektem, zaufaniem, nadzieją...

Dlatego Frederic został.

Bonaparte nic prawie nie mówił. Tylko zwykłe uprzejmości. Z pewnością dobrze będzie się nam razem pracowało. Będziemy we właściwy sposób służyli królowi. Pomogę, gdzie tylko zdołam.

Ale Frederic słyszał więcej niż tylko słowa. Słyszał obietnicę przyszłych honorów, a potem powrotu w glorii do Paryża. On i ten Bonaparte potrafią tego dokonać - wspólnie. Cierpliwość przez kilka lat, aż zbudujemy armię Czerwonych tak potężną, że sprowokuje Amerykanów do wystawienia swojej. Potem zwyciężymy tę amerykańską armię i wrócimy w chwałę do domu. To proste. Serce Frederica wypełniła niemal gorączkowa nadzieja i ufność. Do chwili...

Do chwili, gdy Bonaparte cofnął swoją dłoń.

Frederic miał wrażenie, że palce Bonapartego łączą go z potężnym źródłem ciepła i życia. Kiedy zniknął ich dotyk, poczuł się zmęczony i zimny. Pozostał jednak uśmiech Bonapartego, a Frederic spoglądał na niego i przypominał sobie obietnicę, którą przed chwilą usłyszał. Jak mógł pomyśleć, że współpraca z Bonapartem nie przyniesie mu korzyści? Ten

człowiek zna swoje miejsce, to jasne. Frederic po prostu wykorzysta niezaprzeczalne talenty strategiczne przybysza, zatryumfują razem i powrócą w chwale do Francji...

Uśmiech Bonaparte go zniknął i raz jeszcze Frederic miał wrażenie, że coś utracił.

- Dobrej nocy - powiedział Korsykanin. - Zobaczymy się rankiem, sir.

Po czym wyszedł z kajuty.

Gdyby Frederic mógł zobaczyć w tej chwili własną twarz, rozpoznałby jej wyraz: był identyczny z wyrazem miłości i oddania, jaki zauważył na twarzach młodszych oficerów Bonaparte go. Ale nie widział jej. Tej nocy kładł się do łóżka spokojniejszy, pewniejszy, pełen nadziei i podniecony bardziej niż przez wszystkie lata spędzone w Kanadzie. Czuł się nawet... nie był pewien, co to za uczucie... inteligentny. Czuł się inteligentny.

Trwała głęboka noc, ale ludzie przy kanale pracowali ciężko, z pomocą swojej hałaśliwej maszyny parowej pompując wodę do śluzy. To był cud techniki: najbardziej stromy system śluz na świecie. Ale reszta świata nic o tym nie wiedziała. Europa wciąż uważała Amerykę za kraj dzikusów. A przedsiębiorcze Stany Zjednoczone, zachęcane przykładem tego starego czarownika Bena Franklina, rozwijały przemysł i wynalazczość. Plotka głosiła, że człowiek nazwiskiem Fulton skonstruował statek napędzany maszyną parową. Statek kursował w górę i w dół rzeki Hudson - parowiec proponowano królowi Karolowi, ale ten nie zgodził się go finansować! Kopalnie węgla wgryzały się w grunt w Suskwahenny i Appalachee. A tutaj, w stanie Irrakwa, Czerwoni wygrywali z Białymi ich własną bronią: budowali kanały, parowe wozy, jadące po szynach, parowe przędzalnie, wypływające bawełnę z kolonii Korony, piękne włókno, lepsze od każdego w Europie... przy kosztach niższych o połowę. To był dopiero początek, ledwie świt, ale już teraz ponad połowa łodzi płynących rzeką św. Laurentego kierowała się wcale nie do Kanady, lecz do Irrakwy.

La Fayette stał przy relingu, póki nie wypełniła się śluza i nie zgasły płomienie pod kotłem maszyny parowej. Potem zabrzmiało klap klap klap końskich kopyt i barka przesunęła się dalej. La Fayette zszedł z pokładu i wolno ruszył po schodach do swojej kajuty. O świcie będą już w Port Buffalo. De Maurepas i Bonaparte odjadą na zachód, do Detroit. La Fayette wróci do gubernatorskiej rezydencji w Niagarze. Będzie tam siedział, wydawał polecenia i obserwował, jak paryska polityka niszczy wszelką nadzieję dla Francuzów w Kanadzie. La Fayette w żaden sposób nie mógł powstrzymać Amerykanów, czerwonych i białych, od prześcignięcia Kanady. Mógł za to zrobić kilka rzeczy, które pomogą przekształcić Francję w kraj, który równie śmiało jak Ameryka sięgnie w przyszłość.

Samotny La Fayette leżał w łóżku i uśmiechał się. Wyobrażał sobie, co uczynił dzisiaj Bonaparte, pozostawiony sam na sam z tym biednym pustogłowym Freddiem. Młody hrabia

de Maurepas był niewątpliwie zauroczony. To samo mogło spotkać La Fayette'a, został jednak ostrzeżony o zdolnościach Bonapartego, o jego darze skłaniania ludzi, aby powierzali mu własne życie. To pożyteczna zdolność dla generała, dopóki praktykuje ją tylko na swoich żołnierzach, żeby byli gotowi dla niego ginąć. Ale Bonaparte praktykował ją na wszystkich, jeśli tylko uznał, że niczym mu to nie grozi. Dlatego dobry przyjaciel La Fayette'a, Robespierre, przysłał mu pewien wysadzany klejnotami amulet - antidotum na urok Bonapartego. A także fiołkę proszku - antidotum ostateczne, jeśli nie będzie już innego sposobu.

Nie martw się, kochany Robespierre, pomyślał La Fayette. Bonaparte zachowa życie. Sądzi, że wykorzystuje Kanadę dla własnych celów, ale to ja go wykorzystam dla demokracji. Bonaparte nic jeszcze nie podejrzewa, jednak kiedy wróci do Francji, będzie gotów stanąć na czele rewolucyjnej armii i wykorzystać swój dar, by skończyć z tyranią klasy panującej... zamiast wkładać kolejne korony na bezwartościową głowę króla Karola.

Ponieważ dar La Fayette'a - choć nie polegał na zdolności czytania w myślach, co podejrzewał de Maurepas - był jednak temu bliski. La Fayette od pierwszego spotkania wiedział, czego mężczyzna czy kobieta pragnie najbardziej. A wiedząc to, mógł się domyślić całej reszty. La Fayette znał już Napoleona lepiej, niż Napoleon znał siebie. Wiedział, że Napoleon Bonaparte pragnie władzy nad światem. Może kiedyś ją osiągnie. Ale na razie, w Kanadzie, La Fayette będzie miał władzę nad Napoleonem Bonaparte.

Zasnął, ściskając w dłoni amulet, który chronił go przed niebezpieczeństwem.

ROZDZIAŁ 4 - LOLLA-WOSSIKY

Kiedy Lolla-Wossiky opuścił Ta-Kumsawa pod bramą fortu Carthage, wiedział, co myśli jego brat. Ta-Kumsaw sądził, że ucieka z beczułką whisky, żeby pić, pić i pić.

Ale Ta-Kumsaw nie wiedział. Biały Morderca Harrison nie wiedział. Nikt nie wiedział nic o Lolli-Wossiky. Ta beczułka wystarczy mu może na dwa miesiące. Odrobina whisky od czasu do czasu. Ostrożnie, delikatnie, żeby nie uronić ani kropli, wypić trochę, zakorkować szczelnie, zostawić na później. Może nawet na trzy miesiące.

Do tej pory musiał pozostawać w pobliżu fortu Białego Mordercy Harrisona. Tylko tam mógł dostać kubek trunku z ciemnobrunatnego dzbanka. Teraz jednak miał dość, by wyruszyć w drogę, na wielką wyprawę na północ, na spotkanie bestii snów.

Nikt nie wiedział, że Lolla-Wossiky ma bestię snów. Biali nie wiedzieli, ponieważ Biali nie miewają żadnych bestii snów. Biali śpią przez cały czas i nigdy się nie budzą. Czerwoni nie wiedzieli, bo Czerwoni patrzeli na Lolę-Wossiky i myśleli, że widzą whisky-Czerwonego, który wkrótce umrze, że nie ma bestii snów i że nigdy się nie obudzi.

Ale Lolla-Wossiky wiedział. Lolla-Wossiky znał ten blask od północy, który zapalił się pięć lat temu. Wiedział, że przyzywa go bestia snów, ale nie mógł tam wyruszyć. Próbował pięć, sześć, dwanaście razy, ale zawsze alkohol parował z jego krwi i powracał hałas, straszny czarny szum, który tak bardzo go ranił. Kiedy nadchodził, był jak setki maleńkich noży wbitych w głowę. Lolla-Wossiky nie wyczuwał już krainy, nie widział nawet światła swojej bestii snów, musiał wracać, znaleźć whisky, stłumić szum, żeby móc myśleć.

Ostatnio było najgorzej. Alkohol nie przyplýwał przez bardzo długi czas i nawet Biały Morderca Harrison nie mógł dać mu wiele - może jeden kubek tygodniowo, wystarczający ledwie na parę godzin, najwyżej dzień. Dwa długie miesiące nieustającego czarnego szumu.

Czarny szum sprawiał, że Lolla-Wossiky nie potrafił normalnie chodzić. Wszystko się wokół kołysze, grunt wygina się w górę i w dół, jak można iść, kiedy ziemia wygląda jak woda? Dlatego wszyscy myśleli, że Lolla-Wossiky jest pijany, zatacza się jak whisky-Czerwony, przewraca bez przerwy. Skąd on bierze trunek, pytali. Nikt nie ma alkoholu, a Lolla-Wossiky ciągle się upija... Jak on to robi? Ani jeden człowiek nie potrafił dostrzec, że Lolla-Wossiky wcale nie jest pijany. Czy nie słyszą, jak mówi - wyraźnie, bez pijackiego bełkotu? Czy nie czują, że nie cuchnie whisky? Nikt się nie domyśla, nikt nie próbuje zgadnąć. Wiedzą, że Lolla-Wossiky stale potrzebuje whisky. I nigdy nikt się nie domyśli, że może Lolla-Wossiky cierpi ból tak ogromny, że ma nadzieję umrzeć.

A kiedy zamyka oko, żeby świat przestał falować jak rzeka, wszyscy myślą, że zasnął. I mówią wtedy różne rzeczy. Tak, mówią rzeczy, których żaden Czerwony nie powinien słuchać. Lolla-Wossikey zauważył to bardzo szybko, I kiedy czarny szum był już nie do wytrzymania, kiedy Lolla-Wossikey pragnął spocząć na dnie rzeki i na zawsze pozbyć się hałasu, wtedy zataczając się wędrował przed gabinet Białego Mordercy Harrisona, padał obok drzwi i słuchał. Czarny szum był bardzo głośny, ale nie rozbrzmiewał w uszach; mógł więc słyszeć głosy mimo ryku czarnego szumu w głowie. Nasłuchiwał pilnie każdego słowa zza drzwi. Wiedział, co mówi różnym ludziom Biały Morderca Harrison.

Lolla-Wossikey nigdy nikomu nie mówił, co usłyszał.

Lolla-Wossikey nigdy nikomu nie powiedział nawet słowa prawdy. Zresztą i tak nikt by mu nie uwierzył. Pijany jesteś, Lolla-Wossikey, wstyd Lolla-Wossikey. Żałuję, że spotkałem tak zapitego Czerwonego. I Ta-Kumsaw... stał tam i nie mówił ani słowa, a jeśli już coś powiedział albo uczynił, zawsze był taki wielki i prawy, a Lolla-Wossikey taki słaby i zagubiony.

Na północ, wciąż dalej na północ podążał Lolla-Wossikey. Śpiewał do siebie. Tysiąc kroków na północ, zanim się trochę napiję. Na północ z czarnym szumem tak silnym, że nie wiem nawet, gdzie północ leży. Ale na północ, bo nie ośmielę się zatrzymać.

Bardzo ciemna noc. Czarny szum tak okropny, że kraina nic do Lolli-Wossikey nie mówi. Nawet białe światło bestii snów jest odległe i wydaje się padać ze wszystkich stron. Jedno oko widzi noc, drugie czarny szum. Muszę stanąć. Muszę...

Bardzo ostrożnie Lolla-Wossikey wyszukał drzewo, postawił beczułkę na ziemi, usiadł i oparł się o pień. Powoli, ponieważ nic nie widział, obmacał beczułkę i znalazł szpunt. Stuk stuk tommy-hawkim, aż szpunt się obluźował. Wtedy Lolla-Wossikey pochylił się i przycisnął usta do otworu, mocno jak w pocałunku, szczelnie jak niemowlę do sutki. A potem beczułkę do góry, wolno, bardzo wolno, niezbyt wysoko, jest już smak, jest alkohol, jeden łyk, drugi, trzeci, czwarty...

Cztery, to wszystko. Cztery, nie więcej. Cztery to liczba prawdziwa, liczba całkowita, liczba kwadratowa. Cztery łyki.

Włożył z powrotem szpunt i dobił go mocno. Whisky przelewa się już do głowy, czarny szum milknie, milknie...

Aż do ciszy. Do cudownej zielonej ciszy.

Ale zieleń także odpływa, gaśnie wraz z czernią. Odpływa za każdym razem. Wycucie krainy, ta zielona wizja, którą znali wszyscy Czerwoni - nikt nie doznawał jej mocniej niż Lolla-Wossikey. A teraz, kiedy się zjawia, za każdym razem tuż za nią nadchodzi

czarny szum. A kiedy cichnie czarny szum, kiedy odpędza go whisky, tuż za nim znika zielona, żywa cisza.

Lolla-Wossikey jest wtedy jak biały człowiek. Odcięty od ziemi. Grunt chrzęści pod stopami. Trzaskają gałązki. Korzenie wchodzą pod nogi. Zwierzęta uciekają.

Lolla-Wossikey miał nadzieję, od lat już miał nadzieję, że odkryje tę jedynie odpowiednią ilość trunku, którą powinien wypić, by stłumić czarny szum i pozostawić zieloną wizję. Cztery łyki to najlepsze, co zdołał sprawdzić. Odsuwały czarny szum tuż poza zasięg spojrzenia, za najbliższe drzewo. Ale także pozostawiały zielen tam, gdzie prawie mógł jej dotknąć, prawie dosięgnąć. I mógł wtedy udawać, że jest prawdziwym Czerwonym, nie whisky-Czerwonym, czyli prawie Białym.

Dziś jednak od tak dawna obchodził się bez alkoholu - już prawie dwa miesiące, jeśli nie liczyć małego kubka od czasu do czasu - że cztery łyki okazały się za mocne. Zieleń odpłynęła za czernią. Ale nie przejmował się tym, nie dzisiaj. To nieważne. Musi się przespać.

Kiedy obudził się rankiem, czarny szum właśnie powracał. Nie był pewien, czy to on, czy słońce go obudziło. Nie dbał o to. Postukać w szpunt, cztery łyki, wbić szpunt. Tym razem zmysł krainy został blisko, wyczuwał go odrobinę. Dostatecznie, by znaleźć królika w norze.

Gruba, sucha gałąź. Naciąć tutaj, tutaj i tu, tak że ostre drzazgi drewna sterczą na wszystkie strony.

Lolla-Wossikey przyklęknął nad króliczą norą.

- Jestem bardzo głodny - wyszeptał. - I niezbyt silny. Czy dasz mi mięso?

Nateżał zmysły, by usłyszeć odpowiedź, wysilał się, by sprawdzić, czy postąpił słusznie. Ale był za daleko, a głos krainy jest u królików cichy. Kiedyś, pamiętał, słyszał wszystkie głosy odzywające się o całe mile od niego. Jeśli czarny szum pewnego dnia ucichnie, może usłyszy je znowu. Ale na razie nie wiedział, czy królik się zgodził, czy nie.

Nie wiedział zatem, czy ma prawo. Czy jak Czerwony bierze to, co oferuje kraina, czy też kradnie jak Biały, który morduje wszystko, na co mu przyjdzie ochota. Nie miał wyboru. Wsunął gałąź do nory i przekręcił. Poczuł, że zadrżała, usłyszał pisk, i wyciągnął ją, nadal skręcając. Mały królik - nie z tych wielkich, zwykły króliczek - szarpał się, żeby uciec przed sterczącymi drzazgami. Ale Lolla-Wossikey był szybki. Kiedy królik zjawił się w otworze nory, gotów uwolnić się i umknąć, Lolla-Wossikey już trzymał tam rękę, złapał królika za głowę, uniósł go szybko w powietrze, szarpnął i potrząsnął. Kiedy zwierzę opadło, było już martwym królikiem. Lolla-Wossikey zabrał go dalej od nory, gdyż niedobrze jest oprawiać

młode zwierzę tam, gdzie mogą to widzieć lub słyszeć jego krewniacy. To tworzy w krainie obszar pustki.

Nie rozpałał ognia. To zbyt ryzykowne, zresztą nie miał czasu na wędzenie mięsa - wciąż był zbyt blisko fortu Białego Mordercy Harrisona. Poza tym mięsa nie było wiele. Zjadł wszystko na surowo, co wymagało długiego żucia, ale smakowało dobrze i mocno. Każdy Czerwony wie, że kiedy nie można wędzić mięsa, trzeba jak najwięcej nieść we własnym brzuchu. Lolla-Wossiky wsunął skórę za przepaskę biodrową, podniósł beczułkę na ramię i pomaszerował na północ. Białe światło lśniło przed nim, bestia snów przyzywała, przynaglała go do marszu. Rozbudzę cię, mówiła bestia snów. Zakończę twój sen.

Biały człowiek słyszał o bestii snów. Biały człowiek myślał, że Czerwony idzie do lasu i śni. Głupi biały człowiek niczego nie rozumiał. Całe życie jest z początku tylko długim snem. Człowiek zasypia w chwili narodzin i nie budzi się, nie budzi się nigdy... dopóki pewnego dnia nie zawoła go bestia snów. Idzie wtedy do lasu, czasem tylko kilka kroków, a czasem na koniec świata. Idzie, aż spotka bestię, która go wezwała. Ta bestia nie istnieje we śnie. Bestia budzi człowieka ze snu. Bestia pokazuje mu, kim jest naprawdę, uczy, gdzie jest jego miejsce w krainie. A potem człowiek wraca do domu przytomny, nareszcie rozbudzony, i mówi szamanowi, swojej matce i siostrze, czym była bestia snów. Niedźwiedziem? Borsukiem? Ptakiem? Rybą? Jastrzębiem albo orłem? Pszczołą albo szerszeniem? Szaman opowiada legendy i pomaga człowiekowi wybrać imię do życia na jawie. Matka i siostry nadają imiona wszystkim jego dzieciom, tym narodzonym i tym jeszcze nie narodzonym.

Wszyscy bracia Lolli-Wossiky już dawno spotkali swoje bestie snów. A teraz jego matka nie żyła, a obie siostry odeszły i zamieszkały z innym plemieniem. Kto nada imiona jego dzieciom?

Ja wiem, powiedział Lolla-Wossiky. Wiem. Jednooki whisky-Czerwony, Lolla-Wossiky, nie będzie miał dzieci. Ale Lolla-Wossiky odszuka swoją bestię snów. Lolla-Wossiky przebudzi się. Lolla-Wossiky zdobędzie swoje imię do życia na jawie.

I wtedy zrozumie, czy powinien żyć dalej, czy umrzeć. Jeśli ucichnie czarny szum, a jawa nie nauczy go nic ponad to, co wie w tej chwili, Lolla-Wossiky zaśnie w rzece, a ta poniesie go aż do morza, daleko od krainy i czarnego szumu. Ale jeśli na jawie znajdzie jakiś powód, by żyć dalej, z czarnym szumem czy bez, wtedy Lolla-Wossiky będzie żył, żył przez długie lata picia i bólu, bólu i picia.

Lolla-Wossiky pił cztery łyki każdego ranka i cztery łyki każdego wieczora. Potem zasypiał. Miał nadzieję, że kiedy przebudzi go bestia snów, będzie mógł umrzeć.

Któregoś dnia stanął nad brzegiem czystego strumienia. Czarny szum przesłaniał mu wzrok i grzmiał w uszach. Wielki brunatny niedźwiedź stał nieruchomo w strumieniu. Nagle uderzył mocno łapą o powierzchnię wody i w powietrze wyfrunęła ryba. Niedźwiedź pochwycił ją w zęby, kłapnął dwa razy i połknął. Ale nie jedzenie zwróciło uwagę Lolli-Wossiky. To oczy zwierzęcia.

Niedźwiedź nie miał jednego oka, tak jak Lolla-Wossiky. Lolla-Wossiky zaczął się zastanawiać, czy może spotkał bestię snów. Ale nie. Białe światło, które go przyzywało, lśniło wciąż na północy, nieco na zachód od tego miejsca. Zatem niedźwiedź nie był bestią snów, był częścią snu.

Mimo to może przekazuje Lolli-Wossiky wiadomość. Może znalazł się tutaj, gdyż kraina chciała coś mu powiedzieć.

Oto pierwsze, co zauważył Lolla-Wossiky: kiedy niedźwiedź chwycił w zęby rybę, spoglądał jedynym okiem, patrzył na błysk słońca na rybach łuskach. Lolla-Wossiky wiedział o tym, gdyż sam często przechylał głowę na bok, tak jak niedźwiedź.

Oto drugie, co zauważył Lolla-Wossiky: kiedy niedźwiedź spoglądał na wodę, kiedy sprawdzał, gdzie pływają ryby, żeby którąś uderzyć, wtedy patrzył swoim drugim okiem... okiem, którego nie miał. Tego Lolla-Wossiky nie rozumiał. Bardzo dziwne.

A oto ostatnie, co zauważył Lolla-Wossiky: kiedy przyglądał się niedźwiedziowi, miał zamknięte swoje zdrowe oko. Otworzył je; rzeka wciąż była tam, gdzie poprzednio, pozostał blask słońca, ryby nadal wyskakiwały w powietrze i znikwały, ale nie widział niedźwiedzia. Lolla-Wossiky mógł zobaczyć niedźwiedzia tylko wtedy, kiedy zamknął swoje zdrowe oko.

Lolla-Wossiky wypił z beczułki dwa łyki i niedźwiedź zniknął.

Pewnego dnia Lolla-Wossiky wkroczył na drogę białego człowieka i miał wrażenie, że to rzeka faluje mu pod stopami, że porywa go prąd. Zrobił kilka niepewnych kroków, potem chwycił rytm i pobiegł z beczułką na ramieniu. Czerwony nigdy nie wchodził na drogę Białych. W suche dni ziemia tam była za twarda, w czasie deszczu błoto zbyt głębokie, a koleiny sięgały jak ręce białego człowieka, żeby skrócić kostkę Czerwonego, przewrócić go, połamać. Tym razem jednak grunt był miękki jak sprężysta trawa nad rzeką - dopóki Lolla-Wossiky podążał we właściwym kierunku. Już nie w stronę światła, gdyż światło jarzyło się delikatnie wokół niego. Wiedział, że bestia snów jest już bardzo blisko.

Droga trzykrotnie przebiegała nad wodą - dwa małe strumyki i jeden większy - i zawsze były tam mosty z ciężkich belek i solidnych desek, z dachami jak na domach Białych. Na pierwszym moście Lolla-Wossiky przystanął na długą chwilę. Nigdy jeszcze czegoś

podobnego nie widział. Oto znalazł się w miejscu, gdzie powinna płynąć woda, a jednak most był tak ciężki i mocny, ściany tak grube, że wcale wody nie widział ani nie słyszał.

Rzeka nienawidziła tego. Lolla-Wossiky słyszał, jak się gniewa, jak chciałaby zerwać ten most. Jak zwykle u Białych, pomyślał. Biali muszą zdobywać, muszą odbierać krainie jej części.

A jednak, stojąc na moście, zauważył coś innego. Chociaż whisky ulotniła się prawie całkiem, czarny szum nie był tutaj tak głośny. Od dawna nie słyszał tak dobrze zielonej ciszy. A jeśli czarny szum przynajmniej częściowo pochodzi z rzeki? Jak to możliwe? Rzeka nie mogła się gniewać na czerwonego człowieka. A żadna budowla Białych nie mogła doprowadzić Czerwonego bliżej krainy. A jednak to właśnie się tu zdarzyło. Lolla-Wossiky pospieszenie ruszył dalej. Może kiedy bestia snów go obudzi, zrozumie, o co tu chodzi.

Droga prowadziła na łąki, gdzie stało kilka budynków białych ludzi. Dużo wozów. Spętane konie skubały trawę. Stukanie żelaznych młotków, uderzenia siekier o drewno, zgrzyt pił sunących tam i z powrotem - wszystkie odgłosy mordowania lasu przez Białych. Miasteczko białego człowieka.

Ale nie całkiem miasteczko białego człowieka. Lolla-Wossiky zatrzymał się na skraju otwartego terenu. Dlaczego ta osada różniła się od innych, czego tu brakuje, co spodziewał się zobaczyć?

Palisada. Nie było palisady.

Gdzie Biali się chowają? Gdzie zamykają pijanych Czerwonych i białych złodziei? Gdzie trzymają swoje strzelby?

- W górę! Raz dwa trzy! - Głos Białego zabrzmiał potężnie jak dzwon w rozgrzanym powietrzu słonecznego popołudnia.

Na trawiastym wzgórku odległym o jakieś pół mili wzniosła się w górę niezwykła konstrukcja. Lolla-Wossiky nie widział ludzi, którzy ją podnoszą, gdyż patrzył pod niewłaściwym kątem: wszyscy kryli się za grzbietem wzgórza. Ale widział, jak staje rama ze świeżego drewna. Drągi podpierały ją u szczytu i prowadziły na właściwe miejsce.

- Teraz boczną ścianę! Raz dwa trzy!

Kolejna rama stanęła wolno, bardzo wolno, pod kątem do pierwszej. Teraz Lolla-Wossiky dostrzegł ludzi. Biali chłopcy wspięli się na ramy, wzniesli młotki i uderzając jak tommy-hawkami zmuszali drewno do posłuszeństwa. Stukali tak przez chwilę, po czym stanęli wszyscy trzej na samym szczycie szkieletów ścian, z młotkami wzniesionymi jak włócznie wyrwane właśnie z ciała dzikiego bizona. Odsunięto drągi podpierające, a ściany stały pewnie, podtrzymując się nawzajem. Rozległy się okrzyki radości.

I nagle Biali pojawili się na grzbiecie wzgórza. Zauważyli mnie? Przyjdą tu, żeby mnie odpędzić albo zamknąć? Nie, po prostu schodzą w dół, gdzie czekają ich wozy i konie.

Lolla-Wossikey rozpląnął się wśród drzew.

Wypił z beczułki cztery łyki, potem wspiął się na drzewo i ułożył ją w rozwidleniu grubych konarów. Ładnie i pewnie, ładnie i bezpiecznie. Liście ładne i gęste. Nikt z dołu nie zauważy... nawet Czerwony.

Lolla-Wossikey podszedł okrężną drogą, ale i tak po chwili znalazł się na wzgórzu, gdzie stały nowe ściany. Długo się im przyglądał, ale wciąż nie wiedział, co to ma być za budynek. Wznosili go po nowemu, z tymi ramami ścian, jak rezydencję Białego Mordercy Harrisona, ale był wielki. Większy niż wszystko, co Lolla-Wossikey widział u Białych. Wyższy niż palisada.

Najpierw te dziwaczne mosty, szczelne jak domy. Potem ten dziwaczny budynek, wysoki jak drzewa. Lolla-Wossikey wyszedł spod osłony liści na otwartą łąkę. Kołysał się w przód i w tył, bo kiedy miał w sobie whisky, ziemia nie trwała nieruchomo pod stopami. Dotarł do budynku i wstąpił na drewnianą podłogę. Podłoga białych ludzi, ściany białych ludzi, ale wszystko wydawało się inne niż budowle białego człowieka, jakie Lolla-Wossikey w życiu oglądał. Szeroka przestrzeń wewnątrz. Wysokie ściany. Pierwszy raz widział, że Biali wzniesli coś, co nie jest ciasne i mroczne. W takim miejscu i czerwony człowiek może czuć się dobrze.

- Kto tam? Kim jesteś?

Lolla-Wossikey odwrócił się tak szybko, że niemal upadł. Wysoki Biały stał pod ścianą budynku. Podłogę miał na wysokości pasa. Nie nosił skórzanej kurty, jak myśliwy, ani munduru, jak żołnierz. Ubrany był raczej jak farmer, tylko czysto. W Carthage City Lolla-Wossikey nie spotkał takiego Białego.

- Kim jesteś? - powtórzył przybysz.

- Czerwony - odparł Lolla-Wossikey.

- Zapada już zmierzch, ale to przecież jeszcze nie nocka. Musiałbym oślepnąć, żeby nie zauważyć, że jesteś Czerwonym. Ale znam tu Czerwonych i wiem, że nie pochodzisz z tej okolicy.

Lolla-Wossikey zaśmiał się. Kto z Białych potrafił odróżnić jednego Czerwonego od drugiego? Akurat wiedział, kto przychodzi z bliska, a kto z daleka.

- Masz jakieś imię, czerwony człowieku?

- Lolla-Wossikey.

- Jesteś pijany, co? Czuję to, a na dodatek nie chodzisz zbyt pewnie.

- Bardzo pijany. Whisky-Czerwony.

- Kto dał ci alkohol?! Powiedz! Skąd wziąłeś whisky?

Lolla-Wossikey zdziwił się. Biali ludzie nigdy dotąd nie pytali, skąd bierze whisky. Biali ludzie zawsze wiedzieli.

- Od Białego Mordercy Harrisona - wyjaśnił.

- Harrison jest dwieście mil stąd na południe. Jak go nazwałeś?

- Gubernator Bill Harrison.

- Powiedziałeś: Biały Morderca Harrison.

- Czerwony być bardzo pijany.

- To widzę. Ale przecież nie mogłeś się upić w Fort Carthage, a potem dojść aż tutaj i nie wytrzeźwieć po drodze. Skąd wziąłeś whisky?

- Ty mnie zamknąć?

- Zamknąć? A gdzie miałbym cię zamknąć, może mi wytłumaczysz? Chyba rzeczywiście przybywasz z Fort Carthage. Powiem ci coś, panie Lolla-Wossikey: nie mamy tu gdzie zamykać pijanych Czerwonych, bo tutaj Czerwoni nie piją. A gdyby nawet, wtedy szukamy Białego, który sprzedał im alkohol, i to jemu spuszczaamy baty. Dlatego chcę wiedzieć, skąd wziąłeś whisky.

- Moja whisky - oznajmił Lolla-Wossikey.

- Lepiej chodź ze mną.

- Zamknąć mnie?

- Mówiłem już, że nie... Słuchaj, może jesteś głodny?

- Chyba tak.

- Masz gdzie jeść?

- Jeść tam, gdzie być.

- W takim razie dzisiaj przyjdiesz i zjesz u mnie.

Lolla-Wossikey nie wiedział, co odpowiedzieć. Czy to jakiś żart Białych? Żarty Białych czasem bardzo trudno zrozumieć.

- Jesteś głodny, prawda?

- Chyba tak.

- No to chodźmy.

Inny Biały pojawił się na wzgórzu.

- Armor-of-God! - krzyknął. - Twoja dzielna żona martwi się, gdzie się podziewasz.

- Chwileczkę, wielebny. Chyba znalazłem towarzystwo na kolację.

- Któż to jest? Ależ, Armor-of-God, to przecież Czerwony.

- Mówi, że nazywa się Lolla-Wossiky. To Shaw-Nee. I jest pijany jak bela.

Lolla-Wossiky zdziwił się. Ten Biały wiedział, że pochodzi z Shaw-Nee. A przecież nie zapytał. Poznał po długim kosmyku na wygolonej głowie. Inni Czerwoni też to robią. Frędzle na opasce biodrowej? Biali nie zauważają takich rzeczy.

- Shaw-Nee - powtórzył drugi Biały. - Czy nie jest to wyjątkowo dzikie plemię?

- Tego nie wiem, wielebny - odparł Armor-of-God. - Na pewno są plemieniem wyjątkowo trzeźwym. Co oznacza, że nie upijają się tak często jak inni. Niektórzy ludzie uważają, że jedyny niegroźny Czerwony to whisky-Czerwony. I kiedy widzą tych trzeźwych Shaw-Nee, sądzą, że to niebezpieczne.

- Z tym tutaj nie ma chyba takich problemów.

- Wiem. Chciałem się dowiedzieć, skąd wziął whisky, ale nie chce mówić.

Wielebny Thrower zwrócił się do Lolli-Wossiky.

- Czy nie wiesz, że whisky to diabelskie narzędzie i zguba czerwonych ludzi?

- Nie mówi chyba tak dobrze po angielsku, żeby zrozumieć, o co wam chodzi, wielebny.

- Whisky bardzo zła dla czerwonego człowieka - oznajmił Lolla-Wossiky.

- Chyba jednak zrozumiał - roześmiał się Armor-of-God. - Lolla-Wossiky, skoro wiesz, że alkohol jest niedobry, to czemu cuchniesz tanią whisky niczym irlandzki bar?

- Whisky bardzo zła dla czerwonego człowieka - powtórzył Lolla-Wossiky. - Ale czerwony człowiek zawsze spragniony.

- Jest na to proste naukowe wyjaśnienie - wtrącił wielebny Thrower. - Europejczycy znają napoje alkoholowe od tak dawna, że wytworzyli w sobie pewną odporność. Europejczycy rozpaczliwie pożądający alkoholu umierają zwykle młodo, mają mniej dzieci i zapewniają im gorszą opiekę. W rezultacie większość mieszkańców Europy ma wrodzoną odporność na alkohol. Ale wy, Czerwoni, nie wytworzyliście w sobie takiej odporności.

- Racja jak diabli - przyznał Lolla-Wossiky. - Prawdomówny Biały... jak zrobić, że Biały Morderca Harrison jeszcze cię nie zabić?

- Proszę proszę - mruknął Armor-of-God. - Już drugi raz nazwał Harrisona mordercą.

- A także przeklina, czego nie pochwalam.

- Przybywa z Carthage. Uczył się angielskiego od ludzi, którzy takie słowa jak "diabli" uważają za znaki przestankowe, jeśli rozumiecie, o co mi chodzi, wielebny. Posłuchaj mnie uważnie, Lolla-Wossiky. Ten oto człowiek to wielebny Philadelphia Thrower, kapłan pana naszego Jezusa Chrystusa, więc lepiej nie używaj przy nim brzydkich słów.

Lolla-Wossiky nie miał pojęcia, kto to jest kapłan. W Carthage City nikogo takiego nie było. Wy tłumaczył sobie, że kapłan to ktoś taki jak gubernator, tylko bardziej uprzejmy.

- Czy ty mieszkać w tym wielkim domu?

- Mieszkać tutaj? - zdziwił się Thrower. - Ależ nie. To dom Pana naszego.

- Kogo?

- Jezusa Chrystusa.

Lolla-Wossiky słyszał już o Jezusie Chrystusie. Biali ludzie wykrzykiwali to imię bez przerwy, zwykle kiedy byli źli albo kłamali.

- Bardzo gniewny człowiek - stwierdził Lolla-Wossiky. - On tu mieszkać?

- Jezus Chrystus to kochający i łaskawy władca - wyjaśnił wielebny Thrower. - Nie będzie tu mieszkał tak, jak biały człowiek mieszka w swoim domu. Ale kiedy dobrzy chrześcijanie chcą oddać mu cześć, śpiewać hymny i modlić się, wtedy zbierają się tutaj. By wysłuchać słowa bożego. To jest... to będzie kościół.

- Jezus Chrystus mówić tu? - Ciekawe, pomyślał Lolla-Wossiky, dobrze byłoby poznać tego bardzo ważnego białego człowieka.

- Nie, nie osobiście. Ja przemawiam w jego imieniu. Gdzieś z dołu dobiegło wołanie.

- Armor! - krzyczała kobieta. - Armor Weaver!

Armor-of-God obejrzał się niespokojnie.

- Kolacja gotowa. Woła nas, a nie znosi tego. Chodź, Lolla-Wossiky. Pijany czy nie, jeśli jesteś głodny, możesz przyjść i zjeść z nami.

- Mam nadzieję, że przyjdiesz - dodał wielebny Thrower. - A po kolacji zdołam może nauczyć cię czegoś o słowach Jezusa Chrystusa.

- Bardzo najważniejsze po pierwsze - rzekł Lolla-Wossiky. - Wy obiecać nie zamykać mnie. Nie chcę zamykać. Ja muszę znaleźć bestia snów.

- Nie zamkniemy cię. Kiedy tylko zechcesz, możesz opuścić mój dom. - Armor-of-God zerknął na Throwera. - Widzicie, czego William Henry Harrison uczy tych Czerwonych o białych ludziach? Whisky i więzienie.

- Bardziej niepokoją mnie jego pogańskie wierzenia. Bestia snów! Czy to ich wyobrażenie boga?

- Bestia snów nie jest bogiem. To zwierzę, które we śnie uczy ich wielu rzeczy - wyjaśnił Armor-of-God. - Zawsze wyruszają na długą wędrówkę, a potem śnią i wracają do domu. To tłumaczy, co robi ten człowiek dwieście mil od terenów Shaw-Nee, w dolnym biegu My-Ammy.

- Bestia snów prawdziwa - poprawił go Lolla-Wossiky.

- Oczywiście - zgodził się Armor-of-God.

Lolla-Wossiky wiedział, że uczynił to, aby go nie urazić.

- Ta biedna istota wyraźnie potrzebuje słowa Jezusa - zauważył Thrower.

- Mam wrażenie, że w tej chwili bardziej potrzebuje kolacji. Słów Jezusa najlepiej się słucha z pełnym żołądkiem, nie sądzicie?

Thrower uśmiechnął się.

- W Biblii nie ma o tym ani słowa, drogi Armorze-of-God, ale sądzę, że mówisz słusznie.

Armor-of-God wziął się pod boki i raz jeszcze zapytał Lollę-Wossiky:

- Idziesz czy nie?

- Chyba tak - zdecydował Lolla-Wossiky.

Brzuch Lolli-Wossiky był pełen, ale pełen żywności białego człowieka, miękkiej, śliskiej i przegotowanej. Burczała mu we wnętrznościach. Thrower mówił bez przerwy, powtarzając nieznane słowa. Opowieści były dobre, ale Thrower stale wracał do grzechu pierworodnego i odkupienia. W pewnej chwili Lolla-Wossiky miał wrażenie, że zrozumiał.

- Jaki głupi bóg - powiedział. - On robić, że każdy rodzić się zły i potem smażyć w piekle. Czemu taki zły? Wszystko przez niego!

Ale Thrower bardzo się zdenerwował, zaczął mówić jeszcze dłużej i szybciej, więc Lolla-Wossiky nie zdradzał się więcej ze swoimi myślami.

Im dłużej przemawiał Thrower, tym głośniejszemu rozbrzmiewał czarny szum. Czyżby parowała whisky? Alkohol jakoś za szybko przestawał działać. A kiedy raz Thrower wyszedł, żeby się wypróżnić, czarny szum przycichł. Bardzo dziwne... Lolla-Wossiky nie widział jeszcze, żeby ktoś przychodząc lub odchodząc wzmacniał albo osłabiał czarny szum.

Ale to może dlatego, że znalazł się już blisko bestii snów. Wiedział, że jest blisko, ponieważ ze wszystkich stron otaczało go białe światło i nie widział, w którą stronę pójść dalej. Nie dziw się mostom, które uciszają czarny szum, ani białym kapłanom, którzy go wzmacniają. Nie dziw się Armorowi-of-God z jego wizerunkiem oblicza krainy, który karmi czerwonego człowieka i nie sprzedaje ani nawet nie daje whisky.

Kiedy Thrower wyszedł, Armor-of-God pokazał Lolli-Wossiky mapę.

- To jest obraz całej okolicy. Aż do tego wielkiego jeziora na północnym zachodzie... Kicky-Poo nazywają je Grubą Wodą. Tu leży Fort Chicago. To placówka Francuzów.

- Francuzi. Jeden kubek whisky za skalp białego człowieka.

- Tak, to aktualna stawka - przyznał Armor-of-God. - Ale tutejsi Czerwoni nie zbierają skalpów. Handlują ze mną uczciwie i ja z nimi handluję uczciwie. My nie strzelamy do

Czerwonych, a oni nie mordują Białych dla łupu. Rozumiesz mnie? Gdyby dręczyło cię pragnienie, pomyśl o tym: jakieś cztery lata temu był tu jeden whisky-Czerwony ze szczepu Wee-Aw. Zabił w lesie takiego duńskiego chłopaka. Sądziś, że to Biali go wytropili? Otóż nie; sam wiesz, że w tych lasach Biały nigdy nie znajdzie Czerwonego, zwłaszcza farmerzy i tacy ludzie jak my. Nie, to Shaw-Nee i Otty-Wa dogonili go w dwie godziny po tym, jak zaczęliśmy szukać chłopca. I myślisz, że to Biali ukarali tego whisky-Czerwonego? Otóż nie. To tamci powalili Wee-Aw i zapytali: Chcesz pokazać dzielność? A kiedy odpowiedział, że tak, zabijali go przez sześć godzin.

- Wielka łaska - zauważył Lolla-Wossiky.

- Łaska? Nie sądzę.

- Czerwony człowiek zabijać biały chłopiec dla whisky, ja nigdy nie dać mu pokazać dzielność. On ginąć... uch, o tak, szybko jak grzechotnik. To nie mężczyzna!

- Muszę przyznać, że wy, Czerwoni, jesteście dziwni - mruknął Armor. - Chcesz powiedzieć, że to łaska, kiedy torturujecie kogoś na śmierć?

- Nie kogoś. Nieprzyjaciela. Złapać nieprzyjaciela, on pokazać dzielność, zanim umrzeć, a wtedy jego duch lecieć do domu. Mówić jego matce i siostrze, że zginął dzielny, a one śpiewać pieśni i płakać po nim. Nie pokazać dzielność, to jego duch paść na ziemię, a ty deptać go, zgniatać, on nigdy nie wrócić do domu, nikt nie pamiętać imienia.

- Dobrze, że Thrower jest w wygodce, bo narobiłby w portki, słysząc taką doktrynę. - Armor-of-God zerknął na Lollę-Wossiky. - To znaczy, że oni uhonorowali tego Wee-Aw, który zabił chłopca?

- Bardzo źle zabić mały chłopiec. Ale może czerwony człowiek wie o whisky-Czerwonym, bardzo spragniony, wpadać w szal. To nie jak zabić biały człowiek, żeby zabrać mu jego dom, jego kobietę albo jego ziemię, nie jak biały człowiek robić cały czas.

- Muszę przyznać, że im więcej wiem o Czerwonych, tym bardziej wszystko to nabiera sensu. Chyba będzie lepiej, jeśli jeszcze częściej zacznę czytać Biblię, bo sam zmienię się w Czerwonego.

Lolla-Wossiky śmiał się i śmiał.

- Co w tym takiego zabawnego?

- Dużo Czerwonych zmienić się w Białych i umrzeć. Ale nigdy jeszcze Biały nie zmienić się w Czerwony. Musieć to opowiedzieć, a wszyscy się śmiać.

- Zwyczajnie nie rozumiem poczucia humoru was, Czerwonych. - Armor postukał w mapę. - Jesteśmy tu, poniżej miejsca, gdzie Chybotliwe Kanoë wpada do Wobbish. Te kropki

to farmy białych ludzi. A kółka to wioski Czerwonych. Tutaj żyją Shaw-Nee, tu Winny-Baygo... widzisz?

- Biały Morderca Harrison mówić Czerwonym, że ty malować wizerunek oblicza krainy, żeby znaleźć wioski Czerwonych. Zabić wszystkich, tak on mówić.

- No cóż, takich kłamstw mogłem się po nim spodziewać. Czyli słyszałeś o mnie, zanim tu przybyłeś? Mam nadzieję, że nie wierzysz w te oszczerstwa.

- Nie. Nikt nie wierzyć Biały Morderca Harrison.

- To dobrze.

- Nikt nie wierzyć żaden biały człowiek. Wszyscy kłamać.

- Ale nie ja. Rozumiesz? Nie ja. Harrison tak bardzo chce zostać gubernatorem, że nie cofnie się przed żadnym kłamstwem, byle tylko zdobyć i utrzymać władzę.

- On mówić, że ty też chcesz zostać gubernator.

Armor umilkł na chwilę. Spojrzał na mapę. Spojrzał na drzwi do kuchni, gdzie jego żona zmywała naczynia.

- No cóż, tym razem chyba nie skłamał. Ale dla mnie być gubernatorem oznacza coś zupełnie innego niż dla niego. Chcę zostać gubernatorem, żeby ludzie biali i czerwoni żyli tu razem w pokoju, żeby ramię w ramię uprawiali ziemię, chodzili do tych samych szkół, aż pewnego dnia nie będzie już między nimi różnicy. A Harrison chce się pozbyć wszystkich czerwonych ludzi.

Jeśli sprawisz, by Czerwony był taki sam jak Biały, wtedy nie będzie już Czerwonym. Sposobem Harrisona czy sposobem Armora, w rezultacie Czerwoni i tak znikną zupełnie. Lolla-Wossiky myślał o tym, jednak nie powiedział ani słowa. Wiedział, że przemiana wszystkich Czerwonych w Białych to bardzo zła rzecz, lecz wybicie ich z pomocą whisky, jak planował Harrison, albo wybicie ich i przepędzenie z krainy, jak planował Jackson, to rzecz jeszcze gorsza. Harrison to zły człowiek. Armor chciał być dobrym człowiekiem, tylko nie wiedział jak. Lolla-Wossiky rozumiał to, dlatego nie spierał się z Armorem-of-God. Armor dalej pokazywał mu mapę.

- Tu leży Fort Carthage. Zaznaczyłem go kwadratem, bo to już miasto. Nam też dałem kwadrat, chociaż właściwie miastem jeszcze nie jesteśmy. Nazywamy je Vigor Kościół, w związku z tym kościołem, który budujemy.

- Kościół od budowy. Czemu Vigor?

- Pierwsza rodzina, która się tu osiedliła... ci, którzy wyrąbali drogę i zbudowali mosty... Millerowie. Mieszkają za kościołem, przy drodze. Moja żona to ich najstarsza córka. To oni nazwali osadę Vigor na pamiątkę najstarszego syna. Miał na imię Vigor. Utonął w

Hatrack River, niedaleko Suskwahenny, kiedy wędrowali tutaj. Dlatego nazwali to miejsce jego imieniem.

- Twoja żona bardzo ładna - oświadczył Lolla-Wossiky.

Armor nie odpowiadał przez kilka sekund, taki był zaskoczony. Na tyłach sklepu, gdzie jedli posiłek, jego żona, Eleanor, też chyba słuchała, bo nagle stanęła w drzwiach.

- Nikt jeszcze nie nazwał mnie ładną - powiedziała cicho.

Lolla-Wossiky zdumiał się. Większość białych kobiet miała wąskie twarze, żadnych kości policzkowych i chorobliwą cerę. Eleanor była bardziej smagła, miała twarz szeroką i wyraźne kości policzkowe.

- Ja uważam, że jesteś ładna - rzekł Armor. - Naprawdę.

Lolla-Wossiky nie uwierzył mu i Eleanor też nie, choć uśmiechnęła się, nim odeszła. Nigdy nie pomyślał, że jest ładna - to jasne. A po chwili Lolla-Wossiky zrozumiał dlaczego. Była ładna jak czerwona kobieta. I naturalnie Biali, którzy nigdy niczego nie widzieli normalnie, uważali, że jej ładność jest bardzo brzydka.

To znaczyło również, że Armor-of-God miał żonę, którą uważał za brzydką. Ale nie krzyczał na nią ani jej nie bił jak Czerwony brzydką squaw. To dobrze, uznał Lolla-Wossiky.

- Wy bardzo szczęśliwi - stwierdził.

- To dlatego, że jesteśmy chrześcijanami - odparł Armor-of-God. - Ty też byłbyś szczęśliwy, gdybyś został chrześcijaninem.

- Nigdy nie być szczęśliwy - oświadczył Lolla-Wossiky. Chciał dodać "dopóki znów nie usłyszę zielonej ciszy, póki nie zamilknie czarny szum". Ale nie warto mówić o tym białym ludziom. Oni nie mają pojęcia, że połowa rzeczy, które dzieją się na świecie, jest dla nich zwyczajnie niewidzialna.

- Owszem, będziesz - rzekł z mocą Thrower. Wkroczył do pokoju pełen energii i gotów do skutku nawracać tego poganina.

- Kiedy przyjmiesz Jezusa Chrystusa jako swego zbawcę, wtedy osiągniesz prawdziwe szczęście.

Tę obietnicę z pewnością warto rozważyć. To rozsądny powód, by mówić o Jezusie Chrystusie. Może ten Jezus Chrystus jest bestią snów Lolli-Wossiky. Może sprawi, że czarny szum zniknie i Lolla-Wossiky znów będzie szczęśliwy jak dawniej, zanim Biały Morderca Harrison rozbił świat czarnym hukiem swojej strzelby.

- Jezus Chrystus mnie obudzić? - zapytał Lolla-Wossiky.

- Pójdźcie za mną, powiedział, a uczynię was rybakami ludzi - odparł Thrower.

- On mnie obudzić? Uczynić szczęśliwy?

- Wieczna radość na łonie ojca w niebiesiech.

To wszystko nie miało sensu, ale Lolla-Wossiky postanowił mimo wszystko spróbować. Może to go rozbudzi i wtedy zrozumie, o czym opowiada Thrower. Wprawdzie Thrower sprawiał, że czarny szum rozbrzmiewał głośniejszy, ale mógł też znać na niego lekarstwo.

Tej nocy więc Lolla-Wossiky przespał się w lesie, rankiem wypił swoje cztery łyki whisky i zataczając się, powędrował do kościoła. Thrower był zły, widząc pijanego Lollę-Wossiky, zaś Armor-of-God znowu usiłował się dowiedzieć, skąd bierze trunek. Ponieważ dookoła zebrali się wszyscy, którzy pomagali wznosić kościół, Armor wygłosił przemowę pełną gróźb.

- Kiedy odkryję, kto poi tego Czerwonego, przysięgam, że spalę mu dom i wypędzę. Niech idzie mieszkać z Harrisonem nad Hio. Tutaj jesteśmy chrześcijańskim narodem. Nie mogę was powstrzymać przed umieszczaniem na domach tych heksów, rzucaniem uroków i zaklęć, ale na pewno zdołam was powstrzymać przed truciem ludu, który Pan nasz zechciał umieścić na tej ziemi. Czy to jasne?

Wszyscy Biali kiwali głowami i mruzcili: "tak", "słusznie" i "ma rację".

- Nikt tutaj nie dawać mi whisky - oznajmił Lolla-Wossiky.

- Może przyniósł ją ze sobą w kubku! - zawołał jakiś mężczyzna.

- A może ma w lesie gorzelnię! - krzyknął inny.

Wszyscy się śmiali.

- Więcej powagi - upomniął ich Thrower. - Ten poganin przyjmie dziś Jezusa Chrystusa. Obleje go woda chrztu świętego, jak kiedyś naszego zbawcę. Niech to będzie znakiem początku wielkiego misjonarskiego dzieła wśród czerwonych mieszkańców Ameryki.

Amen, wymruczeli ludzie.

Woda była zimna i to właściwie wszystko, co zapamiętał Lolla-Wossiky. I jeszcze to, że kiedy Thrower spryskał go tą wodą, czarny szum stał się głośniejszy. Jezus Chrystus nie przybył, nie był więc bestią snów. Lolla-Wossiky czuł się rozczarowany.

Za to wielbny Thrower wcale nie. To dziwne u białych ludzi. Jakby zupełnie nie zauważali, co dzieje się dookoła. Oto Thrower dokonał chrztu, który nie doprowadził do niczego dobrego, a przez cały dzień nadymał się, jakby właśnie w środku zimy przywołał bizona do głodującej wioski.

Armor-of-God był równie ślepy. W południe, kiedy Eleanor przyniosła na wzgórze obiad dla robotników, pozwolili Lolli-Wossiky jeść razem z nimi.

- Nie możemy przecież odepchnąć chrześcijanina, prawda? - powiedział któryś.

Ale żaden nie miał ochoty usiąść obok Lolli-Wossiky, pewnie dlatego, że zataczał się i cuchnął whisky. W rezultacie to Armor-of-God siadł z Czerwonym w pewnej odległości od reszty. Rozmawiali o tym i o owym.

Dopóki Lolla-Wossiky nie zapytał:

- Jezus Chrystus... on nie lubić heksy?

- Zgadza się. To On jest drogą, a całe te zaklinania i tak dalej to bluźnierstwo.

Lolla-Wossiky z powagą kiwnął głową.

- Malowany heks niedobry. Farba nigdy nie być żywa.

- Malowany czy rzeźbiony, na jedno wychodzi.

- Drewniany heks trochę silny. Drzewo kiedyś żywe.

- Dla mnie to bez znaczenia, malowany czy drewniany. Nie pozwalam na heksy w swoim domu. Żadnych czarów, przywołań, ochron czy zasłon, nic z tych rzeczy. Dobry chrześcijanin polega na modlitwie i to wystarczy. Pan jest moim pasterzem, nie brak mi niczego.

Lolla-Wossiky wiedział wtedy, że Armor-of-God jest ślepy jak Thrower. Ponieważ Lolla-Wossiky w życiu nie widział domu silniej strzeżonego heksami niż dom Armora-of-God. Dlatego sam Armor wywarł na nim takie wrażenie: ponieważ miał dom naprawdę dobrze chroniony. Znał się na heksach, bo budował je z rzeczy żyjących. Układ żywych roślin wiszących na werandzie, w starannie ustawionych donicach nasiona, w których jeszcze tliło się życie, czosnek, plamy soku z owoców... A wszystko tak mocne, że nawet mając w sobie whisky dla osłabienia czarnego szumu, Lolla-Wossiky wyczuwał odpychanie i szarpanie ochron i zasłon.

A jednak Armor-of-God nie miał najmniejszego pojęcia, że w jego domu są jakiegokolwiek heksy.

- Rodzina mojej żony, Eleanor, zawsze miała w domu jakieś heksy. Jej najmłodszy brat, Al Junior... ten sześciolatek, który urządza zapasy z tym jasnowłosym Szwedem, widzisz?... Podobno świetnie je kreśli.

Lolla-Wossiky spojrzał, ale jakoś nie mógł dostrzec chłopca. Widział żółte włosy drugiego, ale ten pierwszy nie wiadomo czemu się nie pojawiał.

Armor mówił ciągle.

- Czy to nie przykre? Taki młody, a już odwrócił się od Jezusa. W każdym razie Eleanor było ciężko zrezygnować z heksów i całej reszty. Ale zdobyła się na to. Złożyła mi uroczyste przyrzeczenie. Inaczej nigdy bym się z nią nie ożenił.

W tej właśnie chwili Eleanor, piękna żona, którą Biali uważali za brzydką, podeszła po kosz z naczyniami. Słyszała ostatnie słowa męża, ale nie dała po sobie poznać, że wie, o co chodzi. Tyle tylko że kiedy brała miskę od Lolli-Wossiky, spojrzała mu w oczy. Poczuł się tak, jakby zapytała: widziałeś te heksy?

Lolla-Wossiky uśmiechnął się do niej jak najszerzej, aby wiedziała, że nie zamierza mówić o tym jej mężowi.

Odpowiedziała niepewnym, nieufnym uśmiechem.

- Smakowało ci jedzenie? - spytała na głos.

- Wszystko za bardzo gotować - odparł. - Smak krwi cały zniknąć.

Szeroko otworzyła oczy. Armor zaśmiał się głośno i klepnął Lollę-Wossiky w ramię.

- No tak... Na tym właśnie polega cywilizacja. Człowiek przestaje pić krew i tyle. Mam nadzieję, że chrzest wprowadził cię na właściwą drogę... To jasne, że bardzo długo podążałeś złą.

- Zastanawiałam się... - zaczęła Eleanor i urwała, zerknęła na opaskę biodrową Lolli-Wossiky, potem na męża.

- A tak, rozmawialiśmy o tym wczoraj. Mam jakieś stare spodnie i koszulę, których już nie używam. Zresztą Eleanor i tak szyje mi nowe. Pomyślałem, że skoro już jesteś ochrzczony, powinieneś ubierać się jak chrześcijanin.

- Bardzo gorąco - zauważył Lolla-Wossiky.

- No tak, ale my, chrześcijanie, przestrzegamy skromności odzienia. - Armor roześmiał się i znowu klepnął go w ramię.

- Po południu przyniosę ubranie - oznajmiła Eleanor.

Lolla-Wossiky uznał to za wyjątkowo głupi pomysł. Ubrani jak Biali, Czerwoni zawsze wyglądali głupio. Ale nie zamierzał się z nimi kłócić, bo wyraźnie chcieli zachowywać się przyjaźnie. A może jednak ten chrzest zacznie działać, jeśli włoży na siebie ubranie białego człowieka. Może wtedy zniknie czarny szum.

Dlatego nie odpowiedział. Spojrzał tam, gdzie żółtowłosy chłopiec biegał w kółko i krzyczał "Alvin! Ally!" Lolla-Wossiky z całych sił starał się zobaczyć tego drugiego chłopca, którego ścigał żółtowłosy. Dostrzegł stopę dotykającą ziemi i wzbijającą obłok kurzu, dłoń sunącą przez powietrze... ale ani razu samego chłopca. Bardzo dziwne.

Eleanor czekała na jego odpowiedź. Lolla-Wossiky milczał, gdyż przyglądał się chłopcu, którego nie było. Wreszcie Armor-of-God zaśmiał się.

- Przynieś rzeczy, Eleanor - polecił. - Ubierzemy go jak chrześcijanina, a jutro mógłby pomóc przy budowie kościoła, zacząć naukę jakiegoś chrześcijańskiego zawodu. Wziąć do ręki piłę.

Lolla-Wossiky właściwie nie słyszał ostatnich słów. Inaczej od razu by uciekł do lasu. Wiedział dobrze, co dzieje się z Czerwonymi, którzy używają narzędzi Białych. W ten sposób odcinają się od krainy, po kawałku, za każdym razem, kiedy chwycą metal. Nawet strzelbę. Kiedy Czerwony zaczyna używać do polowania strzelby, staje się w połowie Biały, ledwie pierwszy raz pociągnie spust. Zabijanie Białych to jedyne, do czego Czerwony może wykorzystać strzelbę. Ta-Kumsaw zawsze to powtarza i ma rację. Ale Lolla-Wossiky nie słyszał, jak Armor-of-God mówi, że Lolla-Wossiky ma pracować piłą. Nie słuchał, ponieważ dokonał właśnie zdumiewającego odkrycia. Mógł zobaczyć chłopca, kiedy zamknął zdrowe oko. Jak tego jednookiego niedźwiedzia w rzece. Otwierał oko i znowu był tylko żółtowołosy chłopak, który biega i krzyczy. Żadnego Alvina Millera Juniora. Zamykał i nie pozostawało nic, tylko czarny szum i słabe błyski zieleni... a w samym środku chłopiec jasny i promienny, jakby nosił w tylnej kieszeni słońce. Śmiał się i bawił swym głosem niczym muzyka.

I nagle Lolla-Wossiky całkiem przestał go widzieć.

Otworzył oko. Przed nim stał wielebny Thrower. Armor i Eleanor odeszli - wszyscy wrócili do pracy przy budowie kościoła. To Thrower sprawił, że chłopiec zniknął, to jasne. A może nie... ponieważ teraz Lolla-Wossiky widział chłopca także zdrowym okiem. Jak każde inne dziecko.

- Lolla-Wossiky, pomyślałem sobie, że powinieneś mieć jakieś chrześcijańskie imię. Nigdy jeszcze nie chrzcilem Czerwonego, więc bezmyślnie skorzystałem z waszego niecywilizowanego nazewnictwa. Niekoniecznie imię świętego... w końcu nie jesteśmy papistami... ale coś, co świadczyłoby o twoim świeżym oddaniu się pod opiekę Chrystusa.

Lolla-Wossiky kiwnął głową. Wiedział, że jeśli chrzest rzeczywiście podziela, będzie mu potrzebne nowe imię. Dostanie odpowiednie, kiedy tylko spotka bestię snów i wróci do domu. Próbował wytłumaczyć to Throwerowi, ale biały kapłan niczego nie rozumiał. W końcu jednak pojął, że Lolla-Wossiky chce nowego imienia i że wkrótce je otrzyma. Uspokoił się więc.

- A skoro już tu jesteśmy - dodał jeszcze Thrower - chciałem zapytać, czy mogę obejrzeć twoją głowę. Pracuję nad uporządkowaniem klasyfikacji w raczkującej jeszcze nauce frenologii. Istnieje teoria, że pewne szczególne uzdolnienia i skłonności duszy ludzkiej są odzwierciedlane, a może i wywoływane przez wypukłości i zagłębienia czaszki.

Lolla-Wossiky nie miał pojęcia, o czym mówi Thrower, więc bez słowa pokiwał głową. Zwykle odnosiło to należyty skutek wobec Białych, którzy opowiadali bzdury. Thrower nie był wyjątkiem. W rezultacie Thrower obmacał całą głowę Lolli-Wossiky, przerywając czasem, żeby naszkicować coś albo zanotować na kawałku papieru. Mruczał przy tym: "Interesujące", "Ha!" albo "To tyle, jeśli chodzi o tę teorię". Kiedy skończył, podziękował uprzejmie.

- Panie Wossiky, bardzo się pan przysłużył nauce. Jest pan żywym dowodem, że czerwony człowiek niekoniecznie ma wypukłości charakteryzujące dzikość i kanibalizm. Zamiast tego posiada pan zwykły zestaw guzów i wgłębień, jak każdy. Czerwoni nie różnią się zasadniczo od Białych, a przynajmniej nie w sposób prosty i łatwo klasyfikowalny. Co więcej, nosi pan wszelkie znaki uzdolnionego mówcy z głęboko rozwiniętym poczuciem religijności. To nie przypadek, że jako pierwszy Czerwony wysłuchał pan Dobrej Nowiny podczas mojej bożej posługi tutaj, w Ameryce. Muszę zaznaczyć, że pański wzorzec frenologiczny zdradza duże podobieństwo do mojego. Krótko mówiąc, mój drogi nowo ochrzczony chrześcijaninie, nie zdziwiłbym się, gdybyś sam został misjonarzem słowa bożego. Głosił je tłumom czerwonych mężczyzn i kobiet, by dać im zrozumienie woli niebios. Proszę to sobie przemyśleć, panie Wossiky. Jeśli się nie pomyliłem, taka jest pańska przyszłość.

Lolla-Wossiky z trudem pojmował sens słów Throwera. Coś o tym, że będzie kaznodzieją. Coś o przepowiadaniu przyszłości. Lolla-Wossiky usiłował cokolwiek z tego zrozumieć, ale bez skutku.

Wieczorem Lolla-Wossiky był już ubrany w rzeczy białego człowieka i wyglądał jak dureń. Alkohol wyparował z niego, a nie miał okazji wymknąć się do lasu po swoje cztery łyki. Czarny szum niósł coraz większe cierpienia. Co gorsza, zapowiadała się deszczowa noc; nie będzie nic widział swoim zdrowym okiem, a przy tak strasznym czarnym szumie wyczucie krainy też nie doprowadzi go do beczułki.

Grunt kołysał się i podskakiwał tak mocno, że Lolla-Wossiky zataczał się gorzej niż po wypiciu whisky. Upadł, kiedy próbował wstać ze stołka przy stole Armora. Eleanor nalegała, żeby spędził tę noc w ich domu.

- Nie możemy pozwolić, żeby spał w lesie, kiedy pada deszcz - oświadczyła.

Jakby dla dodania wagi jej słowom zahuczał grom i krople deszczu zastukały o dach i ściany. Armor i Thrower wyszli na dwór, żeby pozamykać okiennice, a Eleanor przygotowała legowisko w kuchni na podłodze. Lolla-Wossiky wczołgał się na nie z wdzięcznością, nie zdejmując nawet sztywnych i niewygodnych spodni i koszuli. Ułożył się i zamknął oko,

próbując wytrzymać ból czarnego szumu, ukłucia w głowie, jakby setki noży cięły jego mózg na plasterki.

Jak zwykle pomyśleli, że zasnął.

- Wydaje się bardziej pijany niż rano - zauważył Thrower.

- Wiem, że nie schodził ze wzgórza - oświadczył Armor. - Niemożliwe, żeby gdzieś się napił.

- Słyszałem, że podobno kiedy pijak trzeźwieje, z początku wygląda na jeszcze bardziej pijanego, niż gdy ma w sobie alkohol.

- Mam nadzieję, że to właśnie to.

- Zauważyłem, że był trochę rozczarowany dzisiejszym chrztem - stwierdził Thrower.

- Oczywiście, trudno zrozumieć uczucia takiego dzikusa, ale...

- Nie nazywałabym go dzikusiem, wielbny - wtrąciła Eleanor. - Uważam, że jest na swój sposób cywilizowany.

- Równie dobrze możecie nazwać cywilizowanym borsuka - odparł Thrower. - Przynajmniej na swój sposób.

- Chciałam powiedzieć - kontynuowała Eleanor głosem jeszcze cichszym i pełnym pokory, ale dzięki temu bardziej stanowczym - że widziałam, jak on czyta.

- Chyba przewraca kartki. Nie mógł przecież naprawdę czytać.

- Nie. Czytał, a wargi układały mu się w słowa. Te napisy na ścianie we frontowym pokoju, gdzie obsługujemy klientów. Czytał słowa.

- A wiecie, że to całkiem możliwe - mruknął Armor. - Wiem z całą pewnością, że Irrakwa czytają nie gorzej niż Biali. Często robiłem z nimi interesy i rzeczywiście trzeba czytać uwagi drobnym drukiem na kontraktach, które człowiek z nimi podpisuje. Czerwoni mogą nauczyć się czytać, to fakt niezaprzeczalny.

- Ale ten... ten pijak...

- Kto wie, czym się stanie, kiedy nie będzie w nim whisky? - rzekła Eleanor.

Potem wyszli do drugiego pokoju i opuścili na chwilę dom. Odprowadzali Throwera do jego chaty, zanim deszcz rozpadał się tak, że pastor musiałby zostać na noc.

Samotny w domu Lolla-Wossiky usiłował zrozumieć niedawne wydarzenia. Chrzest nie przebudził go ze snu. Ani ubranie Białych. Może noc bez whisky tego dokona, jak sugerowała Eleanor, chociaż był bliski obłądu, a ból nie pozwalał mu zasnąć.

Cokolwiek jednak się stało, wiedział, że bestia snów czeka gdzieś niedaleko. Białe światło lśniło rozproszone wokół niego; dotarł do miejsca przebudzenia. Może jeśli dzisiaj nie

będzie się zbliżał do wzgórza z kościołem, jeśli pochodzi po lesie wokół osady, bestia snów zdoła go odnaleźć.

Jedno było pewne - więcej nie spędzi nocy bez whisky. Nie po to przecież ukrył w rozwidleniu drzewa beczułkę, która potrafi uciszyć czarny szum. I zesłać sen.

Lolla-Wossiky wędrował po lesie. Spotkał wiele zwierząt, ale wszystkie przed nim uciekały. Był tak pijany albo tak spowity czarnym szumem, że nie stał się częścią krainy. Uciekały, jakby był Białym.

Zniechęcony zaczął wypijać więcej niż cztery łyki, chociaż wiedział, że w ten sposób za szybko opróżni beczułkę. Coraz rzadziej zaglądał do lasu, coraz częściej chodził po ścieżkach i drogach Białych, w jasny dzień zjawiając się na farmach. Kobiety czasem krzyczały i uciekały w las, niosąc na rękach niemowlę i prowadząc za sobą dzieci. Inne mierzyły do niego ze strzelb i kazały się wynosić. Niektóre karmiły go i rozmawiały o Jezusie Chrystusie. W końcu Armor-of-God poprosił, żeby nie odwiedzał farm pod nieobecność mężczyzn, zajętych przy budowie kościoła.

W rezultacie Lolla-Wossiky nie miał już nic do roboty. Wiedział, że jest blisko bestii snów, ale nie umiał jej znaleźć. Nie mógł chodzić po lesie, ponieważ zwierzęta uciekały od niego, potykał się i przewracał coraz częściej. W końcu zaczął się lękać, że złamie sobie kość albo umrze z głodu, niezdolny przywołać nawet małych zwierząt, żeby go nakarmiły. Nie mógł odwiedzać farm, ponieważ mężczyźni się gniewali. Leżał na łące i albo spał pijany, albo usiłował wytrzymać ból czarnego szumu.

Czasami zbierał siły i wspinał się na wzgórze, popatrzeć na mężczyzn budujących kościół. Kiedy tylko docierał na szczyt, zawsze ktoś wołał:

- Patrzenie, idzie czerwony chrześcijanin!

Lolla-Wossiky słyszał złośliwość i drwinę w głosie, który wykrzykiwał te słowa, i w śmiechu, który rozbrzmiewał potem.

Nie było go na budowie tego dnia, gdy spadła kalenica. Spał na trawie niedaleko ganku domu Armora, kiedy nagle usłyszał trzask. Przebudził się, a czarny szum powrócił głośniejszy niż kiedykolwiek, mimo że Lolla-Wossiky wypił rano osiem łyków i powinien być pijany aż do południa. Leżał więc, ściskając dłońmi głowę, aż mężczyźni zaczęli schodzić ze wzgórza. Przeklinali i mruczelili coś o niezwykłym wydarzeniu.

- Co się stało? - zapytał Lolla-Wossiky. Musiał wiedzieć, gdyż cokolwiek to było, wzmocniło czarny szum do poziomu, jakiego nie pamiętał od lat. - Czy kogoś zabili? - Przecież to wystrzał pierwszy raz wzbudził czarny szum. - Czy Białe Morderce Harrison kogoś zabił?

Z początku nie zwracali na niego uwagi, bo oczywiście pomyśleli, że jest pijany. W końcu jednak ktoś mu opowiedział, co zaszło.

Układali właśnie pierwszą kalenicę na samym szczycie budynku, kiedy główna podpora pękła i wyrzuciła kalenicę w powietrze.

- Spadła płasko, jakby sam pan Bóg własną stopą tupnął o ziemię. A tam stał mały Al Junior, chłopak Ala Millera. Dokładnie pod belką. Myśleliśmy, że już jest trupem. Mały stał nieruchomo, kalenica trzasnęła o podłogę... na pewno słyszałeś, dlatego wydawało ci się, że to wystrzał... I nie uwierzysz: kalenica rozpadła się na dwie części dokładnie nad Alvinem, pękła na połowy i wylądowała po jednej jego stronie i po drugiej, nawet włos na głowie mu nie dotknęła.

- Coś dziwnego tkwi w tym chłopaku - wtrącił któryś z mężczyzn.

- Ma anioła stróża i tyle - stwierdził inny.

Alvin Junior. Chłopiec, którego Lolla-Wossiky nie widział otwartym okiem.

Kiedy Lolla-Wossiky dotarł do kościoła, nie było tam nikogo. Zniknęła kalenica, wszystko wymieciono, nie pozostał żaden ślad wypadku. Ale Lolla-Wossiky nie patrzył zdrowym okiem.

Wyczuł coś prawie od razu, gdy tylko zobaczył kościół. To wir, niezbyt szybki na brzegach, ale im bliżej środka, tym mocniejszy. Wir światła... Im bardziej się do niego zbliżał, tym słabszy był czarny szum. Aż stanął na podłodze kościoła, w tym samym miejscu - wiedział o tym - gdzie poprzednio stał chłopiec. Skąd wiedział? Czarny szum przycichł. Nie zniknął, ból nie został uleczony, ale Lolla-Wossiky znowu czuł zieleń krainy. Nie tak jak kiedyś, ale wyczuwał życie pod podłogą, wiewiórkę na pobliskiej łące... wszystko to, czego nie czuł pijany ani trzeźwy przez wszystkie lata, od chwili gdy strzelba zbudziła w jego głowie czarny szum.

Lolla-Wossiky obracał się wkoło, ale widział tylko ściany kościoła. Dopóki nie zamknął oka. Wtedy zobaczył wir, tak, wirujące białe światło i ustępujący czarny szum. Dotarł do końca swego snu, widział z zamkniętym okiem, widział wyraźnie. Przed nim leżała lśniąca ścieżka, droga jasna niczym niebo w południe, oślepiająca jak śnieg na łące w czysty dzień. Nie otwierając oka wiedział, dokąd prowadzi ta ścieżka. Na szczyt wzgórza, potem w dół, dalej na wyższe wzgórze, do domu w pobliżu strumienia... Do domu, gdzie mieszkał biały chłopiec, którego Lolla-Wossiky mógł zobaczyć jedynie zamykając oko.

Teraz, kiedy czarny szum ustąpił trochę, powrócił cichy krok. Lolla-Wossiky chodził wokół domu, krąg za kręgiem. Nikt go nie słyszał. Wewnątrz śmiechy, wołania, krzyki. Szczęśliwe dzieci - kto się lubi, ten się czubi. Surowe głosy rodziców. Gdyby nie język,

mogłaby to być jego wioska. Jego bracia i siostry w szczęśliwych czasach, zanim Biały Morderca Harrison odebrał życie ojcu.

Biały ojciec, Alvin Miller, wyszedł do wygodki. Wkrótce potem zjawił się chłopiec; biegł, jakby się bał. Krzyknął coś pod drzwiami. Otwierając oko, Lolla-Wossiky widział tylko, że ktoś tam stoi i woła. Kiedy je zamykał, wyraźnie widział promiennego chłopca, słyszał jego głos niby śpiew ptaka zza rzeki, czystą muzykę, chociaż słowa były głupie, nierozsądne, jak to u dziecka.

- Jeśli zaraz nie wyjdiesz, zrobię to pod samymi drzwiami i wdepniesz w to, kiedy w końcu wyleziesz.

Cisza. Chłopiec zatroskał się, uderzył pięścią w czubek głowy, jakby chciał powiedzieć "Dureń! Dureń! Dureń!" Coś odmieniło wyraz jego twarzy. Lolla-Wossiky otworzył oko i zobaczył, że ojciec wyszedł i coś mówi.

Zawstydzony chłopiec odpowiedział. Ojciec poprawił go. Lolla-Wossiky zamknął oko.

- Tak, tatusiu - powiedział chłopiec.

I znowu ojciec musiał coś powiedzieć, ale z zamkniętym okiem Lolla-Wossiky go nie słyszał.

- Przepraszam, tato.

Potem ojciec musiał odejść, gdyż mały Alvin wszedł do środka. Mruknął tak cicho, żeby nikt nie usłyszał. Ale Lolla-Wossiky słyszał.

- Wszystko byłoby w porządku, gdybyś postawił drugą wygodkę.

Lolla-Wossiky roześmiał się. Głupi chłopak, głupi ojciec... jak wszyscy chłopcy i ojcowie.

Jestem tutaj, powiedział bezgłośnie. Podążyłem jasną ścieżką. Przybyłem w to miejsce. Zobaczyłem głupią rodzinę Białych. A teraz gdzie jest moja bestia snów?

I znowu zobaczył, jak wzbiera białe światło... wewnątrz domu, podążając schodami za chłopcem. Ponieważ dla Lolli-Wossiky nie istniały ściany. Widział, że chłopiec idzie ostrożnie, jakby spodziewał się przeciwnika, jakiegoś ataku. Kiedy dotarł do sypialni, wskoczył do środka i szybko zamknął za sobą drzwi. Lolla-Wossiky widział go tak dokładnie, że zdawało mu się, iż słyszy jego myśli. A potem, ponieważ myślał o tym i ponieważ był już tak blisko końca swego snu, rzeczywiście usłyszał myśli chłopca, a przynajmniej odebrał jego uczucia. To sióstr bał się Alvin. Niemądra sprzeczką, rozpoczęta przekomarzaniem, teraz stała się groźna. I Alvin lękał się zemsty.

Nadeszła, kiedy się rozebrał i wciągnął przez głowę nocną koszulę. Uklucia! Insekty, pomyślał chłopiec. Pająki, skorpiony, małe węże! Zrzucił koszulę, klepał się po całym ciele, krzyczał z bólu, zaskoczenia, ze strachu.

Ale Lolla-Wossikey dostatecznie wyczuwał krainę, by wiedzieć, że nie ma tam żadnych insektów. Ani na skórze, ani w koszuli. Chociaż żyło tam wiele drobnych istot. Nikłe życie, małe zwierzęta. Karaluchy, setki karaluchów zasiedlających ściany i podłogi.

Ale nie wszystkie ściany i podłogi. Tylko w pokoju Alvina Juniora. Wszystkie zebrały się w jego sypialni.

Czy to wrogość? Karaluchy są za małe na nienawiść. Te stworzonka znają tylko trzy uczucia: strach, głód i trzeci zmysł, zmysł krainy. Ufność w to, jak rzeczy powinny się układać. Czy chłopiec je karmił? Nie, przychodziły po coś innego. Lolla-Wossikey z trudem uwierzył, ale wyczuł to w karaluchach i nie mógł wątpić. Chłopiec jakoś je przywołał. Miał zmysł krainy, przynajmniej tyle, by przywołać małe zwierzątka.

Przywołać po co? Komu zależy na karaluchach? Ale to przecież tylko chłopiec. To, co robi, nie musi być rozsądne. Wystarczy odkrycie, że małe istotki przybiegają, kiedy je zawoła. Czerwoni chłopcy uczyli się tego, ale zawsze u boku ojca lub brata, zawsze na pierwszym polowaniu. Uklękni i przemów cicho do życia, które chcesz odebrać. Zapytaj, czy to dobry czas i czy zechce umrzeć, by dać ci siłę. Czy przyszła pora, by umrzeć? - pytają czerwoni chłopcy. A jeśli życie się zgadza, przybywa.

Tak właśnie postępuje ten biały chłopiec. Tyle że to nie jest takie proste. Nie przywoływał karaluchów, by zginęły dla jego potrzeb, ponieważ niczego nie potrzebował. Ochraniał je. To było jak traktat. Karaluchy nie mogły wchodzić w pewne miejsca: do łóżka Alvina, do kołyski jego młodszego brata Calvina, do ubrań Alvina złożonych na stołku. Alvin za to nigdy ich nie zabijał. W jego pokoju nic im nie groziło. Był jak sanktuarium, jak rezerwat. To bardzo niemądre, kiedy dziecko bawi się rzeczami, których nie rozumie.

Ale najbardziej niezwykle było to, że biały chłopiec robił coś, czego nie potrafili nawet Czerwoni. Czy kiedykolwiek czerwony człowiek powiedział do niedźwiedzia: chodź i zamieszkaj ze mną, a ja będę cię ochraniał? Czy kiedykolwiek niedźwiedź w to uwierzył? Nic dziwnego, że światło otaczało tego chłopca. To nie był marny talent białego człowieka Hoocha, ani nawet potężne żywe hekсы Eleanor. Nie była to zdolność czerwonego człowieka dostosowania się do wzorców krainy. Nie, Alvin do niczego się nie dostosowywał. Kraina dopasowywała się do niego. Kiedy chciał, by karaluchy żyły w pewien sposób, by zawarły układ, kraina podporządkowała się jego życzeniu. W tym skromnym miejscu, z tymi drobnymi stworzonkami, Alvin Junior rozkazywał, a kraina słuchała.

Czy chłopiec rozumiał, jakie to cudowne?

Nie, nie miał pojęcia. Skąd mógłby wiedzieć? Kto z Białych potrafiłby to zrozumieć?

A teraz, ponieważ nie rozumiał, Alvin Junior niszczył swe delikatne dzieło. Kąsające insekty okazały się metalowymi szpilkami, które siostry powtykały w nocną koszulę. Słyszał teraz, jak śmieją się z niego za ścianą. A że przedtem był bardzo przestraszony, teraz bardzo się rozgniewał. Pokaż im, zemścij się na nich; Lolla-Wossiky wyczuwał jego dziecięcą złość. On zrobił tylko drobiazg, żeby się z nimi podrażnić, a one odpłaciły przerażając go, kłując w setkach miejsc i przelewając krew. Pokaż im, przestrasz tak, że popamiętają...

Alvin Junior siadł na brzegu łóżka i rozzłoszczony wyjmował szpilki z koszuli, zbierając je starannie... Biali tak zawsze uważają na swoje bezużyteczne metalowe przyrządy, nawet tak małe jak szpilka. A kiedy tak siedział, zauważył karaluchy biegające po ścianach, wychodzące i powracające do szczelin w podłodze. I wtedy wymyślił zemstę.

Lolla-Wossiky wyczuł, jak Alvin w myślach formuje plan. Ukłękł na podłodze i cicho wyjaśnił go karaluchom. Był tylko dzieckiem, białym chłopcem, którego nie miał kto uczyć. Dlatego sądził, że musi mówić na głos, że insekty rozumieją jakoś jego mowę. Ale nie, taki był porządek rzeczy, sposób przedstawienia świata w jego umyśle.

I w swoim umyśle okłamał je. Głód, powiedział. A w sąsiednim pokoju jedzenie. Pokazał im jedzenie, jeśli przejdą pod ścianą do sypialni sióstr, wpęzną na łóżka, na ciała. Jedzenie, jeśli się pospieszą, jedzenie dla wszystkich. To było kłamstwo i Lolla-Wossiky chciał do niego krzyknąć, żeby tego nie robił.

Kiedy Czerwony uklęknie i przywoła ofiarę, której nie potrzebuje, ofiara będzie wiedzieć, że to kłamstwo. Wtedy nie przyjdzie. Samo kłamstwo odetnie Czerwonego od krainy, na pewien czas zmusi do samotnej wędrówki. Ale ten biały chłopiec potrafił kłamać z taką mocą, że maleńkie umysły karaluchów uwierzyły. Pobiegły - setka, tysiąc - pod ścianami do sąsiedniego pokoju.

Alvin Junior usłyszał coś. Był zachwycony. Ale Lolla-Wossiky rozgniewał się. Otworzył oko, żeby nie patrzeć na uciechę Alvina. Słyszał teraz wrzaski sióstr, kiedy wpęzały na nie karaluchy. A potem rodziców i braci wbiegających do pokoju. I tupanie, gniecenie, mord karaluchów. Lolla-Wossiky zamknął oko i poczuł śmierci - każda z nich jak ukłucie. Już tak długo czarny szum skrywał wszystkie śmierci za strasliwym wspomnieniem zabójstwa, że Lolla-Wossiky zapomniał, jakie wrażenie budzi taki ból.

Jak śmierć pszczół.

Karaluchy, bezużyteczne stworzenia żywiące się odpadkami, wydające nieczyste, szeleszczące dźwięki w swoich gniazdach, wstrętne, kiedy pełzają po skórze... ale to cześć

krainy, element życia, fragment zielonej ciszy, a ich śmierć była złym szumem, ich zagłada niepotrzebna, ponieważ jej źródłem było kłamstwo.

Dlatego tu przyszedłem, uświadomił sobie Lolla-Wossiky. Kraina doprowadziła mnie tutaj, wiedząc, że chłopiec ma taką moc i że nikt nie umie go nauczyć, jak jej używać, nikt nie powie, żeby zaczekał, aż wyczuje potrzebę krainy, zanim ją zmieni. Nikt nie pokaże, jak być Czerwonym zamiast Białym.

Nie przyszedłem tu do mojej bestii snów, ale żeby zostać bestią snów tego chłopca.

Hałas ucichł. Siostry, bracia i rodzice wrócili do łóżek. Lolla-Wossiky wcisnął końce palców w szczeliny między belkami i wspiął się ostrożnie. Zamykał oko, aby kraina go prowadziła; nie ufał sobie. Okiennice w sypialni chłopca były otwarte. Lolla-Wossiky wsunął łokcie na parapet i tak zwisając, zajrzał do środka.

Najpierw otwartym okiem. Zobaczył łóżko, stół z równo złożonym ubraniem, u stóp łóżka kołyskę. Okno znajdowało się pomiędzy kołyską i łóżkiem. W łóżku kształt rozmiaru chłopca, nierozpoznawalny.

Lolla-Wossiky znów zamknął oko. W łóżku leżał Alvin. Jak gorączkę odczuwał Lolla-Wossiky żar strachu chłopca. Tak się bał, że go złapią, tak cieszył zwycięstwem... Teraz leżał drżący, starał się oddychać spokojnie, próbował stłumić śmiech.

Otworzywszy oko, Lolla-Wossiky wspiął się na parapet i zeskoczył na podłogę. Spodziewał się, że Alvin zauważy go i krzyknie, ale sylwetka chłopca na łóżku nie drgnęła nawet; nie zabrzmiał żaden dźwięk.

Chłopiec nie widział Lolli-Wossiky, kiedy ten miał otwarte oko - tak samo jak Lolla-Wossiky nie widział chłopca. To przecież koniec snu, a Lolla-Wossiky był bestią snu chłopca. Miał obowiązek dostarczyć mu wizji, nie być widzianym jako on sam, whisky-Czerwony z wybitym okiem.

Jaką wizję mu pokażę?

Lolla-Wossiky sięgnął pod spodnie białego człowieka, gdzie wciąż nosił swoją przepaskę. Wyjął z pochwy nóż. Wzniósł obie ręce, jedną z nożem. A potem zamknął oko.

Chłopiec nadal go nie widział - powieki miał spuszczone. Lolla-Wossiky zebrał więc białe światło, które wyczuwał wokół. Ściągnął je do siebie, aż poczuł, że jaśniej coraz bardziej. Lśnienie wydobywało się przez skórę, dlatego rozerwał na piersi koszulę białego człowieka. Potem znów podniósł ręce. Teraz, nawet przez spuszczone powieki, chłopiec widział blask.

Otworzył oczy.

Lolla-Wossiky wyczuł grozę, jaką wzbudziła w chłopcu postać, w którą się zmienił: lśniący, jaśniejący Czerwony z ostrym nożem w dłoni. Ale nie strachu pragnął Lolla-Wossiky. Nikt nie powinien się lękać swojej bestii snów. Dlatego pchnął światło do chłopca, objął go blaskiem, a ze światłem przesłał spokój, spokój... Nie bój się.

Chłopcu ulżyło trochę, ale nadal wiercił się w łóżku, aż usiadł oparty o ścianę.

Nadszedł czas, by go obudzić ze snu trwającego całe życie. Skąd Lolla-Wossiky wiedział, co powinien zrobić? Żaden człowiek, biały czy czerwony, nie był nigdy bestią snów innego człowieka. A jednak, nie myśląc, wiedział, co chłopiec powinien zobaczyć i poczuć. Lolla-Wossiky wierzył, że ma prawo uczynić wszystko, co przyjdzie mu do głowy. I to właśnie czynił.

Mocniej chwycił lśniący nóż, przycisnął ostrze do lewej dłoni... i ciął. Ostro, mocno, głęboko, aż krew trysnęła z rany, popłynęła wzdłuż przedramienia i ściekła do rękawa. Po chwili zaczęła spływać na podłogę.

Ból nadszedł po chwili, nagle. Lolla-Wossiky wiedział, jak przyjąć ból, zmienić go w obraz i przesłać do myśli chłopca. Obraz sypialni jego sióstr - taki, jaki widzi małe, słabe stworzenie.

Wbiega głodne, głodne, szuka jedzenia pewne, że znajdzie je tutaj, na miękkim ciele, tak obiecano, wspiąć się na ciało i znaleźć jedzenie. Ale wielkie dłonie gniotą i strącają... Małe stworzonko spada na podłogę. Deski drżą od kroków olbrzymów, niespodziewany cień, ból śmierci.

I znowu, i znowu, i znowu... każde z osobna drobne życie, ufne i zdradzone, zmiażdżone, wstrząśnięte.

Wiele przeżyło, ale cofnęły się, rozbiegły, uciekły. Pokój sióstr to pokój śmierci, tak, muszą stąd uciekać. Ale lepiej tu zostać i umrzeć, niż pobiec do tamtego pokoju, pokoju kłamstw. Nie słownych, gdyż w życiu małego stworzonka słowa nie istnieją, nie ma myśli, które można by nazwać myślami. Ale strach przed śmiercią nie był tak silny jak inny rodzaj strachu: strachu przed światem, który oszalał, miejscem gdzie wszystko może się zdarzyć, niczemu nie można zaufać, nie ma nic pewnego. To straszne miejsce.

Lolla-Wossiky przerwał wizję. Chłopiec zasłaniał dłońmi oczy i szlochał rozpaczliwie. Lolla-Wossiky nie widział nikogo, kogo by tak dręczyły wyrzuty sumienia. Wizja, którą zesłał małemu, była potężniejsza niż jakikolwiek sen, który człowiek mógł sam sobie wyobrazić. Jestem straszną bestią snów, pomyślał Lolla-Wossiky. Będzie żałował, że go obudziłem.

Zalękniony własną siłą Lolla-Wossiky otworzył oko.

Chłopiec zniknął natychmiast i Lolla-Wossiky wiedział, że dla niego on zniknął także. Co teraz? Zastanowił się. Czy jestem tu, aby doprowadzić tego chłopca do oblędu? Dać mu coś tak strasznego jak czarny szum we mnie?

Po drganiach łóżka, po ruchach pościeli poznawał, że chłopiec wciąż płacze. Lolla-Wossiky zamknął oko i znowu posłał mu światło. Spokój, spokój.

Szloch zmienił się w ciche łkanie. Chłopiec spojrzał na Lolę-Wossiky, wciąż płonącego oślepiającym blaskiem.

Lolla-Wossiky nie wiedział, co robić. Jeszcze milczał w niepewności, gdy Alvin zaczął mówić, obiecywać...

- Przepraszam. Nigdy już tego nie zrobię. Nigdy...

Mamrotał nieskładnie. Lolla-Wossiky przesłał mu więcej światła, żeby mógł widzieć wyraźniej. Dla chłopca było to jak pytanie: Czego już nigdy nie zrobisz?

Alvin nie potrafił odpowiedzieć. Nie wiedział. Co właściwie zrobił? Czy to wszystko dlatego, że posłał karaluchy na śmierć?

Spojrzał na Jaśniejącego Człowieka i zobaczył wizję Czerwonego: klęczał przed jeleniem, wołając go, by podszedł i zginał. Zwierz zbliżył się drżący i przestraszony; Czerwony wypuścił strzałę, która utkwiała mu w boku. Pod jeleniem ugięły się nogi. Upadł. To nie śmierć ani zabijanie były grzechem Alvina, ponieważ śmierć i zabijanie są częścią życia.

Czy chodzi o moc, którą posiada? Talent sprawiania, że wszystko działo się tak, jak tego zapragnął, rzeczy pękały w odpowiednich miejscach albo pasowały do siebie tak dokładnie, że łączyły się już na zawsze, choć się ich nie zbijało ani nie kleiło? Dar układania rzeczy we właściwym porządku? Czy o to chodzi?

Znów popatrzył na Jaśniejącego Człowieka. Teraz zobaczył siebie, jak ściska w dłoniach kamień, a kamień pod jego palcami topnieje niby masło i przybiera dokładnie taki kształt, jakiego Al zapragnął. Gładki i pełny, idealna kula... wyrwa się ze zbocza góry i toczy w dół; rośnie i rośnie, aż staje się całym światem, uformowanym przez jego ręce, z drzewami i trawą wyrastającymi na powierzchni, ze zwierzętami biegającymi, skaczącymi, fruującymi i ryjącymi pod i nad kamienną kulą, którą stworzył. Nie, jego moc nie jest straszna. Jest wspólna - pod warunkiem, że użyje jej właściwie.

Ale jeśli nie chodzi o śmierć i nie chodzi o jego moc, to co właściwie zrobił źle?

Tym razem Jaśniejący Człowiek niczego mu nie pokazał. Tym razem odpowiedź nie nadeszła w formie wizji. Alvin odczytał ją we własnym umyśle. Czuł się tak, jakby nie mógł zrozumieć, był zbyt głupi, by zrozumieć, a potem nagle wiedział.

To dlatego, że zrobił to dla siebie. Karaluchy wierzyły, że to dla nich, ale naprawdę dla siebie. Zranił karaluchy, przestraszył siostry, kazał wszystkim cierpieć i dlaczego? Dlatego, że Alvin Miller Junior był zły i chciał się zemścić.

Spojrzał na Jaśniejącego Człowieka i zobaczył, że płomień strzela z jednego oka i trafia go prosto w serce.

- Nigdy nie użyję tego dla siebie - wymruczał Alvin Junior. A kiedy wyrzekł te słowa, miał wrażenie, że serce stanęło mu w ogniu: tak gorąco płonęło w piersi.

A Jaśniejący Człowiek znowu zniknął.

Lolla-Wossiky stał zdyszany. W głowie mu się kręciło. Był słaby, wyczerpany. Nie miał pojęcia, o czym myśli chłopiec. Wiedział tylko, jakie wizje mu pokazać... a na końcu już żadnej, tylko stać w miejscu, tyle tylko powinien robić, stać tam i stać, póki nagle nie wysze chłopcu mocnego pulsu ognia, który rozpali mu serce.

I co teraz? Dwa razy już zamknął oko i pojawił się przed chłopcem. Czy to koniec? Wiedział, że nie.

Po raz trzeci Lolla-Wossiky zamknął oko. Widział teraz, że chłopiec jaśnieje mocniej od niego, że blask przepłynął z niego do dziecka. I wtedy zrozumiał: był bestią snów Alvina, ale i Alvin był jego bestią snów. Nadszedł czas, by obudził go ze snu życia.

Przeszedł trzy kroki i uklęknął obok łóżka, przysuwając twarz blisko drobnej, przestraszonej twarzyczki chłopca, która lśniła teraz tak jasno, że Lolla-Wossiky z trudem poznawał, że to dziecko, nie mężczyzna na niego patrzy. Czego chce od niego? Po co tu przyszedłem? Co może mi dać to potężne dziecko?

- Wszystkie rzeczy uczynić całością - wyszeptał Lolla-Wossiky. Przemówił nie po angielsku, ale w języku Shaw-Nee.

Czy Alvin zrozumiał? Uniósł małą dłoń i dotknął policzka Lolli-Wossiky tuż pod wybitym okiem. Przesuwał palec w górę, aż dotarł do obwisłej powieki.

Coś trzasnęło nagle i strzeliła iskra. Chłopiec syknął cicho i cofnął rękę. Lolla-Wossiky nie widział go, gdyż chłopiec nagle stał się niewidoczny. Ale Lolla-Wossiky nie dbał o to, co widzi, gdyż najbardziej niezwykle ze wszystkiego było to, co czuł.

Cisza. Zielona cisza. Czarny szum zniknął całkowicie i bez śladu. Powróciło wyczucie krainy, stara rana została uleczone.

Lolla-Wossiky z trudem chwycił oddech. Kraina powróciła do niego, była w nim tak jak dawniej. Minęło tyle lat... Zapomniał, jakie to uczucie: widzieć na wszystkie strony, słyszeć oddech każdego zwierzęcia, wąchać zapach każdej rośliny. Człowiek, co konał z pragnienia, gdy nagle poczuje lejącą się w gardło tak szybko zimną wodę, nie nadąża jej

przełykać, nie może oddychać. To jest to, za czym tęsknił, ale za silne, nie zdoła tego w sobie zawrzeć, nie wytrzyma...

- Nie udało się - szepnął chłopiec. - Przepraszam.

Lolla-Wossiky otworzył zdrowe oko i po raz pierwszy zobaczył malca jak zwykłego człowieka. Alvin wpatrywał się w jego martwą powiekę. Lolla-Wossiky nie pojmował dlaczego; sięgnął ręką, dotknął jej - nadal zwisała bezwładnie nad pustym oczodołem. I wtedy zrozumiał. Chłopiec myślał, że tę ranę ma wyleczyć. Nie, nie bądź rozczarowany, dziecko, uleczyłeś prawdziwe kalectwo. Czym jest dla mnie ta drobna rana? Nie straciłem wzroku - to poczucie krainy odeszło, a ty mi je oddałeś.

Chciał wykrzyczeć to chłopcu, wykrzyczeć i zaśpiewać z radości. Ale uczucie było zbyt silne. Słowa nie docierały do ust. Nie mógł nawet przesłać mu wizji, gdyż obaj już się przebudzili. Sen dobiegł końca. Byli dla siebie nawzajem bestiami snów.

Lolla-Wossiky chwycił Alvina za ramiona, przyciągnął do siebie i ucałował w czoło, mocno, jak ojciec syna, jak brat brata, jak przyjaciel prawdziwego przyjaciela na dzień przed śmiercią. Potem podbiegł do okna, przeskoczył parapet i wylądował miękko. Ziemia poddała się jego stopom, jak poddawała się stopom innych Czerwonych, a czego nie czyniła dla niego od lat. Trawa wznosiła się tam, gdzie stąpnął, krzewy rozsuwały się przed nim, liście miękły i gięły się, gdy biegł między drzewami. Dopiero teraz zawołał, krzyknął, zaśpiewał nie dbając o to, kto go usłyszy. Zwierzęta nie uciekały przed nim jak dawniej; podchodziły, by słuchać jego pieśni; ptaki budziły się, by śpiewać wraz z nim; sarna wyskoczyła z lasu i biegła z nim po łąkach, a on opierał rękę na jej boku.

Biegł, aż nie mógł złapać tchu, a przez cały czas nie spotkał żadnego nieprzyjaciela, nie poczuł bólu; znów był całością. Stał na brzegu Wobbish, naprzeciw ujścia Chybotliwego Kanoe, zasapany, roześmiany, zdyszany.

Dopiero teraz zauważył, że krew wciąż cieknie mu z dłoni, którą skaleczył, by przekazać ból białemu chłopcu. Spodnie i koszula zeszytniały od krwi. Ubranie białego człowieka! Nigdy nie było mu potrzebne. Zerwał je z siebie i cisnął do wody.

I stało się coś dziwnego: ubranie tkwiło w miejscu. Leżało na powierzchni wody, nie tonąc, nie przesuwając się z prądem w lewo.

Jak to możliwe? Czyżby nadal trwał sen? Czyżby nie przebudził się do końca?

Lolla-Wossiky zamknął oko.

Natychmiast zobaczył coś tak potwornego, że krzyknął ze strachu. Gdy tylko zamknął oko, spostrzegł znowu czarny szum, szeroką wstęgę szumu twardego i nieruchomego. To była rzeka... zbudowana ze śmierci.

Otworzył oko i znowu widział wodę. Ale ubranie nadal tkwiło na miejscu.

Zamknął oko. Na czarnej powierzchni wokół ubrania błyszczało światło. Rozlewało się, lśniło, oślepiało. To jarzyła się jego własna krew.

Teraz spostrzegł, że czarny szum nie był czymś. Był niczym, pustką. Miejscem, gdzie kończyła się kraina i zaczynała nicość. Krańcem świata. Ale miejsce, gdzie skrzyła się jego krew, było niby most nad otchłanią. Nie otwierając oka, Lolla-Wossiky przyklęknął, wyciągnął zranioną krwawiącą dłoń i dotknął wody.

Była twarda. Ciepła i twarda. Rozsmarował krew po powierzchni, aż utworzyła platformę. Wczołgał się na nią. Gładka i twarda jak lód, tyle że ciepła, przyjazna.

Otworzył oko. Znow zobaczył wodę, ale pod nim przypominała kamień. Tam, gdzie dotknęła jej krew, stała się sztywna i równa.

Podczołgał się do ubrania i przesuwając je przed sobą. Popęzł tak na sam środek rzeki i dalej, wznosząc po drodze wąski, jasny most krwi, sięgający drugiego brzegu.

To, co robił, było niemożliwe. Chłopiec nie tylko go uleczył. Dokonał czegoś więcej: odmienił porządek rzeczy. To przerażające i cudowne. Lolla-Wossiky spojrzał między dłońmi na wodę. Zobaczył własne jednookie odbicie. Wtedy zamknął oko i pojawiła się całkiem nowa wizja.

Lolla-Wossiky zobaczył siebie, jak stoi na polanie i przemawia do stu czerwonych ludzi, do tysiąca ze wszystkich plemion, pięciu tysięcy, dziesięciu tysięcy Czerwonych silnych i pełnych, wolnych od whisky białego człowieka, od nienawiści Białych. W tej wizji nazywali go Prorokiem, ale on upierał się, że wcale nim nie jest. Był tylko bramą, otwartą bramą. Przejdźcie, mówił, i bądźcie silni, jeden lud, jedna kraina.

Brama. Tenska-Tawa.

W tej wizji pojawiła się twarz matki i to ona wymówiła te słowa. Tenska-Tawa! Takie jest teraz twoje imię, gdyż śpiący się przebudził.

I więcej, o wiele więcej zobaczył tej nocy, wpatrując się w skamieniałą wodę Wobbish. Zobaczył tak wiele, że nigdy nie zdołał wszystkiego opowiedzieć. W czasie godziny na wodzie obejrzał całą historię krainy, życie każdego mężczyzny i każdej kobiety, Białych, Czerwonych i Czarnych, którzy postawili na niej stopę. Widział początek i koniec. Wielkie wojny i drobne okrucieństwa, wszystkie mordy i wszystkie przewinienia... Ale też wszelkie dobro i piękno.

A nade wszystko zobaczył wizję Kryształowego Miasta. Miasta zbudowanego z wody twardej i czystej jak szkło, wody, co nigdy się nie rozplynie, z której wznosi się wieże tak wysokie, że mogłyby rzucać cienie długie na siedem mil. Ale że były tak czyste i przejrzyste,

nie rzucały cienia wcale, a słoneczne promienie bez przeszkód przenikały każdy ich cal, jard i milę. Gdziekolwiek stanęli mężczyzna czy kobieta, mogli spojrzeć w głąb kryształu i zobaczyć wszystkie wizje, które oglądał teraz Lolla-Wossiky. Absolutne zrozumienie - oto, co otrzymali. Spojrzenie oczami czystego słonecznego blasku i przemawianie głosem błyskawicy.

Lolla-Wossiky, który od teraz nazywany będzie Tenska-Tawa, nie wiedział, czy zbuduje Kryształowe Miasto, czy w nim zamieszka, czy w ogóle zobaczy je przed śmiercią. Wystarczy, jeśli dokona tego, co jako pierwsze oglądał w skamieniałej wodzie Wobbish. Patrzył i patrzył, aż wreszcie jego umysł nie widział już niczego. Potem przeczołgał się na drugi brzeg, wyszedł na ziemię i siedł przed siebie, aż dotarł na łąkę, którą zobaczył w wizji.

To tutaj zwoła razem wszystkich Czerwonych, nauczy tego, co zobaczył w wizji, i pomoże im zostać nie najsilniejszymi, ale silnymi; nie największymi, ale wielkimi; nie najwolniejszymi, ale wolnymi.

Pewna beczułka w rozwidleniu konarów pewnego drzewa. Przez całe lato była ukryta przed wzrokiem patrzącego z dołu.

Jednak nadal znajdował ją deszcz i upał letnich dni, insekty i zęby szukających soli wiewiórek. Na przemian wilgotna i sucha, rozgrzana i chłodna... w takich warunkach żadna beczułka nie przetrwa wiecznie. Pękła - odrobinę, ale wystarczająco; płyn ze środka sączył się kropla za kroplą i po kilku godzinach beczułka była pusta.

Nie miało to znaczenia. Nikt jej nie szukał. Nikt za nią nie zatęsknił. Nikt nie płakał, kiedy zimą rozsadził ją lód, a klepki posypały się z drzewa w śnieg.

ROZDZIAŁ 5 - ZNAK

Kiedy do gubernatora Billa Harrisona doszła wieść o jednookim Czerwonym, którego nazywają Prorokiem, roześmiał się.

- Przecież to nie kto inny jak mój stary przyjaciel, Lolla-Wossikey. Kiedy skończy mu się ta beczułka whisky, którą mi ukradł, skończą się jego wizje.

Po pewnym czasie jednak gubernator Harrison zauważył, jak wielką wagę przywiązuje się do słów Proroka, jak wielu Czerwonych wymawia jego imię z takim szacunkiem, z jakim szczerzy chrześcijanin wymawia imię Jezusa. Zaniepokoił się nieco. Wezwał zatem wszystkich Czerwonych z okolic Carthage City - było to wkrótce po dniu whisky, więc nie zabrakło mu publiczności - i wygłosił do nich przemówienie. A w przemówieniu tym powiedział w szczególności jedno:

- Jeśli stary Lolla-Wossikey rzeczywiście jest Prorokiem, to powinien sprawić cud, pokazać, że potrafi nie tylko gadać. Powinniście kazać mu odciąć sobie rękę albo nogę, a potem umocować z powrotem. To byłby dowód, że prawdziwy z niego prorok. Albo jeszcze lepiej, niech wydłubie sobie oko a potem je wyleczy. Co mówicie? Że ma już wybite oko? To znaczy, że dojrzał do cudu, zgadza się? Powiadam wam, nie jest żadnym prorokiem, dopóki ma tylko jedno oko.

Wieść o tym dotarła do Proroka, kiedy nauczał na łące opadającej łagodnie ku brzegowi Chybotliwego Kanoa, niecałą milę od miejsca, gdzie rzeka wlewała swe wody do Wobbish. Jacyś whisky-Czerwoni powtórzyli mu wyzwanie. Drwili nawet z Proroka, mówiąc:

- Przyszliśmy zobaczyć, czy uleczysz swoje oko.

Prorok przyjrzał im się zdrowym okiem i tak odpowiedział:

- Tym okiem widzę dwóch czerwonych ludzi, słabych i chorych, niewolników trunku. Takich ludzi, co drwią ze mnie słowami człowieka, który zamordował mojego ojca.

Potem zamknął zdrowe oko i tak powiedział:

- A tym okiem widzę dwóch synów krainy, całych, silnych i pięknych, którzy kochają swe żony i dzieci, którzy czynią dobro wszelkim stworzeniom.

Po czym znowu otworzył oko i rzekł:

- Które oko jest chore, a które widzi prawdziwie? A oni odpowiedzieli na to:

- Tenska-Tawa, jesteś prawdziwym Prorokiem i masz dwoje zdrowych oczu.

- Idźcie i powtórzcie Białemu Mordercy Harrisonowi, że widzieliście znak, którego żądał. I powiedzcie mu jeszcze o innym znaku, o który wcale nie prosił. Powiedźcie, że pewnego dnia pożar wybuchnie w jego domu. Ognia nie rozpali ludzka ręka. Dopiero deszcz stłumi ten pożar, a zanim zgaśnie, płomienie odbiorą mu coś, co kocha bardziej niż własną rękę, nogę albo oko. I nie będzie w jego mocy, by to przywrócić.

ROZDZIAŁ 6 - BECZUŁKA PROCHU

Hooch nie wierzył własnym uszom.

- To znaczy, że nie chcecie całego transportu?

- Nie zużyliśmy jeszcze tego, coście nam sprzedali ostatnim razem, Hooch - odparł kwatermistrz. - Cztery beczułki, więcej nam nie trzeba. Prawdę mówiąc, i tego będzie aż nadto.

- Płynę rzeka od Dekane wyładowany whisky, nie zatrzymuję się, żeby sprzedać coś w miastach po drodze, poświęcam się, a wy mówicie...

- Spokojnie, Hooch. - Kwatermistrz uśmiechnął się krzywo. - Wszyscy przecież wiemy, co to za poświęcenie. Myślę, że bez trudu odrobicie straty. A jeśli nie, no cóż... To znaczy, że nierozsądnie zagospodarowaliście to, coście zarobili na nas poprzednim razem.

- Kto jeszcze wam sprzedaje?

- Nikt.

- Już prawie siedem lat przypływam do Carthage City, a od czterech miałem monopol...

- I gdybyście trochę pomyśleli, przypomnielibyście sobie, że za dawnych lat większość waszego trunku kupowali Czerwoni.

Hooch rozejrzał się, odszedł kawałek, stanął na wilgotnym, porośniętym trawą brzegu. Krypta kołysała się leniwie. To fakt, nie zauważył żadnych Czerwonych. Ani jednego. Wiedział, że to nie żaden spisek. Już ostatnio Czerwonych było mniej, ale przecież zawsze znalazło się paru pijaków.

Odwrócił się i krzyknął do kwatermistrza:

- Więc nie został już ani jeden whisky-Czerwony, tak?

- Pewnie, są whisky-Czerwoni. Ale whisky jeszcze się nie skończyła. Dlatego leżą gdzieś teraz pijani.

Hooch zaklął.

- Porozmawiam o tym z gubernatorem.

- Nie, dzisiaj nie porozmawiacie - oświadczył kwatermistrz. - Jest bardzo zajęty.

Hooch uśmiechnął się krzywo.

- Dla mnie znajdzie wolną chwilę.

- Na pewno nie, Hooch. Powiedział to wyraźnie.

- Moim zdaniem, on może sobie myśleć, że jest za bardzo zajęty, ale ja wcale tak nie myślę.

- Jak tam chcecie - mruknął żołnierz. - Mam wyładować te cztery beczułki?

- Nie - odparł Hooch.

A potem krzyknął do swoich chłopców, zwracając się głównie do Mike'a Finka, bo Fink wyglądał, jakby w razie potrzeby potrafił kogoś zabić:

- Jakby ktoś próbował położyć łapę na tej whisky, chcę zobaczyć cztery dziury po kulach w jego ciele, zanim zrzucimy je do wody!

Chłopcy pomachali mu ze śmiechem... oprócz Mike'a Finka, który tylko bardziej wykrzywił gębę. Stary z niego zabijaka. Podobno łatwo poznać ludzi, którzy próbowali się z nim zmierzyć: nie mają uszu. I podobno jest tylko jeden sposób, żeby wyrwać się Finkowi z jednym uchem wciąż trzymającym się głowy: poczekać, aż zacznie przeżuwać odgryzione ucho, i wtedy strzelić do niego ze dwa razy, żeby odwrócić jego uwagę. A potem uciekać. Dobry chłopak na rzekę. Ale Hooch odczuwał pewien niepokój na myśl o tym, co zrobi Fink, jeśli nie dostanie swoich pieniędzy. Bill Harrison musi zapłacić za cały ładunek whisky. Inaczej będzie miał kłopoty.

Przechodząc przez bramę, Hooch zauważył kilka rzeczy. Wisiała na niej ta sama tablica, którą Harrison umieścił cztery lata temu. Nikt jej nie zmieniał, choć była już mocno podniszczona i wyblakła. Miasto też nie rosło. Wszystko straciło już blask nowości i sprawiało wrażenie zaniedbania.

Zupełnie inaczej miały się sprawy na Terytorium Hio. Otoczone palisadami małe miasteczka rozrastały się w prawdziwe miasta i nawet ulice miały wybrukowane. Hio kwitło, przynajmniej we wschodniej części, niedaleko Suskwahenny. Ludzie zastanawiali się już, kiedy zostaną pełnoprawnym stanem.

Ale w Carthage City Hooch nie dostrzegł żadnych śladów rozkwitu.

Szedł główną ulicą wewnątrz palisady. Nadal było tu sporo żołnierzy i nadal wyglądali na zdyscyplinowanych, to trzeba gubernatorowi Billowi przyznać. Ale tam gdzie kiedyś leżeli whisky-Czerwoni, teraz kręciły się różne ciemne typy, rzeczne szczury paskudniejsze jeszcze od Mike'a Finka, nie ogoleni i cuchnący whisky gorzej niż którykolwiek z pijanych Czerwonych. Cztery stare domy przerobiono na saloony i te dobrze prosperowały - nawet teraz, wczesnym popołudniem.

To jest powód, myślał Hooch. Na tym polega kłopot. Carthage City zmieniło się w rzeczne miasto, miasto saloonów. Nikt nie chce zamieszkać w tej okolicy, w sąsiedztwie tych wszystkich rzecznych szczurów. To miasto whisky.

Ale skoro to miasto whisky, gubernator Bill powinien kupować ją ode mnie, zamiast wygadywać bzdury, że wezmą tylko cztery beczułki.

- Może pan czekać, panie Palmer, jeśli pan ma ochotę, ale gubernator dzisiaj pana nie przyjmie.

Hooch usiadł na ławce przed gabinetem Harrisona. Zauważył, że gubernator zamienił się ze swoim adiutantem. Oddał swój piękny duży pokój za klitkę? Mniej miejsca, ale... wewnątrz żadnych okien. Ciekawe. To znaczy, że Harrison nie lubi, kiedy ludzie na niego patrzą. Może nawet się boi, że ktoś go zabije.

Hooch siedział przez dwie godziny. Przyglądał się, jak wchodzą i wychodzą żołnierze. Usiłował nie wpadać we wściekłość. Harrison robił czasem takie numery: kazał komuś czekać i czekać, żeby się rozzłościł i nie mógł rozsądnie myśleć. A czasami po to, żeby ten ktoś się obraził i sobie poszedł. Albo poczuł się mały i nieważny, żeby Harrison mógł go trochę postraszyć. Hooch wiedział to wszystko, dlatego starał się zachować spokój. Ale kiedy zbliżał się wieczór, kiedy żołnierze zmieniali warty i schodzili ze służby, nie wytrzymał.

- Co wy tu wyprawiacie? - zwrócił się do kaprała siedzącego za biurkiem.

- Kończę służbę - odpowiedział kapral.

- Ale ja jeszcze tu jestem.

- Wy też możecie skończyć, jeśli macie ochotę.

Ta bezczelna odpowiedź podziałała niczym policzek. Były czasy, kiedy wszyscy ci chłopcy usiłowali przyssać się do Hoocha Palmera. I te czasy zmieniły się nazbyt szybko. Hoochowi wcale się to nie podobało.

- Mógłbym kupić twoją starą matkę i sprzedać ją z zyskiem - oświadczył.

To go ugodziło. Kapral nie wyglądał już na znudzonego. Ale nie pozwolił sobie na to, żeby wyskoczyć zza biurka i trzepnąć Hoocha. Stanął tylko mniej więcej na baczność i powiedział:

- Panie Palmer, może pan sobie tu czekać całą noc, a potem jeszcze cały dzień, ale i tak jego ekscelencja pana nie przyjmie. A czekając pokazuje pan tylko, że jest pan zwyczajnie za głupi i nie rozumie, jak sprawy stoją.

W rezultacie to Hooch się zdenerwował i przyłożył kapralowi. Właściwie nawet nie przyłożył. Było to raczej kopnięcie, ponieważ nigdy nie przyswoił sobie zasad walki dżentelmenów. Pojedynek oznaczał dla niego przyczajenie się za skałą, zaczekanie na przeciwnika i strzelenie mu w plecy. A potem szybką ucieczkę. Tak więc kapral oberwał ciężkim butem Hoocha w kolano, przez co noga wygięła mu się do tyłu, całkiem odwrotnie niż powinna. Kapral ryknął jak wściekły, do czego miał pełne prawo, nie tylko z bólu - po

takim kopnięciu noga nigdy już nie będzie mu służyć. Hooch wiedział, że chyba nie powinien tak się zachować, ale chłopak był po prostu bezczelny. Właściwie sam się o to prosił.

Problem w tym, że kapral nie był całkiem sam. Na jego pierwszy krzyk jak spod ziemi wyrósł sierżant i czterech żołnierzy z bagnietami na karabinach. Wściekli jak szerszenie wyskoczyli z gabinetu Harrisona. Sierżant rozkazał dwóm ludziom odnieść kaprała do izby chorych, a pozostali aresztowali Hoocha. Ale nie zrobili tego elegancko, jak cztery lata temu. Tym razem kolby ich muszkietów niby przypadkiem wbijały mu się w ciało, miał też na ubraniu parę odcisków butów - sam nie wiedział, skąd się tam wzięły. Odprowadzili go do więziennej celi - tym razem nie do magazynu. I zostawili - w ubraniu i bardzo obolałego.

Z całą pewnością wiele się zmieniło w Carthage City.

Tej nocy trafiło do aresztu jeszcze sześciu ludzi, trzech za pijaństwo, trzech za bójki. Ani jeden z nich nie był Czerwonym. Hooch słuchał, o czym mówią. Co prawda żaden nie grzeszył rozumem, ale Hooch zwyczajnie nie mógł uwierzyć, że nie rozmawiają o pobiciu jakichś Czerwonych, urządzeniu sobie z nich zabawy albo o czymś w tym rodzaju. Zupełnie jakby Czerwoni całkiem zniknęli z tej okolicy.

A może to prawda? Może Czerwoni rzeczywiście odeszli? Ale to przecież chciał osiągnąć gubernator Harrison. Skoro już nie ma Czerwonych, dlaczego Carthage City nie prosperuje, dlaczego nie tłoczą się tu biali osadnicy?

Jedyną wskazówką było zdanie rzucone przez któregoś z opryszków.

- Jestem bez forsy, dopóki nie zacznie się sezon podatków. - Pozostali pokrzyczeli trochę i poklęli. - Nic nie mam przeciwko pracy dla rządu, ale nie jest to stałe zajęcie.

Hooch nie próbował nawet pytać, o co chodzi. Nie warto zwracać na siebie uwagi. Nie chciał, żeby się rozeszło, jak to pobity spędził noc w areszcie. Takie plotki łatwo znajdują posłuch i niedługo wszyscy zaczęliby uważać, że mogą człowieka pobić. Hooch nie chciał zaczynać życia zwykłego ulicznego zabijaki; nie w tym wieku.

Rankiem przyszli po niego żołnierze. Inni niż wczoraj. I bardziej uważali na swoje kolby i buty. Po prostu wyprowadzili Hoocha z aresztu i w końcu mógł się spotkać z Billem Harrisonem.

Ale nie w gabinecie. Spotkanie nastąpiło w rezydencji gubernatora, w piwnicy. W dodatku doprowadzono tam Hoocha w dość dziwaczny sposób. Żołnierze - musiało ich być z dziesięciu - pomaszerowali za dom, potem nagle jeden odskoczył, szarpnął klapę od piwnicy, a dwóch innych prawie wciągnęło go po schodach. Klapa trzasnęła za nimi, ledwie zdążyli schować głowy... a przez cały czas reszta żołnierzy maszerowała dalej jak gdyby nigdy nic. Hoochowi wcale się to nie podobało. Znaczyło bowiem, że Harrison nie chce, by ktokolwiek

wiedział o tej wizycie. A zatem spotkanie może się skończyć paskudnie, a Harrison zaprzeczy, że w ogóle się odbyło. Oczywiście, żołnierze wiedzieli, ale wiedzieli też o pewnym kapralu, któremu wczoraj wieczorem ktoś wygiął kolano w drugą stronę... Raczej nie zechcą świadczyć na korzyść Hoocha Palmera.

Ale Harrison zachowywał się jak dawniej. Z uśmiechem uściśnął Hoochowi dłoń i poklepał go po ramieniu.

- Jak leci, Hooch?

- Bywało lepiej, gubernatorze. Jak tam żona? I ten malec?

- Zdrowie jej dopisuje, trudno narzekać. Aż dziwne u tak eleganckiej damy tutaj, na pograniczu. A mój mały... niezły z niego żołnierz, uszyliśmy mu nawet mundurek. Powinieneś zobaczyć, jak preży się na paradzie.

- Kiedy słyszę takie rzeczy, myślę czasem, że i mnie pora by się ożenić.

- Zachęcam cię z całego serca. Ojej, Hooch, o czym ja myślę? Siadaj, proszę.

Hooch usiadł.

- Dzięki, Bill.

Harrison z satysfakcją pokiwał głową.

- Miło cię znowu spotkać. To już tyle czasu...

- Szkoda, że nie spotkalismy się wczoraj - mruknął Hooch.

Harrison uśmiechnął się z żalem.

- Sam rozumiesz, byłem zajęty. Czy chłopcy cię nie uprzedzili, że cały dzień nie mam czasu?

- Dla mnie zawsze znajdowałeś czas, Bill.

- Wiesz, jak się niekiedy układa. Masa roboty. Co mogłem poradzić?

Hooch pokręcił głową.

- Posłuchaj, Bill. Chyba już dość długo się okłamujemy. To, co się stało, było częścią planu, i to nie mojego planu.

- O czym ty mówisz, Hooch?

- Mówię, że ten kapral nie chciał pewnie skończyć ze złamaną nogą, ale chyba miał mnie sprowokować, żebym mu przyłożył.

- Miał tylko pilnować, żeby nie przeszkadzał mi nikt, kto nie był umówiony. Nic nie wiem o żadnym innym planie. - Harrison posmutniał. - Hooch, muszę cię uprzedzić, że ta sprawa nie wygląda dobrze. Napad na oficera armii Stanów Zjednoczonych...

- Kapral to nie oficer, Bill.

- Naprawdę żałuję, Hooch, że nie mogę przewieźć cię do Suskwanenny i tam postawić przed sądem. Tam mają prawników, sędziów i tak dalej. Ale proces musi się odbyć tutaj, a sędziowie w tej okolicy nie patrzą przychylnie na takich, co łamią kapralom kolana.

- Powiedzmy, że skończysz z tymi groźbami i wytłumaczysz, czego ode mnie chcesz.

- Chcę? Ja nie proszę cię o przysługę, Hooch. Po prostu martwię się o starego przyjaciela, który wpadł w tarapaty i zadarł z prawem.

- To musi być coś naprawdę obrzydliwego, bo inaczej próbowałbyś mnie przekupić, nie zmuszać. Coś, czego twoim zdaniem nie zrobię, jeśli mnie śmiertelnie nie wystraszysz. I ciągle próbuję sobie wyobrazić, co jest tak okropne, że według ciebie się nie zgodzę. Ta lista nie jest długa, Bill.

Harrison potrząsnął głową.

- Źle mnie oceniasz, Hooch. Całkiem źle.

- To miasto umiera, Bill - stwierdził Hooch. - Sprawy nie układają się tak, jak sobie zaplanowałeś. I według mnie dlatego, że miałeś kilka naprawdę głupich zagrań. Myślę, że Czerwoni zaczęli odchodzić... a może wszyscy wymarli... a ty popełniłeś głupstwo i próbowałeś jakoś sobie odbić stracone dochody z whisky. I sprowadziłeś tu największe męty, najgorszych Białych, jak choćby te rzeczne szczury, co siedziały ze mną w areszcie. Zbierali dla ciebie podatki, tak? Farmerzy nie lubią podatków. A szczególnie nie lubią, kiedy ściągają je takie męty.

Harrison nalał sobie na trzy palce whisky i jednym haustem wypił połowę tej porcji.

- W końcu straciłeś swoich whisky-Czerwonych i straciłeś swoich białych farmerów. Zostali ci tylko żołnierze, rzeczne szczury i tyle pieniędzy, ile potrafisz ukraść z tego, co dostaje armia za utrzymywanie pokoju na Zachodzie.

Harrison wypił resztę whisky i czknął.

- To oznacza, że miałeś pecha, postępowałeś głupio, a teraz myślisz, że jakoś cię z tego wyciągnę.

Harrison nalał do szklanki na kolejne trzy palce. Ale nie wypił, tylko zamachnął się i rzucił ją Hoochowi w twarz. Whisky zalała mu oczy, szklanka odbiła się od czoła, a sam Hooch upadł na podłogę i rozpaczliwie tarł powieki.

Po chwili, z mokrą szmatą na czole, siedział znowu na krześle - o wiele grzeczniejszy i bardziej rozsądny. Wiedział, że Harrison wpadł we wściekłość i Hooch nie dałby teraz sam za siebie złamanego szeląga. Byle tylko ująć stąd z życiem, a potem zobaczymy.

- Nie byłem głupi - burknął Harrison.

Nie, jesteś najmądrzejszym gubernatorem na świecie. Dziwne, że jeszcze nie zostałeś królem. To właśnie Hooch miał ochotę powiedzieć. Ale trzymał gębę na kłódkę.

- To przez Proroka. Tego Czerwonego z północy. Zbudował swoje Prorocze Miasto nad Wobbish, naprzeciwko Vigor Kościoła. I nie wmówisz mi, że był to tylko przypadek. To Armor-of-God, na pewno... próbuje odebrać mi stan Wobbish. I w tym celu wykorzystuje Czerwonego. Wiedziałem, że sporo tych dzikich rusza na północ, wszyscy o tym wiedzieli, ale wciąż miałem swoich whisky-Czerwonych, co jeszcze nie wymarli. A kiedy już będzie ich tu mniej, myślałem, zwłaszcza Shaw-Nee, bo oni odeszli, przyjdzie więcej białych osadników. I nie masz racji co do moich poborców podatkowych. To nie oni wystraszyli farmerów. To Ta-Kumsaw.

- Zdawało mi się, że Prorok.

- Nie drażnij mnie, Hooch. Ostatnio nie mam jakoś cierpliwości.

Czemu mnie nie uprzedziłeś, zanim cisnąłeś tą szklanką?

Nie, nie, nie mów nic, co mogłoby go rozgniewać.

- Przepraszam, Bill.

- Ta-Kumsaw jest naprawdę sprytny. Nie zabija Białych. On tylko przyjeżdża na farmę z pięćdziesięcioma Shaw-Nee. Do nikogo nie strzela. Ale kiedy Biali widzą wokół domu pięćdziesięciu wymalowanych wojowników, niekoniecznie dochodzą do wniosku, że rozsądnie jest zaczynać strzelaninę. I patrzą tylko, jak Shaw-Nee otwierają wszystkie bramy, stajnie i zagrody. Wypuszczają zwierzęta. Konie, świnie, krowy, kury... Jak Noe, który prowadził zwierzęta do arki, Shaw-Nee odchodzi w las i cała trzoda biegnie za nim. I tyle. Nikt ich więcej nie ogląda.

- Nie powiesz chyba, że nigdy nie złapali chociaż paru sztuk?

- Wszystkie znikają. Nie znaleźliśmy nawet ich śladów. Ani jednego kurzego piórka. To właśnie wypędziło stąd farmerów: wiedzieli, że lada dzień mogą stracić całą swoją trzodę.

- Shaw-Nee zjadają te zwierzęta, czy co? Nie ma takiej sprytnej kury, co by długo przeżyła w lesie. To tylko prezent gwiazdkowy dla lisów.

- Skąd mogę wiedzieć? Farmerzy przychodzą do mnie i mówią: odzyskaj nasze zwierzęta albo zabij Czerwonych, którzy je ukradli. Ale ani moi żołnierze, ani moi zwiadowcy, ani nikt nie potrafi znaleźć ludzi Ta-Kumsawa. Nawet jednej wioski. Próbowałem zaatakować osadę Caska-Skeeaw nad Małą My-Ammy, ale tylko przekonałem do odejścia jeszcze więcej Czerwonych. A Ta-Kumsaw nawet nie przyhamował.

Hooch bez trudu mógł sobie wyobrazić, jak wyglądał ten atak na wieś Caska-Skeeaw. Starcy, kobiety, dzieci, ich ciała podziurawione kulami i wpół spalone... Hooch dobrze wiedział, jak Harrison postępuje z Czerwonymi.

- Aż w końcu miesiąc temu zjawia się Prorok. Wiedziałem, że przybywa. Nawet whisky-Czerwoni nie potrafili o niczym innym rozmawiać. Prorok nadchodzi. Idź zobaczyc Proroka. Próbowałem się dowiedzieć, gdzie się zatrzyma, gdzie wygłosi tę swoją przemowę, posłałem nawet paru oswojonych Czerwonych, żeby to wykryli. Nic z tego, Hooch. Ani słówka. Nikt nie wiedział. I pewnego dnia rozeszło się po całym mieście: Prorok tu jest. Gdzie? Chodź, Prorok już przybył. Nikt nie powiedział gdzie. Przysięgam, że ci Czerwoni umieją rozmawiać bez słów. Rozumiesz, o co mi chodzi.

- Bill, powiedz, że miałeś tam szpiegów, bo pomyślę, że tracisz rozum.

- Szpiegów? Sam tam poszedłem, co ty na to? A wiesz jak trafiłem? Ta-Kumsaw przysłał mi zaproszenie. To przekracza ludzkie pojęcie. Bez żołnierzy, bez broni, tylko ja.

- I poszedłeś? Mógł cię złapać i...

- Dał słowo. Ta-Kumsaw jest może Czerwony, ale dotrzymuje słowa.

Hooch uznał to za zabawne. Harrison, który przechwalał się, że nigdy nie dotrzymał obietnicy danej Czerwonemu, liczył, że Ta-Kumsaw dotrzyma swojej. No, ale wrócił żywy, prawda? Czyli na słowie Ta-Kumsawa można polegać.

- Poszedłem. Byli tam chyba wszyscy Czerwoni z całego rejonu My-Ammy. Co najmniej dziesięć tysięcy. Siedzieli na porzuconym polu kukurydzy... Nie brakuje ich tutaj, mozesz mi wierzyć. Dzięki Ta-Kumsawowi. Gdybym miał tam swoje dwa działa i setkę żołnierzy, mógłbym za jednym zamachem rozwiązać problem Czerwonych.

- Szkoda, że nie miałeś - mruknął Hooch.

- Ta-Kumsaw chciał, żebym usiadł na samym przodzie, ale odmówiłem. Trzymałem się z tyłu i słuchałem. Prorok wyszedł, stanął na jakimś starym pniaku i gadał, gadał, gadał.

- Zrozumiałeś coś? No wiesz, nie znasz przecież mowy Shaw-Nee.

- Mówił po angielsku, Hooch. Za dużo było tam różnych plemion. Angielski to jedyny język, który znali wszyscy. Owszem, czasem przechodził na ten bełkot Czerwonych, ale raczej trzymał się angielskiego. Opowiadał o przeznaczeniu czerwonego człowieka. Strzeżcie się białych trucizn. Żyćcie wspólnie i wypełnijcie sobą część krainy tak, żeby biały człowiek miał swoje miejsce i czerwony człowiek swoje. Wzniesmy miasto... Kryształowe miasto, powiedział, i brzmiało to całkiem realnie, tyle że żaden z tych dzikusów nie umie nawet wybudować porządnej szopy. Lepiej nie myśleć, co się będzie działo, kiedy zaczną budować miasto ze szkła. Ale najczęściej powtarzał: Nie pijcie trunków! Ani kropli. Rzućcie to,

trzymajcie się od whisky z daleka. Trunek to łańcuchy białego człowieka, łańcuchy i bat, łańcuchy, bat i nóż. Najpierw was schwyta, potem was wychłosta, potem was zabije. A kiedy biały człowiek zabije was wszystkich swoją whisky, wtedy przyjdzie i zabierze waszą ziemię, zniszczy ją, uczyni pustą, martwą, bezużyteczną.

- Wygląda na to, Bill, że zrobił na tobie wrażenie - zauważył Hooch. - Zupełnie jakbyś nauczył się na pamięć tego kazania.

- Na pamięć? On gadał przez bite trzy godziny. Mówił o wizjach przeszłości, wizjach przyszłości. Mówił o... rany, Hooch, to jakiś wariat, ale Czerwoni spijali jego słowa jak... jak...

- Whisky.

- Jak whisky... ale zamiast whisky. Wszyscy za nim poszli. W każdym razie prawie wszyscy. Zostało tylko paru whisky-Czerwonych, którzy niedługo i tak zdechną. I moi oswojeni Czerwoni, naturalnie, ale to co innego. I jeszcze jacyś dzicy za Hio.

- Poszli za nim dokąd?

- Do Proroczego Miasta. I to mnie dobija, Hooch. Wszyscy Czerwoni idą do Proroczego Miasta albo gdzieś niedaleko, a po drugiej stronie rzeki leży Vigor Kościół. I właśnie tam odchodzą wszyscy Biali! No, może nie wszyscy do Vigor Kościoła, ale na te ziemie, których mapy trzyma ten piekielny Armor Weaver. To wspólnicy, Hooch, mówię ci, że wspólnicy: Ta-Kumsaw, Armor-of-God Weaver i Prorok.

- Całkiem możliwe.

- A najgorsze, że chyba z tysiąc razy miałem tego Proroka w moim własnym gabinecie. Mogłem zabić chłopaka i oszczędzić sobie zmartwień... Ale skąd człowiek może wiedzieć?

- Znasz go?

- Chcesz powiedzieć, że ty go nie znasz?

- Niewiele Czerwonych znam z imienia, Bill.

- A gdybym ci powiedział, że ten ma tylko jedno oko?

- Nie mówisz chyba o Lolli-Wossiky?

- Właśnie o nim.

- Ten jednooki pijak?

- Bóg mi świadkiem, Hooch. Teraz nazywa siebie Tenska-Tawa. To znaczy "otwarte drzwi" czy coś w tym rodzaju. I chciałbym te drzwi zamknąć. Powinienem był go zabić, kiedy miałem okazję. Ale kiedy uciekł... bo uciekł, jak wiesz, ukradł beczułkę i uciekł do lasu...

- Byłem tu wtedy. Pomagałem go ścigać.

- No więc, kiedy nie wrócił, pomyślałem, że pewno zapił się ma śmierć whisky z tej beczułki. A on wraca i opowiada Czerwonym, jak to kiedyś pił bez przerwy, ale Bóg zesłał mu wizję i teraz nie pije już wcale.

- Niech też ześle mi wizję, a skończę z piciem.

Harrison znowu łyknął whisky. Tym razem z karafki, bo szklanka leżała w kącie na podłodze.

- Widzisz teraz mój problem, Hooch.

- Widzę wiele twoich problemów, Bill. I nie wiem, który mógłby mieć ze mną cokolwiek wspólnego. Tyle że nie żartowałeś, kiedy kazałeś kwatermistrzowi powiedzieć, że potrzebujecie tylko czterech beczulek.

- Och, to wiąże się z tobą o wiele bardziej, Hooch. Nie bój się. Ponieważ jeszcze nie przegrałem. Prorok odebrał mi wszystkich whisky-Czerwonych, Ta-Kumsaw wystraszył moich białych obywateli. Ale ja się nie poddam.

- Fakt, ty się nie poddajesz - przyznał Hooch.

Jesteś ośliżłym, chytrym wężem, ale się nie poddajesz. Nie powiedział tego głośno, oczywiście, bo Harrison na pewno źle by przyjął taką opinię... Ale u Hoocha był to najwyższy podziw. Człowiek w jego typie.

- To przez Ta-Kumsaw i Proroka. Prosta sprawa. Muszę ich zabić. Nie, nie. Cofam to. Muszę ich pokonać i zabić. Muszę tak ich podejść, żeby obaj wyszli na durniów, i wtedy obu zastrzelić.

- Świetny pomysł. Zacznę przyjmować zakłady.

- Tego byś chciał: siedzieć i przyjmować zakłady. Słuchaj, nie mogę zwyczajnie poprowadzić żołnierzy na północ, do Vigor Kościoła. Nie mogę po prostu zetrzeć Proroczego Miasta z powierzchni ziemi. Armor-of-God będzie mi stawiał opór na każdym kroku... możliwe, że sprowadzi wojskowe posiłki z Fortu Wayne. Mogą odebrać mi patent albo co... Dlatego muszę tak wszystko zorganizować, aby ludzie w Vigor Kościele i nad brzegami Wobbish sami błagali, żebym przyszedł i zrobił porządek z Czerwonymi.

Teraz wreszcie Hooch zrozumiał, o co tu chodzi.

- Chcesz prowokacji?

- Zuch z ciebie, Hooch. Prawdziwy spryciarz. Chcę, żeby jacyś Czerwoni pojechali na północ, narobili kłopotów i powiedzieli wszystkim, że to Ta-Kumsaw i Prorok im kazali.

Hooch skinął głową.

- Rozumiem. To nie może być porywanie krów czy coś w tym rodzaju. Nie. Żeby ci z północy zapragnęli krwi Czerwonych, Czerwoni muszą zrobić coś naprawdę paskudnego. Na przykład złapać jakieś dzieci, zamęczyć je na śmierć, wypisać im na skórze imię Ta-Kumsawa i zostawić tam, gdzie ich na pewno znajdą. Coś w tym rodzaju.

- Wiesz przecież, Hooch, że nie posunąłbym się do tego, żeby nakazać komuś rzecz tak potworną. Chyba w ogóle nie będę się wdawał w szczegółowe instrukcje. Powiem tylko, że mają jakoś wzburzyć Białych na północy i powiedzieć, że to Ta-Kumsaw im rozkazał.

- Ale nie będziesz zdziwiony, jeśli okaże się, że to gwałty i tortury?

- Nie życzyłbym sobie, żeby włos z głowy spadł jakiejś białej kobiecie. To wykluczone.

- No tak, zgadza się. Święta prawda. A więc stanowczo torturowanie dzieci. Chłopców.

- Jak już wspomniałem, nikomu nie mógłbym czegoś takiego nakazać.

Hooch przymknął oczy i lekko pokiwał głową. Może i Harrison nikomu tego nie nakazuje, ale z całą pewnością nie zabrania.

- Oczywiście, to nie mogą być Czerwoni z tej okolicy. Prawda, Bill? Bo wszyscy odeszli, a twoi oswojeni Czerwoni to najgorsze męty, jakie chodzą po powierzchni ziemi.

- Muszę ci przyznać rację.

- Potrzebujesz zatem Czerwonych z południa. Czerwonych, którzy nie słyszeli jeszcze nauk Proroka, więc ciągle pożądają trunku. Czerwonych, którym pozostało na tyle rozumu, że załatwią tę sprawę jak należy. Czerwonych, co chcą krwi i potrafią zabijać dzieci powoli. A żeby im zapłacić, potrzebujesz mojego ładunku.

- Zgadza się, Hooch.

- Bierz go, Bill. Wycofaj oskarżenie przeciwko mnie, a całą whisky możesz dostać za darmo. Daj mi tylko trochę pieniędzy, bo muszę opłacić swoich chłopców. Nie chcę, żeby w drodze powrotnej pchnęli mnie nożem. Chyba nie żądam zbyt wiele.

- Wiesz, Hooch, że to nie wszystko, o co cię proszę.

- Ale to wszystko, co dla ciebie zrobię, Bill.

- Ja osobiście nie mogę się do nich zwrócić. Nie mogę powiedzieć Cree-Ekom czy Choc-Tawom, co mają robić. To musi być ktoś inny. Ktoś taki, że jeśli go złapią, będę mógł oświadczyć: nigdy nic takiego mu nie mówiłem. Użył swojej whisky, żeby to załatwić. Ja o niczym nie miałem pojęcia.

- Rozumiem cię, Bill, ale od samego początku słusznie się domyślałeś. Rzeczywiście wymyśliłeś coś tak obrzydliwego, że nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

Harrison spojrzał groźnie.

- W tym forcie napad na oficera karzemy śmiercią, Hooch. Czy nie wyrażałem się dostatecznie jasno?

- Bill, kłamałem, oszukiwałem, a czasem zabijałem, chcąc jakoś wyjść na swoje na tym świecie. Ale jedyne, czego nie zrobiłem nigdy, to nie zapłaciłem nikomu, żeby jakiegś matce porwał dziecko i zamęczył je na śmierć. Nigdy tego nie zrobiłem i nigdy nie zrobię.

Przez chwilę Harrison obserwował twarz Hoocha. Przekonał się, że to prawda.

- Czy to nie nadzwyczajne? Istnieje czyn tak obrzydliwy, że Hooch Palmer go nie popełni, choćby miał przez to zginąć.

- Nie zabijesz mnie, Bill.

- Zabiję, Hooch. Z dwóch powodów. Po pierwsze, na moje pytanie udzieliłeś nieprawidłowej odpowiedzi. I po drugie, w ogóle to pytanie słyszałeś. Już jesteś trupem, Hooch.

- Niech ci będzie - rzekł Hooch. - Tylko daj mi solidną linę. I dobrą wysoką szubienicę z dwudziestostopową zapadnią. Chcę zawisnąć tak, żeby ludzie długo to wspominali.

- Dostaniesz gałąź na drzewie. Będziemy wciągać linę powoli, żebyś się udusił, a nie skreślił kark.

- Byle tylko wszyscy zapamiętali.

Harrison zawołał żołnierzy i rozkazał odprowadzić Hoocha do aresztu. Tym razem trochę go poszturchali i czasem kopnęli, więc kiedy dotarł do celi, miał parę nowych siniaków i chyba złamane żebro.

Poza tym nie miał zbyt dużo czasu.

Dlatego położył się bardzo spokojnie na podłodze. Pijacy zniknęli, ale awanturnicy byli tu nadal i zajmowali wszystkie prycze. Hoochowi została tylko podłoga. Nie przejmował się tym. Wiedział, że Harrison zostawi mu godzinę czy dwie na przemyślenie sprawy, potem wyprowadzi go, założy pętlę na szyję i powiesi. Oczywiście, może udawać, że daje mu jeszcze jedną szansę, ale to nie będzie prawda, gdyż teraz przestał już Hoochowi ufać. Hooch powiedział "nie", więc Harrison nie uwierzy, że wykona zadanie - nawet jeśli się zgodzi.

Hooch postanowił rozsądnie wykorzystać swój czas. Zaczął prosto. Zamknął oczy i wzbudził w sobie trochę żaru. Iskrę. A potem wysłał tę iskrę na zewnątrz. Tak jak robią różdkarze, kiedy zmysł różdżki posyłają pod ziemię i patrzą, co tam znajdzie. Hooch wysłał swoją iskrę na poszukiwania i po chwili znalazł to, o co mu chodziło: dom gubernatora Billa. Iskra była za daleko, żeby wymierzyć ją w jakieś konkretne miejsce. I celność nie była najlepsza. Dlatego Hooch wpompował w tę iskrę całą swoją nienawiść, wściekłość i ból,

rozgrzewał ją coraz mocniej i mocniej. Wysiłał się tak, jak jeszcze nigdy w życiu. I nie ustępował, póki nie usłyszał upragnionego krzyku.

- Pożar! Pożar!

Głos dochodził z daleka, ale coraz więcej ludzi przyłączało się do wołania. Zabrzmiwały strzały muszkietów - sygnały alarmowe.

Trzech zabijaków też to usłyszało. Tak się spieszyli, że w biegu jeden nadepnął na Hoocha. Stanęli przy drzwiach, wszyscy trzej. Walili w nie pięściami i wołali strażnika.

- Wypuście nas! Nie gaście ognia, dopóki nas nie wypuścicie! Nie pozwólcie nam tu umierać!

Hooch prawie nie zauważył, że ktoś na nim stanął - tak bardzo był już obolały. Leżał bez ruchu i znowu posłał swoją iskrę, tym razem podgrzewając metal zamka w drzwiach celi. Teraz mógł lepiej wymierzyć i iskra była dużo gorętsza.

Podbiegł strażnik, wsunął klucz, przekręcił i otworzył drzwi.

- Wychodźcie, chłopcy - powiedział. - Sierżant pozwolił. Przydacie się do gaszenia.

Hooch wstał z trudem, ale strażnik zatrzymał go i odepchnął. Hooch nie był zdziwiony. Ale rozgrzał swoją iskrę jeszcze bardziej, tak mocno, że metal zaczął się topić. Nawet żarzył się na czerwono. Strażnik zatrzasnął drzwi i chciał przekręcić klucz, ale tylko sparzył sobie rękę. Zaklął, sięgnął do koszuli i chciał chwycić klucz przez materiał. Hooch pchnął drzwi, przewrócił go i kopnął w głowę. Nadepnął mu na twarz i zapewne też złamał kark, ale nie uważał tego za morderstwo. Raczej sprawiedliwość, bo strażnik wyraźnie chciał go zostawić w celi, żeby się spalił na śmierć.

Hooch wyszedł z aresztu. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Nie widział stąd rezydencji, ale zauważył kłęby dymu. Niebo było zachmurzone i szare. Pewnie spadnie deszcz, zanim ogień dotrze do palisady. Hooch miał nadzieję, że nie. Miał nadzieję, że całe to miasteczko wypali się do gruntu. Co innego zabijać Czerwonych, to Hoochowi nie przeszkadzało i tu zgadzał się z Harrisonem całkowicie. Zabijać alkoholem, jeśli można, a jak nie można, to kulami. Ale nie morduje się Białych, nie wynajmuje się Czerwonych, żeby torturowali białe dzieci. Może dla Harrisona to jedno i to samo. Może dla niego to jak śmierć białych żołnierzy na wojnie z Czerwonymi, tyle że żołnierze mieli być trochę młodszy. Może Harrison potrafił myśleć o tym w taki sposób. Ale Hooch nie potrafił. Szczerze mówiąc, sam się sobie dziwił. Bardziej niż sądził, przypominał Andrew Jacksona. Istniała dla niego granica, której nie mógł przekroczyć. Wykreślił ją w innym miejscu niż Hickory, ale jednak była to granica, i raczej umrze, niż przejdzie na drugą stronę.

Naturalnie, wolałby nie umierać, gdyby tylko można coś na to poradzić. Nie mógł wyjść przez bramę w palisadzie, bo tamtędy sztafeta wiader sięgała rzeki i na pewno by go zauważyli. Bez trudu za to wdrapał się na parapet. Żołnierze nie pilnowali zbyt uważnie. Wspiął się na palisadę i spadł ciężko na ziemię poza fortem. Nikt go nie widział. Przeszedł dziesięć jardów do lasu i powoli, bo żebra bolały mocno i osłabł trochę od wysyłania iskier, ruszył między drzewami do brzegu.

Wyszedł z lasu na otwarty teren przy nabrzeżu. Tam czekała jego krypa, nadal wyładowana beczułkami. A chłopcy stali w pobliżu, obserwując, jak ludzie nabierają wiadrami wodę, jakieś trzydzieści jardów powyżej. Hooch wcale się nie zdziwił, że załoga nie pomaga w gaszeniu. Nie należeli do typów społecznych.

Wszedł na nabrzeże, kiwając do nich, żeby wracali. Zeskoczył na krypę; potknął się, bo był słaby i poobijany. Odwrócił się, żeby powiedzieć chłopcom, o co chodzi i dlaczego muszą odbijać... ale nie było ich. Stali spokojnie na brzegu i przyglądali mu się. Pomachał jeszcze raz, ale nawet nie drgnęli.

No trudno, odpłynie bez nich. Szedł już w stronę cumy, żeby ją zrzucić i drągiem odepchnąć krypę, kiedy nagle uświadomił sobie, że nie wszyscy jego chłopcy stoją na brzegu. Nie, brakowało jednego. I od razu wiedział, gdzie jest ten nieobecny: tutaj, na łodzi, stoi tuż za nim i wyciąga ręce...

Mike Fink nie był nożownikiem. Owszem, gdyby musiał, użyłby noża, ale wolał zabijać gołymi rękami. Kiedyś mówił coś o zabijaniu nożem... jakieś porównanie z dziwkami i kijem od miotły... Stąd Hooch miał pewność, że noża nie będzie. Że nie zginie szybko. Harrison musiał przewidzieć, że Hooch zdoła się wymknąć. Dlatego przekupił Mike'a Finka i teraz Fink zabija Hoocha. To pewne.

Ale zabije powoli. A to dawało Hoochowi czas. Zdąży zadbać o to, żeby nie umrzeć samotnie.

Palce chwyciły go za gardło i zacisnęły się mocno, mocniej niż Hooch to sobie wyobrażał, coraz mocniej, aż się przestraszył, że zwyczajnie ukręca mu głowę. Zmusił się, by wysłać iskrę, znaleźć beczułkę, to właściwe miejsce... wiedział dobrze, gdzie go szukać. Podgrzać tę beczułkę, tak mocno jak tylko potrafi, jeszcze bardziej, jeszcze...

Czekał na wybuch, czekał i czekał, ale wybuch nie nastąpił. Miał wrażenie, że palce Finka przyciskają mu gardło do kręgosłupa; czuł, jak wiotczeją mięśnie, jak kopie nogami, jak wysilają się płuca, by wciągnąć powietrze, które nie napływa... Ale podgrzewał swoją iskrę do ostatniej chwili i czekał, aż beczółka prochu wybuchnie.

W końcu umarł.

Mike Fink trzymał go jeszcze przez całą minutę po śmierci. Może dlatego, że zwyczajnie lubił to uczucie, kiedy trup dynda mu w rękach. Trudno powiedzieć, jak to jest z Mike'em Finkiem. Niektórzy mówią, że kiedy jest w nastroju, nie ma miłszego kompana niż on. Tak właśnie myślał o sobie Mike. Lubiał być miły, mieć kolegów, wypić w towarzystwie. Ale kiedy przychodziło do zabijania, no cóż... To także lubił.

Nie można za długo trzymać martwego ciała. Ktoś może zacząć się skarżyć albo wymiotować. W końcu więc zrzucił trupa Hoocha do wody.

- Dym - zauważył ktoś z załogi, wyciągając rękę.

I rzeczywiście, smużka dymu unosiła się spomiędzy beczulek.

- To proch! - wrzasnął któryś.

I wszyscy rzucili się do ucieczki, byle jak najdalej od wybuchu. Ale Mike Fink śmiał się tylko i śmiał. Zaczął wyładowywać beczułki, ustawiać je na nabrzeżu, aż w końcu w samym środku stosu znalazł jedną z umocowanym lontem. Tej nie chwycił w ręce. Przewrócił ją nogą i potoczył na środek pokładu.

Chłopcy wracali powoli, żeby sprawdzić, co się właściwie dzieje. Wyglądało na to, że Mike Fink nie wyleci jednak w powietrze.

- Siekierę! - zawołał Mike.

Jeden z nich rzucił mu narzędzie, które nosił w pochwie u pasa. Trzeba było parę razy mocno uderzyć, ale w końcu denko odskoczyło i pokazał się obłok pary. Woda w beczce była tak gorąca, że wciąż jeszcze bulgotała.

- To znaczy, że nie trzymał tam prochu? - zapytał ktoś.

Niezbyt mądry, ale w końcu niewielu ludzi na rzece słynęło z bystrości umysłu.

- Był tu proch, kiedy ładował tę beczułkę - wyjaśnił Mike. - Jeszcze w Suskwahenny. Ale chyba nie sądzisz, że Mike Fink popłynie taki kawał po Hio na jednej krypie z beczułką prochu, z której sterczy lont?

Potem wyskoczył z łodzi na brzeg i ryknął z całej siły, tak głośno, że usłyszeli go nawet w forcie... a ludzie z wiadrami przerwali na chwilę pracę, żeby go posłuchać.

- Nazywam się Mike Fink, chłopaki, i jestem najgorszym, najwredniejszym synem aligatora, jaki kiedykolwiek odgryzł łeb bizonowi! Na śniadanie jadam ludzkie uszy, na kolację niedźwiedzie, a kiedy chce mi się pić, mogę osuszyć Niagarę! Kiedy sikam, ludzie wsiadają na łodzie i pięćdziesiąt mil płyną z prądem, a kiedy pierdzę, Francuzi łapią powietrze w butelki i sprzedają je na perfumy! Jestem Mike Fink, to jest moja krypa, a jeśli wy, mięczaki, ugasicie ten pożar, każdy dostanie darmowy kufel whisky!

Potem Mike Fink poprowadził swoją załogę do pomocy ludziom z wiadrami. Wszyscy razem walczyli z ogniem, dopóki nie spadł deszcz i nie zgasił pożaru.

Tej nocy nawet żołnierze pili i śpiewali, ale Mike Fink siedział zupełnie trzeźwy i zadowolony, że w końcu sam wszedł do interesu z whisky. Towarzyszył mu tylko jeden z chłopców, najmłodszy, który wyraźnie Finka podziwiał. Bawił się lontem wyrwanym z beczułki.

- Lont się nie palił - zauważył.

- Nie, faktycznie nie - przyznał Mike Fink.

- No to jak woda mogła się zagotować?

- Pewnie Hooch trzymał jeszcze w zanadrzu parę sztuczek. I na pewno miał coś wspólnego z tym pożarem.

- Wiedziałeś o tym, prawda? Fink pokręcił głową.

- Nie, miałem szczęście. Zwyczajnie mam szczęście. Nachodzi mnie czasem przeczucie, jak z tą beczułką prochu, i wtedy robię to, co uważam za słuszne.

- Znaczy masz taki talent?

W odpowiedzi Fink wstał i spuścił spodnie. Na lewym pośladku miał tatuaż, sześcioboczny i groźny z wyglądu.

- Matka mi to wyklęła, kiedy miałem miesiąc. Powiedziała, że będzie mnie chronił i dożyję naturalnej śmierci. - Odwrócił się i pokazał drugi pośladek. - A ten, powiedziała, pomoże mi zdobyć fortunę. Nie wiem, jak powinien działać, bo umarła, zanim mi wytłumaczyła. Ale moim zdaniem przynosi szczęście. Dzięki niemu tak jakbym wiedział, co należy robić. - Wyszczерzył zęby. - Zdobyłem sobie krypę i ładunek whisky, nie?

- Czy gubernator naprawdę da ci medal za zabicie Hoocha?

- W każdym razie za złapanie go... Na to wygląda.

- Ale chyba nie bardzo się zmartwił, że stary Hooch nie żyje.

- Nie - przyznał Mike. - Raczej nie. A teraz gubernator i ja jesteśmy dobrymi kumplami. Mówił, że musi załatwić parę spraw i tylko ktoś taki jak ja się do tego nadaje.

Chłopak spojrzał na niego i zachwyty błysnęły w osiemnastoletnich oczach.

- Mogę ci pomagać? Mogę z tobą popłynąć?

- Biłeś się kiedyś?

- Mnóstwo razy.

- Odgryzłeś komuś ucho?

- Nie, ale raz wydłubałem człowiekowi oko.

- Oczy są łatwe. Miękkie.

- I raz tak jednemu przyłożyłem z byka, że stracił pięć zębów.

Fink myślał nad tym przez chwilę, wreszcie uśmiechnął się i kiwnął głową.

- Pewnie, mały. Płyn ze mną. Kiedy już skończę, na sto mil od tej rzeki nie zostanie ani jeden mężczyzna, kobieta czy dziecko, którzy nie będą znali mojego imienia. Wątpisz w to, mały?

Chłopak nie miał żadnych wątpliwości.

Rankiem Mike Fink i jego załoga przepłynęli na południowy brzeg Hio. Na krypie mieli wóz, kilka mułów i osiem beczulek whisky. Zamierzali pohandlować trochę z Czerwonymi.

Po południu gubernator William Harrison pochował zwęglone ciała swej drugiej żony i syna, którzy mieli nieszczęście znaleźć się w pokoju dzieciennym. Chłopiec przymierzał swój paradny mundur, kiedy dom stanął nagle w płomieniach.

Ogień we własnym domu nie rozpalony ludzką ręką... odebrał mu to, co kochał najbardziej. I żadna moc na świecie nie mogła mu tego przywrócić.

ROZDZIAŁ 7 - JEŃCY

Alvin Junior nigdy nie czuł się mały, chyba że siedział na grzbiecie wielkiego starego konia. To nie znaczy, że był marnym jeźdźcem - on i konie całkiem dobrze się ze sobą zgadzali: one nigdy go nie zrzuciły, on nigdy ich nie bił. Rzecz w tym, że nogi sterczały mu na boki, a ponieważ w tę podróż miał jechać w siodle, musieli wybić nowe dziury w paskach strzemion, żeby można je podciągnąć dość wysoko. Al nie mógł się już doczekać dnia, kiedy dorośnie. Mogą powtarzać, że jest dość duży jak na swój wiek, ale to niczego nie dowodzi. Kiedy ten wiek wynosi dziesięć lat, duży jak na swój wiek wcale jeszcze nie znaczy: duży naprawdę.

- Nie podoba mi się to - oświadczyła Faith Miller. - Nie chcę posyłać swoich chłopców w sam środek wszystkich tych zatargów z Czerwonymi.

Matki zawsze się martwią, ale Faith miała powody. Przez całe życie Alvin był niezgrabiaszem i stale przytrafiały mu się różne wypadki. Wprawdzie wszystkie dobrze się kończyły, ale często niewiele brakowało... Najgorszy zdarzył się parę miesięcy temu, kiedy nowy młyński kamień upadł Ałowi na nogę i złamał ją brzydko. Wyglądało na to, że chłopak umrze i sam właściwie się tego spodziewał. I umarłby. Na pewno by umarł. Chociaż wiedział, że ma moc, by się uleczyć.

Odkąd Jaśniejący Człowiek przyszedł do jego sypialni tamtej nocy, kiedy miał sześć lat, Al nie wykorzystywał swojego talentu, żeby sobie pomóc. Wyciąć kamień dla ojca, owszem, mógł to zrobić, gdyż kamień miał służyć wszystkim. Przesuwał palce po skale, badał ją, wyszukiwał ukrytych miejsc, gdzie może pęknąć, a potem ustawiał wszystko we właściwym porządku... sprawiał, żeby stało się tak, jak chciał. I kamień oddzielał się dokładnie tak, jak prosił Al. Ale nigdy dla własnego dobra.

Kiedy leżał ze złamaną nogą i zdartą skórą, wszyscy wiedzieli, że niedługo umrze. Al nigdy by nie użył swego daru, żeby naprawić coś w sobie, żeby się uzdrowić. Nawet by nie spróbował. Na szczęście był tam stary Bajarz. Zapytał, dlaczego nie chce wyleczyć sobie nogi. Al powiedział mu to, czego nie mówił jeszcze nikomu: o Jaśniejącym Człowieku. Bajarz uwierzył, w głowie mu nie powstało, że chłopak oszalał albo majaczy. Kazał Ałowi dobrze się zastanowić, co takiego powiedział mu Jaśniejący Człowiek. I kiedy Al pomyślał, uświadomił sobie, że to on sam obiecał nigdy nie robić tego dla siebie. Jaśniejący Człowiek poprosił tylko: "Wszystkie rzeczy uczynić całością".

Wszystkie rzeczy uczynić całością. No, a czy noga nie była elementem "wszystkich rzeczy"? Dlatego naprawił ją, jak najlepiej potrafił. To nie wszystko, oczywiście, ale ogólnie rzecz biorąc, skorzystał z własnej mocy i z pomocą rodziny wrócił do zdrowia. Dlatego jeszcze żył.

Ale przez te dni spoglądał prosto w twarz śmierci i nie bał się jej tak, jak oczekiwał. Kiedy leżał nieruchomo i śmierć sączyła mu się przez kości, zaczął wyczuwać, że ciało to jakby szalas, gdzie schronił się w złą pogodę, dopóki nie wybuduje domu. Jak te szopy, które stawiają sobie osadnicy, zanim skończą właściwy budynek z bali. I gdyby umarł, to wcale nie byłoby straszne. Po prostu inne, może nawet lepsze.

Dlatego nie zwracał uwagi na słowa mamy o Czerwonych, i jakie to niebezpieczne, i jak mogą zginąć po drodze. Nie dlatego, że według niego nie miała racji, ale dlatego, że nie dbał, czy zginie, czy nie.

Chociaż nie, właściwie to nie tak. Miał jeszcze wiele spraw do załatwienia, choć na razie nie wiedział jakich, więc byłby zły, gdyby umarł. Na pewno nie planował swojej śmierci. Tyle że nie budziła w nim strachu, jak to bywa u niektórych ludzi.

Starszy brat Ala, Measure, próbował uspokajać matkę, żeby sama siebie nie doprowadziła do rozpacz.

- Nic nam nie będzie, mamó - zapewniał. - To na południu mają kłopoty, a my przez cały czas pojedziemy po dobrych drogach.

- Na tych dobrych drogach co tydzień znikają ludzie - odparła. - Francuzi z Detroit kupują skalpy. Ani na chwilę nie przestali. Nieważne, co robi Ta-Kumsaw i jego dzikusy. Wystarczy jedna strzała, żeby zabić człowieka...

- Mamó - przerwał jej Measure. - Jeżeli tak się boisz Czerwonych, powinnaś się cieszyć, że wyjeżdżamy. Przecież co najmniej dziesięć tysięcy ich żyje w Proroczym Mieście, tuż za rzeką. W tej chwili to największe miasto na zachód od Filadelfii, a wszyscy tam są czerwoni. Jadąc na wschód oddalamy się od nich.

- Ten jednooki Prorok mnie nie martwi. On nigdy nie mówi o zabijaniu. Uważam tylko, że nie powinniście...

- Nieważne, co uważasz - przerwał jej tato.

Mama odwróciła się. Tato karmił świnię na tyłach domu, ale teraz wyszedł, żeby się pożegnać.

- Tylko mi nie mów, że to nieważne, co ja...

- Nieważne też, co ja uważam - dodał tato. - Nieważne, co uważa ktokolwiek, i dobrze o tym wiesz.

- Jeśli tak stoją sprawy, to po co nasz dobry Pan dał nam mózgi?

- Al jedzie na wschód, do Hatrack River, i będzie uczniem kowala. Będę za nim tęsknił, ty będziesz za nim tęskniła, może wszystkim będzie go brakowało... oprócz wielebnego Throwera. Ale papiery są podpisane i Al wyjeżdża. Dlatego zamiast paplać, jak to nie chcesz go puścić, lepiej uściśnij go na drogę.

Gdyby tato był mlekiem, zakwasiłaby go na miejscu, tak na niego spojrzała.

- Ucałuję moich chłopców i uściskam - oświadczyła. - Nie musisz mi o tym przypominać. O niczym nie musisz mi przypominać.

- Chyba nie - zgodził się tato. - Ale i tak przypomnę. Myślę, że odpłacisz mi przysługą za przysługę, jak zawsze. - Uścisnął rękę Measure'a, żegnając się z nim jak mężczyzna. - Dostarcz go tam bezpiecznie i zaraz wracaj.

- Wiesz, że tak zrobię - odparł Measure.

- Mama ma rację, każdy krok na tej drodze jest niebezpieczny, więc miej oczy otwarte. Słuszne daliśmy ci imię, chłopcze. Oczy masz bystre. Wykorzystaj je.

- Na pewno, tato.

Mama żegnała się z Measure'em, a tato podszedł do Alvina. Klepnął go solidnie w nogę i też uścisnął mu dłoń. To było przyjemne. Tato traktował go jak mężczyznę, jak Measure'a. Może gdyby Al nie siedział na koniu, tato rozwichrzyłby mu włosy jak małemu chłopcu. A może nie. Al i tak czuł się jak dorosły.

- Nie boję się Czerwonych - szepnął cicho, tak żeby mama nie słyszała. - Ale naprawdę wcale nie chcę jechać.

- Wiem, Al. Ale musisz. Dla twojego własnego dobra.

A potem tato zapatrzył się w przestrzeń, co Al Junior widział u niego już nieraz i czego nigdy nie mógł zrozumieć. Tato był dziwnym człowiekiem. Al zrozumiał to dopiero po wielu latach, gdyż przez najdłuższy okres swego życia, kiedy był całkiem mały, tato był po prostu tatą i Al nie próbował go rozumieć.

A teraz Al dorastał i zaczął porównywać ojca z innymi mężczyznami. Z Armorem-of-God na przykład, najważniejszym człowiekiem w miasteczku, który zawsze mówił o pokoju z Czerwonymi, o dzieleniu się z nimi ziemią, który kreślił mapy terenów Czerwonych i Białych. Armora wszyscy słuchali z szacunkiem, może spierając się trochę, ale wiedząc, że to, co powiedział, jest istotne. Taty nikt nie słuchał w taki sposób. Albo wielebny Thrower z tym swoim napuszonym, wykształconym stylem, kiedy krzyczał z ambony o śmierci i zmartwychwstaniu, ogniach piekielnych i nagrodzie w niebiosach... jego też wszyscy słuchali. Inaczej niż Armora, bo zawsze chodziło mu o religię i to, co mówił, nie miało związku z

przyziemnymi sprawami, takimi jak uprawa ziemi, gospodarstwo i jak ludzie żyją. Ale słuchali z szacunkiem.

Kiedy mówił tato, ludzie też go słuchali, tyle że czasami kpili.

- Tak tylko gadacie, Alvinie Millerze, prawda?

Al widział to i z początku strasznie się złościł. Ale potem zauważył, że kiedy ludzie mieli kłopoty i potrzebowali pomocy, nie szli do wielbnego Throwera, o nie, i nie szli do Armora-of-God. Bo tamci nie bardzo mieli pojęcie, jak rozwiązywać problemy, które czasem męczą ludzi. Thrower mógłby im wytłumaczyć, jak ustrzec się piekła, ale to dopiero po śmierci. Armor mógłby powiedzieć, jak utrzymać pokój z Czerwonymi, ale to przecież polityka, chyba że akurat trwa wojna. Ale kiedy kłócili się o granice swoich pól albo nie wiedzieli, co zrobić z tym chłopakiem, co wiecznie odszczekuje matce, choćby nie wiem jak często brał cięgi, albo gdy wołek zbożowy zniszczył im ziarno i nie mieli co zasiać, wtedy przychodzili do Alvina Millera. A on mówił swoje, zwykle kilka słów, nie więcej. Kręcili wtedy głowami, powtarzając: "Gadacie tylko, Alvinie Millerze, prawda?" Ale potem nagle dochodzili do zgody z sąsiadem, synowi z niewyparzoną gębą pozwalali pójść na parobka na pobliską farmę, a kiedy przychodziła pora siewu, dostawali parę worków "zapasowego" ziarna, bo Alvin Miller wspomniał tu i ówdzie, że się trochę krępują.

Kiedy Al Junior porównywał swojego tatę z innymi, wtedy wiedział, że tato jest dziwny, że tato robi różne rzeczy z powodów tylko jemu znanych. Ale wiedział też, że tacie można zaufać. Ludzie okazywali szacunek Armorowi-of-God i wielbnemu Philadelphii Throwerowi, ale ufali Alowi Millerowi.

Tak samo Al Junior. Ufał swojemu tacie. I chociaż nie chciał porzucić domu, chociaż po tak bliskim spotkaniu ze śmiercią wydawało mu się, że nauka rzemiosła to tylko strata czasu - jakie ma znaczenie, kim zostanie; czy w niebie są kowale? - skoro tato powiedział, że powinien jechać, to Alvin pojedzie. Jak wszyscy. Kiedy Alvin Miller mówił "Zrób to i to, a uda się", wtedy robili, co im kazał, i udawało się.

Uprzedził tatę, że nie chce wyjeżdżać. A tato odparł: "Jedź mimo to, dla własnego dobra". Tyle tylko Alvin Junior chciał usłyszeć. Kiwnął głową i pogodził się z tym, co mówi tato. Nie dlatego, że nie miał odwagi, ani że bał się ojca, jak niektórzy inni chłopcy. Po prostu znał go i wiedział, że może zaufać jego decyzji. Nic więcej.

- Będę za tobą tęsknił, tato.

I wtedy zrobił coś zwariowanego, całkiem głupiego. Gdyby przez moment się nad tym zastanowił, nigdy by się nie odważył: wyciągnął rękę i zwichrzył tacie włosy. I jeszcze nie

skończył, a już pomyślał: przyłoży mi za to, że traktuję go jak chłopca! Tato rzeczywiście uniósł brwi i złapał Ala za przegub, ale wtedy oczy mu błysnęły i roześmiał się głośno.

- Myślę - powiedział - że możesz to zrobić raz, synu, i przeżyć.

Wciąż się śmiał, kiedy odstał, żeby przepuścić mamę. Łzy płynęły jej po policzkach, ale nie podyktowała mu pożegnalnej listy rzeczy, które powinien i których nie powinien robić, jak Measure'owi. Pocałowała go w rękę i przytuliła ją. Potem spojrzała mu w oczy.

- Jeśli puszcze cię dzisiaj - rzekła - póki żyję, nigdy już nie zobaczę cię moje oczy.

- Nie mów tak, mamó - odpowiedział. - Nic mi się nie stanie.

- Nie zapominaj o mnie. I noś ten amulet, który ci dałam. Noś go przez cały czas.

- A co on robi? - zapytał, wyjmując amulet z kieszeni. - Nie znam takich.

- Nieważne, po prostu masz go mieć przy sobie.

- Dobrze, mamó.

Measure podprowadził konia.

- Lepiej już jedźmy - wtrącił. - Zanim rozłożymy się na noc, chcę dotrzeć do okolic, których nie widzimy codziennie.

- Nie próbuj nawet - ostrzegł surowym głosem tato. - Umówiliśmy się z Peache'ami, że dzisiaj będziecie spać u nich. Dziś nie musicie jechać dalej. Póki to nie jest konieczne, nie chcę, żebyście spędzali nocę pod gołym niebem.

- Dobrze, dobrze - burknął Measure. - Ale wypada przynajmniej dojechać tam przed kolacją.

- Jedźcie więc - powiedziała mama. - Jedźcie, chłopcy.

Przejechali może z dziesięć jardów, kiedy tato dogonił ich i złapał konia Measure'a przy wędzidle. Konia Ala także.

- Chłopcy, nie zapomnijcie! Rzeki macie przekraczać po mostach. Słyszycie? Tylko po mostach. Mosty są na wszystkich strumieniach po drodze stąd aż do Hatrack.

- Wiem, tato - uspokoił go Measure. - Sam pomagałem je budować.

- To korzystaj z nich. Tylko tyle. A gdyby padało, zatrzymacie się, poszukacie jakiegoś domu i tam przeczekać, słyszysz? Nie chcę, żeby woda was oblewała.

Obaj obiecali solennie nie zbliżać się do niczego mokrego.

- Nawet kiedy konie będą sikać, staniemy pod wiatr - dodał Measure.

Tato pogroził mu palcem.

- Nie lekceważ tego - rzucił.

Wreszcie ruszyli. Nie oglądali się, bo to przynosi straszego pecha. Wiedzieli, że mama i tato wrócili do domu szybko, zanim jeszcze synowie zniknęli im z oczu, bo kiedy się

długo spogląda za odjeżdżającymi, wróży to długą rozłąkę. A jeśli patrzeć aż znikną, jest duża szansa, że któryś umrze, zanim znowu dojdzie do spotkania. Mama traktowała to bardzo poważnie. Szybki powrót do domu to ostatnia rzecz, którą mogła zrobić, by chronić swoich chłopców w drodze.

Al i Measure zatrzymali się w jakimś zagajniku czy lasku pomiędzy farmami Hatchów i Bjornsonów. Ostatnia burza przewróciła tu drzewo i zablokowała połowę drogi. Mogli przejechać bez trudu, byli przecież konno, ale nie zostawia się takich rzeczy dla innych. Może po nich przejedzie tędy wóz i ktoś będzie się spieszył, by zdążyć do domu przez zmierzchem i burzą. Dlatego przystanęli, zjedli lunch przygotowany na drogę przez matkę i wzięli się do siekier. Zaczęli odrąbywać grube pasma, łączące jeszcze drzewo z poszarpanym pniem. Żalowali, że nie mają piły, ale nie zabiera się piły na trzystumilową konną wyprawę. Zapasowe ubranie, siekiera, nóż, muszkiet do polowania, proch i ołów, kawał liny, koc, kilka rozmaitych amuletów i talizmanów dla ochrony - to wszystko. Więcej bagażu, i trzeba brać wóz albo jucznego konia.

Kiedy uwolnili pień, zaprzęgli oba konie i odciągnęli go na bok. Ciężka praca, bo konie nie były przyzwyczajone chodzić w parze i płoszyły się nawzajem. Drzewo też nie chciało się toczyć i musieli odrąbywać gałęzie. Al wiedział, że mógłby wykorzystać swój talent, odmienić drewno wewnątrz pnia, żeby pękło w odpowiednich miejscach. Ale wiedział też, że nie powinien. Jaśniejącemu Człowiekowi by się to nie spodobało - to przecież dla własnej wygody, z lenistwa, nie dla czyjegoś dobra. Dlatego rąbał, ciągnął i spływał potem obok Measure'a. Zresztą nie było tak źle. To godziwa praca i zakończyli ją w niecałą godzinę. Nie zmarnowali tego czasu.

Przy pracy rozmawiali trochę, naturalnie. I rozmowa zesła na masakry Czerwonych na południu. Measure był bardzo sceptyczny.

- Owszem, opowiadali o tym, ale te najbardziej krwawe historie zawsze ktoś słyszał od kogoś innego, kto słyszał jeszcze od kogoś. Ci wszyscy, co naprawdę tam mieszkali i uciekli, powtarzają, że przybył Ta-Kumsaw i porwał ich świnie i kury. Nic więcej. Nikt nie wspominał o żadnych strzałach ani o zabitych. Zastanów się, Al. To przecież bez sensu. Ta-Kumsaw chce, żeby wszyscy Biali się wynieśli, tak? Więc chce ich śmiertelnie przestraszyć, żeby zapakowali dobytek i odjechali, tak? W takim razie czy po masakrze nie zostawiłby jakiegoś świadka? Czy ktoś nie znalazłby przynajmniej paru ciał?

- To skąd się biorą takie historie?

- Według Armora-of-God, Harrison opowiada kłamstwa, żeby zwrócić ludzi przeciw Czerwonym.

- Nie bardzo mógł nakłamać o pożarze w jego domu i w forcie. Przecież każdy widzi, czy się spaliły, czy nie. I nie mógł nakłamać o śmierci żony i syna.

- Oczywiście, Al, że się spaliły. Ale może nie płonące strzały Ta-Kumsawa wywołały ten pożar. Pomyślałeś o tym?

- Gubernator Harrison nie spaliłby przecież swojego własnego domu i nie wymordował własnej rodziny tylko po to, żeby ludzie byli wściekli na Czerwonych - stwierdził Al. - To głupie.

I tak dyskutowali o kłopotach z Czerwonymi w południowych regionach Wobbish, ponieważ był to ostatnio główny temat rozmów. A że i tak nikt niczego nie wiedział na pewno, wszystkie domysły miały jednakową wagę.

Nie więcej niż pół mili drogi dzieliło ich od dwóch znajomych farm w okolicy, którą od dziesięciu lat odwiedzali cztery czy pięć razy w roku. Nie przyszło im do głowy, że powinni tutaj uważać. Człowiek nie pilnuje się specjalnie tak blisko domu, nawet kiedy rozmawia o masakrach Czerwonych, o morderstwach i torturach. Zresztą, ostrożni czy nie, niewiele mogli zdziałać. Al związał liny, a Measure dopinał popręgi, kiedy nagle wokół nich stanęło z dziesięciu Czerwonych. W jednej chwili wokół były tylko świerszcze, myszy, gdzieś tam ptaki, a w następnej Czerwoni pomalowani jak na wojnę.

A i tak dopiero po kilku sekundach zaczęli się bać. W Proroczym Mieście mieszkało wielu Czerwonych i często przychodzili handlować do sklepu Armora-of-God. Dlatego Alvin, nie przyglądając im się specjalnie, rzucił:

- Dzień dobry.

Nie odpowiedzieli. Całe twarze mieli pokryte farbami.

- To nie są dzieńdobrzy Czerwoni - szepnął Measure. - Mają muszkiety.

To dowodziło, że nie przychodzą z Proroczego Miasta. Prorok uczył swoich wyznawców, by nigdy nie używali broni białego człowieka. Prawdziwy Czerwony nie potrzebuje do polowania strzelby, gdyż kraina zna jego potrzeby, a zdobycz sama podchodzi tak blisko, że można ją zabić z łuku. Mord to jedyna rzecz, do której Czerwony może użyć muszkietu. Tak mówił Prorok. A mordy są dobre dla Białych. Tak właśnie twierdził. Jasne więc, że ci Czerwoni niespecjalnie poważali Proroka.

Alvin patrzył jednemu prosto w twarz. Musiał okazać lęk, bo tamtemu błysnęły oczy i uśmiechnął się lekko. Wyciągnął rękę.

- Daj mu linę - polecił Measure.

- To nasza lina - zaprotestował Al.

I od razu sobie uświadomił, że to nie ma sensu. Wręczył Czerwonemu obie liny.

Ten odebrał je i rzucił jedną innemu, ponad głowami chłopców. Potem wszyscy wzięli się do dzieła. Zerwali z jeńców wierzchnią odzież i związali im ręce z tyłu tak mocno, że aż bolały ramiona.

- Po co im nasze ubrania? - zdziwił się Al.

W odpowiedzi jeden z Czerwonych uderzył go mocno w twarz. Chyba spodobał mu się ten odgłos, bo zaraz uderzył znowu. Łzy stanęły Alowi w oczach, ale nie zapłakał - trochę dlatego, że całkiem go to zaskoczyło, a głównie ponieważ się rozzłościł i nie chciał im dawać satysfakcji. Takie policzkowanie wyraźnie zrobiło wrażenie na innych Czerwonych, bo zaraz zabrali się do bicia Measure'a, potem obu, aż chłopcy mało co widzieli, a policzki krwawiły im z zewnątrz i w środku.

Któryś z Czerwonych wymamrotał coś i podali mu koszulę Ala. Poszarpał ją nożem, a potem wytarł nią krwawiącą twarz chłopca. Chyba uznał, że ma za mało krwi, bo sięgnął po nóż i rozciął Alowi czoło. Krew popłynęła szeroką strugą, w sekundę później zaatakował ból i po raz pierwszy chłopiec krzyknął. Miał wrażenie, że rana sięga aż do kości. Krew ściekała mu do oczu i nic nie widział. Measure wrzeszczał, żeby zostawili Ala w spokoju, ale nic z tego. Wszyscy wiedzieli, że kiedy Czerwoni już raz zaczęli człowieka kroić, nie wyjdzie z tego żywy.

Kiedy Al krzyknął z bólu i popłynęła krew, Czerwoni wybuchnęli śmiechem i pokrzykiwali niezbyt głośno. Ta banda nie żartowała i Al przypominał sobie wszystkie historie o dzikich. Najczęściej powtarzano tę o Danie Boone z Pennsylvanii, który chciał się osiedlić w Koloniach Korony. Było to jeszcze w czasach, kiedy Cherriki walczyli z Białymi. Pewnego dnia porwali syna Dana Boone'a. Boone był nie dalej niż pół godziny za nimi. Zatrzymywali się co chwila i wycinali kawałki skóry chłopaka albo wydłubywali mu oko, cokolwiek, żeby go bolało i żeby wrzeszczał. Boone słyszał krzyki syna i ścigał ich z sąsiadami, wszyscy uzbrojeni w muszkiety i prawie obłąkani z wściekłości. Docierali do miejsca, gdzie Czerwoni torturowali małego, i nikogo tam nie było, nawet żadnych śladów w lesie. I wtedy słyszeli kolejny wrzask. Dwadzieścia mil przebiegli tego dnia, aż w końcu znaleźli chłopca wiszącego na trzech różnych drzewach. Mówią, że Boone nigdy tego nie zapomniał. Nie potrafił spojrzeć Czerwonemu w twarz, nie wspominając tego dwudziestomilowego dnia.

Al także myślał o tych dwudziestu milach, gdy słuchał śmiechów napastników, czuł ból - ledwie początek bólu - i wiedział, że cokolwiek planują Czerwoni, ma się to rozpocząć od dwóch martwych białych chłopców. I pewnie nie mają nic przeciwko paru wrzaskom po drodze. Spokojnie, powtarzał sobie. Tylko spokojnie.

Wytarli mu twarz jego własną podartą koszulą i pociętymi rzeczami Measure'a. Tymczasem Al myślał o czymś innym. Tylko raz naprawdę próbował się wyleczyć: kiedy złamał nogę. Ale wtedy leżał nieruchomo, odpoczywał i miał dużo czasu, żeby tę nogę obserwować, szukać drogi do wszystkich tych ciasnych miejsc, gdzie tkwiły porwane żyły, żeby je łączyć, wiązać razem kości i skórę. Teraz nie był spokojny i wypoczęty, lecz przerażony, popychany tu i tam. Zdołał jednak odszukać i pozamykać co większe żyły i tętnice. Kiedy ostatni raz wytarli mu twarz koszulą, krew nie chlusnęła i nie zalała oczu. Płynęła tylko cienką strużką. Al przechylił głowę na bok, żeby ściekała po skroni i nie utrudniała widzenia.

Nie skaleczyli jeszcze Measure'a. Spoglądał na Alę i wyglądał, jakby miał mdłości. Al znał go dobrze i wiedział, o czym teraz myśli: że mama i tato oddali brata pod jego opiekę, i proszę, jak ich zawiodł. To szaleństwo tak się obwiniać. To, co robili teraz Czerwoni, mogło się zdarzyć wszędzie. Nikt nie zdołałby im przeszkodzić. Al i Measure i tak mogli się przecież znaleźć na tej drodze dokładnie w tej samej chwili, nawet gdyby nie wyruszyli w tę długą podróż. Jednak Al nie mógł tego powiedzieć Measure'owi. Nic nie mógł zrobić, najwyżej się uśmiechnąć.

Uśmiechał się więc i jak najlepiej potrafił, próbował wygoić swoją ranę. Ułożyć na czole wszystko z powrotem tak, jak być powinno. Nie poddawał się i szło mu coraz lepiej. Równocześnie obserwował, czym się zajmują Czerwoni.

Niewiele mówili. Dobrze wiedzieli, co trzeba robić. Wzięli te pokrwawione rzeczy i umocowali do siodła. Potem jeden z nich nożem wyciął angielskie litery "Ta-Kumsaw" na jednym, a "Prorok" na drugim siodle. Przez moment Al był zdumiony, że Czerwony umie pisać po angielsku, ale zaraz zauważył, że sprawdza napisy, porównując je z wyjętą zza opaski biodrowej kartką papieru. Papieru!

Potem, gdy po dwóch trzymało konie za wędzidła, inny kłuł je nożem. Drobne skaleczenia, nie głębokie, ale wystarczające, żeby zwierzęta oszalały z bólu, kopały, szarpały się, stawały dęba. Wreszcie wyrwały się i rzuciły do ucieczki. Pogalopowały - jak tego oczekiwali Czerwoni - drogą w stronę domu.

Wiadomość... to była wiadomość. Ci Czerwoni chcieli, żeby ich ścigano. Chcieli skłonić Białych, żeby złapali muszkiety, wsiedli na konie i ruszyli za nimi. Jak Daniel Boone w tej historii. Żeby szli za krzykami chłopców. I dostawali oblędu, słysząc, jak umierają ich dzieci.

Wtedy właśnie Alvin postanowił, że - ocaleją czy zginą - on i Measure nie pozwolą, żeby rodzice słyszeli to, co słyszał Daniel Boone. Nie mieli żadnej, choćby najmniejszej

szansy ucieczki. Gdyby nawet Alvin sprawił, by rozpadła się lina, co zresztą nie było trudne, dwóch białych chłopców w żaden sposób nie zdoła uciec Czerwonym w lesie. Nie, ci Czerwoni będą ich trzymać tak długo, jak długo zechcą. Ale Alvin znał sposoby, żeby nie dopuścić do tortur. I ma prawo je wykorzystać, użyć swego daru, bo to przecież nie dla siebie. To dla brata, dla rodziny... A nie wiadomo skąd wiedział również, że dla Czerwonych. Bo gdyby coś zdarzyło się naprawdę, gdyby rzeczywiście zamęczyli na śmierć dwóch białych chłopców, wybuchnie wojna. Poważna wojna, wojna na całego. Po obu stronach zginie wielu ludzi. A zatem, Al może używać swojego talentu - dopóki nikogo nie zabije.

Kiedy konie zniknęły, Czerwoni zarzucili jeńcom na szyje rzemienie. I pociągnęli za nie, zmuszając ich do biegu. Measure był wysokim mężczyzną, wyższym niż którykolwiek z napastników, więc musiał się schylać, kiedy go prowadzili. Trudno mu było iść, a rzemień na szyi był naprawdę mocno zaciśnięty. Alą ciągnęli z tyłu, i widział, jak traktują Measure'a, słyszał, jak krztusi się po drodze. Bez trudu wszedł w ten rzemień, rozciągnął go, naciągnął, żeby luźno zwisał bratu z szyi, i wydłużył, żeby Measure mógł się wyprostować. Działo się to bardzo powoli, i Czerwoni nic nie zauważyli. Al wiedział jednak, że z pewnością wkrótce się zorientują.

Wszyscy wiedzą, że Czerwoni nie zostawiają śladów. I kiedy chwytają białych jeńców, zwykle noszą ich przewieszonych za ręce i nogi jak oprawione sarny, żeby niezgrabni biali ludzie nie ułatwiali zadania ścigającym. Ci Czerwoni chcieli więc, by ich ścigano, skoro pozwalali Alowi i Measure'owi na każdym kroku zostawiać tyle tropów i znaków.

Nie chcieli jednak, żeby pościg był zbyt łatwy. Maszerowali już przez całą wieczność - tak się wydawało - a przynajmniej ze dwie godziny, nim wreszcie dotarli do strumienia. Weszli w wodę i brnęli spory kawałek pod prąd. Później biegli jeszcze przez pół mili czy milę, zanim w końcu zatrzymali się na polanie. Czerwoni rozpalili ogień.

W pobliżu nie było farm, ale to nie miało znaczenia. Do tej chwili poranione konie dobiegły już do domu, z zakrwawionymi ubraniami i tymi imionami wyciętymi na skórze siodła. W tej chwili wszyscy Biali z okolicy przewożą rodziny do Vigor Kościoła, gdzie kilku mężczyzn może bronić kobiet i dzieci, gdy reszta wyruszy na poszukiwanie zaginionych chłopców. W tej chwili mama jest biała jak śmierć z przerażenia, tato krzyczy na innych, żeby się spieszyli, szybciej, nie ma ani chwili do stracenia, musimy ich znaleźć! Pojadę sam, jeśli nie ruszycie natychmiast! A inni odpowiadają: "Spokojnie, Miller, spokojnie, sam niczego nie osiągniesz. Złapiemy ich, nie masz się co złościć". Nikt nie chce przyznać tego, o czym wiedzieli wszyscy: że Alvin i Measure tak jakby już nie żyją.

Jednak Alvin nie miał zamiaru umierać. Nic z tego. Zamierzał pozostać całkiem żywy, i to razem z Measure'em.

Czerwoni rozpalili spore gorące ognisko i z pewnością nie był to ogień do gotowania. Słońce świeciło już mocno i jasno, przez co nawet w krótkiej letniej bieliźnie Al i Measure okropnie się spocili. A oblali się potem jeszcze mocniej, kiedy Czerwoni zdarli z nich nawet to, ścinając wszystkie guziki z przodu i rozszarpując na plecach, aż chłopcy zostali nadzy aż do ziemi, na której siedzieli.

Wtedy właśnie jeden z Czerwonych zwrócił uwagę na czoło Ala. Wziął kawałek materiału i wytarł mu twarz, szorując mocno, żeby zdrapać zaschniętą krew. Potem zaczął bełkotać do pozostałych. Wszyscy podeszli, żeby popatrzeć. Al wiedział, czego szukają... i wiedział, że tego nie znajdą. Ponieważ zagoił sobie czoło bez śladu, bez najmniejszej blizny. Oczywiście, Measure też nie miał śladów ciecienia, bo to nie jego skaleczyli. To powinno ich zastanowić.

Ale nie na gojeniu opierał Al swoje plany ocalenia. Było za trudne, zbyt powolne. Czerwoni na pewno szybciej potrafią kłuć nożami, niż on zdoła leczyć rany. Będzie o wiele prościej, jeśli użyje swojego talentu na przedmiotach z metalu i kamienia, które były w każdym miejscu takie same. Żywe ciało jest znanadto skomplikowane, ma mnóstwo drobnych części, które trzeba najpierw poukładać sobie w myślach, a potem dopiero dokonywać zmian i zespalać.

Kiedy więc jeden z Czerwonych usiadł przed Measure'em i machnął groźnie nożem, Al nie czekał, aż zacznie go kaleczyć. Odtworzył sobie w myślach ten nóż, stal klingi - był to nóż Białych, tak samo jak muszkiety. Znalazł krawędź, ostrze, i spłaszczył je, wygładził, zaokrąglił.

Czerwony przycisnął nóż do nagiej piersi Measure'a i spróbował ciąć. Measure przygotował się na ból. Ale na skórze pozostał tylko taki ślad, jakby Czerwony trzymał w ręku łyżkę.

Al niemal wybuchnął śmiechem widząc, jak cofa nóż i przygląda mu się, nie pojmując, co się stało. Na próbę przejechał ostrzem po własnym palcu. Al myślał, czy nie uczynić krawędzi ostrą jak brzytwa, ale nie, nie, zasady pozwalały wykorzystać dar tylko do naprawiania, nie do zadawania ran. Pozostali zebrali się wokół i drwili z właściciela noża, myśląc pewnie, że nie dbał o ostrzenie. Al tymczasem szukał u Czerwonych wszystkich innych metalowych krawędzi, zaokrąglił je i wygładzał. Kiedy skończył, nawet strąka grochu nie zdołaliby przekroić swoimi nożami.

Oczywiście, wyciągnęli noże i wypróbowali ostrza na Measure i Alvinie. Potem zaczęli krzyczeć, wrzeszczeć i oskarżać się nawzajem. Klócili się pewnie, czyja to wina.

Musieli jednak wykonać zadanie, prawda? Mieli torturować tych białych chłopców, żeby wrzeszczeli... A przynajmniej posiekać ich tak, żeby ci, co znajdą ciała, pragnęli zemsty.

Dlatego jeden z Czerwonych chwycił swój staromodny kamienny tommy-hawk i zakręcił nim przed twarzą Ala; niech chłopak solidnie się wystraszy. Al wykorzystał ten czas: zmięczył kamień, osłabił drewno, rozluźnił rzemienie. Zanim Czerwony podniósł broń, żeby na poważnie wziąć się do roboty - na przykład roztrzaskać więźniowi czaszkę - tommy-hawk rozsypał mu się w rękę. Drewno przegniło na wskroś, kamienne ostrze opadło na ziemię w postaci żwiru, a nawet rzemień pękł. Czerwony krzyknął i odskoczył, jakby nagle zobaczył grzechotnika.

Inny miał toporek ze stalowym ostrzem. Nie marnował czasu na wymachiwanie, tylko złapał Measure'a za rękę i uderzył, żeby mu odciąć palce. Dla Ala było to łatwe. Czy nie wykuwał już całych młyńskich kamieni? I kiedy toporek uderzył i brzęknął o skałę, Measure wstrzymał oddech pewny, że stracił wszystkie palce. Ale gdy Czerwony podniósł broń, dłoń Measure'a wyglądała tak jak poprzednio, nawet nie skaleczona, a w ostrzu były wgłębienia w kształcie palców, jakby zrobiono je z masła albo mokrego mydła.

Czerwoni krzyczeli, spoglądali po sobie z przerażeniem, przerażeniem i gniewem na te niezwykle rzeczy, które się tu działy. Jako Biały, Alvin nie mógł o tym wiedzieć, ale najgorsze było to, że nic nie czuli, a przecież czuli czary, zaklęcia czy uroki białych ludzi. Heks wykreślony przez Białego był niczym guz w ich poczuciu krainy, przywołanie wzbudzało wstrętny zapach, zasłona brzęczała, kiedy podchodzili bliżej. Ale to, co robił Alvin, niczego w krainie nie zakłócało; ich wyczucie tego, co być powinno, nie ukazywało nic niezwykłego. Zupełnie jakby prawa natury zmieniły się nagle, jakby stał się miękka, a ciało twarde, skała krucha, a rzemień słaby niczym trawa. Nie spoglądali na Ala ani Measure'a, szukając przyczyny tych zdarzeń. Według nich, powodem była jakaś naturalna moc.

Alvin widział tylko ich lęk, gniew i zdumienie, co sprawiło mu dostateczną satysfakcję. Ale nie popadł w zarozumiałość. Wiedział, że z pewnymi rzeczami nie zdoła sobie poradzić. Najważniejszą z nich była woda. Jeśli Czerwonym wpadnie do głowy, żeby ich utopić, Al nie potrafi ich powstrzymać ani uratować siebie i Measure'a. Miał dopiero dziesięć lat; ograniczały go zasady, których nie rozumiał i nie doszedł jeszcze do wszystkich możliwych zastosowań swojego daru. Nie wiedział, jak ten dar działa. Może w jego mocy

były rzeczy jeszcze dziwniejsze, gdyby tylko odgadł, jak się do nich zabrać. Problem w tym, że nie wiedział, i dlatego robił wyłącznie to, co było w jego zasięgu.

Szczęście mu sprzyjało - nie pomyśleli o topieniu. Ale pomyśleli o ogniu. Najpewniej planowali to od samego początku. Ludzie opowiadali, jak to podczas wojen z Czerwonymi w Nowej Anglii znajdowano ofiary tortur z poczerniałymi stopami w stygnących popiołach ogniska. Jeńcy musieli patrzeć, jak zwęgłają im się palce, dopóki ból, krwotok i obłęd ich nie zabiły. Alvin widział, że Czerwoni dokładają do ognia. Nie wiedział, jak zmniejszyć żar płomieni. Nigdy tego nie próbował. Myślał szybko... I kiedy wzięli Measure'a pod pachy i powlekli do ogniska, Al wszedł w drewno i rozkruszył je, zmienił w proch, tak że wypaliło się prędko, wszystko naraz, w wybuchu tak nagłym, że aż trzasnęło i strzeliła w górę kula jaskrawego, ostrego światła. Wzniosła się tak szybko, że wiatr dmuchnął ze wszystkich stron ku miejscu, gdzie płonęło ognisko. Na sekundę czy dwie powstał wir, wessał popioły, zakręcił nimi i wreszcie wypuścił, by opadły na ziemię jak kurz.

I koniec. Z ogniska pozostał tylko popiół opadający na polanę niczym mgła.

Jakże oni wyli, skakali, tańczyli, bili się po piersiach i ramionach! I kiedy trwało to długo niby irlandzki pogrzeb, Al poluzował więzy sobie i bratu, wbrew rozumowi mając nadzieję, że jednak zdołają umknąć... zanim znajdą ich rodzice i sąsiedzi, zanim zaczną strzelać, zabijać i ginać.

Measure czuł oczywiście, że sznury się rozluźniają, i zerknął czujnie na Alvina. Do tej chwili prawie szalał, widząc, co się dzieje z Czerwonymi. Naturalnie, od razu wiedział, że to Alvin, ale chłopiec nie mógł go przecież uprzedzić, co zamierza. Measure był tak samo zaskoczony jak napastnicy. Teraz jednak popatrzył na Alvina, skinął głową i zaczął wypłatywać ręce ze sznurów. Czerwoni na razie niczego nie zauważyli, więc może Alvin i Measure zaskoczą ich, czy może... może Czerwoni są tak przestraszeni, że nie będą ich gonić.

W tej jednak chwili wszystko się zmieniło. Coś zahukało w lesie, a potem jakby trzysta sów dookoła powtórzyło to wołanie. Sądząc po tym, jak patrzył na brata, Measure myślał chyba, że to Al wywołał te dźwięki. Ale Czerwoni od razu wiedzieli, co to oznacza. Znieruchomieli z przestraszonymi twarzami i Alvin domyślił się, że to coś dobrego, może nawet ratunek.

Z lasu wokół polany wyszło najpierw dziesięciu, potem stu Czerwonych. Nosili łuki - żaden nie miał muszkietu - a po ubraniu i włosach Alvin poznał, że należą do Shaw-Nee i są uczniami Proroka. Prawdę mówiąc, nie tego oczekiwał. To białe twarze chciał zobaczyć, nie jeszcze więcej czerwonych.

Jeden z nowo przybyłych Czerwonych wystąpił naprzód - wysoki, silny, z twarzą o rysach twardych i ostrych jak skała. Rzucił kilka chrapliwych słów i natychmiast ich oprawcy zaczęli bełkotać, jęczeć, błagać... Jak gromadka dzieci, pomyślał Al, przyłapanych przez ojca na tym, czego im nie wolno. Ponieważ jego również czasem przyłapywano na psotach, poczuł nawet coś w rodzaju współczucia... póki sobie nie przypomniał, że ci Czerwoni chcieli okrutnie uśmiercić jego i brata. To, że w rezultacie nawet ich nie skaleczyli, wcale nie umniejszało ich winy i grzechu złych intencji.

I wtedy z tego bełkotu wybiło się jedno słowo, imię: Ta-Kumsaw. Al zerknął na Measure'a, by sprawdzić, czy brat usłyszał; Measure patrzył na niego z uniesionymi brwiami, pytając o to samo. Obaj równocześnie wyszeptali: Ta-Kumsaw.

Czy to znaczy, że Ta-Kumsaw dowodził tym wszystkim? Czy był zły na Czerwonych, gdyż nie udały im się tortury, czy raczej dlatego, że schwytali białych chłopców? Od Czerwonych nie mogli oczekiwać wyjaśnień, to jasne. Pewne było jedynie to, co zrobili nowo przybyli Czerwoni: odebrali muszkiety niedoszłym oprawcom, po czym odeszli z nimi w las. Zostało może dziesięciu, wśród nich Ta-Kumsaw.

- Mówią, że masz palce ze stali - powiedział Ta-Kumsaw.

Measure zerknął na Alę, jakby to on miał odpowiedzieć. Ale chłopiec zupełnie nie wiedział, jak ma się zachować. Wolałby nie zdradzać Czerwonym swoich możliwości. Dlatego Measure musiał się w końcu odezwać. Podniósł rękę i poruszył palcami.

- Normalne palce, o ile mi wiadomo - oświadczył.

Ta-Kumsaw chwycił go za rękę - uścisk musiał być mocny, bo Measure próbował wyrwać dłoń i nie zdołał.

- Żelazna skóra - powiedział Ta-Kumsaw. - Nie da się przeciąć nożem. Chłopcy z kamienia.

Poderwał Measure'a na nogi i wolną ręką klepnął go mocno w ramię.

- Kamienny chłopcze, rzuć mną o ziemię!

- Nie będę się z tobą siłował - odparł Measure. - Nie chcę z nikim walczyć.

- Rzuć mnie! - rozkazał Ta-Kumsaw.

Poprawił chwyt, wystawił nogę i zaczekał, aż Measure dosunie stopę. Stali twarzą w twarz, jak Czerwoni w swoich rozgrywkach. Tyle że to nie była zabawa, nie dla tych chłopców, którzy przed chwilą patrzyli śmierci w oczy i wciąż nie mieli gwarancji, czy nie czeka ona tuż za zakrętem.

Al nie wiedział, co powinien zrobić, ale wciąż miał chęć na działanie. Tak niedawno jeszcze zmieniał wszystko. I gdy tylko Measure i Ta-Kumsaw zaczęli się siłować, nie myśląc

prawie o konsekwencjach, rozpulchnił ziemię pod nogami Czerwonego. A Ta-Kumsaw napierając na Measure'a, sam się przewrócił.

Pozostali Czerwoni trochę się podśmiewali i pokpiwali z tej walki. Kiedy jednak zobaczyli, że pada na ziemię największy z wodzów wszystkich plemion, którego imię znane było od Bostonu do Nowego Orleanu, śmieszki nagle zamarły. Prawdę mówiąc, na polanie zapadła martwa cisza. Ta-Kumsaw podniósł się i zbadał grunt, rozgrzebując go stopą. Był znowu twardy, naturalnie. Wódz odszedł o kilka kroków, stanął na trawie i powtórnie wyciągnął dłoń.

Tym razem Measure czuł się dużo pewniej. Podeszedł, sięgnął ręką... i w ostatniej chwili Ta-Kumsaw się odsunął. Stał nieruchomo, nie patrząc na Measure'a, Ala ani na nikogo, tylko w przestrzeń. Twarz miał surową i poważną. Potem odwrócił się do innych Czerwonych i wyrzucił z siebie lawinę słów, wypływał je ze wszystkimi "s"-ami, "k" i "x"-ami mowy Shaw-Nee. Al i inne dzieci z Vigor Kościoła często naśladowali język Czerwonych, wykrzykując zdania w rodzaju "boxy talksy skock woxity" i boki zrywali ze śmiechu. Ale kiedy przemówił Ta-Kumsaw, wcale nie wydawało się to zabawne. A gdy skończył, Czerwoni znowu pociągnęli Ala i Measure'a na rzemieniach. Gdy strzepy bielezyny zsunęły się na ziemię, przeszkadzając im w marszu, Ta-Kumsaw podeszedł z gniewną miną i zdarł je z chłopców, gołymi rękami rwąc materiał na części. Al ani Measure jakoś woleli się nie skarżyć, że są teraz nadzy i jedyne, co mają na sobie, to rzemienne pętle na szyjach. Chwila nie wydawała się odpowiednia na narzekania. Nie mieli pojęcia, dokąd Ta-Kumsaw ich zabiera, a że nie mieli również wyboru, nie warto było pytać.

Al i Measure jeszcze nigdy w życiu nie biegli tak prędko ani tak daleko. Godzina za godziną, mila za milą, nigdy zbyt szybko, ale też nigdy nie przystając. Biegąc w ten sposób, Czerwony szybciej pokonuje odległość niż Biały na koniu, jeśli nie galopuje przez cały czas. Co nie jest dobre dla koni. Poza tym konie muszą się trzymać dróg, podczas gdy Czerwoni... Czerwoni nie potrzebowali nawet ścieżek. Al szybko zauważył, że taki bieg przez las czym innym jest dla Czerwonych, a czym innym dla niego i Measure'a. Jedyńm dźwiękiem, jaki słyszał, były kroki Measure'a i jego własne. Al biegł z tyłu, widział więc, co się dzieje z bratem. Czerwony, który ciągnął go za sobą, napierał ciałem na gałąź, a ta odchyłała się, robiąc przejście. Ale w sekundę później, gdy odpychał ją Measure, gałąź drapała mu skórę i pękała. Czerwoni następowali na korzenie i gałązki, i nie słychać było żadnego dźwięku, nikt nie gubił rytmu. Al stawał w tym samym miejscu i potykał się, tracił równowagę, rzemień zaciskał się na szyi, gałązka łamała się pod bosą stopą albo szorstka kora korzeni kaleczyła skórę. Jako mały chłopiec Al był przyzwyczajony do biegania boso i miał stwardniałe

podeszwy stóp. Ale Measure od paru już lat chodził w dorosłych butach i Al widział, że już po pół mili brat zaczął krwawić.

Jedno, co może zrobić, pomyślał Al, to pomóc mu wygoić stopy. Próbował znaleźć do nich drogę, tak jak ją znajdował do wnętrza kamienia, stali i drewna. Ale w biegu nie mógł się skoncentrować, a żywe ciało okazało się zbyt skomplikowane.

Jednak Alvin nie należał do tych, co łatwo rezygnują. Nie, spróbował innego sposobu. Ponieważ to bieg go rozpraszał, przestał o nim myśleć. Nie patrzył na ziemię. Nie próbował stąpać w te miejsca, co biegnący przed nim Czerwony. Po prostu nie zwracał na nic uwagi. Jeśli tak można powiedzieć, przyciął własny knot, jak w lampie naftowej, zapatrzył się w pustkę, myślał o niczym, pozwolił ciału funkcjonować tak, jakby było domowym zwierzęciem, któremu wolno bawić się po swojemu.

Nie miał pojęcia, że robi to, co zwykle różdżkarze, gdy pozwalają swoim zmysłom przenosić się z głowy do różdżki i działać bez nadzoru. Zresztą, to nie było dokładnie to samo, tym bardziej że nie ma na świecie takiego różdżkarza, który szukałby czegoś, biegnąc z rzemienną pętlą na szyi.

Teraz jednak Alvin bez najmniejszego kłopotu przedostał się do ciała Measure'a, znalazł obolałe miejsca, krwawiące zadrapania na stopach, zmęczone mięśnie nóg, kolkę w boku. Wygojenie stóp, wzmocnienie skóry, utwardzenie podeszew - to było proste. Co do reszty, Alvin czuł, jak ciało Measure'a błaga o głębszy, częstszy, szybszy oddech. Dlatego przedostał się do płuc i oczyścił je, otworzył aż do najgłębszych miejsc. Kiedy teraz Measure wciągał powietrze, ciało miało z tego więcej pożytku, jakby potrafiło wycisnąć każdą drobinę energii. Al nie rozumiał właściwie, co takiego robi, ale wiedział, że to działa, ponieważ ból w ciele Measure'a zaczął ustępować, brat nie męczył się tak bardzo, nie dyszał ciężko.

Wróciwszy do własnego ciała, Alvin zauważył, że przez cały czas, gdy pomagał Measure'owi, żadna gałązka nie trzasnęła mu pod stopą, ani razu nie uderzyła go gałąź, którą odsunął biegnący przed nim Czerwony. Teraz jednak był kluty, drapany i bity jak poprzednio. Tak było stale, pomyślał z początku, tylko nie zwracałem uwagi na swoją skórę. Ale chociaż uznał to za prawdę i nawet prawie w nią uwierzył, zdał sobie sprawę, że zmianie uległy odgłosy otaczającego świata. Teraz słyszał tylko oddechy, uderzenia białoskórych stóp o ziemię albo szelest suchych liści. Od czasu do czasu śpiew ptaka, brzęczenie muchy. Nic ciekawego. Ale całkiem wyraźnie pamiętał, że póki nie wrócił z ciała Measure'a, słyszał jeszcze coś, jakby muzykę, jakby... zieloną muzykę. Ale to przecież bez sensu. Jak muzyka może mieć kolor? To wariactwo. Dlatego przestał o tym myśleć. Ale nawet nie myśląc, nadal

pragnął usłyszeć ją znowu. Usłyszeć albo zobaczyć, poczuć... Jakkolwiek do niego dotarła, teraz chciał, by wróciła.

I jeszcze coś. Póki nie wyszedł z siebie, żeby pomóc Measure'owi, jego ciało też nie radziło sobie za dobrze. Szczerze mówiąc, był już prawie wykończony. A teraz czuł się świetnie, świeżo, oddychał głęboko, zdawało mu się, że jego ręce i nogi potrafiłyby biec tak przez wieczność, wytrwale w wysiłku jak drzewa w swym bezruchu. Może dlatego, że lecząc Measure'a, wyleczył przy okazji siebie... Nie bardzo w to wierzył, gdyż zawsze wiedział, co robi, a czego nie robi. Nie, według Ala Juniora ciało radziło sobie tak świetnie z całkiem innej przyczyny. I ta przyczyna albo była elementem zielonej muzyki, albo jej źródłem, albo to źródło było wspólne dla obu.

Biegając bez przerwy, Al i Measure nie mieli okazji do rozmowy. Dopiero wieczorem dotarli do osady Czerwonych w zakolu ciemnej, głębokiej rzeki. Ta-Kumsaw poprowadził ich na sam środek wioski, po czym odszedł i zostawił samych. Rzeka płynęła w dole, tuż przed nimi, odległa może o sto jardów trawiastego gruntu.

- Myślisz, że dopadlibyśmy rzeki, zanimby nas dogonili? - szepnął Measure.

- Nie - odparł Al. - Zresztą nie umiem pływać. Tato nigdy nie puszczał mnie do wody.

Po chwili czerwone kobiety i dzieci wyszły z lepianek i pokazywały sobie palcami dwóch gołych Białych, mężczyznę i chłopca. Chichotały i rzucały w nich grudami. Z początku Al i Measure próbowali się uchylać, ale Czerwoni tylko śmiali się głośniejsze i biegali wkoło, rzucając błotem z różnych stron, celując w krocza i twarze. W końcu Measure usiadł na trawie i położył głowę na kolanach; niech rzucają czym chcą. Al zrobił to samo. Wreszcie ktoś warknął kilka słów i ataki ustały. Al podniósł głowę i dostrzegł jeszcze oddalającego się Ta-Kumsaw. Podeszło kilku jego wojowników i pilnowali, żeby nic więcej się nie stało.

- W życiu jeszcze nie biegłem tak daleko - mruknął Measure.

- Ja też nie - zgodził się Al.

- Na początku myślałem, że tam padnę, taki byłem zmęczony. Ale potem złapałem drugi oddech. Nie wierzyłem, że mnie na to stać.

Al milczał.

- A może ty masz z tym coś wspólnego?

- Może trochę.

- Nigdy nie wiem, do czego jesteś zdolny, Alvinie.

- Ja też nie - odparł Al, i to była prawda.

- Kiedy ten toporek spadł mi na palce, myślałem, że dobiegły końca moje dni pracy.

- Ciesz się, że nie próbowali nas utopić.

- Znowu ty i woda - burknął Measure. - Ale cieszę się, Al, że zrobiłeś to, co zrobiłeś. Choć muszę dodać, że chyba byłoby lepiej, gdyby ten wódz nie pośliznął się przez ciebie, kiedy mieliśmy się siłować na ręce.

- Dlaczego nie? - zdziwił się Alvin. - Nie chciałem, żeby zrobił ci krzywdę...

- Nie mogłeś wiedzieć, więc to nie twoja wina. Ale takie zapasy nie służą temu, żeby kogoś zranić. To rodzaj próby: męstwa, szybkości i czego tam jeszcze. Gdyby mnie pobił, ale po dobrej walce, zyskałbym jego szacunek. A gdybym uczciwie wygrał, też byłbym szanowany. Armor mi opowiadał. Oni to robią bez przerwy.

Alvin zastanowił się chwilę.

- Czyli to bardzo niedobrze, że się przeze mnie wywrócił?

- Nie wiem. Zależy, co ich zdaniem było przyczyną. Może pomyśleli, że to Bóg stanął po mojej stronie, albo co...

- Czy oni wierzą w Boga?

- Przecież mają Proroka. Tak jak w Biblii. Zresztą... Mam tylko nadzieję, że nie wezmą mnie za tchórza albo oszusta. Wtedy sprawy nie ułożą się dla mnie za dobrze.

- No to im powiem, że ja to zrobiłem - oświadczył Al.

- Nawet się nie waz - zabronił mu Measure. - Tylko to nas ocaliło, że nie wiedzieli, kto wyczynia te sztuczki z nożami, toporkami i resztą. Gdyby się domyślili, Al, rozrąbaliby ci głowę, roznieśli cię na kawałki, a potem ze mną zrobiliby, co chcieli. Przeżyłeś tylko dlatego, że nie odgadli, co robisz.

Potem rozmawiali o tym, jak bardzo martwią się tato i mama, zgadywali, jak mama się złości, a może za bardzo jest zmartwiona, żeby krzyczeć na tatę. I że na pewno już ich szukają, nawet jeśli konie nie wróciły do domu, bo przecież skoro nie dotarli na kolację do Peache'ów, ci nie zmarnują ani chwili i zawiadomią wszystkich.

- Zacznie się mówić o wojnie z Czerwonymi - zauważył Measure. - To pewne. Wielu jest ludzi z okolic Carthage, którzy i tak już nienawidzą Ta-Kumsaw, bo porwał im całą trzodę.

- Przecież Ta-Kumsaw nas uratował - przypomniał Al.

- Przynajmniej tak się wydaje. Ale popatrz, nie odprowadził nas do domu ani nawet nie zapytał, gdzie jest ten dom. A jeśli sam nie brał w tym udziału, jak to możliwe, że zjawił się dokładnie we właściwej chwili? Nie, Al. Nie wiem, o co tu chodzi, ale Ta-Kumsaw nas nie uratował. A gdyby nawet, to uratował dla swoich własnych celów. I nie jestem pewien, czy chce naszego dobra. Przede wszystkim wcale mi się nie podoba, że muszę siedzieć goły na środku wioski Czerwonych.

- Mnie też nie. I jestem głodny.

Jednak już wkrótce sam Ta-Kumsaw przyniósł im garnek kukurydzianej papki. Zabawne było patrzeć na tego wysokiego czerwonego mężczyznę, pełnego ładu królewskiej godności, jak niesie garnek niczym jakaś kobieta. Ale po chwili zaskoczenia Alvin uświadomił sobie, że kiedy Ta-Kumsaw to robi, taszczenie garnka wygląda wręcz szlachetnie.

Ustawił naczynie przed Alem i Measurem, po czym zdjął z szyi dwa pasy materiału.

- Załóżcie to - rzucił i wręczył im po jednym.

Żaden z chłopców nie miał pojęcia, jak się wiąże biodrowe przepaski, tym bardziej że Ta-Kumsaw wciąż trzymał skórzane pasy, które powinny je podtrzymywać. Ta-Kumsaw zaśmiał się z ich nieporadności i kazał Alowi wstać. Potem sam go ubrał. Measure przyglądał się uważnie i mógł się okryć bez pomocy. Nie było to prawdziwe ubranie, ale zawsze to lepsze, niż biegać na golasa.

Potem Ta-Kumsaw usiadł na trawie obok garnka i pokazał, jak jeść tę papkę - zanurzyć palce, nabrać ciepłej, gęstej mazi i wsunąć do ust. Smak był tak mdły, że Alvin niemal się zakrztusił. Measure zauważył to.

- Jedz - nakazał.

I Alvin jadł, a kiedy przełknął pierwszą porcję, czuł, że żołądek chce więcej, chociaż nadal musiał przekonywać własne gardło, żeby podjęło się transportu.

Kiedy oczyścili już garnek, Ta-Kumsaw odstawił go na bok. Przez chwilę przyglądał się Measure'owi.

- Jak mnie przewróciłeś, biały tchórze? - zapytał.

Al już chciał odpowiedzieć, ale Measure odezwał się za szybko i za głośno.

- Nie jestem tchórzem, wodzu Ta-Kumsawie, i jeśli teraz spróbujesz się ze mną siłować, będę walczył uczciwie.

Ta-Kumsaw uśmiechnął się posępnie.

- Żebyś upadł na oczach wszystkich tych kobiet i dzieci?

- To ja - wtrącił Alvin.

Ta-Kumsaw wolno odwrócił głowę, wciąż z uśmiechem na ustach... i już nie tak ponurym.

- Bardzo mały chłopiec - powiedział. - Bezużyteczne dziecko. Potrafisz rozkopać mi ziemię pod stopami?

- Mam taki dar - wyjaśnił Alvin. - Nie wiedziałem, że nie chcesz go skrzywdzić.

- Widziałem topór - rzekł Ta-Kumsaw. - Z takimi śladami... - Nakreślił w powietrzu kształt zagłębień pozostawionych na ostrzu przez palce Measure'a. - Ty to zrobiłeś?

- Nie można odrąbywać komuś palców.

Ta-Kumsaw roześmiał się głośno.

- Bardzo dobrze! - Przysunął się bliżej, - Czary białych ludzi robią hałas, bardzo wielki szum. Ale ty... ty robisz to cicho i nikt nie słyszy.

Alvin nie rozumiał, o czym mówi Czerwony.

Po chwili milczenia przemówił Measure, śmiało i odważnie.

- Co chcesz z nami zrobić, wodzu Ta-Kumsawie?

- Jutro pobiegniemy znowu - odpowiedział Ta-Kumsaw.

- A czy nie myślisz, żeby pozwolić nam pobiec do domu? Teraz już pewnie szuka nas setka sąsiadów, a wszyscy wściekli jak szerszenie. Jeśli nas nie puścisz, będą kłopoty.

Ta-Kumsaw pokręcił głową.

- Mój brat was potrzebuje.

Measure zerknął na Alvina, potem znowu na wodza.

- To znaczy Prorok?

- Tenska-Tawa - rzekł Ta-Kumsaw.

Measure wyglądał, jakby go zemdliło.

- Zbudował swoje Prorocze Miasto, przez cztery lata nikt mu i niczym nie przeszkadzał, Biali i Czerwoni żyli obok siebie w zgodzie, a teraz nagle bierze Białych do niewoli, torturuje ich i...

Ta-Kumsaw klasnął w ręce, tylko raz, głośno. Measure umilkł.

- Chok-Taw was złapali! Chok-Taw chcieli was zabić! Moi ludzie nie zabijają, chyba że bronią naszej ziemi i naszych rodzin przed białymi złodziejami i mordercami. A ludzie Tenska-Tawa nie zabijają nigdy.

Po raz pierwszy Alvin dowiedział się, że istnieje rozłam między Ta-Kumsawem i Prorokiem.

- To skąd wiedziałeś, gdzie jesteśmy? - zapytał Measure. - Skąd wiedziałeś, gdzie nas szukać?

- Tenska-Tawa was zobaczył - wyjaśnił Ta-Kumsaw. - Kazał mi się spieszyć, ocalić przed Chok-Taw i sprowadzić do Mizogan.

Measure lepiej od Alvina znał mapy rysowane przez Armora-of-God. Rozpoznał tę nazwę.

- Do tego wielkiego jeziora, gdzie leży Fort Chicago.

- Nie pójdziemy do Fortu Chicago. Pójdziemy do świętego miejsca.

- Do kościoła? - zdziwił się Alvin.

Ta-Kumsaw parsknął śmiechem.

- Wy, Biali, kiedy czynicie miejsce świętym, wznosicie ściany, żeby nic się tam nie przedostało. Wasz bóg jest niczym i nigdzie, dlatego budujecie kościoły. Ale w nim nie ma niczego żywego. Kościół może stać gdziekolwiek, to bez znaczenia. Nic i nigdzie.

- A dlaczego jakieś miejsce jest święte? - chciał wiedzieć Alvin.

- Bo tam czerwony człowiek przemawia do krainy i kraina odpowiada. - Ta-Kumsaw uśmiechnął się. - Teraz śpijcie. Ruszamy jeszcze po ciemku.

- Zapowiada się zimna nocka - zauważył Measure.

- Kobiety przyniosą wam koce. Wojownicy ich nie potrzebują. Jest lato. - Ta-Kumsaw odszedł na kilka kroków, potem obejrzał się jeszcze na Alvina. - Weaw-Moxiky biegł za tobą, biały chłopcze. Widział, co robisz. Nie próbuj kryć niczego przed Tenska-Tawa. Pozna, że kłamiesz.

Wódz odszedł.

- O czym on mówił? - zdziwił się Measure.

- Chciałbym wiedzieć - odparł Al. - Będę miał kłopoty z mówieniem prawdy, jeżeli sam jej nie znam.

Po chwili dostali koce. Alvin przysunął się do brata, bardziej dla dodania sobie odwagi niż żeby szukać ciepła. Szeptali jeszcze chwilę, próbując rozwikłać zagadkę. Jeśli Ta-Kumsaw nie uczestniczył w porwaniu od początku, to dlaczego Chok-Tawowie wycięli na siodłach imiona jego i Proroka? A gdyby to nawet było kłamstwo, i tak niedobrze, że jeńcy trafili w końcu do Ta-Kumsawa - a on zabierze ich nad jezioro Mizogan, zamiast zwyczajnie puścić do domu. Trzeba będzie długo uspokajać ludzi, żeby ta sprawa nie doprowadziła do wojny.

Wreszcie jednak umilkli, śmiertelnie zmęczeni całym tym biegiem, nie mówiąc już o przesuwaniu drzewa i przerażeniu, kiedy Chok-Tawowie chcieli ich torturować. Measure zachrapał lekko. Alvin zaś zaczął odpływać w sen. W ostatniej chwili świadomości znowu usłyszał tamtą zieloną muzykę... A może zobaczył ją... W każdym razie wiedział, że powróciła. Zanim jednak zdążył się w nią wsłuchać, zasnął. Spał spokojnie. Nocna bryza dmuchała od rzeki, koc i ciało Measure'a ogrzewały go, rozbrzmiewały wołania nocnych ptaków, płacz jakiegoś dziecka z niedalekiej chaty... A wszystko to było fragmentem zielonej muzyki, płynącej przez jego myśli.

ROZDZIAŁ 8 - MIŁOŚNIK CZERWONYCH

Zebrali się na polanie: około trzydziestu białych mężczyzn, posepnych i gniewnych, zmęczonych marszem przez las. Ścieżka była wyraźna, ale zdawało się, że chwytają ich gałęzie, korzenie wchodzą pod nogi... Las nigdy nie witał Białych przyjaźnie. Potem stracili całą godzinę, kiedy trop doprowadził ich do potoku i musieli szukać w górę i w dół strumienia, nim znaleźli miejsce, gdzie Czerwoni znowu wyprowadzili białych chłopców na twardy grunt. Stary Alvin Miller niemal oszalał widząc, że dzicy wlekli jego dzieci przez wodę. Jego syn Calm prawie dziesięć minut musiał go uspokajać, zanim mogli ruszyć dalej. Ten człowiek wariował ze strachu.

- Nie powinienem był go wysyłać - powtarzał. - Jak mogłem go tak puścić...

A Calm przekonywał:

- To mogło się zdarzyć wszędzie, nie twoja wina, znajdziemy ich, przecież jeszcze idą, prawda?

Mówił różne rzeczy, ale to głównie jego głos uspokoił Alę Millera, jego rozważa... Niektórzy twierdzili nawet, że taki ma dar, że matka nazwała go od tego, co potrafił najlepiej.

Teraz stanęli na polanie i ślady prowadziły w pięciu różnych kierunkach, a wszystkie znikwały po paru krokach. Kawałek dalej na północ znaleźli podartą bieliznę chłopców. Nikt nie miał ochoty pokazywać jej Alowi Millerowi, więc kiedy tam dotarł - razem z Calmem zamykał tyły - strzępy ubrań były już starannie ukryte.

- Nie wytropimy ich - stwierdził Armor-of-God. - Chłopcy nie zostawiają śladów... co nic nie znaczy, panie Miller, niech się pan nie boi. - Armor zwracał się do teścia "panie Miller" od dnia, kiedy Al wyrzucił go z domu w śnieg. Przyszedł wtedy powiedzieć, że Al Junior umiera, ponieważ rodzina winna jest grzechu używania heksów i uroków. Jakoś nie wypada nazywać ojcem człowieka, który zrzucił cię z ganku. - Mogą nieść chłopców albo iść za nimi, zacierając ślady. Wszyscy wiemy, że jeśli Czerwony nie chce zostawiać tropów, to nie ma tropów.

- Wszyscy znamy Czerwonych - odparł Al Miller. - I wiemy, co robią z białymi chłopcami, kiedy...

- Na razie wiemy tylko, że próbują nas przestraszyć - przerwał mu Arnor.

- I jak dotąd, świetnie im to idzie - zauważył jeden ze Szwedów. - Moją rodzinę i mnie wystraszyli prawie na śmierć.

- Poza tym wszyscy wiedzą, że Armor-of-God to miłośnik Czerwonych.

Armor obejrzał się, szukając tego, kto to powiedział.

- Jeśli miłośnik Czerwonych znaczy, że Czerwonych uważam za istoty ludzkie, tak jak Białych, owszem, to prawda. Ale jeśli myślisz, że wolę ich od Białych, lepiej zbierz się na odwagę i wystąp, żebym mógł roztrzaskać ci głowę o drzewo.

- Nie warto się kłócić - wtrącił zasapany Thrower. Nie był zbyt sprawny i dopiero teraz dogonił pozostałych. - Pan Bóg kocha wszystkie swe dzieci, nawet pogan. Armor-of-God to dobry chrześcijanin. I wszyscy wiemy, że gdyby doszło do walki między chrześcijanami a pogaństwem, Armor-of-God stanie po stronie prawdy.

Zebrani mruczełi i kiwali głowami. Lubili przecież Armora-of-God; większości z nich pożyczal pieniądze albo dawał kredyt w swoim sklepie i nigdy nie upominał się o zwrot. Gdyby nie on, wielu nie przetrwałoby pierwszych lat w Wobbish. Ale wdzięczni czy nie, wiedzieli przecież, że traktuje Czerwonych jakby byli prawie Białymi, co w takich okolicznościach musiało budzić podejrzenia.

- Teraz zbliża się walka - rzekł któryś. - Nie musimy tropić tych Czerwonych. Znamy ich imiona. Wryli je na siodłach.

- Zaczekajcie chwilę! - zawołał Armor-of-God. - Zastanówcie się! Przez tyle lat Prorocze Miasto rozrasta się na drugim brzegu Wobbish, naprzeciw Vigor Kościoła. Czy któryś z Czerwonych ukradł wam cokolwiek? Uderzył wasze dziecko? Porwał świnie? Choć jednemu z was zrobił coś złego?

- Moim zdaniem porwanie chłopców Alvina Millera to dostatecznie zły uczynek!

- Mówię o Czerwonych z Proroczego Miasta! Wiecie, że nigdy nikogo nie skrzywdzili. Wiecie o tym! I wiecie też dlaczego. Bo Prorok każe im żyć w pokoju, trzymać się swojej ziemi i nie robić krzywdy białym ludziom.

- Ale Ta-Kumsaw mówi co innego!

- A gdyby nawet chcieli zrobić Białym coś strasznego... a nie twierdzę, że chcieli... czy ktoś z was uwierzy, że Ta-Kumsaw albo Tenska-Tawa są tak durni, żeby podpisać się swoim imieniem?

- Są dumni, że zabijają Białych!

- Gdyby Czerwony był mądry, byłby Białym!

- Widzicie, jak to jest z miłośnikami Czerwonych?

Armor-of-God znał tych ludzi i wiedział, że nadal ma za sobą większość. Nawet ci krzykacze nie wyruszą sami; będą czekać, póki cała grupa nie zdecyduje się na działanie. Więc niech go nazywają miłośnikiem Czerwonych, proszę bardzo. Kiedy ludzie się boją,

często mówią rzeczy, których potem żałują. Byle tylko zaczekali. Byle tylko nie rzucili się do wojny z Czerwonymi.

Ponieważ Armor-of-God miał w tej sprawie pewne podejrzenia. Wszystko odbyło się zbyt łatwo... Te konie odesłane do domu z imionami wyciętymi na siodłach. Czerwoni tak nie robili, nawet ci groźni, co chętnie zabiliby każdego spotkanego Białego. Armor sporo wiedział o Czerwonych: torturowali tylko dlatego, żeby człowiek mógł okazać dzielność, nie po to, żeby przerazić innych. A przynajmniej większość Czerwonych - różne historie krążyły o Irrakwa, zanim się ucywilizowali. Czyli ktokolwiek to zrobił, nie postępował jak prawdziwy Czerwony. Armor był niemal pewien, że to ktoś wynajęty. Francuzi z Detroit od lat starali się doprowadzić do wojny między Czerwonymi a białymi osadnikami - może to oni. A może Bill Harrison. Tak, to do niego podobne, do tego pająka przyczajonego w forcie nad Hio. Armor doszedł do wniosku, że to najbardziej prawdopodobne wyjaśnienie. Oczywiście, nie powiedział tego głośno; ludzie pomyśleliby, że jest zazdrosny o Billa Harrisona. To prawda: był zazdrosny. Ale wiedział też, że Harrison jest zepsutym człowiekiem, który nie cofnie się przed niczym, żeby dopiąć swego. Mógłby wysłać bandę dzikich, żeby zabili paru białych chłopców niedaleko Proroczego Miasta. W końcu to Tenska-Tawa namówił większość Czerwonych z okolic fortu Harrisona, żeby odrzucili whisky i poszli za nim. I to Ta-Kumsaw wypędził stamtąd połowę białych osadników. Armorowi wydawało się, że za tym wszystkim stoi Harrison. Raczej on niż Francuzi.

Ale nie mógł tego powiedzieć na głos, bo przecież nie miał żadnych dowodów. Musiał tylko uspokoić jakoś ludzi, dopóki nie znajdzie nowych argumentów.

Może znajdzie już zaraz. Przyprowadzili ze sobą starego Tacka Sweepera, który rzeźił, ale dotrzymywał kroku najlepszym.

Zadziwiający był ten wigor u człowieka, którego płuca przy każdym oddechu przypominały dziecięcą grzechotkę. Tack Sweeper miał talent, choć nie całkiem pewny, co zresztą pierwszy przyznawał. Ale czasem działał nad podziw dobrze. Tack stawał mianowicie w jakimś miejscu, zamykał oczy i tak jakby widział, co się tu zdarzyło w przeszłości. Krótkie scenki, jakieś twarze, nic więcej. Jak wtedy, kiedy bali się, że może Jack de Vries specjalnie się zabił albo ktoś go zamordował. Tack zobaczył wtedy, że to był wypadek, że strzelba wypaliła Jackowi prosto w twarz. Mogli więc pochować go na cmentarzu i nie tracić czasu na poszukiwania zabójcy.

Była więc nadzieja, że Tack powie, co się wydarzyło na polanie. Odsunął wszystkich na skraj lasu, żeby mu nie przeszkadzali. Potem chodził dookoła, powoli, z zamkniętymi oczami.

- Nie powinniście się tak awanturować, chłopcy - stwierdził po chwili. - Widzę tylko was, jak wrzeszczycie.

Roześmiali się, trochę zakłopotani. Wiedzieli przecież, że przed sprowadzeniem Tacka nie wolno mieszać wspomnień miejsca.

- Nie wygląda to dobrze. Widzę twarze Czerwonych. Nóż, dużo noży tnących ludzką skórę. Spada toporek.

Al Miller jęknął.

- Straszny tu chaos. Dużo się działo - rzekł Tack. - Nie widzę wyraźnie. Nie, nie... Widzę... Jeden człowiek... Czerwony, znam tę twarz, widziałem go. Stoi tutaj, całkiem nieruchomo. Znam go.

- Kto to jest? - zapytał Armor-of-God. Ale już wiedział... Ogarnęły go mdłości z przerażenia, bo wiedział.

- Ta-Kumsaw - oświadczył Tack. Szeroko otworzył oczy i niemal przepaszająco spojrzał na Armora. - Też trudno mi w to uwierzyć - mruknął. - Zawsze miałem go za najdzielniejszego człowieka, o jakim w życiu słyszałem. Ale był tutaj, i to on dowodził. Widzę, jak tu stoi i mówi ludziom, co mają robić. Dokładnie w tym miejscu. Dlatego tak dobrze go widać, że stał długo. I był wściekły. Nie ma wątpliwości.

Armor wierzył Tackowi. Inni też - wszyscy wiedzieli, że Tack nie kłamie. Jeśli powiedział, że jest pewien, to był pewien. Ale musiała istnieć jakaś przyczyna...

- Może zjawił się tu i uratował chłopców? Przyszedł i powstrzymał bandę dzikich Czerwonych z...

- Miłośnik Czerwonych! - krzyknął ktoś.

- Znacie Ta-Kumsaw! Nie jest tchórzem, a porwanie tych chłopców to robota tchórza! Przecież znacie go!

- Nikt nie zdoła poznać Czerwonego!

- Ta-Kumsaw nie porwał naszych chłopców! - upierał się Armor-of-God. - Jestem pewien.

Nagle wszyscy ucichli, bo stary Al Miller przecisnął się do przodu i stanął przed Armorem-of-God. Patrzył na zięcia z góry, a twarz miał jak żywe piekło, taki był wściekły.

- Niczego nie wiesz, Armoro-of-God Weaver. Jesteś najgłupszym śmieciem, jaki pływa w nocniku. Najpierw ożeniłeś się z moją córką i nie pozwoliłeś jej rysować żadnych heksów, taki byłeś pewny, że to dzieło diabła. Potem pozwoliłeś wszystkim tym Czerwonym bez przerwy włóczyć się po okolicy. A kiedy chcieliśmy zbudować palisadę, mówiłeś: "Nie, palisada da tylko Francuzom coś, co mogą zaatakować i spalić. Trzeba się zaprzyjaźnić z

Czerwonymi, to dadzą nam spokój. Będziemy z nimi handlować". I widzisz, do czego to doprowadziło? Widzisz, co z tego mamy? Możemy się cieszyć, żeśmy cię posłuchali. Moim zdaniem, Armor-of-God, nie jesteś żadnym miłośnikiem Czerwonych. Jesteś największym durniem, jaki kiedykolwiek przeprawił się przez Hio i ruszył na zachód. A głupszy od ciebie będziemy tylko my, słuchając cię choćby jeszcze przez chwilę!

Potem Al Miller zwrócił się do wszystkich. Patrzeli na niego z podziwem, jakby po raz pierwszy zobaczyli prawdziwy majestat.

- Przez dziesięć lat postępowaliśmy, jak radził Armor. Ale ja mam już dosyć. Wędrując tutaj, straciłem syna w Hatrack River, i to miasto nosi jego imię. Teraz straciłem jeszcze dwóch. Zostało tylko pięciu, ale powiadam wam, sam włożę im w ręce strzelby i poprowadzę w sam środek Proroczego Miasta. Poślę tych wszystkich Czerwonych prosto do piekła, choćbyśmy wszyscy mieli tam zginąć! Słyszycie mnie?

Słyszeli go, tak, słyszeli dobrze. I krzyczeli z zachwytem. Takie słowa były im teraz potrzebne: słowa nienawiści, gniewu i zemsty. A nikt nie mógłby wygłosić ich lepiej od Ala Millera, który zwykle był człowiekiem spokojnym i z nikim się nie kłócił. A że był ojcem porwanych chłopców, jego głos zabrzmiał tym mocniej.

- Według mnie - mówił dalej Al Miller - Bill Harrison od samego początku miał rację. Człowiek biały i czerwony nie mogą żyć obok siebie, nie ma na to sposobu. I jeszcze coś wam powiem: to nie ja stąd odejdę. Za dużo mojej krwi wsiąkło w ten grunt, żebym spakował teraz manatki i odszedł. Zostaję: na tej ziemi albo pod nią.

My też, odpowiedzieli wszyscy. Słusznie mówisz, Alu Millerze. Zostajemy.

- Dzięki temu oto Armorowi nie mamy palisady, a najbliższy fort amerykańskiej armii jest w Carthage City. Jeśli teraz ruszymy do walki, możemy stracić wszystko i wszystkich. Dlatego brońmy się jak umiemy, i poślijmy po pomoc. Dziesięciu ludzi do Carthage City: niech błagają Billa Harrisona, żeby przysłał nam wojsko. Jeśli może, niech przywiezie też działą. Dwóch moich synów nie żyje... tysiąc Czerwonych za każdego z nich nie wystarczy, żeby wyrównać rachunki!

Następnego dnia o świcie dziesięciu jeźdźców wyruszyło na południe. Odjechali z łąk, gdzie tłoczyło się coraz więcej wozów - to rodziny z okolicznych farm przenosiły się do miasta, by zamieszkać u przyjaciół i krewnych. Al Miller nie pojawił się jednak, gdy żegnano posłańców. Wczoraj jego słowa wprawiły to wszystko w ruch, ale więcej z niego nie wykrzesali. Nie chciał dowodzić, chciał tylko odzyskać synów.

Przygnębiony Armor-of-God siedział w pierwszej ławce w kościele.

- Popelniamy wszyscy straszliwy błąd - oświadczył wielebnemu Throwerowi.

- Ludzie zawsze popełniają błędy - odparł pastor. - Kiedy podejmują decyzję bez pomocy Pana naszego.

- Wiem, że to nie Ta-Kumsaw. Ani Prorok.

- To nie żaden Prorok! A w każdym razie nie boży.

- Ale też nie zabójca. Możliwe, że Tack ma rację i że Ta-Kumsaw miał z tym coś wspólnego. Ale wiem jedno: Ta-Kumsaw nie jest mordercą. Jeszcze kiedy był młody, podczas wojny generała Wayne'a, jakaś banda Czerwonych chciała spalić białych jeńców na śmierć. Tacy wtedy byli... chyba pochodzili z Chippy-Wa. I nagle zjawia się Ta-Kumsaw, zupełnie sam, jeden samotny Shaw-Nee, i każe im przestać. Chcemy, żeby biały człowiek nas szanował, mówi, żeby traktował nas jak naród. A nie będzie nas szanował, jeśli tak będziemy postępować. Musimy być cywilizowani. Żadnych skalpów, żadnych tortur, palenia ani mordowania jeńców. Tak im powiedział. I trzymał się tego przez cały czas. Zabija w walce, owszem, ale we wszystkich wyprawach na południu nie zamordował ani jednego człowieka. Rozumiecie? Jeśli Ta-Kumsaw ma tych chłopców, są bezpieczni, jakby leżeli w łóżkach, u mamy w domu.

Thrower westchnął.

- Przypuszczam, że lepiej ode mnie znacie tych Czerwonych.

- Znam ich lepiej niż ktokolwiek. - Armor zaśmiał się z goryczą. - Dlatego nazywają mnie miłośnikiem Czerwonych i nie chcą posłuchać ani jednego mojego słowa. Teraz wzywają tego handlarza whisky, tego tyrana z Carthage City, żeby przyjechał i objął dowództwo. Cokolwiek zrobi, zostanie bohaterem. Wtedy naprawdę zrobią go gubernatorem. Co tam, pewnie wybiorą go prezydentem, jeśli tylko Wobbish przyłączy się do Stanów Zjednoczonych.

- Nie znam tego Harrisona, ale nie może przecież być takim diablem wcielonym.

Armor roześmiał się.

- Czasami wydaje mi się, wielebny, że jesteście łatwowierni jak dziecko.

- Pan nam przykazał wierzyć. Bądź cierpliwy, Armorze-of-God. Wszystko potoczy się zgodnie w wolą bożą.

Armor ukrył twarz w dłoniach.

- Mam nadzieję, wielebny. Ale wciąż myślę o Measure'em... dobry człowiek, trudno znaleźć lepszego... I o małym Alvinie... taki malec ze słodką buzią. Ileż nadziei ojciec w nim pokładał...

Thrower sposepniał nagle.

- Alvin Junior - mruknął. - Kto by przypuszczał, że wola boska dokona się rękami pogan?

- O czym wy mówicie?

- Nic, Armorze, nic. Tyle że wszystko to może być dokładnie, ale dokładnie tak, jak zaplanował nasz Pan.

W domu Millerów na wzgórzu Al wciąż siedział przy stole. Wczoraj nie jadł kolacji, a kiedy spróbował śniadania, niemal udławił się jedzeniem. Faith uprzątnęła wszystko i teraz stała za nim i masowała mu ramiona. Ani razu nie powiedziała: "A nie mówiłam, żeby ich nie wysyłać." Ale oboje o tym wiedzieli. Wisiało to między nimi niczym miecz i z lęku przed nim żadne nie zrobiło kroku w stronę drugiego.

Ciszę przerwało wejście Wastenota ze strzelbą na ramieniu. Oparł ją o ścianę przy drzwiach, wsunął krzesło między nogi i usiadł.

- Odjechali, żeby sprowadzić tu wojsko.

Ku jego zdumieniu ojciec tylko opuścił głowę, oparł ją na rękach skrzyżowanych na stole.

Matka spojrzała na syna. Twarz miała poszarzałą ze zmartwienia i bólu.

- Od kiedy to potrafisz się tym posługiwać? - spytała.

- Ćwiczyliśmy z Wantnotem - wyjaśnił.

- I zamierzasz zabijać tym Czerwonych?

Wastenota zdziwił ton obrzydzenia w jej głosie.

- Mam nadzieję, że tak.

- A kiedy wszyscy Czerwoni już zginą i wszystkie ich ciała rzucicie na stos, czy Measure i Alvin wyczołgają się jakoś spod tego stosu i wrócą do domu?

Wastenot pokręcił głową.

- Wczoraj w nocy jakiś Czerwony wrócił do rodziny dumny, bo zabił białych chłopców. - Na moment głos uwiązł jej w gardle, ale mówiła dalej, bo kiedy Faith Miller miała coś do powiedzenia, było to powiedziane. - I może jego żona albo mama poklepały go po ramieniu albo ucałowały i podały kolację. Ale ty nie próbuj nawet przejść przez te drzwi i oświadczyć, że zabiłeś Czerwonego. Bo dla ciebie, chłopcze, nie będzie kolacji, uścisku ani pocałunku, ani słowa, ani domu, ani mamy. Słyszysz?

Słyszał dobrze, ale wcale mu się to nie podobało. Wstał, podszedł do drzwi i chwycił strzelbę.

- Myśl sobie, co chcesz, mamó - rzekł. - Ale to jest wojna i mam zamiar zabić sobie paru Czerwonych, a potem wrócę do domu. I będę z tego dumny. A jeżeli to znaczy, że nie

chcesz być więcej moją mamą, to możesz przestać nią być już teraz, nie czekając na mój powrót. - Otworzył drzwi, ale zanim zatrzęsnał je za sobą, zatrzymał się jeszcze. - Pociesz się, mamó. Może wcale nie wrócę.

Nigdy jeszcze nie zwracał się tak do matki i nie był pewien, czy powinien to robić w tej chwili. Ale ona chyba zwariowała. Nie rozumie, że to już wojna, że Czerwoni ogłosili otwarty sezon na Białych i nie ma już wyboru.

Lecz kiedy wsiadał na konia, żeby ruszyć do domu Davida, najbardziej martwiło go coś innego. Nie był pewien, ale myślał, a przynajmniej podejrzewał, że tato płacze. Coś podobnego! Wczoraj tak nawoływał do wojny przeciw Czerwonym, a dzisiaj mama nie chce puścić Wastenota na tę wojnę, a tato siedzi tylko i płacze. Może to starość tak go odmieniła. Zresztą, to już nie Wastenota sprawa. Już nie. Możliwe, że tato i mama nie chcą zabijać tych, co odebrali im synów... Ale Wastenot wiedział, że postąpi z nimi tak samo, jak oni z jego braćmi. Krew braci była jego krwią, a ktokolwiek przelał jego krew, musi też przelać własną. I to galon za każdą kroplę.

ROZDZIAŁ 9 - NAD JEZIOREM MIZOGAN

Pierwszy raz w życiu Alvin widział w jednym miejscu tyle wody co teraz, kiedy z wierzchołka wydmy spoglądał na jezioro. Measure stał obok, opierając dłoń na ramieniu brata.

- Tato kazał mi trzymać cię z daleka od wody - powiedział. - I popatrz, gdzie cię przyprowadzili.

Wiatr dał gorący i silny, z mocnymi szkwałami, zacinając ziarenkami piasku jak maleńkimi strzałami.

- Ciebie też - zauważył Alvin.

- Patrz, zbliża się prawdziwy sztorm.

Na południowym zachodzie chmury były czarne i groźne, nie jak zwykle chmury, zwiastujące letnią burzę. Zamigotała błyskawica. Stłumiony odległością grom dobiegł o wiele później. I kiedy Alvin przyglądał się temu, nagle odniósł wrażenie, że widzi o wiele szerzej, o wiele dalej niż przedtem. Jakby nagle dostrzegł wir i obroty w chmurze, poczuł żar i chłód, lodowate powietrze opadające w dół i upalne sięgające w górę, a wszystko to krążyło ogromnym kołem po niebie.

- Tornado - oświadczył. - W tej chmurze jest trąba powietrzna.

- Nic nie widzę - odparł Measure.

- Zbliża się. Spójrz, jak wiruje tam powietrze. Popatrz tylko.

- Wierzę ci, Al. Ale tutaj nie ma się chyba gdzie schować.

- Spójrz na tych ludzi - powiedział Alvin. - Jeśli tornado uderzy w nas tutaj...

- Gdzie się nauczyłeś przepowiadać pogodę? - zdziwił się Measure. - Nigdy przedtem tego nie robiłeś.

Na to Al nie znalazł odpowiedzi. Nigdy jeszcze nie czuł w sobie sztormu. To było jak ta słyszana wczoraj zielona muzyka. Odkąd schwytali go ci Czerwoni, zdarzały mu się przedziwne rzeczy. Ale nie mógł tracić ani chwili, żeby się zastanowić, skąd wie. Wystarczy, że wiedział.

- Muszę kogoś ostrzec.

Zbiegł z wydmy. Zsuwał się, więc każdy krok był jak odbicie ze zbocza, lądowanie na jednej nodze i znowu odbicie. Nigdy jeszcze tak prędko nie pędził w dół. Measure pobiegł za nim.

- Kazali nam czekać tu, na górze, aż...

Podmuch wiatru porwał jego słowa. Teraz, kiedy zbiegli już na dół, piasek był jeszcze gorszy. Wiatr zrywał z wydym gęste tumany, unosił i opuszczał. Al musiał zamknąć oczy, zasłaniać je ręką, odwracać głowę... byle tylko piasek go nie oślepił, kiedy pędził w stronę grupy Czerwonych na brzegu.

Ta-Kumsawa łatwo było zauważyć, nie tylko z powodu wzrostu. Inni Czerwoni nie zbliżali się do niego z nadmiarem i stał wśród nich jak król. Al biegł prosto ku niemu.

- Tornado nadchodzi! - krzyczał. - W tej chmurze jest tornado!

Ta-Kumsaw odchylił głowę i zaśmiał się; Al ledwie go słyszał wśród świstu wichury. Ta-Kumsaw sięgnął ponad jego głowę i dotknął ramienia innego Czerwonego.

- To jest ten chłopiec! - krzyknął.

Al spojrzał na tego człowieka. Wcale nie zachowywał się jak król, zupełnie inaczej niż Ta-Kumsaw. Garbił się trochę i nie miał jednego oka, tylko powiekę zwisającą nad pustką. Był chudy, z ramionami raczej smukłymi niż masywnymi i wręcz cienkimi nogami. Ale gdy Al popatrzył na tę twarz, poznał ją od razu. Nie mógł się mylić.

Wiatr przycichł na chwilę.

- Jaśniejący Człowiek - powiedział Al.

- Karaluszy Chłopiec - odparł Tenska-Tawa, Lolla-Wossiky, Prorok.

- Jesteś prawdziwy - stwierdził Al.

Nie sen, nie wizja. Prawdziwy człowiek, który stał wtedy obok łóżka, zniknął i pojawiał się, a twarz błyszczała mu jak słońce, aż oczy bolały. Ale to był ten sam człowiek.

- Nie uleczyłem cię - westchnął Al. - Przepraszam.

- Uleczyłeś - odpowiedział Prorok.

I wtedy Al przypomniał sobie, dlaczego zbiegł z wydmy, dlaczego przerwał rozmowę między dwoma najslawniejszymi Czerwonymi na świecie. Między braćmi, których imiona znał każdy biały mężczyzna, kobieta i dziecko na zachód od Appalachów.

- Tornado! - oświadczył.

Jakby w odpowiedzi znowu zawyła wichura. Al obejrzał się i to, co wyczuł, stało się rzeczywistością. Nadchodziły cztery wiry, zwisające z chmur niczym węże z gałęzi drzewa, sięgające coraz niżej, gotowe do ataku. Wszystkie cztery zbliżały się do nich, chociaż nie dotykały jeszcze ziemi.

- Teraz! - zawołał Prorok.

Ta-Kumsaw podał bratu strzałę z krzemiennym grotem. Prorok usiadł na piasku i wbił sobie ostrze w podeszwę najpierw lewej, potem prawej stopy. Krew popłynęła obficie. Prorok zrobił to samo z rękami: skaleczył się tak głęboko, że krwawiły mu również grzbiety dłoni.

Al krzyknął i niemal bez zastanowienia skierował myśli do ciała Proroka, by zagoić jego rany.

- Nie! - krzyknął Prorok. - To jest moc czerwonego człowieka... krew jego ciała... płomień krainy.

Potem odwrócił się i wszedł do jeziora Mizogan.

Nie, nie do jeziora. Na nie. Alvin nie mógł uwierzyć, ale pod krwawymi stopami Proroka woda stała się twarda i gładka jak szkło. Prorok stał na niej. Ciemna kałuża krwi rozlewała się po powierzchni. Kilka jardów dalej woda znów była płynna, wzburzona, szarpane wichrem fale pędziły do gładzi, potem spłaszczwały się, uspokajały, twardniały.

Prorok szedł coraz dalej po wodzie, a krwawe ślady znaczyły gładką ścieżkę wśród sztormu.

Al zerknął na trąby powietrzne. Były już blisko, niemal nad głową. Czuł w sobie ich pęd, jakby stał się częścią chmury, a one były potężnymi, rozszalałymi emocjami jego duszy.

Na wodzie Prorok unióśł ręce i wskazał jeden z wirów. Niemal natychmiast pozostałe wzniosły się i zniknęły wessane w chmurę. Lecz ten wybrany zbliżał się ciągle, aż stanął wprost nad Prorokiem, o sto stóp nad jego głową. Dostatecznie blisko, by fale wyrastały wokół szklistej ścieżki, jakby chciały zanurkować w górę, pod chmury. Woda krążyła dookoła coraz szybciej wraz z wiatrem pod trąbą powietrzną.

- Chodź! - krzyknął Prorok.

Alvin nie słyszał go, ale nawet z tej odległości widział jego oko, ruch jego warg. Wiedział, czego chce Prorok. Nie wahał się - wkroczył na wodę.

Tymczasem Measure dogonił go już i kiedy Al ruszył po ciepłym gładkim szkle ścieżki Proroka, krzyknął, rzucił się za bratem, chciał go zatrzymać. Nim zdążył dotknąć chłopca, Czerwoni chwycili go i odciągnęli. Wrzeszczał na Alvina, żeby wracał, nie szedł tam, nie wchodził do wody...

Alvin słyszał go i był śmiertelnie przerażony. Ale pod wirem tornada, stojąc na wodzie, czekał Jaśniejący Człowiek. Z wnętrza umysłu Alvina wypłynęła taka tęsknota, jakiej doznał Mojżesz na widok krzewu gorejącego. Muszę to obejrzeć, powiedział Mojżesz, i to samo mówił Alvin. Ponieważ coś takiego nie mogło się zdarzyć w naturalnym świecie, to pewne. Nie istniał heks, urok czy zaklęcie, zdolne przywołać tornado albo zmienić w szkło wzburzone jezioro. Alvin nie widział jeszcze i chyba już nie zobaczy nic wspanialszego niż to, co robi ten Czerwony.

I Prorok kochał Alvina. Chłopiec nie miał żadnych wątpliwości. Jaśniejący Człowiek stał kiedyś obok jego łóżka i uczył go. Al pamiętał, że Jaśniejący Człowiek też się wtedy

skaleczył. Cokolwiek czynił Prorok, czynił z pomocą własnej krwi i własnego cierpienia. To była prawdziwa tajemnica. Trudno się dziwić, że wchodząc na powierzchnię wody, Al odczuwał niemal nabożny podziw.

Za jego plecami ścieżka rozpływała się, zanikała. Czuł fale muskające mu pięty. Bał się, ale póki siedł naprzód, nic mu nie groziło. I wreszcie stanął obok Proroka, który wziął go za rękę.

- Stań ze mną! - zawołał. - Stań tutaj, w oku krainy, i patrz!

Trąba powietrzna opadła szybko; woda chlusnęła, uniosła się wokół nich jak mur. Znaleźli się w samym środku tornada, wsysani w górę...

...póki Prorok nie wyciągnął zakrwawionej dłoni i nie dotknął wodnej ściany, a ona także stała się gładka i twarda jak szkło. Nie, nie szkło. Była czysta i przejrzysta niby kropla rosy na pajęczej sieci. Ucichł sztorm. Został tylko Al i Jaśniejący Człowiek pośrodku jasnej i przezroczystej wieży z kryształu.

Jednak nie przypominała okna, przez które widać to, co dzieje się na zewnątrz. Za kryształową ścianą Al nie dostrzegał jeziora ani burzy. Zamiast tego zobaczył inne rzeczy.

Zobaczył wóz unieruchomiony we wzbierającej rzece, drzewo płynące z prądem jak taran, i młodego człowieka, który skacze na to drzewo, przekręca je, odpycha od wozu. A potem tego człowieka wplątanego w korzenie, przyciśniętego do brzegu, znoszonego z prądem. Przez cały czas walczył o życie, o jeszcze kilka oddechów... oddychać, oddychać...

Zobaczył rodzącą kobietę, i obok małą dziewczynkę, która dotyka jej brzucha. Krzyknęła coś, a położna wsunęła rękę i wyciągnęła główkę dziecka... wyjęła je całe. Matka krwawiła. Mała dziewczynka sięgnęła i zdjęła coś z twarzy dziecka, a ono zapłakało. Człowiek w rzece usłyszał jakoś ten płacz; wiedział, że dostatecznie długo trzymał się życia. I umarł.

Al nie wiedział, jak to rozumieć. Dopóki Prorok nie szepnął mu do ucha:

- Pierwsze, co tu widzisz, to dzień, kiedy przyszedłeś na świat.

Tym dzieckiem był Alvin Junior. Młody człowiek, który zginął w rzece, to jego brat Vigor. Kim jest ta dziewczynka, co zdjęła mu z twarzy czepek? Al nigdy jeszcze jej nie widział.

- Pokażę ci - rzekł Prorok. - To trwa tylko chwilę, a muszę jeszcze zobaczyć rzeczy dla siebie, ale pokażę ci.

Wziął Alvina za rękę i razem wzniesli się do góry w szklanej kolumnie.

To nie było uczucie lotu ptaka, szybowania; raczej takie, jakby nie istniała góra i dół. Prorok ciągnął go coraz wyżej, lecz Al nie miał pojęcia, w jaki sposób Prorok podciąga

siebie. Nieważne. Tak wiele było do oglądania. Gdziekolwiek zawisł w powietrzu, mógł spojrzeć w dowolnym kierunku i zobaczyć coś przez ścianę wieży. I wreszcie uświadomił sobie, że widoczna jest tu każda chwila, każde ludzkie życie. Jak można się tu odnaleźć? Jak szukać konkretnej opowieści pośród setek, tysięcy, milionów wizji przeszłości?

Prorok zatrzymał się i podciągnął chłopca, by widział to samo co on. Zetknęły się ich policzki, mieszały oddechy, serce Proroka biło głośno w uszach Alvina.

- Patrz - powiedział Prorok.

Alvin zobaczył miasto błyszczące w promieniach słońca. Jak lodowe wieże... tak wyglądało... albo jak z czystego szkła, bo nie przyćmiewały blasku zachodzącego słońca i nie rzucały cienia na okoliczne łąki. W mieście żyli ludzie, niczym jasne zjawy poruszające się tu i tam, w dół i w górę, bez schodów ani skrzydeł. Ale ważniejsze od tego, co Alvin widział, było to, co czuł, patrząc na miasto. Nie spokój... w jego uczuciach nie było spokoju. Raczej podniecenie: serce biło szybko jak serce konia w pełnym galopie. Ci ludzie, choć niedoskonalni - czasem gniewni, czasem smutni - nie byli jednak głodni, nie byli ignorantami, nie musieli nic robić tylko dlatego, że ktoś im kazał.

- Gdzie jest to miasto? - szepnął Alvin.

- Nie wiem - odparł Prorok. - Widzę je inne za każdym razem, gdy tu przychodzę. Czasem te smukłe wieże, czasem wielkie kryształowe kopce, czasem po prostu ludzie żyjący na morzu krystalicznych płomieni. Sądzę, że w przeszłości wiele razy je budowano. I myślę, że będzie wybudowane znowu.

- Czy ty je zbudujesz? Do tego służy Prorocze Miasto?

Łzy popłynęły z oczu Proroka - pociekły ze zdrowego oka, sączyły się spod obwisłej powieki drugiego.

- Czerwony człowiek sam nie wzniesie takiego miasta - rzekł. - Jesteśmy częścią krainy, a ono jest czymś więcej niż sama kraina. Kraina jest dobra i zła, życie i śmierć istnieją obok siebie. I zielona cisza.

Alvin pomyślał o zielonej muzyce, ale milczał. Prorok mówił to, czego Al chciał słuchać, zaś Al miał dość rozumu, aby wiedzieć, że czasem lepiej słuchać niż mówić.

- Ale to miasto... - ciągnął Prorok - kryształowe miasto to światło bez mroku, czystość bez brudu, zdrowie bez choroby, siła bez słabości, obfitość bez głodu, napój bez pragnienia, życie bez śmierci.

- Ci ludzie nie wszyscy są szczęśliwi - zauważył Alvin. - Nie żyją wiecznie.

- Nie widzisz tego samego, co ja.

- Widzę, że je budują. - Al zmarszczył czoło. - Budują z jednej strony, a rozpada się z drugiej.

- Miasto, które ja widzę, nigdy się nie rozpadnie.

- Jaka jest różnica? Dlaczego nie oglądamy tego samego?

- Nie wiem, Karaluszy Chłopcze. Nigdy jeszcze nikomu tego nie pokazałem. A teraz wracaj, poczekaj na mnie na dole. Muszę wiele zobaczyć, nim znowu ruszy czas.

Sama myśl o zejściu w dół wystarczyła, by Al zaczął opadać, aż znalazł się na samym dnie, na błyszczącej przejrzystej podłodze. Podłódze? Równie dobrze mógł to być sufit. Światło padało tamtędy tak samo jak przez ściany. I też widział obrazy.

Zobaczył ogromną chmurę kurzu, wirującą coraz szybciej i szybciej. Ale zamiast rozrzucać ten kurz, chmura wsysała wszystko do wnętrza. I nagle zaczęła lśnić, potem zapłonęła i stała się słońcem, tak po prostu. Alvin wiedział o planetach, ponieważ Thrower o nich opowiadał, nie zdziwił się więc, gdy je dostrzegł - jaskrawe świetlne punkty, które zaraz przygasły. I po chwili zamiast kurzu zmieszanego z ciemnością widział albo światy, albo pustą przestrzeń. Zobaczył Ziemię, całkiem małą... Ale kiedy się zbliżył, urosła ogromna. Wirowała szybko i słońce oświetlało jej powierzchnię. Drugą połowę spowijała ciemność. Al tkwił na niebie... takie miał uczucie... i spoglądał w jasną przestrzeń, ale dostrzegał wszystko, co się dzieje na dole. Najpierw nagie skały, wulkany plujące lawą; potem z oceanu rozprzestrzeniły się rośliny, paprocie i wysokie drzewa. Widział skaczące w wodzie ryby, życie na brzegu, gdzie docierała fala, owady i małe insekty skaczące i pożerające liście, polujące na siebie nawzajem. Zwierzęta stawały się coraz większe i większe, tak szybko, że Alvin nie nadążał za zmianami. Ziemia wirowała pod nim, a on obserwował.

Ogromne, monstrualne stwory, o jakich w życiu nie słyszał, niektóre z długimi szyjami... paszcze i zęby tak potężne, że jednym kłapinięciem powalały drzewa. I nagle zniknęły, a pojawiły się słonie i antylopy, tygrysy i konie, wszystkie ziemskie istoty, coraz bardziej podobne do tego... jak według Ala powinny wyglądać. Nigdzie jednak nie zauważył człowieka. Znalazł małpy i kudłate stwory, które zadawały sobie ciosy kamieniami, stwory chodzące na tylnych łapach, ale z wyglądu tępe jak żaby.

Aż w końcu dostrzegł istoty ludzkie, chociaż z początku nie był pewien, ponieważ były czarne. Przez całe życie widział tylko jednego Czarnego, niewolnika jakiegoś handlarza z Kolonii Korony, który ze dwa lata temu przejeżdżał przez Vigor Kościół. Ale czarni czy nie, wyglądali jak ludzie. Zrywali owoce z drzew i jagody z krzaków, karmili się nawzajem, a za nimi podążało stadko czarnych dzieciaków. Dwójka zaczęła walczyć i to większe zabiło mniejsze. Ojciec zawrócił wtedy, kopnął i przepędził to, które zabiło. Potem wziął martwe

dziecko na ręce i zaniósł matce. Oboje zapłakali, ułożyli ciało na ziemi i przykryli je kamieniami. Potem zwołali rodzinę i ruszyli dalej. Już po kilku krokach znowu jedli, wyschły ich łzy i szli, po prostu szli dalej. To ludzie, pomyślał Alvin. Na pewno. Tacy właśnie są ludzie.

Ziemia obracała się i kiedy znowu wstał dzień, żyło na niej mnóstwo ludzi: ciemnych w krajach gorących, jasnych w krajach zimnych - we wszelkich możliwych odcieniach. Oprócz Ameryki, która też pojawiła się w słońcu. W Ameryce wszyscy byli podobni, wszyscy czerwoni, czy żyli na południu, czy na północy, w upale czy w chłodzie, na pustyni czy na mokradłach. Pokój panował na tej ziemi w porównaniu z innymi częściami świata. To dziwne, bo wielkie lądy z różnymi rasami i narodami zmieniały się z każdym obrotem Ziemi, całe państwa przesuwały się z miejsca na miejsce, wszystko się stale przemieszczało, a w każdej chwili, w każdym miejscu wybuchały wojny. Mniejszy ląd, Ameryka, też miał swoje wojny, ale wszystko odbywało się wolniej, łagodniej. Ludzie tu żyli w innym rytmie. Kraina miała własny puls, własne życie.

Od czasu do czasu przybywali ludzie ze Starego Świata - głównie rybacy. Naturalnie, przyniesieni tu przez burze albo uciekający przed wrogiem. Przybywali i przez chwilę próbowali żyć życiem Starego Świata: szybko budować, szybko się rozmnażać i zabijać ile tylko się da. Jak choroba. Ale potem albo przyłączali się do Czerwonych i znikali, albo ginęli. Żaden z nich nie wytrwał w zwyczajach Starego Świata.

Aż do teraz, pomyślał Alvin. Kiedy przyszedłszy tym razem, byliśmy już silni. Jakby człowiek przeziębiał się parę razy i zaczął wierzyć, że nigdy nie zachoruje. A potem łapał ospę i wiedział, że nigdy dotąd naprawdę nie chorował.

Alvin poczuł dłoń na swoim ramieniu.

- A więc na to patrzyłeś - odezwał się Prorok. - I co zobaczyłeś?

- Chyba całe stworzenie świata - odparł Al. - Całkiem jak w Biblii. Widziałem chyba...

- Wiem, co widziałeś. Wszyscy to oglądamy, którzy trafiają w to miejsce.

- Mówiłeś przecież, że mnie pierwszego tu sprowadziłeś.

- Prowadzi tu wiele bram. Niektórzy przychodzą przez ogień. Inni przez wodę. Inni zakopując się w ziemi. Jeszcze inni spadają przez powietrze. Docierają tu i widzą. Potem wracają i opowiadają, co zapamiętali, co zrozumieli, na co znajdują słowa. A inni słuchają i pamiętają tyle, ile rozumieją. To miejsce wizji.

- Nie chcę odchodzić - oświadczył Alvin.

- Nie. Tak samo jak tamten.

- Kto? Jest tu jeszcze ktoś?

Prorok pokręcił głową.

- Nie w swoim ciele. Ale wyczuwam go w sobie, jak patrzy moim okiem. Nie tym. -
Dotknął policzka pod zdrowym okiem. - Tym drugim.

- Wiesz, kto to jest?

- Biały. Ale to bez znaczenia. Nie uczynił nic złego. I myślę, że może... może zrobi coś dobrego. A teraz idziemy.

- Ale ja chcę poznać wszystkie historie tego miejsca!

Prorok roześmiał się.

- Choćbyś żył wiecznie, nie zobaczyłbyś wszystkich. Zmieniają się szybciej, niż można je oglądać.

- W jaki sposób znowu tu trafię? Chcę obejrzeć wszystko.

- Ja nigdy cię już nie przyprowadzę.

- Dlaczego? Zrobiłem coś źle?

- Ciszej, Karaluszy Chłopcze. Nie przyprowadzę cię, bo ja sam nigdy już tu nie wrócę.
To ostatni raz. Zobaczyłem koniec wszystkich moich marzeń.

Dopiero teraz Alvin zauważył, jak wygląda Prorok. Twarz miał poszarzałą ze zgryzoty.

- Tutaj cię zobaczyłem. Wiedziałem, że muszę cię przyprowadzić. Widziałem cię w rękach Chok-Tawów. Wysłałem brata, żeby cię uwolnił i przywiódł do mnie.

- Czy to z mojego powodu nie możesz już wrócić?

- Nie. Kraina wybrała. Wkrótce nastąpi koniec. - Uśmiechnął się, ale był to uśmiech upiora. - Wasz kaznodzieja, wielbny Thrower, powiedział mi kiedyś: jeśli twoja stopa zachoruje, odetnij ją. Zgadza się?

- Nie pamiętam tego.

- A ja tak. Ta część krainy jest już chora. Odetnę ją, aby reszta mogła żyć.

- Ja to zrobisz?

Alvin wyobraził sobie, jak fragmenty lądu odłamują się i padają w morze.

- Czerwony człowiek odejdzie na zachód od Mizzipy. Biały człowiek zostanie na wschodzie. Biała część krainy umrze i będzie odcięta. Pełna dymu i metalu, strzelb i śmierci. Czerwoni, którzy zostaną na wschodzie, zmienią się w Białych. A Biali nie przejdą na zachód od Mizzipy.

- Już teraz Biali żyją na zachód od Mizzipy. Głównie traperzy i kupcy, ale też sproro farmerów z rodzinami.

- Wiem o tym - przyznał Prorok. - Ale dzisiaj zobaczyłem... już wiem, jak sprawić, żeby biały człowiek nigdy więcej nie wyruszył na zachód i żeby czerwony nie pozostał na wschodzie.

- Jak tego dokonasz?

- Jeśli powiem, to się nie wydarzy. Nie o wszystkim, co tu zobaczyłeś, możesz opowiadać. Bo zmieni się i odpłynie.

- Czy to kryształowe miasto? - zapytał Alvin.

- Nie - odparł Prorok. - To rzeka krwi. To las żelaza.

- Pokaż mi! - zażądał chłopiec. - Pozwól zobaczyć to, co widziałeś.

- Nie. Nie dotrzymasz sekretu.

- Dlaczego nie? Jeśli dam ci słowo, na pewno go nie złamię.

- Możesz dawać mi słowo całymi dniami, Karaluszy Chłopcze, ale jeśli zobaczysz tę wizję, zapłaczesz z przerażenia i bólu. I powiesz swojemu bratu. Powiesz rodzinie.

- Czy coś się im stanie?

- Nikt z nich nie zginie - zapewnił Prorok. - Będą zdrowi i bezpieczni, kiedy wszystko już dobiegnie końca.

- Pokaż!

- Nie. Teraz zburzę tę wieżę, a ty zapamiętasz, co tu robiliśmy i mówiliśmy. Ale powrócić i zobaczyć wszystko zdołasz tylko wtedy, kiedy znajdziesz kryształowe miasto.

Prorok uklęknął w miejscu, gdzie ściana dotykała podłogi. Weisnął w nią swoje zakrwawione palce i uniósł, a wtedy rozplynęła się, zmieniła w wiatr. Teraz otaczała ich sceneria, którą wiele godzin temu stracili z oczu: woda, sztorm, trąba powietrzna unosząca się z powrotem w chmury. Błyskawice jaśniały dookoła i deszcz padał tak gęsto, że nie widzieli brzegu. Krople uderzające o kryształową platformę, na której stali, także zmieniały się w kryształ, stawały częścią twardego podłoża.

Prorok zbliżył się do najbliższej brzegu krawędzi i wstąpił na wzburzoną wodę. Stwardniała pod jego stopą, choć nadal kołysała się lekko - nie była już tak pewna. Prorok sięgnął za siebie, chwycił Alvina za rękę, wciągnął na nową ścieżkę, którą tworzył na powierzchni jeziora. Nie była gładka jak poprzednio, a im dalej szli, tym bardziej stawała się nierówna, rozkołysana i śliska. Al z trudem wspinał się na wzgórza fal.

- Zostaliśmy za długo! - krzyknął Prorok.

Pod cienką skorupą Al wyczuwał czarną wodę. Wrzała z nienawiści. Nicość z dawnego koszmaru czekała tylko, żeby przełamać kryształ, złapać chłopca, wciągnąć go i utopić, rozerwać na strzępy, na najmniejsze kawałki, i rozrzucić je w ciemności.

- To nie ja! - zawołał Alvin.

Prorok odwrócił się, podniósł go i usadził sobie na ramionach. Deszcz uderzał w chłopca, wichura próbowała go zrzucić. Alvin wczepił się we włosy Tenska-Tawy. Czuł teraz, że z każdym krokiem Prorok głębiej zapada się w wodę. Za nimi nie pozostał nawet ślad ścieżki... cała zniknęła, a fale sięgały wciąż wyżej i wyżej...

Prorok zachwiał się, upadł; Alvin runął wraz z nim przed siebie, wiedząc, że zaraz utonie...

I znalazł się na mokrym piasku. Woda chlupotała wokół, wypłukiwała spod niego grunt, próbowała wciągnąć z powrotem na głębinę. Potem nagle poczuł pod pachami silne dłonie. Pociągnęły go po plaży, dalej od brzegu, w stronę wydm.

- On tam został! Prorok! - krzyknął Alvin.

Ale tylko zdawało mu się, że krzyczy. Głos był zaledwie szeptem. Zresztą to i tak nie miało znaczenia wobec szumu wiatru.

Measure przysunął usta do jego ucha. Wrzeszczał z całych sił.

- Prorokowi nic się nie stało! Ta-Kumsaw go wyciągnął! Myślałem, że już po tobie, kiedy ta trąba cię wessała! Nic ci się nie stało?

- Widziałem wszystko! - chciał zawołać Alvin.

Ale był tak słaby, że nie mógł wydobyć głosu. Zrezygnował więc, przestał kontrolować swoje ciało i ze zmęczenia zapadł w sen.

ROZDZIAŁ 10 - GATLOPP

Measure rzadko widywał Alvina. Zbyt rzadko. Po epizodzie z tornadem na jeziorze sądził, że mały uświadomi sobie grożące mu tutaj niebezpieczeństwo i będzie chciał uciekać. Ale on nie dbał o nic, pragnął tylko być obok Proroka, słuchać jego opowieści i tych dziwacznych, poetyckich mądrości, które głosił.

Raz, kiedy Alvin nasiedział się z Prorokiem tak długo, że w końcu można było normalnie z nim porozmawiać, Measure zapytał go, co w tym takiego ciekawego.

- Nie mogę zrozumieć tych Czerwonych, nawet kiedy mówią po angielsku. Mówią o ziemi, jakby była osobą, o odbieraniu tylko tego życia, które samo siebie oddaje, o konającej krainie na wschód od Mizzipy... Ona tam nie umiera, Al, każdy dureń może się przekonać. A nawet gdyby miała ospę, czarną zarazę i dziesięć tysięcy wrzodów, żaden doktor by nie wiedział, jak ją leczyć.

- Tenska-Tawa wie - oświadczył Alvin.

- Więc niech ją leczy, a my wracajmy do domu.

- Nie teraz, Measure.

- Mama i tata pochorują się ze zmartwienia. Myślą, że zginęliśmy!

- Tenska-Tawa twierdzi, że ziemia musi się sama uleczyć.

- Znowu zaczynasz! Ziemia to ziemia, i nie ma nic wspólnego z tym, że tato zbiera ludzi i przeczesuje las, żeby nas znaleźć.

- W takim razie idź beze mnie.

Ale na to Measure nie był jeszcze gotów. Nie miał szczególnej ochoty stanąć przed mamą bez Alvina.

"Był zdrowy, kiedy się rozstawaliśmy. Bawił się tornadami i chodził po wodzie z jednookim Czerwonym. Nie chciał jeszcze wracać. Sama wiesz, jak to jest z dziesięciolatkami".

Nie, Measure jeszcze nie dojrzał, żeby samemu wracać do domu. A było jasne, że nie zabierze stąd Alvina wbrew jego woli. Chłopak nie chciał nawet słyszeć o ucieczce.

Najgorsze, że chociaż wszyscy lubili Alvina i gadali do niego po angielsku i w Shaw-Nee, nawet żywa dusza nie odzywała się do Measure'a - z wyjątkiem samego Ta-Kumsawa. No i Proroka, który mówił bez przerwy, czy ktoś go słuchał, czy nie. Człowiek czuł się samotny, przez cały czas chodząc bez towarzystwa. I to nie za daleko. Nikt się do niego nie odzywał, ale gdy tylko Measure ruszał poza wydmy, w stronę lasu, ktoś wypuszczał strzałę.

Wbijala się w piasek tuż obok niego. Z pewnością mieli większe niż Measure zaufanie do swojej celności. Ciagle wyobrazał sobie, że strzala zboczy odrobinę w tę czy w tamtą stronę i go trafi.

Kiedy trochę się zastanowił, doszedł do wniosku, że ucieczka to naprawdę nie jest dobry pomysł. Wytropią go od razu. Nie mógł jednak pojąć, dlaczego nie chcą, żeby sobie poszedł. Do niczego nie był im potrzebny. Był całkiem bezużyteczny. A przysięgali, że nie zamierzają go zabić ani nawet trochę pomęczyć.

Czwartego dnia na wydmach w końcu wymyślił, co trzeba zrobić. Poszedł do Ta-Kumsawa i zwyczajnie zażądał, żeby go wypuścić. Ta-Kumsaw wyglądał na poirytowanego, ale to było normalne. Tym razem jednak Measure nie ustąpił.

- Nie rozumiesz, że trzymanie nas tutaj to zwyczajna głupota? Przecież nie zniknęliśmy bez śladu. Na pewno znaleźli już nasze konie z wypisanym twoim imieniem.

Po raz pierwszy Measure uświadomił sobie, że Ta-Kumsaw nic nie wie o koniach.

- Na koniach nie ma mojego imienia.

- Na siodłach, wodzu. Nie wiedziałeś? Ci Chok-Tawowie, którzy nas złapali... jeśli to nie byli twoi ludzie, czego wcale nie jestem pewny... wycięli twoje imię na siodle mojego konia, a potem kluli go, żeby uciekał. Imię Proroka wycięli na siodle Alvina. Zwierzęta musiały pobiec prosto do domu.

Twarz Ta-Kumsawa pociemniała nagle, oczy ciskały błyskawice. Jeśli ktoś chce zobaczyć rozgniewanego boga, pomyślał Measure, to tak właśnie on wygląda.

- Wszyscy Biali uwierzą, że ja was porwałem - powiedział Ta-Kumsaw.

- Nie wiedziałeś? - zdziwił się Measure. - A niech mnie, to nie do wiary. Myślałem, że wy, Czerwoni, wiecie o wszystkim. Tak się zachowujecie. Próbowalem nawet opowiedzieć o tym twoim ludziom, ale odwracali się do mnie plecami. A przez cały czas nikt nie miał o tym pojęcia.

- Ja nie wiedziałem - rzekł ostro Ta-Kumsaw. - Ale ktoś wiedział. - Odmaszerował na sztywnych nogach, o ile to możliwe w syrkim piasku. Potem obejrzał się. - Chodź - rzucił. - Jesteś mi potrzebny.

I Measure ruszył za nim do pokrytego korą wigwamu, gdzie Prorok czytał Biblię, czy co tam jeszcze robił przez cały dzień. Ta-Kumsaw nie wstydził się okazywać, jaki jest rozgniewany. Nie mówił ani słowa. Obszedł tylko wigwam, odkopując kamienie przyciskające ściany do piasku. Potem chwycił z jednego końca i zaczął podnosić.

- Potrzeba do tego dwóch ludzi - rzucił do Measure'a.

Measure przykucnął obok, chwycił mocno i policzył do trzech. Potem szarpnął. Ta-Kumsaw nie, więc wigwam uniósł się tylko na sześć cali i opadł z powrotem.

- Dlaczego nie podnosiłeś? - zapytał.
- Doszedłeś dopiero do trzech.
- Tak się liczy, wodzu. Raz, dwa, trzy.
- Wy, Biali, jesteście głupcami. Każdy wie, że mocna liczba to cztery.

Ta-Kumsaw policzył do czterech. Tym razem szarpnęli obaj, podnieśli i przewrócili wigwam bez kłopotów. Tymczasem, oczywiście, wszyscy wewnątrz wiedzieli, co się dzieje. Nikt jednak nawet nie krzyknął. A kiedy wigwam leżał już na dachu jak wywrócony żółw, na ziemi zostali Prorok, Alvin i paru Czerwonych. Siedzieli ze skrzyżowanymi nogami na kocach albo piasku, a jednooki ciągle gadał, jakby nic się nie stało.

Ta-Kumsaw zaczął wrzeszczeć w Shaw-Nee, a Prorok odpowiadał mu, z początku łagodnie, ale potem coraz głośniej. To była niezła awantura, takie krzyki, które - Measure wiedział to z doświadczenia - zawsze kończą się bójką. Ale nie u tych dwóch Czerwonych. Wrzeszczeli przez pół godziny, a potem stanęli nieruchomo naprzeciw siebie. Dyszeli ciężko i nie odzywali się ani słowem. Cisza zapadła tylko na kilka minut, ale zdawało się, że trwa dłużej niż kłótnia.

- Rozumiesz coś z tego? - spytał Measure.
- Słyszałem, jak Prorok zapowiedział, że dzisiaj przyjdzie Ta-Kumsaw i będzie bardzo zły.
- Skoro wiedział, dlaczego nie zrobił czegoś, żeby to zmienić?
- On bardzo na to uważa. Pilnuje, żeby wszystko odbywało się dokładnie tak, jak powinno, żeby kraina została podzielona między Białych i Czerwonych. Gdyby chciał coś zmienić, mógłby wszystko zniszczyć, wszystko pomieszać. Dlatego chociaż wie, co się stanie, nie mówi nikomu, kto mógłby to odwrócić.
- Co mu z tego, że zna przyszłość, skoro nie może jej zmieniać?
- Ale on robi różne rzeczy - zapewnił Alvin. - Po prostu nie zawsze się z tego tłumaczy. Dlatego stworzył tę kryształową wieżę, kiedy nadeszła burza. Chciał się upewnić, że wizja wciąż jest taka, jaka być powinna. Że wypadki nie zboczyły z właściwej ścieżki.
- A o co teraz chodziło? Dlaczego się kłócili?
- Ty mi wytłumacz. To ty pomogłeś przewrócić wigwam.
- Nie mam pojęcia. Ja tylko powiedziałem mu o imionach wyciętych na naszych siodłach.
- Przecież wiedział - zdziwił się Alvin.

- Zachowywał się, jakby nigdy o tym nie słyszał.
- Sam mówiłem Prorokowi w noc po tym, jak zabrał mnie do wieży.
- Nie przyszło ci do głowy, że Prorok może nie powtórzyć Ta-Kumsawowi?
- Dlaczego? - zdziwił się Alvin. - Czemu miałby nie powtórzyć?

Measure z mądrą miną pokiwał głową.

- Mam przecucie, że to właśnie pytanie zadaje w tej chwili Ta-Kumsaw swojemu bratu.

- To szaleństwo. Musiał mu przecież powiedzieć - stwierdził Alvin. - Myślałem, że Ta-Kumsaw posłał już kogoś i zawiadomił rodziców, że nic nam nie grozi.

- Wiesz, co ja myślę, Al? Myślę, że twój Prorok traktuje nas wszystkich jak głupców. Nie muszę nawet zgadywać dlaczego. Uważam, że on ma jakiś plan i częścią tego planu jest to, żebyśmy nie wrócili do domu. A to oznacza, że cała nasza rodzina i sąsiedzi chwycą za broń. Resztę sam możesz sobie dośpiewać. Prorok chce tu rozpętać solidną małą wojnę.

- Nie! - sprzeciwił się Alvin. - Prorok twierdzi, że żadnemu człowiekowi nie wolno zabić nikogo, kto nie chce umrzeć. I że zabicie białego człowieka jest takim samym złem jak zabicie wilka albo niedźwiedzia, którego nie potrzebujesz do jedzenia.

- Może jesteśmy mu potrzebni do jedzenia. Wszystko jedno. Będzie miał wojnę, jeżeli nie wrócimy do domu i nie powiemy, że jesteśmy bezpieczni.

Powiedział to akurat wtedy, kiedy Ta-Kumsaw i Prorok umilkli. I to Measure przerwał ciszę.

- Jak sądzicie, chłopcy, może byście puścili nas do domu?

Prorok natychmiast usiadł ze skrzyżowanymi nogami na kocu, naprzeciw dwójki Białych.

- Wracaj do domu, Measure - powiedział.
- Nie bez Alvina.
- Tak, bez Alvina. On zginie, jeśli wróci w swoje strony.
- O czym ty mówisz?

- O tym, co widziałem na własne oczy - odpowiedział Prorok. - O rzeczach przyszłych. Jeżeli Alvin wyruszy teraz do domu, w ciągu trzech dni będzie martwy. Ale ty wracaj, Measure. Dzisiejsze południe to doskonała pora, żebyś wyruszył.

- A co zrobicie z Alvinem? - zapytał Measure. - Myślisz, że z tobą będzie bezpieczny?
- Nie ze mną. Z moim bratem.
- To głupi pomysł! - zawołał Ta-Kumsaw.

- Mój brat musi złożyć liczne wizyty. U Francuzów w Detroit, u Irrakwa, u narodu Appalachee, u Chok-Tawów i Cree-Eków, u wszystkich ludzi czerwonych i białych, którzy mogą zapobiec bardzo niedobrej wojnie.

- Jeśli będę rozmawiał z Czerwonymi, Tenska-Tawa, powiem im, żeby poszli za mną do walki, zepchnęli białych ludzi za góry, do ich statków, do morza!

- Mów im, co zechcesz - odparł Tenska-Tawa. - Ale odejdź stąd dziś przed wieczorem i zabierz ze sobą białego chłopca, który chodzi jak Czerwony.

- Nie - rzekł Ta-Kumsaw.

Ból pojawił się na twarzy Tenska-Tawy. Prorok jęknął cicho.

- A zatem cała kraina umrze, nie tylko jej część. Jeśli dziś nie uczynisz tego, co ci mówię, biali ludzie zamordują cały ląd, od jednego do drugiego oceanu, od północy na południe. Cała kraina zginie! I zginą czerwoni ludzie, wszyscy z wyjątkiem garstki, która jak w więzieniach żyć będzie aż do śmierci na skrawkach niedobrej, jałowej ziemi. Tylko dlatego, że nie słuchałeś tego, co ukazała mi wizja.

- Ta-Kumsaw nie słucha szaleńczych wizji. Ta-Kumsaw jest obliczem ziemi, głosem ziemi. Drozd mi to powiedział i ty wiesz o tym, Lolla-Wossiky.

- Lolla-Wossiky nie żyje - szepnął Prorok.

- Głos krainy nie słucha jednookiego whisky-Czerwonego.

Te słowa ukuły Proroka do żywego, ale jego twarz pozostała spokojna.

- Ty jesteś głosem gniewu krainy. Staniesz do bitwy przeciw wielkiej armii białych ludzi. Powiadam ci, że tak się stanie, zanim jeszcze spadnie pierwszy śnieg. A jeśli nie będzie przy tobie białego chłopca Alvina, poniesiesz kioskę i zginiesz.

- A jeśli będzie?

- Wtedy będziesz żył - oznajmił Prorok.

- Chętnie wyruszę - rzekł Alvin. A kiedy Measure chciał protestować, dodał szybko: - Możesz powiedzieć tacie i mamie, że nic mi nie jest. Ale chcę z nim pójść. Prorok mi powiedział, że od Ta-Kumsawa mogę nauczyć się więcej niż od jakiegokolwiek człowieka na tym świecie.

- W takim razie jadę z tobą - odparł Measure. - Dałem słowo obojgu, tacie i mamie.

Prorok spojrzał chłodno na Measure'a.

- Wrócisz do swego ludu.

- W takim razie Alvin wraca ze mną.

- Nie ty o tym decydujesz.

- A może ty? Dlaczego? Bo to wasi chłopcy mają strzały? Ta-Kumsaw wyciągnął rękę i dotknął ramienia Measure'a.

- Nie jesteś głupcem, Measure.

Ktoś musi wrócić i zawiadomić waszych ludzi, że żyjecie.

- Jeśli go zostawię, skąd będę wiedział, że żyje? Wyłumacz mi to.

- Będiesz wiedział, ponieważ ja mówię, że póki żyję, żaden z czerwonych ludzi nie skrzywdzi tego chłopca.

- A dopóki jest z tobą, ciebie też nikt nie może skrzywdzić. Zgadza się? Mój młodszy brat ma być zakładnikiem i tyle...

Measure widział, że Ta-Kumsaw i Tenska-Tawa są tak wściekli, jak to tylko możliwe. Z trudem się powstrzymują, żeby go nie zabić. I wiedział, że sam jest wściekły i chętnie złamałby rękę na czyjeś szczęce. Być może doszłoby do tego, ale Alvin powstał - całe sześćdziesiąt cali i dziesięć lat - i zaczął mówić:

- Measure, sam wiesz najlepiej, że potrafię o siebie zadbać. Opowiesz tacie i mamie, co zrobiłem z tamtymi Chok-Tawami, a przekonają się, że dam sobie radę. Przecież i tak chcieli mnie odesłać. Miałem być uczniem u kowala. No więc teraz przez jakiś czas będę uczniem Ta-Kumsawa. Wszyscy wiedzą, że Ta-Kumsaw jest największym człowiekiem Ameryki, może poza Tomem Jeffersonem. Jeżeli mogę jakoś pomóc mu przeżyć, to jest to mój obowiązek. A jeśli ty, wracając do domu, możesz powstrzymać wojnę, to jest to twój obowiązek. Nie rozumiesz?

Measure rozumiał, naturalnie, i nawet się zgodził. Ale wiedział, że będzie musiał stanąć przed rodzicami.

- W Biblii jest taka opowieść o Józefie, synu Jakuba. Był ukochanym synem, ale starsi bracia nienawidzili go i sprzedali w niewolę. Potem wzięli jego ubranie, zalali je krwią kozy i poszarpali. A później poszli do ojca i powiedzieli: "Spójrz, lwy go pożarły". A ojciec podarł na sobie szaty i nigdy nie przestał rozpaczać. Nigdy.

- Ale ty masz im powiedzieć, że ja nie zginąłem.

- Powiem im, że widziałem, jak sprawiasz, że ostrze topora staje się miękkie niby masło, jak chodzisz po wodzie, jak latasz z tornadem. Uspokoją się i pocieszą, kiedy się dowiedzą, że wśród Czerwonych prowadzisz takie zwykłe, codzienne życie...

- Jesteś tchórzem - przerwał mu Ta-Kumsaw. - Boisz się powiedzieć prawdę ojcu i matce.

- Dałem im słowo.

- Jesteś tchórzem. Chcesz zabrać Alvina, żeby cię ochraniał.

Tego było już dla Measure'a za wiele. Zamachnął się prawą ręką i uderzył, mierząc w szczękę Ta-Kumsawa. Nie zaskoczyło go, że Czerwony zablokował cios. Zdumiało raczej, że tak łatwo chwycił i wykręcił jego pięść. Measure rozzłościł się jeszcze bardziej i uderzył w żołądek... i tym razem trafił. Ale brzuch wodza był mniej więcej tak miękki, jak drewniany pień. Ta-Kumsaw złapał drugą pięść Measure'a i teraz trzymał go za obie.

Wtedy Measure zrobił to, co dla każdego dobrego zapaśnika było oczywiste. Kolanem kopnął Ta-Kumsawa między nogi.

Jak dotąd Measure próbował tego tylko dwa razy i za każdym jego przeciwnik padał na ziemię i wił się jak nadepnięta glista. Ta-Kumsaw stał nieruchomo, sztywny, z bólu zlany potem i coraz bardziej wściekły. A ponieważ nadal trzymał Measure'a za ręce, Measure był już pewien, że za chwilę umrze rozerwany na połowy - tak groźnie wyglądał Ta-Kumsaw.

W końcu go puścił.

Measure cofnął się i rozmasował przeguby zbielejące i bolące po uścisku wodza. Ta-Kumsaw był zły, to prawda, ale był zły na Alvina. Spojrzał na chłopca tak, jakby chciał zedrzeć z niego skórę i nakarmić go nią na surowo.

- To ty robiłeś ze mną te brudne sztuczki Białych - oświadczył.
- Nie chciałem, żeby któremukolwiek z was coś się stało - odparł Alvin.
- Myślisz, że jestem tchórzem jak twój brat? Myślisz, że lękam się bólu?
- Measure nie jest tchórzem!
- Powalił mnie sztuczkami białego człowieka.

Measure miał już dość tych oskarżeń.

- Wiesz, że nie prosiłem go o to! Zmierzę się z tobą zaraz, jeśli chcesz! Będę walczył uczciwie!

- Uderzysz mnie kolanem? - zapytał Ta-Kumsaw. - Nie umiesz walczyć jak mężczyzna.

- Stanę przeciw tobie, jak tylko zechcesz - powtórzył Measure.

Ta-Kumsaw uśmiechnął się.

- A więc gatlopp.

Tymczasem dookoła zebrała się cała grupa Czerwonych. Kiedy usłyszeli słowo "gatlopp", zaczęli się śmiać i pokrzykiwać.

Wszyscy Biali w Ameryce słyszeli historię o tym, jak Dan Boone przebiegł gatlopp i pędził dalej. Wtedy po raz pierwszy uciekł Czerwonym. Były też inne historie: o Białych, których zatłuczono na śmierć. Bajarz opowiedział niektóre, kiedy odwiedził ich w zeszłym roku. To jak rozprawa w sądzie, mówił. Czerwoni biją lekko albo mocno, zależy jak bardzo -

ich zdaniem - zasługujesz na śmierć. Jeśli uznają cię za dzielnego człowieka, biją mocno, żebyś przeszedł próbę bólu. Jeśli uznają cię za tchórza, połamią ci kości i nie wyjdiesz z gatloppu żywy. Wódz nie może nakazać, jak mocno uderzać ani gdzie. To chyba najbardziej demokratyczny i okrutny system na świecie.

- Widzę, że się boisz - zauważył Ta-Kumsaw.

- Oczywiście - przyznał Measure. - Byłbym durniem, gdybym się nie bał, zwłaszcza że twoi chłopcy i tak mają mnie za tchórza.

- Przebiegnę gatlopp przed tobą - zdecydował Ta-Kumsaw. - Każę im uderzać mnie tak mocno jak ciebie.

- Nie zrobią tego.

- Zrobią, jeśli im każę. - Ta-Kumsaw musiał dostrzec niedowierzanie w oczach Measure'a, bo dodał: - Jeśli nie, przebiegnę gatlopp po raz drugi.

- A jeśli mnie zabiją, czy też umrzesz?

Ta-Kumsaw zmierzył Measure'a wzrokiem. Measure wiedział, że jest szczupły i silny od ścinania drzew i rąbania drewna, dźwigania wiader, ładowania siana i przerzucania worków z ziarnem w młynie. Ale nie był twardy. Skóra piekła go trochę, bo prawie nago chodził w słońcu po wydmach, chociaż próbował osłaniać się kocem. Silny, ale miękki... to właśnie zobaczył Ta-Kumsaw, oceniając Measure'a.

- Cios, który cię zabije - rzekł wódz - mnie może tylko drasnąć.

- Czyli przyznajesz, że to nieuczciwe.

- Uczciwie jest wtedy, kiedy dwóch ludzi czeka ten sam ból. Odważnie, kiedy dwóch ludzi czeka ten sam ból. Ty nie chcesz uczciwie, ty chcesz łatwo. Chcesz bezpiecznie. Jesteś tchórzem. Wiedziałem, że tego nie zrobisz.

- Zrobię - oświadczył Measure.

- I ty! - Ta-Kumsaw wskazał Alvina. - Niczego nie dotkniesz, niczego nie wyleczysz, nie osłabisz bólu!

Al nie odpowiedział ani słowem. Patrzył tylko. Measure znał to spojrzenie. Taki wyraz twarzy miał Alvin, kiedy nie zamierzał robić tego, co mu kazali.

- Al - odezwał się Measure. - Lepiej obiecaj, że nie będziesz się wtrącał.

Alvin zacisnął wargi i milczał.

- Obiecaj, że nie będziesz się wtrącał, Alvinie Juniorze. Inaczej nie wrócę do domu.

Alvin obiecał. Ta-Kumsaw skinął głową i odszedł, mówiąc coś do swoich ludzi w języku Shaw-Nee. Measure'a mdliło ze strachu.

- Czemu się boisz, biały człowieku? - zapytał Prorok.

- Ponieważ nie jestem głupcem - odparł Measure. - Tylko dureń nie czułby lęku przed gatloppem.

Prorok roześmiał się i odszedł.

Alvin usiadł na piasku. Pisał coś czy rysował palcem.

- Nie złościsz się chyba na mnie, co, Al? Bo muszę cię uprzedzić, że chyba nie złościsz się nawet w połowie tak, jak ja na ciebie. Nie masz żadnych obowiązków wobec tych Czerwonych, masz za to wobec mamy i taty. Oczywiście w tej sytuacji do niczego nie mogę cię zmusić. Ale wstyd mi, że stajesz po ich stronie przeciwko mnie i swoim.

Al podniósł głowę. Miał łzy w oczach.

- A może właśnie staję po stronie swoich? Nie przyszło ci to do głowy?

- Dość dziwnie to okazujesz. Przez ciebie tata i mama zamartwiają się na śmierć.

- Nie umiesz myśleć o niczym ważniejszym niż rodzina? A jeśli Prorok ma plan, który ocali tysiące Czerwonych i Białych?

- Tym właśnie się różnimy - stwierdził Measure. - Ja nie wierzę, że istnieje cokolwiek ważniejszego od rodziny.

Alvin wciąż kreślił coś na piasku. Odchodząc, Measure nawet nie pomyślał, że młodszy brat coś pisze. Widział, ale nie patrzył, nie przeczytał. Teraz jednak słowa pojawiły się w jego umyśle: UCIEKAJ TERAZ. To właśnie napisał Al. Wiadomość dla niego? Ale dlaczego zwyczajnie tego nie powiedział? Zresztą, teraz na pewno nie ucieknie; Ta-Kumsaw i Czerwoni już zawsze mieliby go za tchórza. I dlaczego teraz akurat miałoby się udać? W lesie Czerwoni złapią go w jednej chwili, a potem i tak będzie musiał przebiec gatlopp. Tyle że wtedy będzie o wiele gorzej.

Wojownicy ustawili się w dwóch rzędach na piasku. Trzymali ścięte i odłamane z drzew grube gałęzie. Measure przyglądał się, jak starzec zdejmuje Ta-Kumsawowi z szyi paciorki i zrywa opaskę biodrową. Ta-Kumsaw obejrzał się na Measure'a i uśmiechnął.

- Białý człowiek jest nagi, kiedy zdejmie ubranie. Czerwony człowiek nigdy nie jest nagi we własnym kraju. Wiatr jest moim odzieniem, płomień słońca, kurz ziemi, woda deszczu. Wszystko to noszę na sobie. Jestem głosem i obliczem krainy.

- Zaczynamy już - mruknął Measure.

- Znam kogoś, kto twierdzi, że taki człowiek jak ty nie ma w duszy ani odrobiny poezji.

- A ja znam wielu, którzy twierdzą, że taki człowiek jak ty w ogóle nie ma duszy.

Ta-Kumsaw spojrzał gniewnie, warknął kilka słów w Shaw-Nee i wstąpił między szeregi wojowników.

Szedł wolno, dumnie unosząc głowę. Pierwszy Czerwony cieńszym końcem gałęzi uderzył go w udo. Ta-Kumsaw wyrwał mu ją, odwrócił i kazał uderzyć się znowu, tym razem w pierś. Mocny cios wypchnął z płuc powietrze. Ze swego miejsca Measure słyszał stęknięcie.

Szeregi stały na zboczu wydmy, więc marsz pod górę trwał długo. Ta-Kumsaw nie zatrzymywał się, kiedy spadały uderzenia. Jego ludzie stali z surowymi twarzami. Wypełniali swój obowiązek. Pomagali mu dowieść odwagi, więc sprawiali ból, ale nie zadawali zabójczych ciosów. Najwięcej trafiało w uda, brzuch i ramiona. Nic na łydki, nic na twarz. Ale to nie znaczy, że było mu łatwo. Measure widział krew na pokaleczonych szorstką korą ramionach. Wyobraził sobie, jak sam odbiera te wszystkie ciosy, i wiedział, że jego będą bili mocniej. Jestem wyjątkowym durniem, powiedział sobie. Oto mierzę się odwagą z najszlachetniejszym człowiekiem Ameryki.

Ta-Kumsaw dotarł do końca, odwrócił się i spojrzał na Measure'a ze szczytu wydmy. Ociekał krwią, ale uśmiechał się.

- Przyjdź do mnie, dzielny biały człowieku - zawołał.

Measure nie wahał się. Ruszył w stronę gatloppu. Zatrzymał go jakiś głos z tyłu - to Prorok krzyczał w Shaw-Nee. Czerwoni patrzyli na niego nieruchomo. Kiedy skończył, Ta-Kumsaw splunął. Measure nie rozumiał słów, więc ruszył dalej. Kiedy mijał pierwszego z Czerwonych, oczekiwał ciosu przynajmniej tak silnego, jaki spadł na Ta-Kumsawa. Daremnie. Postąpił jeszcze o krok. Nic. Może chcą mu okazać pogardę i zaatakują plecy, pomyślał. Jednak wspinał się coraz wyżej i wyżej i wciąż nikt go nie uderzył, nikt się nie ruszył.

Wiedział, że powinien czuć ulgę, ale był zły. Pomogli Ta-Kumsawowi dowieść odwagi. A dla niego zmienili gatlopp, marsz honoru, w marsz hańby. Odwrócił się. Prorok stał w dole z ręką na ramionach Alvina.

- Co im powiedziałeś? - zapytał Measure.

- Że jeśli cię zabiją, wszyscy powiedzą, że to Ta-Kumsaw i Prorok porwali i zamordowali chłopców. Że jeśli odniesiesz jakieś rany, to kiedy wrócisz do domu, wszyscy uznają, że cię torturowaliśmy.

- A ja żądam prawa wykazania, że nie jestem tchórzem!

- Gatlopp to głupie rozwiązanie. Dla ludzi, którzy zapominają o swoich obowiązkach.

Measure wyrwał Czerwonemu gałąź. Uderzył się w udo, i znowu, i jeszcze raz, próbując zranić się do krwi. Bolało, ale nie za bardzo, ponieważ - chciał tego czy nie - ręka odmawiała zadawania cierpień własnemu ciału. Wcisnął gałąź Czerwonemu.

- Uderz mnie! - zażądał.

- Im większy jest człowiek, tym większej grupie służy - rzekł Prorok. - Człowiek mały służy tylko sobie. Większy ma służyć swojej rodzinie. Jeszcze większy swojemu plemieniu. Potem swojemu ludowi. A największy służy wszystkim ludom ze wszystkich krain. Dla siebie pokazujesz odwagę. Dla twojej rodziny, plemienia, twojego ludu, mojego... dla krainy i wszystkich ludzi, którzy tu żyją, przejdiesz przez gatlopp nietknięty.

Measure odwrócił się wolno i ruszył dalej. Bez jednej rany dotarł do Ta-Kumsawa. A Ta-Kumsaw znowu splunął, tym razem Measure'owi pod nogi.

- Nie jestem tchórzem - powiedział Measure.

Ta-Kumsaw odszedł. Pośliznął się i zjechał z wydmy. Wojownicy z gatloppu także się rozeszli. Measure został na szczycie wydmy zawstydzony, gniewny, załamany.

- Idź! - zawołał Prorok. - Ruszaj na południe!

Wręczył Alwinowi sakwę. Chłopiec wdrapał się na wydnię i oddał ją bratu. Measure zajrzał do środka: zawierała pemikan i suszoną kukurydzę. Może ją ssać po drodze.

- Idziesz ze mną? - zapytał.

- Idę z Ta-Kumsawem - odparł Alvin.

- Przeszedłbym przez gatlopp.

- Wiem.

- Jeżeli Prorok nie chciał mi na to pozwolić - zapytał Measure - to dlaczego w ogóle do tego dopuścił?

- Nie mówi. Ale ma się zdarzyć coś strasznego. I on chce, żeby to się zdarzyło. Gdybyś uciekł wcześniej, kiedy ci powiedziałem...

- Złapałoby mnie, Al.

- Warto było spróbować. Kiedy odejdziesz teraz, zrobisz dokładnie to, czego on chce.

- Planuje, że zginę, czy co?

- Obiecał mi, że przeżyjesz, Measure. I cała rodzina. On i Ta-Kumsaw też.

- Więc co to takiego strasznego?

- Nie wiem. Po prostu boję się tego, co nastąpi. Myślę, że posyła mnie z Ta-Kumsawem, bo chce mi ratować życie.

Jeszcze raz... może się uda.

- Alwinie, jeśli mnie kochasz, chodź ze mną.

Alvin rozpłakał się.

- Kocham cię, Measure, ale nie mogę.

I zapłakany zbiegł z wydmy. Measure nie chciał patrzeć, jak znika mu z oczu, więc bez zwłoki ruszył przed siebie. Niemal wprost na południe, odrobinę na wschód. Bez kłopotu znajdzie drogę. Ale był niemal chory z przerażenia i wstydu, że skłonili go do odejścia bez brata. Zawiodłem pod każdym względem. Jestem całkiem bezużyteczny.

Szedł przez cały dzień i spędził noc w kupie liści w jakimś wykrocie. Następnego dnia po południu znalazł strumień płynący na południe. Z pewnością wpada do Chybotliwego Kanoe albo do Wobbish, jedno albo drugie. Był za głęboki, żeby iść korytem, i zbyt zarośnięty, żeby trzymać się brzegu. Measure szedł więc tak, by słyszeć szum wody. Nie był Czerwonym, to pewne: drapały go krzaki i gałęzie drzew, kąsały komary, bolała opalona skóra. Co rusz trafiał w gąszcze i musiał się wycofywać. Jakby sama kraina była jego przeciwnikiem i próbowała spowolnić marsz. Marzył o dobrym koniu i drodze.

Ale chociaż trudno szło się przez las, Measure'owi nie brakowało sił. Trochę dlatego, że Alvin utwardził mu podeszwy stóp. Trochę dlatego, że oddychał chyba głębiej niż kiedykolwiek. Ale nie tylko to. Czuł, jak jeszcze nigdy, przyczajoną w mięśniach siłę. Nigdy nie był tak żwawy. Pomyślał: gdybym miał teraz konia, żałowałbym, że nie idę pieszo.

Późnym popołudniem drugiego dnia usłyszał jakieś chlupotanie w strumieniu. Nie miał wątpliwości - ktoś prowadził konie przez wodę. To oznaczało Białych, może nawet z Vigor Kościoła. Może szukają właśnie jego i Alvina.

Strasliwie podrapany przedarł się do wody. Jechali w dół i oddalali się od niego. Dopiero stojąc pośrodku koryta i wrzeszcząc ile sił w płucach, zauważył, że noszą zielone mundury żołnierzy Stanów Zjednoczonych. Nie słyszał, żeby zapuszczali się aż tutaj. W tych stronach nieczęsto spotykało się Białych. Woleli nie prowokować Francuzów z Fortu Chicago.

Usłyszeli go od razu i zawrócili konie. I niemal natychmiast trzech wymierzyło w niego muszkiety.

- Nie strzelać! - krzyknął Measure.

Żołnierze ruszyli w jego stronę bardzo powoli, gdyż konie z trudem walczyły z prądem.

- Nie strzelać, na miłość boską - powtórzył Measure. - Widzicie, że nie mam broni. Nawet noża.

- Dobrze mówi po angielsku, co? - rzucił jeden z jeźdźców.

- No pewnie! Przecież jestem Białym!

- To już szczyt wszystkiego! - oświadczył inny. - Pierwszy raz słyszę, żeby któryś podawał się za Białego.

Measure zerknął na swoją skórę. Sparzona słońcem miała kolor jasnoczerwony, o wiele jaśniejszy niż u prawdziwych Czerwonych. Istotnie, nosił przepaskę biodrową, był brudny i rozczochrany. Ale przecież rosła mu trochę broda, prawda? Pierwszy raz w życiu żałował, że nie jest bardziej zarośnięty, z gęstą brodą i owłosioną piersią. Wtedy by się nie pomylili, bo przecież Czerwoni prawie nie mają zarostu. A tak jego jasny wąs i kilka włosów na brodzie żołnierze zobaczą dopiero z bliska.

Nie ryzykowali. Tylko jeden podjechał bliżej. Inni czekali z tyłu, z bronią gotową do strzału, na wypadek gdyby jacyś ludzie czekali w zasadzce na brzegu. Measure widział, że żołnierz jest śmiertelnie przerażony. Rozglądał się na wszystkie strony, czy jakiś Czerwony nie mierzy do niego z łuku. Dureń, uznał Measure. Przecież w żaden sposób nie wypatrzy w lesie Czerwonego, póki strzała nie utkwi mu w piersi.

Żołnierz nie podjeżdżał zbyt blisko. Okrążył Measure'a, stanął z drugiej strony i rzucił mu linę.

- Obwiąż się w piersi, pod pachami - rozkazał.

- Po co?

- Żebym mógł cię prowadzić.

- Do diabła z tobą - burknął Measure. - Gdybym wiedział, że będziecie mnie środkiem potoku ciągnąć na powrozie, zostałbym na suchym lądzie i sam wrócił do domu.

- Jeśli w ciągu pięciu sekund nie zawiążesz tej liny, tamci chłopcy rozwalą ci łeb.

- O czym ty mówisz? Jestem Measure Miller. Jakiś tydzień temu porwali mnie z moim młodszym bratem Alvinem. Wracalem do domu, do Vigor Kościoła.

- Piękna bajeczka! - powiedział żołnierz. Wyciągnął mokrą linę i rzucił jeszcze raz. Trafił Measure'a w twarz. Measure złapał sznur i ścisnął mocno. Żołnierz wyciągnął szablę. - Przygotujcie się do strzału, chłopcy! - krzyknął. - To ten renegat!

- Renegat! Ja...

Measure uświadomił sobie wreszcie, że coś tu się nie zgadza. Żołnierze wiedzieli, kim jest, a mimo to chcieli wziąć go na powrót. Gdyby próbował ucieczki, z trzema muszkietami i szablą tuż nad głową, mogli go nawet zabić. Ale to przecież armia Stanów Zjednoczonych! Wszystko wytłumaczy i wyjaśni, kiedy doprowadzą go do oficera. Dlatego przełożył linę przez głowę i zawiązał pętlę na piersi.

Nie było najgorzej, póki jechali przez wodę. Czasami zwyczajnie płynął. Ale wkrótce wyszli na brzeg i musiał iść za nimi przez las. Skręcali na wschód, łukiem omijając Vigor Kościół.

Measure próbował nawiązać rozmowę, ale kazali mu się zamknąć.

- Powiedzieli nam, że takich renegatów jak ty możemy przywozić żywych albo martwych. Biały ubrany jak Czerwony... sam wiesz, kim jesteś.

Z ich rozmów Measure domyślił się kilku faktów. Byli na patrolu, a wysłał ich generał Harrison. Measure'owi zrobiło się niedobrze na samą myśl, że doszło do wezwania tego śmierdziela handlującego whisky. I dziwnie szybko dotarł na północ.

Na noc rozbili biwak na polanie. To cud, że nie zbiegli się wszyscy Czerwoni z okolicy, tyle robili hałasu.

Następnego dnia nie zgodził się, żeby dalej ciągnęli go na powrozie.

- Jestem prawie goły i nie mam broni. Jeśli nie pozwolicie mi jechać, możecie mnie od razu zastrzelić.

Mogli sobie opowiadać, że mają go przywieźć żywego albo umarłego, ale Measure wiedział, że to tylko takie gadanie. Byli brutalni, ale na pewno z zimną krwią nie zamordowaliby białego człowieka.

W rezultacie znalazł się na koniu, obejmując w pasie jednego z żołnierzy. Wkrótce dotarli do okolicy, gdzie biegły jakieś drogi i trakty. Pojechali szybciej.

Po południu dotarli do obozu wojskowego. Niewielkie to było wojsko, może setka w mundurach i jeszcze ze dwie ćwiczące musztrę na placu apelowym, dawniej pastwisku. Measure nie pamiętał nazwiska rodziny, która tu mieszkała. Przeprowadzili się niedawno z okolic Carthage. Zresztą okazało się to całkiem bez znaczenia, gdyż teraz ich dom zajmował generał Harrison. Żołnierze doprowadzili Measure'a wprost do niego.

- Oho - stwierdził Harrison. - Jeden z renegatów.

- Nie jestem renegatem - odparł Measure. - Przez całą drogę traktują mnie jak więźnia. Przysięgam, że Czerwoni lepiej się do mnie odnosili niż wasi żołnierze.

- Nie dziwię się - mruknął Harrison. - Na pewno byli dla ciebie bardzo uprzejmi. Gdzie ten drugi renegat?

- Drugi renegat? Chodzi wam o mojego brata Alvina? Wiecie, kim jestem, a jednak nie chcecie mnie puścić do domu?

- Odpowiesz na moje pytania, a ja się zastanowię, czy odpowiedzieć na twoje.

- Mojego brata Alvina nie ma i nie przyjdzie tutaj. A z tego, co widzę, naprawdę się cieszę, że wolał zostać.

- Alvin? A tak, mówili mi, że podajesz się za Measure'a Millera. Tak się składa, że wiemy dobrze, iż Measure Miller został zamordowany przez Ta-Kumsawa i Proroka.

Measure splunął na podłogę.

- A skąd to wiecie? Z paru zakrwawionych, podartych szmat? Nie oszukacie mnie. Myślicie, że nie wiem, co chcecie zrobić?

- Zabierzcie go do piwnicy - polecił Harrison. - Tylko uprzejmie.

- Nie chcecie, żeby ludzie się o mnie dowiedzieli, bo wtedy zrozumieją, że wcale was tu nie potrzebują! - wołał Measure. - A w ogóle nie zdziwiłbym się, gdybyście to wy posłali tych Chok-Tawów, którzy nas złapali!

- Jeśli to prawda - stwierdził Harrison - to na twoim miejscu uważałbym, co mówię i jakim tonem. I naprawdę bym się martwił, czy w ogóle kiedyś wrócę do domu. Spójrz na siebie, chłopcze. Skóra czerwona jak gil, w przepasce, wygląd dziki jak w koszmarnej śnie. Nie... Gdyby się okazało, że zastrzeliliśmy cię przez pomyłkę, nikt nie miałby do nas pretensji. Absolutnie nikt.

- Mój ojciec by wiedział. Nie oszukacie go takim kłamstwem, Harrison. I Armor-of-God. On...

- Armor-of-God? Ten żałosny słabeusz? Ten, który powtarza ludziom, że Ta-Kumsaw i Prorok są niewinni i nie powinniśmy się szykować, żeby ich wytłuc? Nikt go już nie słucha, Measure.

- Posłuchają. Alvin żyje, a jego nigdy nie złapiecie.

- Dlaczego nie?

- Bo jest z Ta-Kumsawem.

- Tak? A gdzież to?

- Na pewno nie w tej okolicy.

- Widziałeś go? I Proroka?

Wyglądniały wzrok Harrisona kazał Measure'owi cofnąć się i przygryźć język.

- Widziałem, co widziałem - oznajmił. - I powiem, co powiem.

- Powiedz, o co cię pytam, bo zginiesz marnie - zagroził Harrison.

- Zabijcie mnie, a wtedy nie powiem już ani słowa. Ale możecie mi wierzyć: widziałem, jak Prorok przywołał w sztormie tornado. Widziałem, jak chodził po wodzie. Widziałem, jak głosił proroctwa i wszystkie one się spełniły. Wie, co planujecie. Myślicie, że robicie to, czego sami chcecie, ale w końcu okaże się, że służycie jego celom. Zobaczycie sami.

- Cóż za myśl! - Harrison zaśmiał się. - Na tej samej zasadzie, mój chłopcze, jego celom służy to, że wpadłeś w moje ręce. Prawda?

Skinął dłonią. Żołnierze wywlekli Measure'a z domu i poprowadzili do piwnicy. Traktowali go naprawdę grzecznie - kopali, bili i przewracali, a w końcu zrzucili ze schodów i zaryglowali drzwi.

Ponieważ ta rodzina przybyła tu z Carthage, piwnica miała zamek i sztabę. A wewnątrz marchewkę, ziemniaki i pająki. Measure zbadał drzwi. Całe ciało bolało go strasznie. Wszystkie zadrapania i opalenizna były niczym w porównaniu z otartą skórą po wewnętrznej stronie ud, od jazdy na oklep z gołymi nogami. A to było niczym w porównaniu z bólem po kopniakach i razach, które zarobił po drodze.

Nie tracił więcej czasu. Za dużo wiedział o tym, co się dzieje. Harrison nie mógł wypuścić go żywego. Wysłał ten patrol, żeby szukali Measure'a i Alvina. Gdyby wrócili do domu żywi, popsuliby mu plany, a byłoby naprawdę szkoda, bo wszystko układało się dla Harrisona jak najlepiej. Po tylu latach dostał się wreszcie do Vigor Kościoła i uczył miejscowych żołnierki, zaś Armora-of-God nikt nie słuchał. Measure nie lubił Proroka, ale to święty człowiek w porównaniu z Harrisonem.

Ale czy rzeczywiście? Prorok kazał mu czekać na gatlopp - dlaczego? Żeby odszedł po południu zamiast rano. I dotarł do Chybotliwego Kanoe dokładnie w chwili, kiedy przejeżdżali żołnierze. Gdyby nie to, mógłby trafić do Proroczego Miasta, a potem przez rzekę do Vigor Kościoła, nie spotykając po drodze ani jednego żołnierza. Nigdy by go nie znaleźli, gdyby ich nie usłyszał i nie zawołał. Czy wszystko to należało do planów Proroka?

A jeśli nawet, to co? Może te plany były dobre, może nie... Jak dotąd, Measure nie miał o nich najlepszej opinii. Ale na pewno nie będzie siedział w piwnicy i dumał, czy się powiodą.

Przekopał się przez stos ziemniaków pod ścianą. Na włosach i na twarzy zebrało mu się mnóstwo pajęczyn, ale chwila nie była odpowiednia, by martwić się o wygląd. Po chwili oczyścił kawałek klepiska, przesuwając ziemniaki do przodu. Kiedy otworzą drzwi, nie zobaczą ani śladu kopania.

Piwnica była całkiem zwyczajna. Wykopana, przykryta deskami, zadaszona, dach przysypany ziemią z dołu. Measure mógł rozkopać ścianę i wynurzyć się z tyłu, a od strony domu nikt niczego nie zauważy. Musiał gołymi rękami grzebać w ziemi, lecz była to tłusta gleba Wobbish. Kiedy wyjdzie, bardziej będzie podobny do Czarnego niż Czerwonego, ale nie przejmował się tym.

Tylko że trafił nie na ziemię, ale na drewno. Obudowali ściany po samą podłogę. Solidna robota. A to oznaczało, że musi podkopać się pod deski, a potem dopiero ruszyć do góry. Zamiast skończyć w ciągu jednej nocy, straci na to parę dni. I w każdej chwili mogą go

przyłapać. Albo zwyczajnie wywlec na dwór i zastrzelić. Czy nawet ściągnąć tych Chok-Tawów, żeby skończyli to, co zaczęli - i żeby wyglądało, iż Ta-Kumsaw i Prorok go torturowali. Wszystko możliwe.

Jego dom stał niecałe dziesięć mil stąd. I to doprowadzało Measure'a do obłędu. Tak blisko, a oni nic nie wiedzą, nie domyślają się, że trzeba mu przyjść z pomocą. Przypomniał sobie spotkaną wiele lat temu dziewczynkę, żagiew z Hatrack River. Tę, która zobaczyła ich w rzece i zawiadomiła ludzi. Kogoś takiego mi teraz trzeba. Potrzebuję żagwi, która mnie odszuka i przyśle pomoc.

Ale nie miał wielkich szans. Nie Measure. Gdyby to Alvin znalazł się na jego miejscu, zdarzyłoby się już z osiem cudów - tyle ile trzeba, żeby wydostać go stąd bezpiecznie. Measure mógł liczyć tylko na siebie.

Po pierwszych dziesięciu minutach grzebania złamał sobie pół paznokcia. Bolało mocno i wiedział, że krwawi. Gdyby wyciągnęli go teraz, od razu by odgadli, że kopie tunel. Ale to jego jedyna szansa. Dlatego mimo bólu pracował dalej. Od czasu do czasu przerywał, żeby wyrzucić ziemniak, który stoczył się do dziury.

Po krótkim czasie zdjął przepaskę biodrową i użył jej do pracy. Obluzowywał rękami ziemię, zrzucał ją na materiał i wywlekał z dziury. Nie było to tak wygodne jak łopata, ale lepsze niż wyrzucanie ziemi po jednej garści. Ile czasu mu zostało? Dni? Godziny?

ROZDZIAŁ 11 - CZERWONY CHŁOPIEC

Nie minęła jeszcze godzina od odejścia Measure'a. Biały chłopiec Alvin stał na szczycie wydmy obok Ta-Kumsawa. Przed nim zaś stanął Tenska-Tawa. Lolla-Wossiky. Chłopiec, który kiedyś płakał nad śmiercią pszczoł. Podobno prorok. Podobno głoszący wolę krainy. Głoszący tchórzostwo, kapitulację, porażkę i zniszczenie.

- Oto przysięga krainy w pokoju - rzekł Prorok. - Nie przyjmujcie broni białego człowieka ani jego narzędzi, jego ubrań, jego pożywienia i jego napojów. Nie przyjmujcie jego obietnic. A nade wszystko nie bierzcie życia, które samo nie chce się ofiarować.

Czerwoni, którzy go słuchali, wszystko to słyszeli wcześniej, podobnie jak Ta-Kumsaw. Większość z tych, którzy przyszli nad Mizogan, odrzuciła już to przymierze słabości. Przyjęli inny ślub, przysięgę gniewu krainy, przysięgę, którą zaproponował im Ta-Kumsaw. Wszyscy Biali muszą żyć zgodnie z prawami czerwonego człowieka albo opuścić krainę, albo zginąć. Można używać broni Białych, ale tylko dla obrony Czerwonych przed grabieżą i mordem. Nikt z Czerwonych nie będzie torturował ani zabijał jeńców - mężczyzn, kobiety ani dziecka. A nade wszystko, śmierć żadnego z Czerwonych nie pozostanie nie pomszczona.

Ta-Kumsaw wiedział, że gdyby wszyscy Czerwoni w Ameryce złożyli taką przysięgę, wciąż jeszcze mogliby pokonać Białych. Biali odnieśli takie sukcesy, ponieważ Czerwoni nie potrafili się zjednoczyć pod wspólnym przywódcą. Biali zawsze znaleźli jedno czy drugie plemię, którego ludzie prowadzili ich przez bezdroża lasów i pomagali odszukać przeciwników. Gdyby Czerwoni nie stali się renegatami - jak ci obrzydliwi Irrakwa czy półbiali Cherriky - biali ludzie nie zdołaliby przeżyć w krainie. Pochłonęłaby ich i zginęliby jak wszyscy inni przybysze ze Starego Świata.

Kiedy Prorok zakończył przemowę, tylko garstka przyjęła jego przysięgę. Ci mieli wrócić wraz z nim. Jest smutny, pomyślał Ta-Kumsaw. Załamany. Odwrócił się plecami do tych, co pozostali: wojowników, którzy walczyć będą z Białymi.

- Ci ludzie należą do ciebie - oświadczył Prorok. - Żałuję, że jest ich tak wielu.

- Są moi, to prawda. Ale żałuję, że jest ich tak mało.

- Och, bez trudu znajdziesz sojuszników. Chok-Taw, Cree-Ek, Chicky-Saw, okrutni Semmy-Nolle z Oky-Fenoky. Wystarczy, by zebrać największą armię Czerwonych, jaką widziała ta ziemia. A wszyscy będą spragnieni krwi Białych.

- Stań u mego boku w tej bitwie - poprosił Ta-Kumsaw.

- Zabijając, pograżysz swoją sprawę - odparł Prorok. - A ja zwycięzę.

- Umierając.

- Jeśli kraina wezwie mnie na śmierć, odpowiem.

- I wszyscy ludzie, którzy poszli za tobą.

Prorok pokręcił głową.

- Widziałem, co widziałem. Ci, którzy złożyli moją przysięgę, są częścią krainy, jak bizon, wiewiórka czy bóbr, indyk, bażant i kuropatwa. Wszystkie te zwierzęta stawały nieruchomo, by przyjąć twoją strzałę, prawda? Albo wyciągały szyje pod twój nóż. Albo kładły głowę pod twój tommy-hawk.

- To zwierzęta. Przeznaczone na mięso.

- Są żywe. Przeznaczono im żyć aż do śmierci. A kiedy umierają, umierają po to, by inni mogli żyć.

- Nie ja. Nie moi ludzie. My nie wyciągamy szyi pod nóż białego człowieka.

Prorok ujął Ta-Kumsaw za ramiona. Łzy płynęły mu z oczu. Przytulił policzek do policzka Ta-Kumsaw, zmoczył nimi twarz brata.

- Znajdź mnie za Mizzipy, kiedy wszystko już się zakończy - powiedział.

- Nie pozwolę podzielić krainy - odparł Ta-Kumsaw. - Wschód nie należy do Białych.

- Wschód umrze - oznajmił Prorok. - Idź za mną na zachód, gdzie nigdy nie trafi biały człowiek.

Ta-Kumsaw milczał.

Biały chłopiec Alvin dotknął ręki Proroka.

- Tenska-Tawa, czy to znaczy, że nigdy nie będę mógł pójść na zachód?

Prorok roześmiał się.

- Jak myślisz, dlaczego wysyłam cię z Ta-Kumsawem? Jeśli ktokolwiek potrafi zmienić białego chłopca w czerwonego, to tylko mój brat.

- Nie chcę go - rzekł Ta-Kumsaw.

- Zabierz go albo giń.

Po chwili Prorok ruszył zboczem wydmy w dół, w stronę kilku mężczyzn, którzy na niego czekali. Krew ściekała z ich dłoni - tak przypieczętowali przysięgę. Odeszli brzegiem, tam gdzie zostały ich rodziny. Jutro będą już w Proroczym Mieście. Dojrzały na rzeź.

Ta-Kumsaw odczekał, aż Prorok zniknie za wydmą. Wtedy zawołał do setek, które pozostały:

- Kiedy biały człowiek zazna pokoju?

- Kiedy odejdzie! - krzyknęli. - Kiedy zginie!

Ta-Kumsaw zaśmiał się i wyciągnął ramiona. Ich miłość i zaufanie spływały na niego niczym ciepło słońca w zimowy dzień. To ciepło odczuwali już przed nim ludzie mniejszego formatu, ale lękali się go, gdyż nie byli godni zaufania, jakim ich obdarzono. Lecz nie Ta-Kumsaw. On ocenił sam siebie i wiedział, że nie ma przed nim celu, którego nie zdoła osiągnąć. Tylko zdrada może odebrać mu zwycięstwo. A Ta-Kumsaw potrafił zajrzeć w ludzkie serce. Wiedział, kto jest kłamcą. Czy od samego początku nie rozpoznał gubernatora Harrisona? Taki człowiek nie mógł się przed nim ukryć.

Odeszli zaledwie dziesięć minut później. Kilkudziesięciu poprowadziło kobiety i dzieci w nowe miejsce, gdzie mogły postawić swą wędrowną wioskę. Nigdzie nie zatrzymywali się dłużej niż trzy dni. Stała osada, taka jak Prorocze Miasto, to zaproszenie do masakry. Proroka chroniła jedynie liczba jego wyznawców. W tej chwili mieszkało tam dziesięć tysięcy Czerwonych, więcej niż kiedykolwiek wcześniej w jednym miejscu. I było to miejsce cudowne. Ta-Kumsaw wiedział to dobrze. Kukurydza rodziła sześć kolb na każdej łodydze, większych i bardziej mącznych niż gdziekolwiek indziej. Bizony i jelenie wędrowały do miasta przez setki mil, podchodziły do ognisk i kładły się, czekając na cios noża. Kiedy w górze leciały gęsi, z każdego stada kilka lądowało na Wobbish i Chybotliwym Kanoe, by czekać na strzałę. Ryby płynęły w górę z Hio i wskakiwały w sieci Proroczego Miasta.

To wszystko nie będzie miało znaczenia, gdy biały człowiek przywiezie swoje działa, gdy wystrzeli kartacze i szrapnele w kruche wigwamy i szałas miasta Czerwonych. Gorące żelazo przebije delikatne ściany, trzcina i glina nie powstrzymają deszczu śmierci. Mieszkańcy Proroczego Miasta pożałują wtedy swojej przysięgi.

Ta-Kumsaw wiódł swoich ludzi przez las. Biały chłopiec biegł tuż za nim. Ta-Kumsaw umyślnie narzucił mordercze tempo, dwukrotnie szybsze niż wtedy, gdy prowadził chłopca i jego brata nad Mizogan. Od Fortu Detroit dzieliło ich dwieście mil i zamierzał pokonać tę odległość w jeden dzień. Żaden z Białych nie był do tego zdolny... ani żaden koń Białych. Mila na każde pięć minut, dalej i dalej, aż wiatr rozwiewał mu kosmyk włosów na głowie. Pół godziny takiego biegu zabiłoby każdego, ale Czerwonemu pomagała moc samej krainy. Grunt odpychał jego stopy, dając mu siłę. Krzaki rozstępowały się, tworząc ścieżki; wolna przestrzeń powstawała tam, gdzie jej nie było. Ta-Kumsaw przebiegał strumieniem i rzeki tak prędko, że jego stopy nie sięgały dna, a tylko zanurzały się, by znaleźć oparcie w samej wodzie. Pragnienie dotarcia do Fortu Detroit było tak wielkie, że kraina odpowiadała, karmiąc go i dając energię - nie tylko jemu, ale każdemu z Czerwonych, który czuł ją w sobie.

Wszyscy mieli tyle sił, ile ich przywódca, wszyscy podążali tą samą ścieżką, krok w krok, jak jedna ogromna dusza biegnąca długim, wąskim szlakiem pośród lasu.

Będę musiał nieść białego chłopca, myślał Ta-Kumsaw. Ale kroki za jego plecami - gdyż Biali hałasowali biegnąc - nie traciły tempa, wpadły w rytm identyczny z jego krokami.

To oczywiście niemożliwe. Chłopiec miał za krótkie nogi, musiał częściej nimi przebierać, by pokonać tę samą odległość. A jednak biegł równo i uderzenia jego stóp Ta-Kumsaw słyszał jak własne kroki.

Minuta za minutą, mila za milą, godzina po godzinie - chłopiec nie ustawał.

Słońce zaszło za lewym ramieniem Ta-Kumsawa. Błysnęły gwiazdy, ale nie było księżyca i noc trwała ciemna pod drzewami. Nie zwolnili jednak i bez wysiłku znajdowali drogę przez las, gdyż nie szukali jej własnymi oczami ani własnym umysłem. To sama kraina prowadziła ich bezpiecznie wśród mroku. Kilka razy w ciągu nocy Ta-Kumsaw miał wrażenie, że biały chłopiec już nie hałasuje. Wołał wtedy w Shaw-Nee do wojownika, który podążał za białym chłopcem Alvinem, a tamten niezmiennie odpowiadał: "Biegnie".

Wszedł księżyc, rzucając na ziemię plamy słabego blasku. Wyprzedzili burzę: ziemia pod stopami stała się wilgotna, potem mokra; biegli przez deszcz, ulewę, znowu deszcz, a potem ziemia była znów sucha. Nie zwalniali kroku. Niebo na wschodzie poszarzało, zaróżowiło się, pobłkitniało, słońce wyskoczyło w górę. Dzień był już ciepły i słońce na trzy dłonie nad horyzontem, kiedy zobaczyli dymy ognisk, potem zwisającą flagę z liliami, a w końcu krzyż na katedrze. Dopiero wtedy zwolnili. Dopiero wtedy przełamali doskonale unisono kroków, rozluźnili uścisk krainy w umysłach. Zatrzymali się na łące tak blisko miasta, że słyszeli grające w katedrze organy.

Ta-Kumsaw stanął i chłopiec stanął tuż za nim. Jakim sposobem Alvin, biały chłopiec, biegł całą noc niczym Czerwony? Ta-Kumsaw uklęknął przed nim. Alvin miał oczy otwarte, ale zdawało się, że niczego nie widzi.

- Alvinie - odezwał się po angielsku Ta-Kumsaw. Chłopiec nie odpowiedział. - Alvinie, zasnąłeś?

Wokół nich zebrało się kilku wojowników. Wszyscy byli trochę ściszeni i znużeni biegiem. Nie zmęczeni, bo kraina odnawiała ich siły. Milczenie wynikało raczej ze zdumienia, że tak blisko byli z nią związani. Taką podróż uważano powszechnie za rzecz świętą, dar krainy dla najszlachetniejszych jej dzieci. Wielu Czerwonych wyruszało w taką drogę i musieli zawrócić, zatrzymać się, zjeść coś, przespać się i odpocząć, przeczekać ciemność i złą pogodę. To dlatego, że ich pragnienie nie było dostatecznie wielkie albo sama podróż sprzeciwiała się potrzebom krainy. Ale Ta-Kumsawa nigdy nie spotkała odmowa;

wszyscy to wiedzieli. Głównie dlatego szanowano go nie mniej niż jego brata. Prorok czynił cuda, ale nikt nie oglądał jego wizji. Mógł tylko o nich opowiadać. A to, co robił Ta-Kumsaw, robili z nim jego wojownicy. Odczuwali wraz z nim.

Teraz wszystkich, jak Ta-Kumsawa, zdumiał biały chłopiec. Czyżby wódz podtrzymywał go własną mocą? Czyżby kraina, co niewiarygodne, wspomagała białe dziecko dla niego samego?

- Czy w sercu jest biały jak jego skóra, czy czerwony? - zapytał któryś. Mówił w Shaw-Nee, i to nie pospiesznie, ale powolną, świętą mową szamanów.

Ku zdumieniu Ta-Kumsawa, Alvin odpowiedział. Patrzył na wojownika, który pytał, a nie przed siebie, w pustkę.

- Biały - zamruczał.

Mówił po angielsku.

- Zna nasz język? - zdziwił się wojownik.

Alvina wyraźnie zdziwiło to pytanie.

- Ta-Kumsawie - powiedział. Podniósł głowę i spojrzał na słońce. - Już rano. Spałem?

- Nie spałeś - odparł Ta-Kumsaw w Shaw-Nee.

Chłopiec zachowywał się tak, jakby niczego nie rozumiał.

- Nie spałeś - powtórzył Ta-Kumsaw po angielsku.

- Czuję się, jakbym spał - stwierdził Alvin. - Tyle że stoję.

- Nie jesteś zmęczony? Chcesz odpocząć?

- Zmęczony? Czym miałbym się zmęczyć?

Ta-Kumsaw wolał nie tłumaczyć. Skoro chłopiec nie wie, czego dokonał, to znaczy, że otrzymał dar krainy. A może było coś w tym, co mówił o nim Prorok. Że Ta-Kumsaw powinien go nauczyć, jak być Czerwonym. Jeśli potrafi dotrzymać kroku dorosłemu Shaw-Nee, może właśnie on jeden ze wszystkich Białych zdolny jest osiąść zmysł krainy.

Ta-Kumsaw powstał i przemówił do pozostałych.

- Idę do miasta. Zabieram tylko czterech.

- I chłopca - dodał ktoś.

Inni przytaknęli. Wszyscy słyszeli, co obiecał wodzowi Prorok: że nie zginie, dopóki jest przy nim chłopiec. Nawet gdyby miał ochotę zostawić gdzieś tego dzieciaka, nigdy mu na to nie pozwolą.

- I chłopca - zgodził się Ta-Kumsaw.

Detroit nie przypominało nędznych amerykańskich fortów. Wzniesiono je z kamienia, jak katedrę. Potężne działa mierzyły w rzekę łączącą jezioro Huron i jezioro św. Klary z

jeziorem Kanada. Mniejsze skierowano w drugą stronę, gotowe do odparcia napastników od lądu.

Ale to miasto, nie fort, wywarło na nich największe wrażenie. Kilkanaście ulic, drewniane domy, sklepy i magazyny, a pośrodku katedra tak ogromna, że samym rozmiarem drwiła z kościoła wielbego Throwera. Księża w czarnych szatach jak kruki spacerowali po ulicach. Smagli Francuzi nie okazywali Czerwonym takiej wrogości jak Amerykanie. Ta-Kumsaw domyślał się przyczyny. Francuzi w Detroit nie mieli zamiaru się tu osiedlać. Nie uważali Czerwonych za rywali, walczących o tę samą ziemię. Wszyscy tu czekali tylko na powrót do Francji, a przynajmniej do zasiedlonych przez białych terytoriów Quebecu i Ontario za rzeką. Z wyjątkiem traperów, oczywiście, ale dla nich Czerwoni też nie byli wrogami. Traperzy podziwiali Czerwonych, próbowali odkryć, w jaki sposób bez trudu chwytają zwierzynę, gdy im tak piekielnie trudno znaleźć odpowiednie miejsca na założenie sideł. Myśleli, jak zawsze biali ludzie, że to jakaś sztuczka i opanują ją, jeśli tylko dostatecznie długo będą Czerwonych podglądać. Biali traperzy nigdy się niczego nie uczą. Jak kraina może zaakceptować ludzi, którzy tylko dla futer potrafią wybić wszystkie bobry w stawie, zostawiając mięso, by zgniło, i ani jednego żywego bobra, który urodziłby młode? Nic dziwnego, że niedźwiedzie zabijały ich, gdy tylko mogły. Kraina ich odrzucała.

Kiedy już przepędzę Amerykanów z ziemi na zachód od gór, pomyślał Ta-Kumsaw, potem przepędzę Jankesów z Nowej Anglii i Kawalerów z Kolonii Korony. A gdy wszyscy odejdą, zwrócę się przeciwko Hiszpanom z Florydy i Francuzom z Kanady. Dzisiaj wykorzystuję was dla swoich celów, ale jutro was też stąd wypędzę. Każda biała twarz, która pozostanie na tej ziemi, pozostanie dlatego, że będzie martwa. I od tego dnia bobry będą umierać tylko wtedy, kiedy kraina im powie, że już czas i miejsce na śmierć.

Oficjalnie stanowisko komendanta wojskowego Detroit sprawował de Maurepas, jednak Ta-Kumsaw unikał go jak mógł. To z jego zastępcą, Napoleonem Bonaparte, warto było rozmawiać.

- Słyszałem, że byłeś nad Mizogan - powiedział Napoleon. Mówił po francusku, naturalnie, ale Ta-Kumsaw uczył się francuskiego równocześnie z angielskim, i od tej samej osoby. - Wejdz, proszę. Siadaj.

Napoleon zerknął z zaciekawieniem na białego chłopca Alvina, ale nie odezwał się do niego.

- Byłem tam - odparł Ta-Kumsaw. - Razem z moim bratem.

- Aha. Ale czy była też armia?

- Jej załazek. Zrezygnowałem z przekonywania Tenska-Tawy. Stworzę armię z innych plemion.

- Kiedy?! - zapytał gniewnie Napoleon. - Zjawiasz się tu dwa, trzy razy w roku i obiecujesz, że zgromadzisz armię. Czy wiesz, jak długo na to czekam? Cztery lata. Cztery paskudne lata na wygnaniu.

- Wiem, ile lat. Będziesz miał swoją bitwę.

- Jak osiwięję? Powiedz mi! Czy będę już umierał ze starości, zanim wywołasz powszechne powstanie Czerwonych? Wiesz, że jestem tu bezradny. La Fayette i de Maurepas nie pozwalają mi się oddalać na więcej niż pięćdziesiąt mil stąd. Nie dają mi żołnierzy. Najpierw musi powstać armia, mówią. Amerykanie muszą zebrać wojska, żebyś mógł z nimi walczyć. A ty jesteś jedynym człowiekiem, który potrafi zmusić tych nędznych bękartów do zjednoczenia.

- Wiem - rzekł Ta-Kumsaw.

- Obiecałeś mi armię dziesięciu tysięcy Czerwonych, Ta-Kumsawie. A zamiast tego wciąż słyszę o mieście dziesięciu tysięcy... kwaków!

- Nie kwaków.

- Jeśli odrzucają wojnę, to na jedno wychodzi. - Nagle głos Napoleona stał się delikatny, przyjazny i pełen ciepła. - Ta-Kumsawie, potrzebuję cię, polegam na tobie, nie zawieź mnie.

Ta-Kumsaw parsknął śmiechem. Napoleon już dawno się przekonał, że jego sztuczki działają na Białych. Ale na Czerwonych nie działały nawet w połowie tak dobrze, a na Ta-Kumsawa wcale.

- Wcale o mnie nie dbasz ani ja o ciebie - rzekł. - Pragniesz jednej bitwy i zwycięstwa, żebyś mógł wrócić do Paryża jako bohater. Ja pragnę jednej bitwy i zwycięstwa, żeby wzbudzić grozę w sercach Białych i zebrać pod swoim dowództwem jeszcze większą armię Czerwonych, wymieść cały kraj na południe stąd i odepchnąć Anglików za góry. Jedna bitwa, jedno zwycięstwo... Dlatego działamy wspólnie, a kiedy skończymy, ja zapomnę o tobie, a ty o mnie.

Napoleon rozgniewał się, ale i roześmiał.

- Połowiczna prawda - stwierdził. - Nie dbam o ciebie, Ta-Kumsawie, ale będę o tobie myślał. Wiele się od ciebie nauczyłem. Miłość do dowódcy bardziej skłania ludzi do walki niż miłość ojczyzny, miłość ojczyzny bardziej niż nadzieja sławy, nadzieja sławy bardziej niż łupy, a łupy bardziej niż żołąd. Jednak najlepiej walczyć dla sprawy. Dla wspaniałego, szlachetnego marzenia. Moi żołnierze zawsze mnie kochali. Gotowi są dla mnie zginąć. Ale

dla sprawy pozwoliliby umierać swoim żonom i dzieciom, i wierzyliby, że warto zapłacić tę cenę.

- Ode mnie się tego nauczyłeś? - zdziwił się Ta-Kumsaw. - To mój brat tak mówi, nie ja.

- Twój brat? Sądziłem, że według niego za nic nie warto umierać.

- Nie, co do umierania nie ma żadnych oporów. To zabijaniu się sprzeciwia.

Napoleon śmiał się, a Ta-Kumsaw razem z nim.

- Masz rację. Nie jesteśmy przyjaciółmi. Ale lubię cię. Jedno mnie dziwi: naprawdę chcesz odejść, kiedy zwyciężysz, kiedy wszyscy Biali stąd znikną? Pozwolisz, żeby plemiona żyły jak dawniej, rozdzielone, skłócone i słabe?

- Z radością. Tak było przedtem. Wiele plemion, wiele języków, ale jedna żyjąca kraina.

- Słabe - powtórzył Napoleon. - Gdybym kiedyś zjednoczył całą moją krainę pod własną flagą, trzymałbym ich razem tak długo i tak mocno, aż staliby się jednym narodem, wielkim, wspaniałym i potężnym. Jeśli mi się to uda, na pewno tak uczynię. Wrócimy tu i odbierzemy ci ten kraj, tak jak podbijamy wszystkie inne kraje na całej Ziemi. Możesz na to liczyć.

- Dlatego, że jesteś zły, generale Bonaparte. Wszystko i wszystkich chcesz zmusić do posłuszeństwa.

- To nie jest zło, głupi dzikusie. Jeśli wszyscy będą mi posłuszni, będą też szczęśliwi i bezpieczni, będą żyli w pokoju i po raz pierwszy w historii będą wolni.

- Bezpieczni, chyba że ci się przeciwstawia. Szczęśliwi, chyba że cię nienawidzą. Wolni, chyba że zapragną czegoś wbrew twojej woli.

- Coś podobnego... Czerwony filozofuje. Czy ci biali osadnicy na południu wiedzą, że czytałeś Newtona, Voltaire'a, Rousseau i Adama Smitha?

- Nie wiedzą chyba, że umiem czytać w ich językach.

Napoleon pochylił się nad biurkiem.

- Zniszczymy ich, Ta-Kumsawie. Ty i ja, wspólnie. Ale musisz mi przyprowadzić armię.

- Mój brat przepowiada, że będziemy mieli armię, nim ten rok dobiegnie końca.

- Proroctwo?

- Wszystkie jego proroctwa się spełniły.

- Czy mówi, że zwyciężymy?

Ta-Kumsaw zaśmiał się.

- Mówi, że zdobędziesz sławę jako największy z europejskich generałów w historii. A ja znany będę jako największy z Czerwonych.

Napoleon przecesał palcami włosy i uśmiechnął się niemal chłopcę. Potrafił w jednej chwili zmienić nastrój z groźnego na przyjazny.

- To wymijająca odpowiedź. Martwi też bywają nazywani wielkimi.

- Ale ci, co przegrywają bitwy, nigdy tacy nie są. Szlachetni, być może, nawet heroiczni. Ale nie wielcy.

- To prawda, Ta-Kumsawie, to prawda. Ale twój brat przemawia niejasno. Jak wyrocznia. Delficko.

- Nie znam tego słowa.

- Oczywiście, że nie znasz. Jesteś dzikusiem. - Napoleon nalał wina. - Zapominam się. Wina?

Ta-Kumsaw pokręcił głową.

- Przypuszczam, że dla chłopca też nie?

- Ma dopiero dziesięć lat.

- We Francji rozcieńczamy takim wino wodą, pół na pół. Co robisz z tym białym chłopcem, Ta-Kumsawie? Czyżbyś teraz porywał dzieci?

- Ten biały chłopiec jest czymś więcej, niż się wydaje.

- W przepasce biodrowej nie wygląda na coś więcej. Mówi po francusku?

- Ani słowa. - Ta-Kumsaw zmienił temat. - Przyszedłem zapytać, czy dasz nam karabiny?

- Nie - odparł Napoleon.

- Nie możemy strzałami walczyć przeciwko kulom.

- La Fayette odmawia zgody na uzbrojenie was w muszkiety. Paryż przyznaje mu rację. Nie ufają ci. Obawiają się, że broń, którą dostaniesz, pewnego dnia możesz zwrócić przeciwko nam.

- W takim razie co ci przyjdzie z mojej armii?

Napoleon uśmiechnął się. Łyknął wina.

- Rozmawiałem z kupcami Irrakwa.

- Irrakwa to mocz chorych psów - warknął Ta-Kumsaw. - Zanim przyszli Biali, byli okrutnymi, wściekłymi bestiami. Teraz są jeszcze gorsi.

- Dziwne. Anglicy uważają ich chyba za pokrewne duchy. A La Fayette ich podziwia. Lecz w tej chwili ważne jest tylko jedno: produkują strzelby, dużo i tanio. Nie najbardziej

niezawodne strzelby, ale na dokładnie taką samą amunicję. To znaczy, że produkują kule ściślej pasujące do luf i bardziej celne. A jednak sprzedają je taniej.

- Kupicie je dla nas?

- Nie. Wy je kupicie.

- Nie mamy pieniędzy.

- Futra - rzekł Napoleon. - Bobry. Łasice. Skóry jeleni i bizonów.

Ta-Kumsaw pokręcił głową.

- Nie możemy prosić tych zwierząt, by umierały dla naszych strzelb.

- To szkoda... Słyszałem, że wy, Czerwoni, macie talent do polowania.

- Prawdziwi Czerwoni mają. Irrakwa nie. Zbyt długo używali maszyn białych ludzi i teraz dla krainy są martwi, tak jak Biali. Inaczej sami zdobyliby dla siebie te futra.

- Chcą nie tylko futer - dodał Napoleon.

- Nie mamy niczego, na czym by im zależało.

- Żelazo.

- Nie mamy żelaza.

- Nie. Ale oni wiedzą, gdzie jest. W górnym biegu Mizzipy i wzdłuż Mizota. W okolicy zachodniego końca Jeziora Wysokiej Wody. I chcą tylko waszej obietnicy, że nie będziecie atakować łodzi, wiozących rudę żelaza do Irrakwa, ani ich górników, wydobywających ją z ziemi.

- Pokój w przyszłości jako zapłata za strzelby teraz?

- Tak.

- I nie boją się, że te strzelby skieruję przeciwko nim?

- Proszą o obietnicę, że tego nie zrobisz.

Ta-Kumsaw zastanowił się.

- Powiedz im tak: jeśli dadzą mi strzelby, żadna z nich nie zostanie użyta przeciwko Irrakwa. Wszyscy moi ludzie złożą taką przysięgę. Nie zaatakujemy ich łodzi na wodzie ani górników, którzy kopią ziemię.

- Mówisz poważnie? - zdziwił się Napoleon.

- Jeśli powiedziałem, to dotrzymam - odparł Ta-Kumsaw.

- Chociaż ich nienawidzisz?

- Nienawidzę ich, bo kraina ich nienawidzi. Kiedy odejdą biali ludzie i kraina znowu będzie silna, nie chora, wtedy trzęsienia ziemi mogą pochłoniąć górników, sztormy zatopić łodzie, zaś Irrakwa na powrót zmieniać się w prawdziwych Czerwonych albo zginąć. Kiedy znikną Biali, kraina będzie surowa dla swych dzieci, które tu pozostaną.

Wkrótce potem spotkanie dobiegło końca. Ta-Kumsaw wstał i uścisnął dłoń generałowi. Alvin zaskoczył obu, podchodząc i również wyciągając rękę.

Napoleon uścisnął ją, lekko rozbawiony.

- Powiedz chłopcu, że obraca się w niebezpiecznym towarzystwie - rzucił.

Ta-Kumsaw przetłumaczył. Alvin spojrzał na niego, szeroko otwierając oczy.

- Myślisz o tobie? - zapytał.

- Chyba tak - potwierdził Ta-Kumsaw.

- Ale to on jest najbardziej niebezpiecznym człowiekiem na świecie - stwierdził Alvin.

Napoleon roześmiał się, kiedy Ta-Kumsaw przetłumaczył słowa chłopca.

- Jak mogę być niebezpieczny? Mały człowiek tkwiący gdzieś w dziczy, gdy centrum świata jest Europa. Tam toczą się wielkie wojny, a ja nie biorę w nich udziału.

Ta-Kumsaw nie musiał tłumaczyć - Alvin odczytał sens z wyrazu twarzy Bonapartego.

- Jest niebezpieczny, ponieważ zmusza ludzi, żeby go kochali, choć na to nie zasługuje.

Ta-Kumsaw wyczuł prawdę tych słów. Tak właśnie postępował Napoleon z białymi ludźmi, i było to groźne, złe i mroczne. Czy mogę polegać na pomocy tego człowieka? Uwierzyć, że będzie moim sojusznikiem? Tak, ponieważ nie mam wyboru.

Mimo nalegań Napoleona nie przetłumaczył słów Alvina. Jak dotąd, francuski generał nie starał się rzucić na chłopca czaru. Gdyby wiedział, co mówi, mógłby spróbować i może opłatałby Alvina. Ta-Kumsaw zaczął doceniać małego. Może był za silny dla Napoleona i oparłby się czarowi. A może stałby się jego niewolnikiem i wielbicielem, jak de Maurepas. Lepiej nie sprawdzać. Lepiej go stąd zabrać.

Alvin uparł się, że chce obejrzeć katedrę. Któryś z kapłanów zrobił oburzoną minę, widząc, jak wchodzi mężczyźni ubrani tylko w biodrowe przepaski. Inny jednak skarcił go i zaprosił ich do środka. Ta-Kumsawa zawsze zadziwiała posągi świętych. Ukazywały przeważnie ludzi torturowanych na najstraszniejsze sposoby. Biali całymi dniami potrafili przekonywać, jaki to barbarzyński zwyczaj: torturować jeńców, by mogli okazać dzielność. A przed czyimi pomnikami klękali do modlitwy? Ludzi, którzy wykazali się odwagą podczas tortur. Nie da się zrozumieć Białych.

Mówili o tym z Alvinem po drodze z miasta. Teraz już się nie spieszyli. Ta-Kumsaw wyjaśnił też Alwinowi, przynajmniej częściowo, w jaki sposób potrafili biec tak prędko. I jakie to dziwne, że biały chłopiec zdołał dotrzymać im kroku.

Alvin pojmował chyba, jak czerwoni ludzie współżyli z krainą. A w każdym razie próbował.

- Chyba czułem coś takiego. Kiedy biegłem. Tak jakbym opuścił siebie. Myśli wędrowały we wszystkie strony. Jak we śnie. A kiedy mnie nie było, coś mówiło mojemu ciału, co ma robić. Karmiło je, poruszało, prowadziło tam, gdzie powinno dotrzeć. Czy też tak to odczuwacie?

Uczucia Ta-Kumsawa były zupełnie inne. Kiedy kraina wkraczała w niego, czuł się bardziej żywy niż kiedykolwiek. Nie opuszczał ciała, ale był w nim obecny bardziej intensywnie. Jednak niczego nie tłumaczył. Zamiast tego odpowiedział pytaniem.

- Mówiłeś, że to jak sen. O czym śniłeś wczoraj w nocy?

- Śniłem o wizjach, które zobaczyłem w kryształowej wieży z Jaśniejącym... z Prorokiem.

- Jaśniejący Człowiek. Wiem, że tak go nazywasz. Mówił mi dlaczego.

- Śniłem o tym wszystkim. Ale teraz było inaczej. Pewne rzeczy widziałem wyraźniej, a inne zapomniałem.

- Czy śniłeś o czymś, czego nie widziałeś wcześniej?

- O tym miejscu. O posągach w katedrze. I tym człowieku, z którym rozmawiałeś: o generale. I czymś jeszcze dziwniejszym. Wielkie wzgórze, prawie okrągłe... nie, z ośmioma ścianami. Pamiętam dobrze, sen był bardzo wyraźny. Wzgórze z ośmioma równymi ścianami, opadającymi w dół. Wewnątrz istniało całe miasto, mnóstwo małych pomieszczeń, jak w mrowisku, tylko że dla ludzi. A w każdym razie większe niż dla mrówek. Byłem na szczycie tego wzgórza, wędrowałem między tymi dziwnymi drzewami... miały srebrne liście zamiast zielonych. Szukałem swojego brata. Measure'a.

Ta-Kumsaw milczał przez długą chwilę. Ale myślał o wielu sprawach. Żaden z Białych nie oglądał nigdy tego miejsca. Kraina dość jeszcze miała mocy, by nie dopuścić do jego odkrycia. A jednak chłopiec śnił o nim. A sen o Ośmiościennym Kopcu nigdy nie pojawiał się przypadkiem. Zawsze coś oznaczał. I zawsze to samo.

- Musimy tam iść - oświadczył Ta-Kumsaw.

- Gdzie?

- Na to wzgórze, o którym śniłeś.

- Ono naprawdę istnieje?

- Żaden biały człowiek go nie widział. Gdyby biały człowiek na nim stanął, byłoby... splamione. - Alvin milczał. Co mógł powiedzieć? Ta-Kumsaw przełknął ślinę. - Ale skoro śniłeś o nim, musisz iść.

- Co to jest?

Ta-Kumsaw pokręcił głową.

- Miejsce, o którym śniłeś. To wszystko. Jeśli chcesz wiedzieć więcej, śnij znowu.

Była już prawie noc, kiedy wrócili do obozu. Wojownicy wzniesli już wigwamy, gdyż zanosilo się na deszcz. Nalegali, żeby dla bezpieczeństwa Ta-Kumsaw spał w jednym szałasie z Alvinem. Ale Ta-Kumsaw odmówił. Chłopiec budził w nim lęk. Kraina czyniła z nim różne rzeczy, nie dając Ta-Kumsawowi znaku, co się dzieje.

Ale kto we śnie zobaczył siebie na szczycie Ośmiościennego Kopca, ten nie miał już wyboru. Musiał tam pójść. A że Alvin sam nigdy nie znajdzie drogi, Ta-Kumsaw musi go zaprowadzić.

Nie umiałby wytłumaczyć tego innym, a gdyby nawet potrafił, nie zrobiłby tego. Rozeszłaby się wieść, że Ta-Kumsaw zabrał Białego w pradawne święte miejsce. A wtedy wielu Czerwonych nie chciałoby go więcej słuchać.

Dlatego rano oznajmił, że zabiera chłopca, aby go uczyć, jak nakazał Prorok.

- Spotkamy się za pięć dni, tam gdzie Pickawee wpada do Hio - powiedział. - Stamtąd ruszymy na południe rozmawiać z Chok-Taw i Chicky-Saw.

Weź nas ze sobą, prosili. Sam nie będziesz bezpieczny. Nie odpowiadał jednak i po chwili zrezygnowali. Ruszył biegiem i raz jeszcze Alvin biegł za nim krok w krok. Czekala ich droga niemal tak daleka jak z Mizogan do Detroit. Wieczorem dotrą do granic Krainy Krzemieni. Ta-Kumsaw zamierzał stanąć tam na noc i znaleźć własne sny, zanim ośmieli się poprowadzić na Ośmiościenny Kopic białego chłopca.

ROZDZIAŁ 12 - DZIAŁA

Measure słyszał, jak nadchodzą, na kilka sekund przed tym, jak otworzyły się drzwi i światło zalało piwnicę. Starczyło czasu, żeby wyrzucić ziemię, wcisnąć opaskę za rzemienny pas i wdrapać się na stos ziemniaków. Był tak brudny, że czuł się jak ubrany w samą ziemię, ale nie myślał o elegancji.

Nie tracili czasu na inspekcję celi, więc nie zauważyli tunelu, który sięgał już na dobre dwie stopy pod ścianę. Złapali go pod pachy i wywlekli na zewnątrz, zatrzasnąwszy drzwi. Światło rozbłysło tak nagle, że go oślepiło i nie wiedział, kto go trzyma ani ilu ich przyszło. Zresztą, to bez znaczenia. Ktoś z miejscowych poznałby go natychmiast, zatem muszą to być ludzie Harrisona. A kiedy to odgadł, wiedział też, że nie czeka go nic przyjemnego.

- Jak świnia - stwierdził Harrison. - Obrzydliwe. Wyglądasz jak Czerwony.

- Wsadziliście mnie do dziury w ziemi - odparł Measure. - Nic dziwnego, że nie wyszedłem czysty.

- Dałem ci całą długą noc do namysłu, chłopcze. A teraz musisz zdecydować. Możesz mi się przydać na dwa sposoby. Pierwszy: jako żywy. Opowiesz, jak zamęczyli twojego brata, a on krzyczał przez cały czas. Ułożysz z tego dobrą historię i dodasz jeszcze, że Ta-Kumsaw i Prorok tam byli i sami splamili ręce krwią chłopaka. Taka opowieść warta jest zostawienia cię przy życiu.

- Ta-Kumsaw ocalił mnie przed śmiercią z rąk waszych Chok-Tawów - rzekł Measure.

- To jedyna opowieść, jaką ode mnie usłyszycie. Tyle że wspomnę, jak to chcieliście, żebym mówił coś całkiem innego.

- Tak myślałem - mruknął Harrison. - Zresztą, gdybyś mnie nawet okłamał i obiecał powtarzać moją wersję, chyba i tak bym ci nie uwierzył. Czyli zgadzamy się obaj na to drugie wyjście.

Measure wiedział, że Harrison chce pokazać jego ciało ze śladami tortur. Martwy nikomu nie powie, kto go przypalał i kaleczył. No trudno, pomyślał. Przekona się, że umrę jak człowiek dzielny.

Ale nie należał do takich, co witają śmierć z otwartymi ramionami. Pomyślał, że spróbuje jeszcze pogadać.

- Puście mnie i odwołajcie tę wojnę, Harrison, a będę siedział cicho. Pozwólcie mi iść do domu, przyznajcie, że to była straszna pomyłka, zabierzcie swoich chłopców i zostawcie w spokoju Prorocze Miasto. Nie zaprzeczę wtedy. Na takie kłamstwo zgodzę się chętnie.

Harrison zawahał się na moment i Measure pozwolił sobie na chwilę nadziei, że gubernator ma w sobie iskrę dobroci i zawróci z grzesznej drogi mordy, zanim ten się dokona. Ale Harrison zaraz uśmiechnął się i pokręcił głową. Skinał na wielkiego, paskudnego rzeczno szczura, który stał oparty o ścianę.

- Mike Fink! Oto renegat, biały chłopak, który pomagał w złych uczynkach Ta-Kumsawowi i jego bandzie morderców dzieci i gwałcicieli żon. Liczę, że połamiesz mu parę kości.

Fink zastanawiał się przez chwilę.

- Narobi mnóstwo hałasu, gubernatorze.

- To załóż mu knebel. - Harrison wyjął z kieszeni płaszcza chustkę. - Trzymaj. Wepchnij mu to w gębę i zawiąż.

Fink posłuchał. Measure starał się na niego nie patrzeć, próbował uciszyć trwogę, która ścisnęła mu żołądek i uwierała w pęcherz. Chustka wypełniła mu usta, aż zaczął się dławić. Opanował się, wolno i rytmicznie oddychając przez nos. Fink zawiązał mu na twarzy własny czerwony szalik tak mocno, że wepchnął mu knebel jeszcze głębiej w gardło. Measure całkowicie skoncentrował się na tym, aby nie krztusić się i nie wymiotować. Gdyby to zrobił, wciągnąłby chustkę aż do płuc i wtedy by umarł.

To bezsensowna myśl, skoro Harrison i tak chce go zabić. Może zadławienie się chustką będzie lepsze od bólu, który zada mu Fink. Jednak Measure zbyt wiele miał woli życia, by w ten sposób umierać. Ból czy nie, odejdzie dysząc; nie udusi się tylko dlatego, żeby mu było lżej.

- Łamanie kości to nie sposoby Czerwonych. - Fink chciał pomóc gubernatorowi. - Oni zwykle kaleczą i przypalają.

- Nie mamy czasu na kaleczenie, a przypalić możesz ciało już po śmierci. Rzecz w tym, żeby mieć odpowiedniego trupa, nie żeby sprawiać ból temu chłopcu. Nie jesteśmy dzikusami, a przynajmniej niektórzy z nas nimi nie są.

Mike zarechotał, potem wyciągnął rękę, chwycił Measure'a za ramię i kopnięciem podciął mu nogi. Measure jeszcze nigdy w życiu nie czuł się tak bezradny. Fink nawet o cal nie górował nad nim wzrostem czy zasięgiem ramion, a Measure znał kilka zapaśniczych sztuczek, ale tamten nie próbował nawet się z nim mierzyć. Po prostu złapał, kopnął - i Measure leżał na ziemi.

- Chcesz go najpierw związać? - zapytał Harrison.

W odpowiedzi Fink poderwał lewą nogę leżącego tak szybko i wysoko, że Measure przejechał kawałek i pośladki uniosły mu się nad podłogą. Żadnej szansy, żeby się zaprzeć,

żeby kopnąć. Fink uderzył nogą Measure'a o swoje udo; kości trzasnęły jak suchy chrust. Measure wrzasnął w knebel i prawie wciągnął chustkę, próbując złapać oddech. Nigdy jeszcze nie czuł takiego bólu.

Przez jedną obłąkaną chwilę myślał: tak musiał cierpieć Alvin, kiedy młyński kamień upadł mu na nogę.

- Nie tutaj - rzucił Harrison. - Zabierz go stąd. Załatw to w piwnicy.

- Ile kości mam mu połamać? - zapytał Fink.

- Wszystkie.

Fink podniósł Measure'a za rękę i nogę i zarzucił go sobie na ramiona. Mimo bólu Measure usiłował zadać jakiś cios czy dwa, ale Fink szarpnął go za ramię i złamał je w samym łokciu.

Measure był ledwie przytomny przez całą drogę do piwnicy. Usłyszał z daleka wołanie:

- Kogo tam masz?

- Złapaliśmy szpiega Czerwonych! - odkrzyknął Fink. - Kręcił się tutaj!

Głos z dali brzmiał znajomo, ale Measure nie mógł się skupić i przypomnieć sobie, do kogo należy.

- Rozedrzyj go na kawałki! - zawołał ten sam głos.

Fink nie odpowiedział. Nie opuścił Measure'a na ziemię, żeby otworzyć drzwi od piwnicy, choć były niskie i ukośne, tak że trzeba było ciągnąć je w górę. Fink po prostu wsunął pod nie czubek buta i odtrącił na bok. Przeleciały tak prędko, że odskoczyły od ziemi i prawie zamknęły z powrotem, ale wtedy Fink schodził już do piwnicy. Drzwi trafiły go w udo i odbiły się znowu. Measure słyszał tylko ich trzask i czuł wstrząsy, od czego noga i łokieć tylko bardziej go bolały. Dlaczego jeszcze nie zemdlałem, myślał. Chwila jest odpowiednia.

Ale nie zemdlał. Z oboma nogami złamanymi powyżej kolan, palcami wyłamanymi ze stawów, zmiażdżonymi dłońmi, rękami połamanymi powyżej i poniżej łokci - cały czas zachował świadomość, choć ból w końcu odpłynął, stał się raczej wspomnieniem bólu niż samym bólem. Jeśli człowiek usłyszy jedno uderzenie w bęben, brzmi to głośno; dwa czy trzy uderzenia są jeszcze głośniejsze. Ale dwudzieste już nie - człowiek jest ogłuszony i przestaje w ogóle je słyszeć. Tak właśnie było z Measure'em.

Z oddali dobiegły radosne krzyki.

Ktoś podbiegł do drzwi.

- Gubernator mówi, żebyś szybciej kończył. Jesteś mu potrzebny.

- Za chwilę będzie gotów - odparł Fink. - Zostało jeszcze przypalenie.

- Zostaw to na później. Pospiesz się.

Fink rzucił Measure'a na ziemię, a potem nadepnął mu pierś, aż popękane żebra sterczały na wszystkie strony. W końcu uniósł go za ramię i włosy i odgryzł ucho. Oderwało się, a Measure'a ogarnęła ostatnia, rozpaczliwa fala gniewu. Fink szarpnął mu głowę w bok i Measure ułyszał, jak pęka kark. Potem Fink rzucił go na ziemniaki. Measure stoczył się do dziury, którą niedawno wykopał. Dopiero kiedy twarzą dotknął ziemi, ustał ból i nadeszła ciemność.

Fink zatrzaskał drzwi butem, zasunął sztabę i wrócił do domu. Od frontu okrzyki brzmiały głośniejsze. Harrison spotkał go w drzwiach gabinetu.

- To już teraz nieważne - oświadczył. - Nie potrzebuję trupa, żeby podgrzać ich nastroje. Właśnie przybyły działa. Rano atakujemy.

Harrison ruszył na ganek, a Fink podążył za nim. Działa? Co działa mają wspólnego z potrzebnym albo niepotrzebnym trupem? Co on sobie myśli? Że Mike jest mordercą? Zabić Hoocha to jedno, zabić kogoś w uczciwej walce to drugie. Ale zabić zakneblowanego młodego człowieka to zupełnie inna sprawa. Kiedy odgryzał ucho, coś mu nie pasowało. To nie było trofeum z uczciwej walki. Zepsuło mu to humor. Nie chciało mu się nawet odgryzać drugiego.

Stał obok Harrisona i obserwował, jak konie żwawo i sprawnie ciągną cztery działa. Wiedział, do czego Harrison ich użyje, bo słyszał, jak to planuje. Dwa tam i dwa tam, żeby z obu stron przeczesać Prorocze Miasto. Kartacze i szrapnele, żeby rozrywały i szarpały ciała Czerwonych, kobiet i dzieci razem z mężczyznami.

Nie dla mnie taka walka, pomyślał Mike. Tak samo ten młodzień w piwnicy. Żadnego wyzwania... to jakby deptać małe żaby. Pewnie, można to zrobić i nawet się nie zastanawiać. Ale nie zbiera się potem martwych żab, nie wypycha i nie wiesza na ścianie. Zwyczajnie się tego nie robi.

Nie dla mnie taka walka.

ROZDZIAŁ 13 - OŚMIOŚCIENNY KOPIEC

Kraina nad Liżącą Rzeką budziła inne uczucia. Alvin nie spostrzegł tego od razu, głównie dlatego, że biegł z przyciętym knotem, jeśli można tak powiedzieć. W ogóle niewiele zauważał. Bieg był niczym bardzo długi sen. Ale gdy Ta-Kumsaw doprowadził go do Krainy Krzemieni, sen uległ zmianie. Cokolwiek w nim widział, zawsze wokół rozbłyskiwały drobne iskierki czarnego ognia. Nie jak ta nicość, która zawsze się unosiła na granicy pola widzenia. Nie jak głęboka czerń, która wysysa światło. Ta czerń lśniła, tryskała iskrami.

A kiedy się zatrzymali i Alvin znowu był sobą, czarne płomyki przygasły może trochę, ale wciąż tam były. Nie zastanawiając się nawet, Alvin podszedł do jednego z nich, czarnego ognia w morzu zieleni. Wyciągnął rękę i podniósł go. Krzemień. Dobry, duży krzemień.

- Dwudziestogrotowy krzemień - powiedział Ta-Kumsaw.

- Błyszczysz czernią i parzy chłodem - odparł Alvin.

Ta-Kumsaw przytaknął.

- Chcesz zostać czerwonym chłopcem? A więc rób ze mną groty strzał.

Alvin uczył się szybko. Pracował już ze skałami. Kiedy wycinał młyński kamień, potrzebował gładkich płaskich powierzchni. W krzemieniu liczyła się krawędź, nie ściany. Pierwsze dwa groty były niezdarne, ale potem wyczuwał już drogę do wnętrza krzemienia, znajdował naturalne fałdy i pęknięcia, rozłamywał je. Przy czwartej próbie nie musiał niczego łupać. Chwytał tylko palcami i delikatnie odrywał groty.

Twarz Ta-Kumsawa nie zdradzała żadnych uczuć. Prawie wszyscy Biali byli przekonani, że tak wygląda przez cały czas. Sądziło się, że Czerwoni, a już zwłaszcza Ta-Kumsaw, niczego nie odczuwają, ponieważ nikomu nie okazują swoich uczuć. Alvin jednak widział, jak wódz śmieje się i płacze, pokazuje wszystkie twarze, które może pokazać człowiek. Dlatego wiedział też, że gdy twarz Ta-Kumsawa nie zdradza niczego, oznacza to, że wódz przeżywa wiele różnych emocji.

- Dawniej często pracowałem z kamieniami - wyjaśnił Alvin.

Miał wrażenie, że powinien przeprosić.

- Krzemień to nie kamień - poprawił go Ta-Kumsaw. - Otoczaki w rzece, głazy... to są kamienie. A to jest żywa skała, która ma w sobie płomień. Twarda ziemia, jaką kraina daje nam w obfitości. Nie ciosana i dręczona, jak to Biali czynią z żelazem. - Podniósł jeden z

grotów, który chłopiec wywabił palcami z krzemienia. - Stal nie może mieć takiej ostrej krawędzi.

- Idealna krawędź. Lepszej naprawdę nie widziałem - przyznał Al.

- Żadnych śladów ociosywania. Żadnego przymusu. Czerwony człowiek spojrzałby na to i powiedział: kraina wydała z siebie taki krzemień.

- Ale ty wiesz. Wiesz, że to mój dar.

- Dar nagina krainę - odparł Ta-Kumsaw. - Jak przeszkoda na dnie rzeki pieni wodę na powierzchni. Tak samo jest z krainą, kiedy Biały używa swojego talentu. Ale nie ty.

Alvin rozmyślał o tym przez chwilę.

- To znaczy, że widzisz, kiedy inni ludzie używają różdżki, rzucają urok albo przywołanie, albo rysują heks?

- Jak paskudny smród, kiedy chory człowiek wypróżnia żołądek - potwierdził Ta-Kumsaw. - Ale ty... to, co ty robisz, jest czyste. Jak element krainy. Myślałem, że nauczę cię być Czerwonym. A zamiast tego kraina daje ci w darze groty strzał.

I znowu Alvin pomyślał, że powinien się wytłumaczyć. Zdawało mu się, że Ta-Kumsaw jest zagniewany, ponieważ Al umie to wszystko robić.

- Nikogo o to nie prosiłem - oświadczył. - Tyle że byłem siódmym synem siódmego syna i trzynastym dzieckiem.

- Te liczby: siedem, trzynaście... Ważne dla was, Białych, ale dla krainy są niczym. Kraina ma swoje prawdziwe liczby. Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć... te liczby możesz znaleźć, gdy staniesz pośrodku lasu i rozejrzysz się. Gdzie jest siedem? Gdzie jest trzynaście?

- Może dlatego są takie silne. Bo nie są naturalne.

- W takim razie dlaczego kraina kocha te nienaturalne rzeczy, które czynisz?

- Nie wiem, Ta-Kumsawie. Mam dopiero dziesięć lat, zacząłem jedenasty.

Wódz zaśmiał się.

- Dziesięć? Jedenaście? Bardzo słabe liczby.

Spędzili noc na granicy Krainy Krzemieni. Ta-Kumsaw opowiedział o niej Alwinowi. Były tu najlepsze krzemienie w całym kraju. Wszystko jedno, ile zbierali Czerwoni, zawsze więcej wynurzało się z ziemi i czekało, by je podnieść. W minionych latach co pewien czas jakiś szczep próbował zagarnąć to miejsce. Sprowadzali wojowników i zabijali każdego, kto przychodził po krzemienie. Uważali, że w ten sposób sami będą mieć strzały, a inne plemiona wcale. Ale to nigdy się nie udało. Ponieważ gdy tylko szczep wygrał swoje bitwy i opanował ziemię, krzemienie po prostu zniknęły. Nie zostawał nawet jeden. Członkowie tego szczepu

szukali i szukali... Nigdy nic nie znaleźli. Odchodzili więc, przybywał inny szczep i znowu wszędzie leżały krzemienie, tak dużo jak dawniej.

- To miejsce należy do wszystkich. Wszyscy Czerwoni przybywają tu w pokoju. Żadnego zabijania, żadnych wojen, żadnych sporów. Inaczej plemię traci krzemienie.

- Chciałbym, żeby cały świat był taki - westchnął Alvin.

- Uwierzysz, że taki właśnie jest, jeśli zbyt długo będziesz słuchał mojego brata, biały chłopcze. Nie, nie. Nie tłumacz mi. Nie broń go. On idzie swoją drogą, a ja swoją. Uważam, że na jego drodze więcej zginie ludzi, czerwonych i białych, niż na mojej.

Nocą Alvin śnił. Widział, jak okrąża Ośmiościenny Kopiec, jak trafia na ścieżkę prowadzącą po stromym zboczu. Wspiął się na nią i dotarł aż na szczyt. Srebrnolistne drzewa kołysały się na wietrze, oślepiały odbitym blaskiem słońca. Zbliżył się do jednego i zobaczył, że jest na nim gniazdo drozda. I na każdym drzewie tak samo: pojedyncze gniazdo drozda.

Z wyjątkiem jednego. Różniło się od pozostałych. Było starsze, wygięte, miało rozłożyste konary zamiast sięgających w górę gałęzi. Jak drzewa owocowe. I liście miało złote, nie srebrne, więc nie błyszczały tak jasno, za to głębiej i delikatniej. Na tym drzewie dostrzegł okrągły biały owoc i wiedział, że jest dojrzały. Lecz gdy wyciągnął po niego rękę, usłyszał śmiechy i drwiny. Rozejrzał się i zobaczył wszystkich, których poznał w życiu. Kpili z niego. Oprócz jednego: Bajarza. Bajarz stał wśród nich.

- Jedz - powiedział.

Alvin zerwał samotny owoc, uniósł go do ust i ugryzł. Był soczysty i jędrny, o smaku gorzkim i słodkim, słonym i kwaśnym równocześnie, tak mocnym, że wzbudził dreszcz... ale cudownym - smaku, który Al chciałby zapamiętać na zawsze.

Chciał ugryźć po raz drugi, ale wtedy owoc zniknął mu z dłoni. Nic już nie wisiało na drzewie.

- Jeden kęs to wszystko, czego ci teraz trzeba - rzekł Bajarz. - Pamiętaj, jak smakował.

- Nigdy nie zapomnę.

Wszyscy inni śmiali się jeszcze głośniejsze, lecz Alvin nie zwracał na nich uwagi. Ugryzł ten owoc i teraz chciałby tylko sprowadzić do tego drzewa swoją rodzinę, żeby też spróbowali. Przyprowadzić tu wszystkich, których w życiu poznał, a nawet obcych. Powinni zakosztować tego smaku. Jeśli tylko popróbują, myślał, będą wiedzieć.

- Co będą wiedzieć? - zapytał Bajarz.

Al nie miał pojęcia, co takiego.

- Po prostu wiedzieć - odparł. - Wiedzieć wszystko. Wszystko, co dobre.

- To prawda - przyznał Bajarz. - Po pierwszym kęsie wiesz.

- A po drugim?

- Po drugim kęsie żyjesz wiecznie. Ale tego lepiej nie planuj, mój chłopcze. Nie wyobrażaj sobie nawet, że mógłbyś żyć wiecznie.

Alvin przebudził się rankiem, wciąż czując w ustach smak owocu. Z trudem przekonał sam siebie, że to był tylko sen. Ta-Kumsaw już wstał. Rozpalił małe ognisko i z Liżającej Rzeki przywołał dwie ryby. Teraz piekły się na patykach wbitych w pyszczki. Podał jedną Alwinowi.

Jednak Alvin nie chciał jeść. Gdyby spróbował, z ust zniknąłby smak owocu. Zacząłby o nim zapominać, a chciał pamiętać. Wiedział, oczywiście, że musi czasem jeść. Człowiek może strasznie schudnąć, jeśli za każdym razem mówi jedzeniu: nie. Ale dzisiaj, teraz, nie chciał jeść.

Trzymał jednak patyk i przyglądał się, jak pstrąg skwierczy na ogniu. Ta-Kumsaw opowiadał, jak przywoływać ryby i inne zwierzęta, kiedy człowiek jest głodny. Prosić, by przyszły. Jeśli kraina chce, żebyś jadł, wtedy się zjawiają; mogą być inne zwierzęta, to bez znaczenia, masz zjeść, co ofiarowuje kraina. Alvin pomyślał o rybie, którą właśnie piekł. Czy kraina nie wiedziała, że nie zamierza nic jeść dziś rano? A może przysłała rybę na znak, że jednak powinien?

Ani jedno, ani drugie. Ponieważ dokładnie w chwili, gdy ryba była gotowa, usłyszeli szelest i trzaski oznaczające, że zbliża się biały człowiek.

Ta-Kumsaw siedział bez ruchu. Nie sięgnął nawet po nóż.

- Jeśli kraina sprowadza tu Białego, nie jest on moim wrogiem - oświadczył.

Po kilku sekundach Biały wyszedł na polanę. Włosy miał siwe. Trzymał w ręku kapelusz. Z ramienia zwisała mu sakwa i nie miał żadnej broni. Alvin od razu wiedział, co tam niesie: ubranie na zmianę, trochę jedzenia i książkę. Jedna trzecia tej książki zawierała pojedyncze zdania. Ludzie zapisywali tam najważniejszą rzecz, jaką w życiu oglądali własnymi oczami. Kolejne dwie trzecie były spięte skórzanym paskiem. Tam Bajarz notował własne opowieści - te, w które wierzył i uznał za ważne.

Ponieważ był to Bajarz we własnej osobie. Alvin nie przypuszczał, że jeszcze go kiedyś zobaczy. I nagle, widząc starego przyjaciela, zrozumiał, dlaczego dwie ryby przypłynęły na wezwanie Ta-Kumsawa.

- Bajarzu! - zawołał. - Mam nadzieję, że jesteście głodni, bo mam tu rybę, którą dla was upiekłem.

Bajarz uśmiechnął się.

- Cieszę się, że cię widzę, Alwinie. I cieszę się, że widzę tę rybę.

Alvin wręczył mu patyk. Bajarz usadowił się na trawie, naprzeciw Alvina i Ta-Kumsawa.

- Dziękuję ci uprzejmie, Alvinie - powiedział.

Wyjął nóż i zaczął jeść plastry ryby. Parzyły go w wargi, ale oblizywał się tylko, mlaskał i szybko rozprawił się z pstrągiem. Ta-Kumsaw również zjadł swojego. Alvin obserwował ich obu. Ta-Kumsaw nie odrywał wzroku od Bajarza.

- To jest Bajarz - odezwał się Alvin. - To człowiek, który nauczył mnie, jak leczyć.

- Nie nauczyłem cię - zaprotestował Bajarz. - Ja tylko pokazałem, jak sam możesz się tego nauczyć. I przekonałem cię, żebyś spróbował. - Bajarz zwrócił się do Ta-Kumsawa. - Chciał już umrzeć, byle nie użyć swojego daru i nie uleczyć samego siebie. Dasz wiarę?

- A to jest Ta-Kumsaw - oświadczył Alvin.

- Poznałem cię od razu. Wiesz, jaką legendą jesteś dla Białych? Jak Saladyn dla krzyżowców... Podziwiają cię bardziej niż własnych przywódców, chociaż wiedzą, że zaprzysiągłeś walkę, póki ostatniego Białego nie przepędzisz z Ameryki.

Ta-Kumsaw nie odpowiedział.

- Spotkałem ze tuziny dzieci, którym nadali twoje imię. Wszystkie białe, w większości chłopcy. A opowieści... jak ocaliłeś białych jeńców przed spaleniem na śmierć, jak ludziom, których przegnałeś z domów, przynosiłeś żywność, żeby nie głodowali. W niektóre historie nawet wierzę.

Ta-Kumsaw dokończył swoją rybę i włożył patyk do ogniska.

- Po drodze tutaj słyszałem też opowieść, jak to porwałś dwóch Białych z Vigor Kościoła i odesłałeś ich rodzicom porwane i zakrwawione ubrania. Jak zamęczyłeś ich na śmierć, aby pokazać, że zabijesz wszystkich Białych: mężczyzn, kobiety i dzieci. Jak powiedziałeś, że minął już czas cywilizowanych postępów, a teraz będziesz się grozić i przepędzisz białego człowieka z Ameryki.

Ta-Kumsaw przemówił po raz pierwszy od chwili przybycia Bajarza.

- I uwierzyłeś w tę opowieść?

- No więc nie - stwierdził Bajarz. - Ale to dlatego, że znałem już prawdę. Widzisz, dostałem wiadomość od znajomej dziewczyny... teraz młodej damy. To list.

Wyjął spod płaszcza złożony list, trzy kartki papieru pokryte pismem. Wręczył je Ta-Kumsawowi.

Nie patrząc nawet, Ta-Kumsaw oddał list Alwinowi.

- Przeczytaj mi - powiedział.

- Przecież umiesz czytać po angielsku - zdziwił się Alvin.

- Nie tutaj.

Alvin spojrział na list, na wszystkie trzy kartki, i ku swojemu zdumieniu on też nie mógł przeczytać. Litery wyglądały znajomo. Kiedy się im przyjrzał, potrafił je nazwać: S-T-W-Ó-R-C-A-C-I-E-P-O-T-R-Z-E-B-U-J-E, tak się zaczynało, ale nie układało się w słowa. Alvin nie był nawet pewien, w jakim to języku.

- Ja też nie mogę przeczytać - oświadczył i oddał list Bajarzowi.

Bajarz przyglądał się dobrą minutę, parsknął śmiechem i schował kartki do kieszeni.

- No tak... To dobra historia do mojej książki. Miejsce, gdzie człowiek nie umie czytać.

Alvin zdziwił się, widząc uśmiech Ta-Kumsawa.

- Nawet ty? - spytał wódz.

- Wiem, co tam jest napisane, bo czytałem już wcześniej. Ale dzisiaj nie umiem rozpoznać ani jednego słowa. Nawet gdy wiem, jakie powinno być to słowo. Co to za miejsce?

- Jesteśmy w Krainie Krzemieni - wyjaśnił Alvin.

- Jesteśmy w cieniu Ośmiościennego Kopca - rzekł powoli Ta-Kumsaw.

- Nie sądziłem, że Biały może tu trafić - zdziwił się Bajarz.

- Ja też nie - przyznał Ta-Kumsaw. - Ale tu siedzi biały chłopiec, a tam biały mężczyzna.

- Śniłem o tobie w nocy - wtrącił Alvin. - Śniłem, że jestem na szczycie Ośmiościennego Kopca, a ty ze mną i tłumaczysz mi wszystko.

- Nie licz na to - mruknął Bajarz. - Nie wierzę, żeby na szczycie Ośmiościennego Kopca istniało coś, co mógłbym komuś wytłumaczyć.

- Jak tu dotarłeś? - zapytał Ta-Kumsaw. - Skoro nie wiedziałeś, że idziesz do Krainy Krzemieni?

- Kazała mi iść w górę Musky-Ignum, a kiedy zobaczę biały głaz po prawej, skręcić z odnogą prowadzącą w lewo. Powiedziała, że znajdę Alvina Millera siedzącego z Ta-Kumsawem przy ognisku i piekącego rybę.

- Kto ci powiedział? - spytał Alvin.

- Kobieta - wyjaśnił Bajarz. - Żagiew. Mówiła, że zobaczyłeś ją w wizji, w kryształowej wieży, najwyżej tydzień temu. To ona ściągnęła ci z twarzy czepek, kiedy się urodziłeś. Była w tej wieży i patrzyła przez twoje oczy.

- Prorok mówił, że ktoś z nami jest.

- Patrzyła też przez jego oko - potwierdził Bajarz. - I widziała wszystkie przyszłości. Prorok zginie. Jutro rano. Zastrzelony przez twojego ojca, Alvinie.

- Nie! - krzyknął Alvin.

- Chyba... - dokończył Bajarz. - Chyba że Measure zjawi się na czas i pokaże ojcu, że żyje, że Ta-Kumsaw i Prorok nie zrobili mu krzywdy. Ani tobie.

- Ale Measure odszedł już wiele dni temu!

- To prawda, Alvinie. Ale schwytali go ludzie gubernatora Harrisona. Harrison go trzyma i dzisiaj, może nawet w tej chwili, ktoś z jego ludzi zabija Measure'a. Łamie mu kości, łamie kark. Jutro Harrison uderzy w Prorocze Miasto z dział i zabije wszystkich. Wybije ludzi do nogi. Popłynie tyle krwi, że Chybotliwe Kanoe zabarwi się szkarłatem, a Wobbish będzie czerwona aż po Hio.

Ta-Kumsaw poderwał się.

- Muszę wracać. Muszę...

- Wiesz, jak to daleko - przerwał mu Bajarz. - Wiesz, gdzie czekają twoi wojownicy. Gdybyś nawet biegł cały dzień i całą noc tak szybko, jak wy, Czerwoni, potraficie...

- Jutro w południe - stwierdził Ta-Kumsaw.

- Wtedy będzie już martwy.

Ta-Kumsaw krzyknął z rozpaczy tak głośno, że kilka ptaków poderwało się z łąki i odleciało.

- Uspokój się. Pomyśl przez chwilę. Gdybyśmy nic nie mogli na to poradzić, nie posyłałaby mnie chyba w taką podróż, prawda? Czy nie rozumiesz, że wypełniamy plan, który przewyższa zdolność rozumienia każdego z nas? Dlaczego właśnie Alvina i Measure'a porwali wynajęci Chok-Tawowie Harrisona? Dlaczego znalazłeś się tutaj, i ja też, właśnie tego dnia, gdy najbardziej jesteśmy potrzebni?

- Tam nas potrzebują, nie tutaj - mruknął Ta-Kumsaw.

- Nie sądzę - odparł Bajarz. - Gdybyśmy tam byli potrzebni, tam byśmy trafili. Potrzebują nas tutaj.

- Jesteś jak mój brat, kiedy próbuje dopasować mnie do swoich planów.

- Chciałbym być podobny do twojego brata. On ma wizję i wie, co się dzieje, podczas gdy ja mam tylko list od zagwi. Ale oto jestem tutaj, ty jesteś tutaj, i gdybyśmy się nie powinni tu znaleźć, to by nas tu zwyczajnie nie było. Czy ci się to podoba, czy nie.

Alvin nie lubił rozmów o tym, co powinno się zdarzyć. Niby kto o tym decyduje? O co chodzi Bajarzowi? Że są jak lalki na patykach? Czy ktoś ich przesuwają, żeby wypełnili to, co zdaniem tego kogoś zająć powinno?

- Jeżeli ktoś tak sobie wszystkim rządzi - oświadczył - to nie idzie mu to najlepiej, skoro wpakował nas w coś takiego.

Bajarz uśmiechnął się.

- Religia do ciebie nie przemawia, co?

- Po prostu uważam, że nikt nas do niczego nie zmusza.

- Nie powiedziałem, że zmusza. Twierdzę tylko, że sytuacja nigdy nie jest aż tak zła, żeby nie można jej było trochę poprawić.

- Chętnie wysłuchamy propozycji. Co mamy robić według tej zagwi? - zapytał Alvin.

- Mówi, że powinienś wejść na szczyt góry i uleczyć Measure'a. Nie pytaj mnie o nic więcej... tyle tylko powiedziała. W tych okolicach nie ma góry godnej tej nazwy, a Measure siedzi w piwnicy za domem Vinegara Riley'a...

- Znam to miejsce - powiedział chłopiec. - Byłem tam. Ale nie mogę... To znaczy nigdy nie próbowałem leczyć kogoś, kto nie siedzi przede mną.

- Dość gadania - przerwał Ta-Kumsaw. - Ośmiościenny Kopiec wezwał cię we śnie, biały chłopcze. Ten człowiek przybył i powiedział ci, żebyś wspiął się na górę. Wszystko się rozpocznie, kiedy wejdiesz na Kopiec. Jeśli zdołasz.

- Niektóre rzeczy kończą się na Ośmiościennym Kopcu - zauważył Bajarz.

- Co biały człowiek wie o tym miejscu? - zdziwił się Ta-Kumsaw.

- Nic - odparł Bajarz. - Ale wiele lat temu klęczałem przy konającej kobiecie z Irrakwa. Powiedziała mi, co było najważniejsze w jej życiu: że jako ostatnia z Irrakwa stanęła na szczycie Ośmiościennego Kopca.

- Wszyscy Irrakwa stali się biali w swych sercach - wyjaśnił Ta-Kumsaw. - Ośmiościenny Kopiec już ich teraz nie wpuści.

- Przecież ja jestem biały - przypomniał Alvin.

- Słuszna uwaga - zgodził się wódz. - Ośmiościenny Kopiec rozwiąże tę zagadkę. Może odpowiedź brzmi, że nie wejdiesz na szczyt i wszyscy zginą. Chodźmy.

Poprowadził ich ścieżką, którą otworzyła dla nich kraina. Dotarli do wzgórza gęsto porośniętego drzewami i ciernistymi krzewami. Tu nie było żadnej ścieżki.

- To Ściana Czerwonego Człowieka - wyjaśnił Ta-Kumsaw. - Tędy wchodzi Czerwoni. Ścieżka zniknęła. Nie możesz wspinać się od tej strony.

- Więc którędy? - zapytał Alvin.

- Skąd mogę wiedzieć? Mówi się, że kiedy wejdiesz inną ścianą, znajdziesz inny Kopiec. Mówi się, że jeśli wejdiesz Ścianą Budowniczych, znajdziesz ich starożytne miasto, wciąż żywe na szczycie Kopca. Jeśli wejdiesz Ścianą Bestii, znajdziesz krainę, gdzie panuje

wielki bizon. Niezwykłe zwierzęta z rogami wychodzącymi z paszczy i nosami jak straszliwe węże i ogromne pумы z zębami długimi jak włócznie, wszystkie oddają mu cześć. Kto wie, czy to prawda? Nikt już nie wspina się tymi ścianami.

- A jest Ściana Białego Człowieka?

- Czerwony, Szaman, Budowniczy i Bestia. Nie znamy imion pozostałych czterech. Może jedna z nich jest Ścianą Białego Człowieka. Chodźmy.

Poprowadził ich wokół wzgórza. Kopiec wyrastał po lewej ręce, ale żadna ścieżka nie otworzyła się przed nimi. Alvin poznawał wszystko, co zobaczył. Spełnił się sen minionej nocy, przynajmniej w części: Bajarz siedł obok niego i okrążali Kopiec przed wspinaczką.

Wreszcie dotarli do ostatniej z nie nazwanych ścian. Ścieżki nie było. Alvin ruszył dalej, jakby chciał przejść do następnej.

- To na nic - powstrzymał go Ta-Kumsaw. - To wszystkie osiem ścian i żadna nie chce nas przepuścić. Następna jest znowu Ściana Czerwonego Człowieka.

- Wiem - zgodził się Alvin. - Ale tam jest ścieżka.

I rzeczywiście była; prosta jak strzała. Na samej granicy między Ścianą Czerwonego Człowieka i nieznaną ścianą obok.

- Jesteś więc w połowie czerwony - oświadczył Ta-Kumsaw.

- Idź na górę - ponaglił go Bajarz.

- W moim śnie byłeś tam ze mną - powiedział Alvin.

- Może i tak - zgodził się Bajarz. - Ale rzecz w tym, że nie widzę tej ścieżki, o której mówicie. To pewnie znaczy, że nie jestem zaproszony.

- Idź - nakazał Ta-Kumsaw. - Spiesz się.

- W takim razie ty chodź ze mną - poprosił Alvin. - Ty przecież widzisz ścieżkę.

- Ja nie śniłem o Kopcu. A to, co tam zobaczysz, będzie w połowie tym, co widzi czerwony człowiek, a w połowie czymś nowym, czego nie powinienem oglądać. Idź już, nie trać czasu. Mój brat i twój brat zginą, jeśli nie dokonasz tego, po co przywiodła cię tu kraina.

- Pić mi się chce - oświadczył Al.

- Tam się napijesz - odparł Ta-Kumsaw. - Jeśli Kopiec ofiaruje ci wodę. Zjesz, gdy ofiaruje ci pożywienie.

Al wkroczył na ścieżkę i zaczął wspinaczkę. Było stromo, ale było też wiele korzeni, wiele możliwych uchwytów. W krótkim czasie ścieżka wyrównała się i zniknęły zarośla.

Myślał, że Kopiec to jedno wzgórze z ośmioma zboczami. Teraz przekonał się, że każda z ośmiu ścian jest oddzielnym Kopcem, a pośrodku tworzą głęboką kotlinę. Wydawała się zbyt rozległa, przeciwległe zbocza nazbyt oddalone. A przecież dziś rano wraz z Ta-

Kumsawem i Bajarem cały Ośmiościenny Kopiec obeszl dookoła. Wnętrze okazało się o wiele większe, niż można by sądzić z zewnątrz.

Zszedł ostrożnie po zboczu nierównym i porośniętym kępami trawy. Trawa była chłodna, ziemia wilgotna i zbita. Kiedy dotarł na dno kotliny, stanął na skraju łąki. Rosły tam drzewa o srebrnych liściach, jak we śnie. A więc sen był prawdziwy, pokazał mu rzeczywiste miejsce, którego sam nie mógłby sobie wyobrazić.

Ale jak miał tu znaleźć i wyleczyć Measure'a? Jaki w ogóle Kopiec ma związek z tymi sprawami? Minęło już południe, tak długo okrążali Kopiec, a on wciąż nie miał pojęcia, w jaki sposób ma pomóc bratu.

Ruszył dalej, gdyż nic innego nie przychodziło mu do głowy. Liczył, że przekroczy dolinę i obejrzy któryś z pozostałych kopców, ale zdarzyło się coś bardzo dziwnego. Nieważne, jak długo szedł, ile srebrnolistnych drzew mijał po drodze, kopiec, do którego zmierzał, wciąż wznosił się tak samo daleko. Przestraszył się... Czyżby został tu uwięziony na zawsze? Zawrócił pospiesznie w stronę, skąd przyszedł. I po kilku zaledwie minutach trafił w miejsce, gdzie na zboczu pozostały ślady jego stóp. Z pewnością dłużej się stąd oddalał. Następne próby przekonały go, że dolina rozciągała się w nieskończoność we wszystkich kierunkach prócz tego, z którego tu przybył. Wracając miał wrażenie, że cały czas tkwił pośrodku doliny - choćby nie wiadomo jak długo szedł, by się tam dostać.

Szukał złotolistnego drzewa z białym owocem, ale nie mógł go znaleźć i nie był tym zdziwiony. Wciąż czuł w ustach jego smak, pozostałość ze snu. Nie spróbuje go po raz drugi, ani we śnie, ani na jawie, ponieważ drugi kęs dałby mu wieczne życie. Nie zależało mu na tym aż tak bardzo. Chłopcu w tym wieku śmierć nie dyszy jeszcze w kark.

Usłyszał szum. Potok, czysta zimna woda, płynąca bystrym prądem po kamieniach. To niemożliwe, oczywiście. Kotlina Ośmiościennego Kopca była zamknięta ze wszystkich stron. Jeśli woda płynęła tu tak szybko, dlaczego nie wypełniła jej i nie zmieniła w jezioro? Dlaczego nawet jeden strumień nie wypływał na zewnątrz? Zresztą, skąd wziąłby się tu potok? Kopiec to dzieło człowieka, jak wszystkie inne kopce w całym kraju, choć żaden nie był tak starożytny. Źródła nie wypływają w sztucznie usypanych kopcach. Ta woda wzbudziła jego podejrzenia. Jak mogła tu płynąć, choć to niemożliwe? Ale z drugiej strony, przeżył już sporo niemożliwych zdarzeń, a to trudno uznać za najbardziej niezwykle.

Ta-Kumsaw mówił, żeby się napić, jeśli kopiec ofiaruje wodę. Al uklęknął i pił; zanurzył twarz w wodzie i wciągał ją prosto do ust. Nie splukała smaku owocu. Więcej nawet: smak stał się jeszcze silniejszy.

Alvin klęczał na ziemi i przyglądał się drugiemu brzegowi potoku. Woda płynęła tam całkiem inaczej. Oblewała ziemię jak fale oceanu. A kiedy tylko ta myśl przyszła mu do głowy, spostrzegł, że zarys tamtego brzegu dokładnie odpowiadał mapie wschodniego wybrzeża, którą pokazywał mu kiedyś Armor-of-God. Wspomnienie powróciło czyste i wyraźne. Tutaj, gdzie brzeg się wyginał, leżała Karolina z Kolonii Korony. Ta głęboka zatoka to Chase-a-Pick, a tutaj ujście Potty-Macku, będącego granicą między Stanami Zjednoczonymi a Koloniami Korony.

Alvin wstał i przekroczył potok.

To była zwykła trawa. Nie widział rzek ani miasteczek, granic ani dróg. Ale z brzegu potrafił odszukać region Hio i miejsce, gdzie wyrastał ten kopiec. Zrobił dwa kroki i nagle spostrzegł Ta-Kumsawa i Bajarza. Siedzieli na ziemi i przyglądali mu się niepomiernie zdumieni.

- A więc jednak weszliście na szczyt - stwierdził Alvin.

- Nic podobnego - odparł Bajarz. - Odkąd poszedłeś na górę, przez cały czas czekamy w tym miejscu.

- Dlaczego wróciłeś? - zapytał Ta-Kumsaw.

- Przecież wcale nie wróciłem. Jestem tutaj, w kotlinie kopca.

- Kotlinie?

- My siedzimy na dole, pod kopcem - oświadczył Bajarz.

Wtedy Alvin zrozumiał. Nie tak, żeby wyrazić to słowami, ale dostatecznie, by to wykorzystać, użyć tego, co ofiarował Kopiec. Mógł przemierzać oblicze krainy w taki właśnie sposób, setki mil z każdym krokiem, i spotykać ludzi, których powinien spotkać. Ludzi, których znał. Measure'a. Alvin musnął czoło, salutując dwóm mężczyznom, czekającym na niego. Potem zrobił niewielki krok. Zniknęli.

Miasto Vigor Kościół odszukał bez trudu. Jako pierwszego zobaczył Armora-of-God - klęczał pogrążony w modlitwie. Alvin nie odezwał się do niego z obawy, że Armor potraktuje go jak widmo zmarłego. Ale gdzie może być Armor? We własnym domu? W takim razie dom Vinegara Rileya stoi tam, na wschód od miasta. Odwrócił się.

Zobaczył swojego ojca i matkę. Tato wyglądał świeżo odlane kule do muszkietu. A mama szeptała do niego natarczywie. Była rozgniewana, i tato też.

- Kobiety i dzieci! Nikogo więcej nie znajdziesz w Proroczym Mieście. Nawet gdyby Prorok i Ta-Kumsaw zabili naszych chłopców, te kobiety i dzieci na pewno tego nie zrobiły. Jeśli podniesiesz na nie rękę, nie będziesz lepszy od nich. Nie wpuszczę cię do tego domu. Nie chcę cię więcej widzieć, jeżeli zabijesz choć jedno. Przysięgam, Alvinie Millerze.

Tato polerował dalej. Tylko raz się odezwał.

- Oni zabili moich synów.

Alvin próbował odpowiedzieć, otworzył nawet usta, by zawołać:

- Przecież ja nie zginąłem, tato!

Nie udało mu się. Nie mógł wydobyć z siebie głosu. Nie po to tu trafił, żeby dawać rodzicom wizję. To Measure'a musiał znaleźć, inaczej kula z muszkietu taty zabije Jaśniejszego Człowieka.

Nie było daleko, nawet nie o krok. Alvin przesunął tylko stopę do przodu, a mama z tatą zniknęli. Zauważył Calma i Davida, jak strzelali z muszkietów - pewnie do celu. A Wastenot i Wantnot coś ubijali... ładunek w lufie działa. Także inni, ale że nie szukał ich ani go nie obchodzili, nie widział dokładnie. W końcu zobaczył Measure'a.

Musiał już nie żyć. Miał skrzyżowany kark, sądząc po wychylonej na bok głowie, miał połamane ręce i nogi. Alvin nie śmiał się ruszyć, żeby nie przebyć naraz całej mili. Measure zniknąłby wtedy, tak jak tamci. Dlatego stanął nieruchomo i posłał swoją iskrę do ciała brata, leżącego przed nim na ziemi.

Nigdy jeszcze nie przeżył takiego bólu. I to nie był ból Measure'a, to był ból Alvina. To poczucie braku właściwego porządku rzeczy, ich należytego kształtu. W ciele Measure'a nic nie leżało właściwie. Poszczególne części umierały, krew ściekała do brzucha i tłumiła w nim życie, mózg nie był już połączony z resztą ciała... straszliwy chaos, wszystko nie na swoim miejscu, tak źle, że sam widok ranił... Ranił tak mocno, że Al krzyknął. Ale Measure go nie słyszał. Measure nie słyszał już nic. Jeśli nie był jeszcze martwy, to najwyżej cał dzielił go od śmierci.

Alvin zajął się przede wszystkim sercem. Nadal pompowało krew, ale w żyłach niewiele już jej zostało - cała spłynęła do brzucha i piersi Measure'a. Alvin więc musiał naprawić najpierw, połączyć naczynia krwionośne i przelać krew na miejsce, do jej kanałów.

Czas... wszystko to zajmowało czas. Połamane żebra, uszkodzone organy. I kości... Łączył je, nie mając do pomocy nikogo, kto by chociaż przesunął coś na właściwe miejsce. Niektóre kości były tak przemieszczone, że w ogóle nie mógł ich składać. Musiał czekać, za Measure się przebudzi i mu pomoże.

Dlatego Alvin dostał się do mózgu, do nerwów biegnących wzdłuż kręgosłupa, uleczył je wszystkie, umieścił tam, gdzie ich miejsce.

Measure przebudził się z długim straszliwym krzykiem agonii. Znów żył i ból powrócił, mocniejszy i wyraźniejszy niż przedtem. Przykro mi, Measure, ale nie mogę cię

leczyć tak, żebyś znów nie czuł bólu. A muszę cię wyleczyć, inaczej zginie zbyt wielu niewinnych ludzi.

Alvin nie zauważył nawet, że nastała już noc, a on nie wykonał nawet połowy swego dzieła.

ROZDZIAŁ 14 - CHYBOTLIWE KANOE

Tej nocy w Proroczym Mieście spały jedynie dzieci. Wszyscy dorośli wyczuwali zbliżanie się armii Białych. Zasłony i heksy żołnierzy były niczym trąby i sztandary dla zmysłu krainy Czerwonych.

Teraz, gdy zaledwie godziny dzieliły ich od deszczu ognia i żelaza, nie wszyscy znaleźli dość odwagi, by dotrzymać przysięgi. Ale zrobili przynajmniej tyle: zebrali rodziny i wymknęli się z Proroczego Miasta, bezszelestnie omijając oddziały białych żołnierzy, którzy nie widzieli ich ani nie słyszeli. Wiedząc, że nie potrafią ginąć bez walki, odeszli; niech nikt z Czerwonych nie skazi wiary Proroka mówiącej, że nie wolno im zabijać.

Tenska-Tawa nie dziwił się, że niektórzy odeszli. Był zaskoczony, że tak wielu zostało. Prawie wszyscy. Tak wielu w niego uwierzyło, tak wielu chciało tej wiary dowieść krwią. Bał się ranka; ból popełnionego przy nim jednego mordu na wiele lat obciążył go klątwą czarnego szumu. To prawda, zginął wtedy jego ojciec, zatem i ból był większy. Ale czy ludzi z Proroczego Miasta kochał mniej niż ojca?

A jednak musi przetrwać nawrót czarnego szumu, musi zachować przytomność umysłu. Inaczej wszyscy zginą na próżno.

Gdyby ich śmierć miała do niczego nie doprowadzić, nie kazałby im umierać. Wiele razy przeszukiwał kryształową wieżę, próbując znaleźć inną drogę do tego dnia, ścieżkę, co poprowadzi do czegoś dobrego. Najlepsze, na co trafił, to kraina podzielona: Czerwoni na zachód, Biali na wschód od Mizzipy. I nawet do tego celu wiodła tylko najwęższa dróżka. Tak wiele zależało od białego chłopca, tak wiele od Tenska-Tawy, wiele od samego Białego Mordercy Harrisona. Gdyż na wszystkich ścieżkach wizji, gdzie Harrison okazał jakiegokolwiek miłosierdzie, masakra nad Chybotliwym Kanoe nie zdała się na nic, nie powstrzymywała wyniszczenia Czerwonych, a wraz z nimi krainy. Na wszystkich ścieżkach Czerwoni wymierali, uwięzieni w małych rezerwach na pustynnej ziemi, aż wreszcie cała kraina była biała, zmuszona do posłuszeństwa, ogołocona, rozdarta i ograbiona, wydająca z siebie ogromne ilości pożywienia, które było tylko imitacją prawdziwych plonów, zatrute i pobudzone do życia chemicznymi sztuczkami. W tych wizjach przyszłości cierpiał nawet biały człowiek, choć miało minąć wiele pokoleń, nim uświadomił sobie, co uczynił. A jednak tutaj, w Proroczym Mieście, był taki dzień - jutro - gdy przyszłość da się skierować na ścieżkę mało prawdopodobną, ale lepszą. Taką, która prowadzi do żywej, chociaż okrojonej części

krainy; która kiedyś doprowadzi do kryształowego miasta, chwytającego słoneczne promienie i zmieniającego je w wizję prawdy dla wszystkich swoich mieszkańców.

Na to liczył Tenska-Tawa: że zdoła przenieść jasną wizję poprzez wszystkie cierpienia jutrzejszego dnia. Dzięki temu przekształci ból, krew, czarny szum mordy w wydarzenie, które odmieni świat.

Zanim jeszcze pierwsze dostrzegalne promienie światła rozjaśniły horyzont, Tenska-Tawa wyczuł nadchodzący świt. Wiedział, że na wschodzie życie budzi się już ze snu. Czuł to z odległości większej niż ktokolwiek z Czerwonych. Ale poznawał to również po ruchu wśród Białych, szykujących się, by podpalić lonty swoich dział. Cztery płomienie ukryte - a zatem odsłonięte - czarami i magią. Cztery działa wymierzone, by przeorać miasto od końca do końca.

Tenska-Tawa szedł wśród szałasów, nucąc cicho. Słyszeli go i budzili dzieci. Biali ludzie chcieli pozabijać ich śpiących, nie mających twarzy za ścianami wigwamów i chat. Ale oni wynurzali się z mroku, pewnym krokiem zmierzali na rozległą łąkę placu spotkań. Nie wystarczało miejsca, żeby mogli wszyscy choćby usiąść, więc stali rodzinami, ojcowie i matki z dziećmi zamkniętymi w kręgu objęć rodziców. Czekali, aż Biali przeleją ich krew.

- Wasza krew nie wsiąknie w ziemię - obiecał im Tenska-Tawa. - Spłynie do rzeki, a tam ją zatrzymam: całą moc waszego życia i waszej śmierci. Użyję jej, by zachować przy życiu krainę i przywiązać białego człowieka do ziemi, którą już zdobył i którą zabija.

I teraz Tenska-Tawa ruszył na brzeg Chybotliwego Kanoe. Patrzył, jak łąka zapełnia się jego wyznawcami, z których tak wielu zginie przed nim, ponieważ uwierzyli w jego słowa.

- Stańcie przy mnie, Miller - powiedział generał Harrison. - To krew waszych synów dzisiaj pomścimy. Chcę oddać wam honor wystrzelenia pierwszego pocisku w tej wojnie.

Mike Fink przyglądał się, jak młynarz o rozpłomienionych oczach starannie ubija w lufie muszkietu pakuły i ładunek. Widział w jego spojrzeniu żądzę mordy. Człowiek ogarnięty takim szaleństwem jest niebezpieczny, zdolny do czynów, których kiedy indziej nigdy by nie zrobił. Mike cieszył się, że młynarz nie wie, kiedy i w jaki sposób zginął jego syn. Oczywiście gubernator Bill nie powiedział Mike'owi wprost, kim jest ten młody człowiek, ale Mike Fink nie był już chłopcem w krótkich spodenkach i sam się domyślił. Harrison prowadził ryzykowną grę, ale jedno było pewne: zrobi wszystko, żeby wspiąć się wyżej, mieć pod swoją władzą więcej ludzi i ziemi. I Mike Fink wiedział, że Harrison zatrzyma go przy sobie tylko tak długo, jak długo będzie pożyteczny.

Zabawne, ale Mike Fink nie uważał się za mordercę. Życie traktował jak zawody, a śmierć spotykała tych, co przychodzili drudzy. Ale to przecież nie morderstwo, to uczciwa walka. Jak wtedy, kiedy zabił Hoocha... Hooch nie musiał przecież być taki nieostrożny. Mógł zauważyć, że Mike'a nie ma na brzegu wśród załogi. Mógł być czujny i przygotowany, a wtedy, no cóż... Mike Fink też mógł zginąć. Hooch stracił życie, bo przegrał w zawodach... zawodach, w których obaj z Finkiem uczestniczyli.

Ale ten chłopak wczoraj nie był zawodnikiem, nie był graczem. Nie uczestniczył w tej zabawie. Chciał tylko wrócić do domu. Mike nigdy nie bił się z człowiekiem, który nie chciał walki; nigdy nie zabił człowieka, który jego samego nie zabiłby przy pierwszej okazji. Wczoraj po raz pierwszy w życiu zamordował kogoś dlatego, że mu kazano. I to mu się nie podobało... Wcale mu się nie podobało. Gubernator Bill sądził, że dlatego właśnie zabił Hoocha - bo mu kazał. Ale to nieprawda. A dzisiaj Mike Fink patrzył na ojca tego chłopaka, na wściekłość w jego oczach... I mówił mu - ale bezgłośnie, żeby nikt nie usłyszał... mówił: "Jestem z wami, zgadzam się, że ten, co zabił waszego syna, powinien umrzeć".

Problem w tym, że zrobił to właśnie Mike. I Mike zwyczajnie się wstydził.

To samo z Czerwonymi z Proroczego Miasta. Co to za wyzwanie, budzić ich kartaczami, które przebijają ściany domów, podpalają je, wbijają się w ciała dzieci, kobiet i starców?

Nie dla mnie taka walka, myślał Mike Fink.

Pierwszy blask świtu rozjaśnił niebo. Prorocze Miasto wciąż okrywał mrok, ale nadszedł czas. Alvin Miller wymierzył muszkiet pomiędzy chaty i wystrzelił.

Po kilku sekundach odpowiedziały mu działa. Następne sekundy... i ogień rozbłysnął w mieście.

Działa huknęły znowu. A jednak nawet żywa dusza nie wybiegła z krzykiem pomiędzy wigwamów. Nawet tych, które stały w płomieniach.

Czy nikt tego nie zauważył? Czy nie rozumieli, że Czerwoni wynieśli się z Proroczego Miasta? A skoro się wynieśli, to musieli wiedzieć o porannym ataku. Czyli mogli się przygotować, a teraz pewnie czekają w zasadzce. Albo wszyscy uciekli, albo...

Szczęśliwy amulet niemal parzył, taki był gorący. Mike wiedział, co to oznacza: pora zniknąć. Jeśli zostanie, spotka go coś naprawdę niedobrego.

Przesunął się wzdłuż szeregu żołnierzy... a raczej tego, co uchodziło za żołnierzy, bo niektórzy z tych farmerów mieli za sobą dzień czy dwa szkolenia. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Byli zajęci obserwacją płonących wigwamów. Kilku wreszcie się zorientowało, że w

mieście Czerwonych nikogo nie ma. Mówili o tym, wyraźnie zmartwieni. Mike milczał, tylko szedł wzdłuż szeregu w stronę rzeki.

Działa ustawiono na wzniesieniach i tutaj nie huczały tak głośno. Mike wyszedł spomiędzy drzew na łąkę opadającą aż do brzegu. Zatrzymał się i wytrzeszczył oczy. Świt był wciąż tylko szarym pasmem w oddali, ale nie mógł nie poznać tego, co zobaczył. Tysiące, tysiące Czerwonych stało ramię w ramię na łące. Niektórzy płakali cicho - szrapnele czy zabłąkane kule z muszkietów dolatywały z pewnością aż tutaj, tym bardziej że dwa działa stały po przeciwnej stronie miasta i strzelały w tym kierunku. Ale ci ludzie nie próbowali nawet się bronić. To nie była zasadzka. Nie mieli broni. Zebrali się tutaj wszyscy, żeby zginąć.

Na brzegu leżało kilkanaście kanoe. Mike Fink zepchnął jedno na wodę i wtoczył się na pokład. Z prądem... Popłynie z prądem przez całą Wobbish aż do Hio. To dzisiejsze to nie jest wojna, to masakra. A tego Mike Fink nie lubił. Prawie każdy znajdzie coś tak okropnego, że zwyczajnie tego nie robi.

W ciemnej piwnicy Measure nie był pewien, czy Alvin naprawdę stoi przed nim, czy nie. Ale słyszał jego głos, cichy i niespokojny, dobiegający na fali bólu:

- Próbuję cię poskładać, Measure, ale musisz mi pomóc. Measure nie mógł odpowiedzieć. Mowa nie należała do czynów, do których byłby w tej chwili zdolny.

- Naprawiłem ci kark, niektóre żebra i porwane wnętrzości - mówił Alvin. - Kości lewej ręki ułożyły się niemal prosto, więc też są już w porządku. Czujesz to?

Rzeczywiście, lewa ręka nie sprawiała już bólu. Measure przesunął ją. Zadrżał cały, ale potrafił nią ruszyć, miał jeszcze trochę siły.

- Twoje żebra - powiedział Alvin. - Sterczą na boki. Musisz je wstawić na miejsce.

Measure pchnął jedno i niemal zemdlał z bólu.

- Nie mogę.

- Musisz.

- Zrób tak, żeby nie bolało.

- Nie wiem jak, Measure. Gdybym to zrobił, nie mógłbyś się ruszać. Musisz wytrzymać. Wszystko, co ustawisz na miejscu, ja mogę naprawić i wtedy nie będzie cię więcej bolało. Ale najpierw musisz wyprostować kości. Musisz.

- Ty to zrób.

- Nie mogę.

- Po prostu wyciągnij rękę i pchnij, Alvinie. Jesteś duży jak na swoje dziesięć lat. Potrafisz.

- Nie mogę.

- Kiedyś wyciąłem ci kość, żeby ratować twoje życie. Zrobiłem to.

- Measure, nie mogę, bo mnie tu nie ma.

To nie miało sensu. Dlatego Measure wiedział, że to sen. Ale skoro śni, dlaczego nie sprowadził sobie snu mniej bolesnego?

- Pchnij tę kość, Measure.

Alvin nie dawał mu spokoju. Dlatego Measure pchnął i zaboląło go strasznie. Jednak Alvin dotrzymał słowa. Po chwili nastawiona kość przestała dokuczać.

Trwało to potwornie długo. Measure był tak połamany, że ból nie miał właściwie końca. Ale w tym czasie, kiedy Alvin leczył nastawiane kości, Measure opowiedział, co się z nim działo, zaś Alvin o tym, czego się dowiedział. I Measure zrozumiał, że chodzi o coś więcej niż ratowanie życia młodego człowieka zamkniętego w piwnicy.

I wreszcie... wreszcie było po wszystkim. Measure nie mógł uwierzyć. Cierpiał przez tyle godzin, że kiedy ból ustał, poczuł się niepewnie.

Usłyszał łup łup dział.

- Słyszysz, Alvinie? - zapytał.

Alvin niczego nie słyszał.

- Zaczęli strzelać. Działa.

- Więc biegnij tam, Measure. Biegnij jak najszybciej.

- Alvinie, jestem w piwnicy. Zamknęli drzwi.

Alvin rzucił kilka takich słów, że Measure nie podejrzewał nawet, by chłopiec mógł je znać.

- Zacząłem kopać dziurę pod tylną ścianą. Masz taki talent do kamieni, że może poluzowałbyś mi ziemię. Szybko bym się wtedy wydostał.

I tak zrobili. Measure wczołgał się do jamy, zamknął oczy i zgarniał ziemię znad głowy. W niczym nie przypominało to wczorajszego kopania, kiedy zdzierał sobie palce do krwi. Teraz ziemia opadała, zsuwała się po nim. Kiedy sięgał w górę, żeby zgarnąć więcej, po prostu opadała mu pod ramiona i tam dopiero twardniała, tak że nie musiał nawet wygarniać jej na zewnątrz.

Wypełniała tunel od dołu. Machnął nogami i obluzował ziemię za sobą. Całym ciałem przesuwiał się do góry.

Płynę w ziemi, pomyślał. Właśnie tak. Roześmiał się, takie to było łatwe i takie niezwykle.

Dokończył śmiechu już na powietrzu. Niebo było jasne - lada minuta wszędzie słońce. Ucichł huk dział. Czy to znaczy, że już po wszystkim, że nie zdążył? A może po prostu chcą ostudzić lufy. Albo przesuwają działa w inne miejsce. A może nawet Czerwoni je zdobyli...

Ale czy to dobrze? Słusznie czy nie, przy tych działach stali jego ojciec i bracia. I jeśli Czerwoni wygrają bitwę, ktoś z rodziny może zginąć. Co innego wiedzieć, że Czerwoni mieli rację, a Biali nie... a co innego życzyć klęski własnej rodzinie - klęski i może nawet śmierci. Measure musiał przerwać tę bitwę i dlatego biegł jak jeszcze nigdy. Głos Alvina ucichł już, ale Measure nie potrzebował zachęty. Niemal leciał.

Po drodze spotkał dwoje ludzi. Pierwszą była pani Hatch w swoim wozie. Krzyknęła na widok Measure'a - miał na sobie tylko opaskę biodrową i był przeraźliwie brudny. Trudno się dziwić, że wzięła go za jakiegoś Czerwonego, który zaraz zechce ją oskalpować. Zanim zdążył choćby zawołać, zeskoczyła z wozu i rzuciła się do ucieczki. Tym lepiej, pomyślał. Niemal zrywając uprząż, uwolnił konia i ruszył dalej na oklep, galopem. Miał tylko nadzieję, że zwierzę nie potknie się i go nie zrzuci.

Drugim człowiekiem był Armor-of-God. Klęczał na łące przed swoim sklepem i modlił się z całego serca, gdy za rzeką ryczały działa i trzaskały muszkiety. Measure krzyknął do niego, zaś Armor podniósł głowę z taką miną, jakby zobaczył Jezusa zmartwychwstałego.

- Measure! - zawołał. - Stój! Zatrzymaj się!

Measure chciał jechać dalej, krzyknąć tylko, że nie ma czasu, ale Armor stał mu na drodze, a koń nie chciał go ominąć. Dlatego zatrzymał się mimo wszystko.

- Measure, jesteś aniołem, czy żyjesz?

- Żyje, ale nie dzięki Harrisonowi. Próbował mnie zamordować, ot co. Cała ta sprawa to spisek Harrisona i muszę to przerwać.

- Nie możesz tam jechać w takim stroju - oświadczył Armor. - Czekał, mówię. Kiedy zjawisz się tam tylko w opasce i taki brudny, wezmą cię za Czerwonego i zastrzelą na miejscu!

- To wskakuj za mną i po drodze oddaj ubranie!

Measure wciągnął Armora na konia i tak dojechali do przeprawy.

Przy kołowrocie stała żona Petera Ferrymana. Tylko jedno spojrzenie na Measure'a powiedziało jej wszystko, co chciała wiedzieć.

- Spieszcie się - rzuciła. - Jest tak źle, że rzeka spływa czerwienią.

Na promie Armor rozebrał się szybko, a Measure jak stał wskoczył do wody, żeby choć trochę zmyć z siebie brud. Nie wyszedł z niej czysty, ale przynajmniej wyglądał jak Biały. Mokry jeszcze, wciągnął koszulę i spodnie, a na wierzch kamizelkę Armora. Nie

pasowały za dobrze, gdyż Armor był szczuplejszy, jednak Measure narzucił jeszcze marynarkę.

- Przepraszam, że zostawiam cię w samej bieliźnie - powiedział.

- Przez pół dnia stałbym nago przed wszystkimi damami w kościele, gdyby to mogło powstrzymać rzeź - odparł Armor.

Jeśli powiedział coś jeszcze, Measure już tego nie słyszał. Popędził dalej.

Nic nie układało się tak, jak tego oczekiwał Alvin Miller Senior. Wyobrażał sobie, że strzela z muszkietu do tych samych wyjących dzikusów, którzy torturowali i zabili jego synów. Ale miasto okazało się puste, a Czerwonych znaleźli zebranych na Łące Kazań, jakby czekali na mowę Proroka. Miller nie spodziewał się, że w Proroczym Mieście żyje ich aż tylu, bo nigdy jeszcze nie widział ich wszystkich w jednym miejscu, jak teraz. Ale to przecież Czerwoni, prawda? Dlatego strzelał jak inni mężczyźni, strzelał i ładował, nie patrząc prawie, czy trafia. Jak mógł chybić, skoro stali tak blisko siebie? Ogarnęła go żądza krwi, był oszalały gniewem i mocą zabijania. Nie zauważył nawet, że inni się uspokajają. Strzelają rzadziej. On wciąż ładował i strzelał, ładował i strzelał, za każdym razem przechodząc o krok czy dwa bliżej, poza osłonę drzew. Przestał, dopiero kiedy przesunęli działa. Odsunął się i patrzył, jak kartacze wycinają w masie Czerwonych szerokie pokosy.

Wtedy właśnie pierwszy raz zauważył, co się dzieje z Czerwonymi, co robią, a właściwie czego nie robią. Nie krzyczeli. Nie próbowali walczyć. Stali po prostu: mężczyźni, kobiety i dzieci stali i patrzyli na Białych, którzy ich mordują. Nikt nawet się nie odwrócił przed nadlatującym gradem żelaza. Żadne z rodziców nie zasłaniało dziecka przed strzałami. Stali tylko, czekali i ginęli.

Kartacze przeorywały tłum; tylko ludzkie ciała stawały na drodze metalowego deszczu. Miller widział, jak padają. Ci, którzy jeszcze mogli, wstawali znowu, a przynajmniej klękali, podnosili głowy ponad masę trupów, żeby kolejny wybuch dosięgnął ich i zabił.

Co to znaczy? Czyżby chcieli umierać?

Miller rozejrzał się. Wraz z innymi stał w morzu trupów - dotarli już do obrzeży tłumy Czerwonych. U jego stóp leżał chłopiec w wieku Alvina, skulony, martwy, z okiem przestrzelonym kulą z muszkietu. Może to ja zabiłem tego chłopca?

W chwilach ciszy między salwami z dział Miller słyszał płacz ludzi. Nie, nie Czerwonych, tych, co jeszcze żyli, tulących się do siebie w coraz mniejszej gromadzie. Nie; to płakali jego sąsiedzi, Biali stojący obok albo z tyłu. Niektórzy mówili coś, błagali. Dość już, powtarzali. Błagam, dość.

Dość... Czyżby mówili do dział? Czy do czerwonych mężczyzn i kobiet, którzy uparcie stali w miejscu, nie próbowali uciekać, nie krzyczeli z przerażenia? A może zwracali się do straszego, gryzącego bólu, który zapłonął w ich własnych sercach na widok tego, co uczynili, co czynią i czego jeszcze dokonają?

Miller zauważył, że krew nie wsiąka w ziemię. Wyciekała z ran niedawno trafionych i tworzyła strużki, strumyki, szerokie potoki krwi, spływające po łące w dół, do Chybotliwego Kanoe. W ten czysty dzień poranne słońce lśniło czerwienią na wodach rzeki.

A kiedy patrzył, nagle, w jednej chwili, woda w rzece stała się gładka jak szkło. Promienie słońca nie tańczyły już na falach, ale odbijały się jak od lustra. Oślepiały niemal. Nadal jednak widział samotnego Czerwonego, który siedł po wodzie jak Jezus w przypowieści, aż stanął w samym środku.

Za Millerem nie rozlegały się już szepty. To był krzyk, coraz głośniejszy, liczniejszy. Przerwać ogień! Przestańcie! Odlóżcie broń! I głosy mówiące o tym człowieku, który stał na wodzie.

Zabrzmiała trąbka. Wszyscy umilkli.

- Ludzie! Czas z nimi skończyć! - zawołał Harrison.

Siedział na tańczącym ogierze i zjeżdżał w dół po śliskiej od krwi trawie. Nie siedł za nim żaden z farmerów. Żołnierze w mundurach uformowali tyralierę i ruszyli naprzód, wystawiając bagnety. Tam, gdzie niedawno stało dziesięć tysięcy Czerwonych, teraz rozciągało się pole trupów i może tysiąc żywych, nędzna resztką zebrana nad brzegiem.

W tej właśnie chwili z lasu wybiegł wysoki biały mężczyzna. Miał za małe ubranie, bose stopy, rozpiętą marynarkę i kamizelkę, włosy mokre i w bezładzie, twarz brudną i wilgotną. Ale Miller znał go, poznał, zanim jeszcze usłyszał jego głos.

- Measure! - wykrzyknął. - To mój chłopak! Measure! Odrzucił muszkiet i wbiegł na pole trupów, na spotkanie syna.

- Mój syn! Measure! On żyje! Ty żyjesz!

Pośliznął się na krwi, czy może potknął o ciało, w każdym razie upadł, trafił rękami w rzekę krwi, ochlapał sobie pierś i twarz.

Usłyszał głos Measure'a oddalonego najwyżej o dziesięć jardów. Chłopak krzyczał, żeby wszyscy go usłyszeli.

- Czerwonych, którzy mnie porwali, wynajął Harrison! Ta-Kumsaw i Tenska-Tawa mnie ocalili. Kiedy dwa dni temu wróciłem do domu, żołnierze Harrisona schwytali mnie i nie pozwolili powiedzieć wam prawdy. Próbował mnie nawet zabić. - Measure mówił powoli i wyraźnie, każde słowo niesło się daleko, każdy dźwięk był zrozumiały. - On wiedział przez

cały czas. To Harrison wszystko zaplanował. Czerwoni są niewinni. Mordujecie niewinnych ludzi!

Miller powstał z krwawego pola i wysoko uniósł ramiona. Gęsta krew ściekała mu z rąk. Krzyk wydarł mu się z gardła, krzyk rozpacz i bólu.

- Co ja zrobiłem! Co zrobiłem!

Ten sam krzyk powtórzyło dziesięć, sto, trzysta głosów. A niedaleko stał generał Harrison na swoim tańczącym ogierze. Wszyscy go widzieli. Nawet jego żołnierze rzucali teraz broń.

- To kłamstwo! - zawołał. - Nigdy nie widziałem tego chłopca! Ktoś chce paskudnie mnie zrobić!

- To nie kłamstwo! - krzyknął Measure. - To jego chustka... Wczoraj wepchnęli mi ją do ust, żeby mnie zakneblować, kiedy łamali mi kości!

Miller dokładnie widział chustkę w ręku syna. W rogu miała wyhaftowane duże, wyraźne litery WHH. Wszyscy żołnierze znali te chustki.

I teraz kilku z nich przemówiło:

- To prawda! Dwa dni temu przyprowadziliśmy tego chłopca Harrisonowi.

- Nie wiedzieliśmy, że to jeden z tych, co ich podobno zabili Czerwoni!

Wysoki, przenikliwy krzyk popłynął ponad łąką. Wszyscy spojrzeli tam, gdzie jednooki Prorok stał na twardej, szkarłatnej wodzie Chybotliwego Kanoe.

- Pójdź do mnie, mój ludu! - zawołał.

Ocaleli Czerwoni szli powoli, równym krokiem, w stronę rzeki. Przekroczyli ją i zatrzymali się na drugim brzegu.

- Cały mój ludu, pójdź!

Trupy zadrżały, poruszyły się. Stojący między nimi Biali krzyknęli ze zgrozy. Ale to nie martwi wstawali, by iść za Prorokiem; to tylko ranni, którzy jeszcze oddychali, podnosili się niepewnie. Niektórzy próbowali nieść dzieci, niemowlęta. Nie mieli dość siły.

Miller widział i czuł krew na swych rękach. Musiał coś zrobić, prawda? Dlatego podszedł do idącej z trudem kobiety, podtrzymującej męża. Chciał wziąć od niej dziecko, zanieść je samemu. Ale kiedy się zbliżył, ona spojrzała na niego i w jej oczach zobaczył własne odbicie - twarz poszarzała, biała, spryskana czerwienią, ociekające krwią ręce. I choć było małe, widział to odbicie tak wyraźnie, jakby ktoś ustawił przed nim lustro. Nie mógł dotknąć jej dziecka. Nie takimi rękami.

Kilku Białych na łące też próbowało pomóc, ale musieli zobaczyć coś takiego jak Miller, gdyż odskakiwali niczym oparzeni.

Może tysiąc rannych usiłowało dotrzeć do rzeki. Wielu z nich padło i skonało, nim osiągnęło cel. Ci, którzy doszli, zataczali się, potykali, czołgali na drugą stronę. Pomagali im Czerwoni czekający na tamtym brzegu.

Miller zauważył coś dziwnego. Wszyscy ranni Czerwoni, wszyscy ocaleni, szli przecież po tej łące, przekraczali czerwoną rzekę, a jednak nawet kropli krwi nie mieli na rękach ani nogach.

- Wy, którzy zginęliście... Wracajcie do domu! Tak mówi kraina!

Cała łąka zasłana była zwłokami ogromnej większości tych, co jeszcze godzinę temu stali tu jako żywi ludzie. Teraz, na rozkaz Proroka, wszystkie te ciała zadrżały, rozsypały się i zapadły w ziemię. Minęła najwyżej minuta, a zniknęły. Znowu wyprostowała się bujna, zielona trawa. Ostatnie strużki krwi ściekały w dół niby krople wody na rozpalonej blasze, stawały się częścią krwawej rzeki.

- Pójdź do mnie, Measure, mój przyjacielu - odezwał się Prorok, wyciągając rękę.

Measure odwrócił się do ojca plecami i zszedł aż na brzeg.

- Przejdź tutaj - zawołał Prorok.

- Nie mogę deptać krwi twego ludu.

- Przelali tę krew, by cię podnieść. Przejdź do mnie albo weź na siebie klątwę, która spadnie na każdego Białego na tej łące.

- W takim razie raczej zostanę - zdecydował Measure. - Gdybym był na ich miejscu, też pewnie nie postąpiłbym inaczej niż oni. I jeśli oni są winni, to ja również.

Prorok skinął głową.

Każdy z Białych poczuł na rękach coś ciepłego i lepkiego. Któryś krzyknął. Od łokci po dłoń ociekali krwią. Niektórzy próbowali wytrzeć ją w koszule, inni szukali ran, ale ran nie było. Tylko zakrwawione ręce.

- Czy chcecie oczyścić ręce z krwi mojego ludu? - zapytał Prorok. Nie krzyczał już, ale i tak słyszeli dobrze każde słowo. I tak, tak - chcieli usunąć tę krew.

- Wracajcie zatem do domu i opowiedzcie tę historię waszym żonom i dzieciom, waszym sąsiadom i przyjaciółom. Opowiedzcie wszystko. Nie opuśćcie niczego. Nie mówcie, że ktoś was oszukał, bo kiedy strzelaliście do bezbronnych ludzi, wiedzieliście wszyscy, że popełniacie zbrodnię. Nieważne, czy wierzyliście, że niektórzy z nas dokonali morderstwa. Strzelając do niemowląt w ramionach matek, do dzieci, starców i kobiet, zabijaliście nas, ponieważ jesteśmy Czerwonymi. Dlatego opowiedzcie o wszystkim, co się tu działo, a jeśli opowiecie szczerze, wasze ręce będą czyste.

Na łące nie było ani jednego człowieka, który by nie płakał, nie drżał, nie umierał ze wstydu. Wyznać czyny dzisiejszego dnia żonom i dzieciom, rodzicom, braciom i siostram... to nie do zniesienia. Ale jeśli nie, te zakrwawione ręce i tak wszystko powiedzą. Nie potrafili o tym myśleć.

Ale Prorok jeszcze nie skończył.

- Jeśli przybędzie tu ktoś obcy, a wy nie opowiecie mu tej historii, zanim jeszcze pójdziecie spać, krew znów wypłynie na wasze ręce i pozostanie, dopóki nie powiecie. Tak będzie do końca waszych dni. Każdy spotkany mężczyzna i kobieta musi poznać tę historię z waszych ust. Inaczej ręce będziecie mieli splamione. A jeśli z jakiegokolwiek powodu zabijecie innego człowieka, wtedy ręce i twarz będą ociekać wam krwią już na zawsze, nawet w grobie.

Pokiwali głowami, godząc się z karą. To sprawiedliwość, zwykła sprawiedliwość. Nie mogli zwrócić życia tym, których zabili. Mogli za to dopilnować, by nigdy nie powiedziano żadnego kłamstwa o tym, jak ich zabijali. Nikt nie będzie mógł stwierdzić, że Chybotliwe Kanoe to zwycięstwo, czy choćby bitwa. To była masakra, popełnili ją biali ludzie, a żaden z Czerwonych nie podniósł nawet ręki, aby walczyć czy się bronić. Żadnego usprawiedliwienia, żadnego pretekstu. I wszyscy się o tym dowiedzą.

Pozostało jeszcze jedno: вина człowieka na tańczącym ogierze.

- Biały Morderco Harrisonie! - zawołał Prorok. - Podejdź do mnie!

Harrison pokręcił głową, próbował zawrócić konia; uзда wysliznęła mu się z zakrwawionych rąk, a wierzchowiec rażno podbiegł do brzegu. Wszyscy Biali obserwowali go w milczeniu. Nienawidzili go teraz za to, że ich okłamał, podburzył, znalazł w ich sercach zbrodnię i wydobył ją na wierzch. Koń zatrzymał się nad wodą. Harrison spojrzał z góry na jednookiego Czerwonego, który kiedyś siadał u niego pod biurkiem i zebrał o kroplę whisky z jego szklanki.

- Twoja klątwa będzie taka sama - oznajmił Prorok. - Tyle że twoja historia jest o wiele dłuższa i gorsza do opowiedzenia. I nie będziesz czekał na przyjście obcych, by przemówić. Co dzień, do końca swego życia musisz opowiedzieć ją komuś, kto jeszcze nie słyszał jej z twoich ust. Codziennie - albo twoje ręce spłyną krwią. A jeśli postanowisz się ukryć i żyć z zakrwawionymi rękami zamiast szukać ludzi, którzy by cię wysłuchali, wtedy poczujesz ból ran mojego ludu: każdego dnia jednej nowej rany, dopóki znowu nie opowiesz tej historii, jeden raz za każdy dzień, który opuściłeś. I nie próbuj nawet się zabijać. Nie możesz tego zrobić. Będziesz się tułał z krańca na kraniec ziemi Białych. Ludzie będą widzieli, że nadchodzisz, będą się ukrywać ze strachu przed twym głosem. A ty będziesz ich

błagał, żeby przystanęli i cię wysłuchali. Zapomną nawet twojego nazwiska i dadzą ci nowe, które zdobyłeś sobie dzisiaj: Chybotliwe Kanoe. To twoje nowe imię, Biały Morderco Harrisonie. Twoje prawdziwe imię do dnia, kiedy umrzesz naturalną śmiercią jako stary, bardzo stary człowiek.

Harrison pochylił się nad grzywą konia i zapłakał w dłonie zlane krwią. Ale były to łzy wściekłości, nie wstydu. Oto legły w gruzach wszystkie jego plany. Gdyby mógł, zabiłby teraz Proroka. Zamierzał szukać po całym świecie wiedźmy albo czarnoksiężnika, który przełamie tę klątwę. Nie pozwoli, żeby ten nędzny jednooki Czerwony go pokonał.

Measure odezwał się z brzegu do Proroka.

- Gdzie teraz pójdziesz, Tenska-Tawa?

- Na zachód. Mój lud, wszyscy ci, co nadal we mnie wierzą, przejdzie przez Mizzipy. Kiedy będziecie o tym opowiadać, powtórzcie Białym, że na zachód od Mizzipy leży kraina czerwonego człowieka. Nie chodźcie tam. Ta ziemia nie zniesie dotknięcia stopy Białego. Wy oddychacie śmiercią, wasz dotyk to trucizna, wasze słowa to kłamstwa. Żywa kraina was nie przyjmie.

Odwrócił się, podszedł do Czerwonych, którzy czekali po drugiej stronie, i pomógł rannemu dziecku wspiąć się na brzeg, między drzewa. Za nim znów ruszyły wody Chybotliwego Kanoe.

Miller zszedł na brzeg, do syna.

- Measure - powiedział. - Measure. Measure.

Measure odwrócił się i wyciągnął do ojca ramiona.

- Tato, Alvin żyje. Jest na wschodzie razem z Ta-Kumsa-wem i...

Ale Miller uciszył go, chwycił syna za ręce. Ociekały krwią, tak jak jego. Potrząsnął głową.

- To przeze mnie - oświadczył. - To wszystko moja wina.

- Nie całkiem, tato. Winy wystarczy dla wszystkich.

- Ale nie dla ciebie, synu. To moją hańbę masz na rękach.

- W takim razie może lżej ci będzie, jeśli we dwóch ją poniesiemy. - Measure objął ojca i przycisnął mocno. - Widzieliśmy najgorsze, co może zrobić człowiek. Byliśmy najgorszymi z ludzi. Ale to nie znaczy, że pewnego dnia nie staniemy się najlepszymi. A jeśli po tym wszystkim nigdy już nie będziemy doskonali, nadal możemy być całkiem dobrzy.

Może, pomyślał Miller. Ale wątpił w to. A może wątpił, czy kiedykolwiek potrafi w to uwierzyć, nawet jeśli to prawda. Już nigdy nie zdoła spojrzeć we własne serce zadowolony z tego, co tam znajdzie.

Czekali na brzegu na pozostałych synów Millera. Podeszli z krwią na dłoniach: David, Calm, Wastenot, Wantnot. David wyciągał przed siebie ręce i szlochał.

- Wolałbym zginąć z Vigorem w Hatrack River.

- Wcale nie - rzekł Calm.

- Byłbym martwy, ale byłbym czysty.

Bliźniacy milczeli, ale trzymali się za zimne, śliskie dłonie.

- Musimy wracać do domu - oświadczył Measure.

- Nie - zaprotestował Miller.

- Martwią się o nas. Mama, dziewczynki, Cally. Miller wspomniał swoje rozstanie z Faith.

- Powiedziała, że jeśli ja... jeśli to...

- Wiem, co mówi mama, ale wiem też, że dzieci potrzebują ojca. Nie odepchnie cię.

- Będę jej musiał powiedzieć.... co zrobiliśmy.

- Tak. I dziewczynkom, i Cally'emu też. Każdy z nas musi im opowiedzieć, a David i Calm jeszcze swoim żonom. Lepiej zrobmy to zaraz, oczyścimy sobie ręce i wracajmy do normalnego życia. Wszyscy od razu, wszyscy jednocześnie. Ja też muszę wam opowiedzieć o sobie i Alvinie. Kiedy skończymy tę historię, opowiem swoją. Zgoda? Wysłuchacie mnie?

Armor spotkał ich nad Wobbish. Prom był już po drugiej stronie, ludzie schodzili jeszcze, a inni zabrali wszystkie łodzie, którymi przeprawili się tutaj nocą. Czekali więc.

Measure zrzucił poplamione krwią spodnie i marynarkę, ale Armor nie chciał ich włożyć. Nikogo nie oskarżał, ale żaden z braci nie śmiał spojrzeć szwagrowi w oczy. Measure wziął go na stronę i kiedy prom wolno wracał z drugiego brzegu, opowiedział o kłątwie. Armor wysłuchał go, po czym podszedł do Millera, który stał odwrócony plecami, zapatrzonego w wodę.

- Ojciec - powiedział Armor-of-God.

- Miałeś rację, Armor. - Miller wciąż na niego nie patrzył. Podniósł ręce. - Oto jest dowód, że miałeś rację.

- Measure mówił, że muszę wysłuchać tej opowieści raz od każdego z was. - Armor odwrócił się do pozostałych. - Ale potem nie usłyszycie ode mnie ani słowa. Wciąż jestem waszym synem i bratem, jeśli mnie przyjmiecie. Moja żona to wasza córka i siostra. Nie mam tu innej rodziny.

- Ta rodzina wstyd ci przyniosła - szepnął David.

- Nie karzcie mnie za to, że ręce mam czyste.

Calm wyciągnął zakrwawioną dłoń. Armor przyjął ją bez wahania, uściśnął mocno i puścił.

- Popatrz - zdziwił się Calm. - Dotykasz nas i krew przechodzi na ciebie.

W odpowiedzi Armor tę samą dłoń we krwi wyciągnął do teścia. Po chwili wahania Miller ją przyjął. Uścisk trwał długo, dopóki nie przybił prom. Potem ruszyli do domu.

ROZDZIAŁ 15 - CZŁOWIEK O DWÓCH DUSZACH

Bajarz przebudził się o świcie i od razu wiedział, że coś się stało. Ta-Kumsaw siedział na trawie z twarzą zwróconą ku zachodowi, kołysał się w przód i w tył i oddychał ciężko, jakby dokuczał mu tępy, nieustępliwy ból. Czyżby był chory?

Nie. To Alvin zawiódł. Rozpoczęła się rzeź. Ta-Kumsaw cierpiał ból innych. To jego lud umierał gdzieś daleko stąd. A on nie czuł żalu czy współczucia, ale cierpienie tych śmierci. Wyczuć zgon z tak daleka oznaczało, nawet dla człowieka tak wrażliwego jak Ta-Kumsaw, że wiele, wiele dusz wyruszyło po nagrodę w niebie.

Jak tyle razy przedtem, Bajarz zwrócił się z kilkoma cichymi słowami do Boga. Słowa te zawsze sprowadzały się do jednego pytania: "Dlaczego stawiasz przed nami takie problemy, skoro w końcu i tak nic z tego nie wychodzi?" Bajarz nie mógł znieść tej daremności. Ta-Kumsaw i Alvin pędzili przez cały kraj, Bajarz osiągał najlepszy możliwy dla Białego czas, Alvin wspiał się na Ośmiościenny Kopiec... i co z tego? Czy ocalił choć jedno życie? Tak wielu teraz ginie nad Wobbish, że Ta-Kumsaw czuje to aż tutaj.

I jak zwykle Bóg nie miał Bajarzowi nic do powiedzenia.

Bajarz nie chciał przeszkadzać Ta-Kumsawowi. A raczej domyślił się, że Ta-Kumsaw w tej konkretnej chwili nie ma specjalnej ochoty na rozmowę z Białym. Poczuł za to, jak rodzi się w nim wizja. Nie taka, jakie podobno przeżywali prorocy, nie wizja wewnętrznego spojrzenia. U Bajarza wizje ubrane były w słowa i nie miał pojęcia, co oznaczają, dopóki nie odczytał tego z własnych słów. Nawet wtedy wiedział, że nie jest prorokiem; jego wizje nigdy nie mogłyby odmienić świata, jedynie zapisać go, pomóc zrozumieć. Ale że zdolność zapisania tych słów została mu tutaj odebrana, cóż pozostało, jak nie wypowiedzieć je na głos?

I Bajarz przemówił, układając słowa w strofy, gdyż tak właśnie należy wyrażać wizje: w poezji. Była to przerażająca opowieść i Bajarz nie wiedział, czy oślepią go światło Boga, czy Szatana. Był jednak pewien, że ktokolwiek dopuścił do takiej rzezi, zasłużył sobie na jego gniew. Dlatego nie powstrzymywał się od chłostania ich językiem.

Wszystko sprowadziło się do tych słów, płynących potokiem tak gwałtownym, że Bajarz prawie nie nabierał tchu, nie przełamywał rytmu mowy. Jego głos rozbrzmiewał coraz mocniej i mocniej, a strofy zrywały się z ust i uderzały o szorstki mur powietrza... Jakby wyzywał Boga, by go wysłuchał i rozgniewał się na jego gniew.

Kiedy swój zew rzuciłem śmiało Słońce na niebie zadrżało Księżyc, co nisko w dole leżał Chory się stał i biały jak śnieg, A każda ludzka dusza na ziemi Zarazę czuła, chorobę, ból i cierpienie.

Bóg na mej ścieżce jaśniej, Słońce gorące wisi Od łuku mego ducha i strzał moich myśli Cięciwa ogniem napięcia płonie Strzały czekają w złocistym kołczanie Mój ojciec i bracia na czele kroczą Niebo ocieka ludzką posoką...

- Przestań!

To Ta-Kumsaw. Bajarz znieruchomiał z otwartymi ustami, słowa i gniew czekały, by spłynąć z warg. Ale Ta-Kumsawowi nie potrafił okazać nieposłuszeństwa.

- Już po wszystkim - oznajmił Ta-Kumsaw.

- Wszyscy zginęli? - wyszeptał Bajarz.

- Z tej odległości nie wyczuwam życia. Czuję śmierć... świat został rozerwany jak zetłata tkanina. I nie da się go zszyć. - Rozpacz ustąpiła zimnej nienawiści. - Za to można go oczyścić.

- Gdybym mógł temu zapobiec, Ta-Kumsawie...

- Tak, Bajarzu, jesteś dobrym człowiekiem. Wśród Białych są i tacy. Na przykład Armor-of-God. Gdyby wszyscy byli do ciebie podobni, nie byłoby między nami wojny.

- Przecież nie ma wojny między tobą a mną, Ta-Kumsawie.

- Czy potrafisz odmienić kolor swojej skóry? Czy ja mogę zmienić swoją?

- Nie chodzi o naszą skórę, lecz o serca...

- Kiedy stanimy naprzeciw siebie: wszyscy czerwoni ludzie po jednej stronie, a wszyscy biali po drugiej, gdzie ty staniesz?

- Pośrodku, błagając jednych i drugich...

- Staniesz ze swoim ludem, a ja ze swoim.

Jak Bajarz mógł się z nim spierać? Może znalazłby w sobie dość odwagi i odmówił dokonywania takiego wyboru. A może nie.

- Módlmy się, żeby coś takiego nigdy nie nastąpiło.

- To już się stało, Bajarzu. - Ta-Kumsaw pokiwał głową. - Po zdarzeniach tego dnia bez trudu zbiorę wreszcie swoją armię Czerwonych.

Słowa wypłynęły z ust Bajarza, zanim zdążył je powstrzymać.

- A więc straszną wybrałeś drogę, skoro śmierć tylu niewinnych ludzi ma ci na niej pomóc.

Ta-Kumsaw odpowiedział rykiem. Skoczył na Bajarza, powalił go na plecy, na trawę. Prawą ręką chwycił starca za włosy, lewą sięgnął do gardła.

- Wszyscy Biali zginą! Wszyscy, którzy nie uciekną za morze! A jednak nie chciał zabijać. Nawet oszalały z wściekłości, nie zaciskał palców za mocno, nie chciał Bajarza udusić. Po chwili przetoczył się na brzuch, ukrył twarz w trawie, rozłożył ręce i nogi, by jak największą powierzchnią ciała dotykać ziemi.

- Przepraszam - szepnął Bajarz. - Nie powinienem tego mówić.

- Lolla-Wossiky! - zawołał Ta-Kumsaw. - Nie chciałem mieć racji, bracie!

- Czy on żyje?

- Nie wiem. - Ta-Kumsaw odwrócił głowę na bok i przycisnął do trawy policzek. Wzrok wbijał w Bajarza, jakby chciał go przeszyć na wylot. - Bajarzu... To, co mówiłeś... co to znaczyło? Co widziałeś?

- Niczego nie widziałem - odparł Bajarz. A potem, chociaż poznawał prawdę, dopiero kiedy padały słowa, dodał: - Mówilem o wizji Alvina. O tym, co on zobaczył. Mój ojciec i bracia na czele kroczą. Niebo ocieka ludzką posoką. Jego wizja, mój wiersz.

- A gdzie on jest teraz? - spytał wódz. - Minęła noc na Ośmiościennym Kopcu. Gdzie się podziewa? - Ta-Kumsaw poderwał się, zwrócił w stronę Ośmiościennego Kopca, ku jego środkowi. - Nikt nie zostaje tam przez całą noc. Słońce już wschodzi, a on jeszcze nie wrócił.

- Nagle Ta-Kumsaw spojrzał na Bajarza. - On nie może zejść.

- Jak to?

- Jestem mu potrzebny. Czuję to. Odniósł straszliwą ranę. Cała jego moc wsiąka w ziemię.

- Co jest tam, na szczycie? Kto go zranił?

- Kto wie, co znajdzie biały chłopiec? - Ta-Kumsaw znów spojrzał na Kopiec, jakby usłyszał wezwanie. - Tak - powiedział i ruszył przed siebie.

Bajarz poszedł za nim. Nie wspomniał nawet o wyraźnej sprzeczności: Ta-Kumsaw zaprzysiągł wojnę wszystkim Białym, póki nie wyginą lub nie opuszczą tej ziemi, a jednak teraz spieszył na Ośmiościenny Kopiec ratować życie białego chłopca.

Stanęli obok siebie w miejscu, skąd Alvin wspiął się na górę.

- Widzisz coś? - zapytał Bajarz.

- Nie ma ścieżki - oświadczył Ta-Kumsaw.

- Przecież wczoraj ją zobaczyłeś.

- Wczoraj była.

- Więc może inną drogą - poradził Bajarz. - Waszą drogą na szczyt.

- Inna droga nie doprowadzi nas do tego samego miejsca.

- Daj spokój, Ta-Kumsawie. Kopiec jest duży, ale nie aż tak, żeby w ciągu godziny nie znaleźć tam Alvina.

Ta-Kumsaw spojrział na Bajarza pogardliwie. Starzec przemówił z mniejszą pewnością:

- To znaczy, że musisz pójść tą samą ścieżką, żeby dojść w to samo miejsce?

- Skąd mogę wiedzieć? - odpowiedział Ta-Kumsaw. - Nigdy jeszcze nie słyszałem, żeby ktoś wszedł na Kopiec, a ktoś inny ruszył za nim tą samą ścieżką.

- Nigdy nie wchodzie tam dwójkami albo trójkami?

- To miejsce, gdzie kraina przemawia do wszystkich stworzeń, które tu żyją. Mowa krainy to trawa i drzewa; jej ornamenty to zwierzęta i ptaki.

Bajarz zauważył, że jeśli tylko Ta-Kumsaw miał ochotę, mówił po angielsku jak Białe. Nie: jak wykształcony Białe. Ornamenty. Gdzie w kraju Hio mógł poznać takie słowo?

- W takim razie jak wejdziemy?

Twarz Ta-Kumsawa nie zdradzała żadnych uczuć.

- Moim zdaniem, musimy tam wejść jakkolwiek. Wiemy, którą drogą wyruszył. Pójdźmy nią, czy ją widzimy, czy nie.

Ta-Kumsaw milczał.

- Będziesz tu tak stał, kiedy on umiera?

W odpowiedzi Ta-Kumsaw postąpił o krok i stanął twarzą w twarz - nie, pierś w pierś - z Bajarzem. Ścisnął go za rękę, objął ramieniem, przyciągnął do siebie. Splątały się ich nogi. Przez moment Bajarz próbował sobie wyobrazić, jak by wyglądali w oczach kogoś, kto by ich teraz zobaczył... czy poznałby, która noga do kogo należy? Rytm bicia serca Czerwonego głośniej rozbrzmiewał w ciele Bajarza niż jego własny, niewyczuwalny puls.

- Nie jesteśmy dwojgiem ludzi - szepnął Ta-Kumsaw. - Nie ma Białych i Czerwonych, nie ma krwi między nami. Jesteśmy człowiekiem o dwóch duszach, czerwonej i białej. Jednym człowiekiem.

- Zgoda - mruknął Bajarz. - Niech będzie, jak mówisz.

Ta-Kumsaw odwrócił się, wciąż ściskając starca. Zetknęły się ich głowy, uszy zwarły tak mocno, że Bajarz słyszał puls Ta-Kumsawa niczym uderzenia fali oceanu. Lecz teraz, kiedy ich ciała tak były połączone, jakby było w nich jedno serce, zobaczył wyraźnie ścieżkę wiodącą na szczyt Kopca.

- Czy ty...? - zaczął Ta-Kumsaw.

- Widzę ją - przerwał mu Bajarz.

- Idź blisko mnie. Teraz jesteśmy jak Alvin: biała i czerwona dusza w jednym ciele.

Był to niewygodny, wręcz śmieszny system wspinaczki. Jednak kiedy tylko jakiś niepewny krok rozdzielał ich choćby odrobinę, ścieżka natychmiast wydawała się trudniejsza, ukryta za jakimś pnączem, krzewem, zwisającym konarem. Dlatego Bajarz przyciskał się do Ta-Kumsawa równie mocno, jak Czerwony do niego. Razem dotarli w końcu na szczyt.

Bajarz przekonał się ze zdumieniem, że zamiast pojedynczego Kopca widzi ich osiem i ośmiokątną kotlinę między nimi. Co ważniejsze, Ta-Kumsaw również był zaskoczony, niepewny. Nie ścisnął tak mocno Bajarza, nie panował już nad sytuacją.

- Dokąd pójdzie w takim miejscu biały człowiek? - zapytał.

- W dół, naturalnie - odpowiedział Bajarz. - Kiedy Biały widzi dolinę, schodzi do niej, żeby zobaczyć, co tam znajdzie.

- Zawsze tak jest? Nie wiecie, gdzie jesteście, gdzie się znaleźliście?

Dopiero wtedy Bajarz zrozumiał, że Ta-Kumsaw stracił tu swój zmysł krajny. Był ślepy niczym Biały.

- Chodźmy - zdecydował Bajarz. - I popatrz... nie musimy już się tak mocno ścisnąć. To gładkie zbocze, ścieżka nie jest nam potrzebna.

Przekroczyli strumień i znaleźli Alvina na łące. Nisko wokół nich opadały mgły. Nie był ranny, ale choć czoło miał zimne, drżał jak w gorączce. Oddychał płytko i szybko. Ta-Kumsaw miał rację: umierał.

Bajarz dotknął go, pogłaskał, potrząsnął nim, żeby jakoś przebudzić. Alvin nie dawał znaku, że ich dostrzega. Ta-Kumsaw w niczym nie pomagał. Siedział obok, trzymał chłopca za rękę i jęczał tak cicho, że Bajarz wątpił, czy w ogóle jest tego świadom.

Jednak on sam nie należał do ludzi, którzy poddają się rozpacz... jeśli właśnie rozpacz odczuwał w tej chwili Ta-Kumsaw. Rozejrzał się. W pobliżu rosło drzewo okryte wiosennymi liśćmi o barwie tak intensywnie żółtozielonej, że wydawały się wykute z cienkich płatków złota. Na drzewie wisiał jeden owoc, jasny... nie, biały. I nagle, gdy tylko go zobaczył, Bajarz poczuł zapach mocny i słodki, tak silny, że niemal mógł go smakować.

Działął bez namysłu. Podeszedł do drzewa, zerwał owoc, wrócił do leżącego na ziemi Alvina... Takie dziecko... Podał mu owoc pod nos, by zapach podziałał jak sole trzeźwiące. Chłopiec głęboko, gwałtownie wciągnął powietrze. Otworzył oczy i rozsunął wargi, a z ust wyrwał mu się jęk prawie identyczny z zawodzeniem Ta-Kumsawa... prawie identyczny ze skowytami kopniętego psa.

- Ugryź - polecił Bajarz.

Ta-Kumsaw chwycił jedną ręką dolną szczękę Alvina, drugą górną, wsunął palce między zęby i z trudem otworzył mu usta. Bajarz wsunął owoc, Ta-Kumsaw zwarł chłopcu

szczęki. Skórka owocu pękła, przejrzysty płyn spłynął do gardła, pociekł po policzku na trawę. Wolno, z wysiłkiem, Alvin zaczął przeżuwać. Łzy kapąły mu z oczu. Nagle wyciągnął ręce, złapał Bajarza za szyję, a Ta-Kumsawa za włosy i usiadł. Przyciągnął ich do siebie tak blisko, że oddychali nawzajem swymi oddechami. I płakał, aż ich twarze stały się mokre od łez. A że Bajarz i Ta-Kumsaw także szlochali, żaden z nich nie wiedział, czyje łzy lśnią na skórze pozostałych.

Alvin mówił niewiele, ale wystarczyło. Powiedział, co się stało tego dnia nad Chybotliwym Kanoe, o krwi na rzece, o tysiącu ocalałych, przechodzących po gładkiej i twardej wodzie; o krwi na rękach Białych, a w szczególności na rękach jednego człowieka.

- To za mało - rzekł Ta-Kumsaw.

Bajarz nie próbował się spierać. Nie Białemu tłumaczyć wodzowi, że zabójcy jego ludu zostali ukarani odpowiednio do swego przestępstwa. Poza tym Bajarz nie był pewien, czy sam jest o tym przekonany.

Alvin opowiedział im, jak spędził wieczór i noc, ściągając Measure'a z samej granicy śmierci. Jak spędził ranek, przyjmując w siebie niezmierzoną agonię dziewięciu tysięcy śmierci krzyczących w duszy Proroka - dziewięć tysięcy razy ten jeden czarny wrzask, który przed laty doprowadził go do oblędu. Co było trudniejsze: uzdrowienie Measure'a czy uzdrowienie Lolli-Wossikey?

- Tak jak mówiłeś - szepnął Alvin Bajarzowi. - Nie potrafię wznosić tego muru szybciej, niż się rozsypuje.

Potem, wyczerpany, ale wreszcie spokojny, Alvin skulił się między nimi. Oddychał wolno i głęboko.

- Teraz wiem, na czym polega jego rana - stwierdził Ta-Kumsaw. - To żal nad jego ludem i ich rękami we krwi.

- Żałuje martwych i żywych także - odparł Bajarz. - O ile znam Alvina, najgłębszą ranę zadała mu myśl, że zawiódł. Że gdyby bardziej się starał, Measure dotarłby na czas i zatrzymał rzeź, zanim padł pierwszy wystrzał.

- Biali ludzie żałują Białych - oświadczył Ta-Kumsaw.

- Okłamuj się, jeśli masz ochotę - burknął Bajarz. - Ale twoje kłamstwa mnie nie oszukają.

- Ale czerwoni ludzie nie czują żalu - mówił dalej Ta-Kumsaw. - W zapłacie za krew dziś przelaną Czerwoni zaleją ziemię krwią Białych.

- Myślałem, że służysz krainie. Czy nie pojmujesz, co się dzisiaj zdarzyło? Nie pamiętasz, gdzie teraz jesteśmy? Widziałeś tę część Ośmiościennego Kopca, o której nie

wiedziałeś nawet, że istnieje. A dlaczego? Ponieważ kraina doprowadziła nas tu razem, ponieważ...

Ta-Kumsaw uniósł dłoń.

- Aby ratować tego chłopca - przerwał.

- Ponieważ Czerwoni i Biali mogą żyć wspólnie na tej ziemi, jeżeli...

Ta-Kumsaw wyciągnął rękę i dotknął palcami warg Bajarza.

- Nie jestem farmerem, który lubi opowieści o dalekich krajach. Idź i powtarzaj je tym, co chcą słuchać.

Bajarz odepchnął rękę Ta-Kumsawa. Chciał ją tylko odsunąć, ale włożył w to za dużo siły i wódz stracił równowagę. I natychmiast poderwał się na nogi. Bajarz również.

- Tak to się zaczyna! - krzyknął Ta-Kumsaw.

Pomiędzy nimi, u ich stóp, Alvin zadrżał.

- Czerwony rozgniewał cię, więc go uderzyłeś. Zupełnie jak Białły, bez śladu cierpliwości...

- Kazałeś mi siedzieć cicho, mówiłeś, że moje opowieści...

- Słowa! Z mojej strony to były tylko słowa i lekki dotyk, a ty odpowiedziałeś ciosem.

Ta-Kumsaw uśmiechnął się i był to straszny uśmiech: jak zęby tygrysa jaśniejące w mroku dżungli. Oczy mu płonęły, skóra lśniła jak płomień.

- Przepraszam. Nie chciałem...

- Białły człowiek nigdy niczego nie chce, po prostu nie może się opanować. To zawsze jest pomyłka. Tak uważasz, prawda, Białły Kłamco? Lud Alvina wymordował mój lud, bo myśleli, że dwóch białych chłopców nie żyje. Z powodu tych dwóch chłopców zaatakowali, jak ty przed chwilą, i zabili dziewięć tysięcy moich braci, matek i dzieci, starców i młodzieńców. Ich działa...

- Słyszałem, co mówił Alvin.

- Nie podoba ci się moja opowieść? Nie chcesz jej wysłuchać? Jesteś Białym, Bajarzu. Jesteś jak wszyscy Biali: chętnie prosisz o wybaczenie, ale niechętnie go udzielasz; zawsze oczekujesz cierpliwości, ale sam wybuchasz jak iskra, gdy dmuchnie wiatr. Palisz las, bo potknąłeś się o korzeń!

Ta-Kumsaw odwrócił się i ruszył pospiesznie tam, skąd przyszedł.

- Nie możesz iść beze mnie! - wołał za nim Bajarz. - Musimy zejść razem!

Ta-Kumsaw zatrzymał się, odwrócił i roześmiał głośno, bez radości.

- W dół nie potrzebuję ścieżki, Białły Kłamco! A potem ruszył dalej. Biegiem.

Alvin przebudził się oczywiście.

- Przykro mi, Alvinie - rzekł Bajarz. - Nie miałem zamiaru...

- Nie - przerwał mu chłopiec. - Zgadnę, co on zrobił. Dotknął was, o tak.

I położył palec na wargach Bajarza, dokładnie tak jak przed chwilą Ta-Kumsaw.

- Tak.

- Tak robi mama Shaw-Nee, żeby uciszyć chłopca, który za bardzo hałasuje. Ale założę się, że kiedy dorosły zrobi to dorosłemu... On was prowokował.

- Nie powinienem był go uderzyć.

- Wtedy zrobiliby coś innego, aż do skutku.

Na to Bajarz nie znalazł odpowiedzi. Chłopiec miał chyba rację. Z pewnością. Jednego Ta-Kumsaw nie mógł dzisiaj znieść: pozostawać w towarzystwie Białego, w pokoju.

Alvin usnął znowu. Bajarz rozejrzał się po okolicy, ale nie zobaczył nic ciekawego. Tylko bezruch i ciszę. Nie wiedział już nawet, z którego drzewa zerwał owoc dla Alvina. Wszystkie teraz wydawały mu się srebrzystozielone. I nieważne, jak długo szedł i w którą stronę, zawsze kończył najwyżej o kilka minut marszu od chłopca. Niezwykłe miejsce... Nie takie, którego mapę człowiek może wyrysować sobie w myślach, nie takie, które może opanować. Tutaj kraina daje, co zechce, i nic więcej.

Słońce chyliło się ku zachodowi, gdy Alvin znowu otworzył oczy. Bajarz pomógł mu wstać.

- Chodzę jak nowo narodzone źrebę - mruknął Alvin. - Strasznie jestem słaby.

- Przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny wykonałeś zaledwie połowę prac Herkulesa - odparł Bajarz.

- Her kogo?

- Herkulesa. To Grek.

- Muszę natychmiast poszukać Ta-Kumsawa - oświadczył chłopiec. - Nie powinienem puszczać go samego, ale byłem tak bardzo zmęczony...

- Ty też jesteś Białym - przypomniał Bajarz. - Myślisz, że chce cię mieć przy sobie?

- Tenska-Tawa przepowiedział - wyjaśnił Alvin. - Ta-Kum-saw nie zginie, póki z nim jestem.

Bajarz wspierał Alvina, kiedy szli do tego jedyne miejsce, które ich przepuściło. Wspięli się na łagodne trawiaste zbocze między kopcami i przekroczyli szczyt. Tu zatrzymali się i spojrzeli w dół. Bajarz nie dostrzegł żadnej ścieżki - tylko ciernie, pnącza i krzaki.

- Nie przejdę tędy. Alvin spojrzał zdumiony.

- Przecież jest ścieżka, wygodna jak gościniec.

- Może dla ciebie. Ale nie dla mnie.

- Jakoś tu weszliście.
- Z Ta-Kumsawem.
- On się wydostał.
- Ale ja nie jestem Czerwonym.
- Poprowadzę.

Alvin ruszył naprzód lekko, jakby szedł na niedzielny spacer po łące. Ale dla Bajarza wyglądało to tak, jakby ciernie rozstępowały się przed chłopcem i zamykały natychmiast.

- Alvinie! - krzyknął. - Nie zostawiaj mnie!

Alvin zawrócił i wziął go za rękę.

- Idźcie zaraz za mną - powiedział.

Bajarz próbował, ale i tak głogi odskakiwały i drapały go w twarz, cięły do krwi. Alvin otwierał drogę, więc posuwał się jakoś naprzód, ale miał wrażenie, że krzaki zdierają mu skórę z pleców. Nawet skórzany kubrak nie chronił przed ich cierniami jak sztylety, gałęziami siekącymi niczym pejcz bosmana. Czuł krew spływającą po ramionach i karku, po nogach.

- Dłużej nie dam rady, Alvinie - oznajmił.
- Widzę go! - zawołał chłopiec.
- Kogo?
- Ta-Kumsawa. Zaczekajcie tu.

Puścił dłoń Bajarza i odszedł. Starzec został sam wśród cierni. Starzał się nie ruszać, ale nawet oddychanie powodowało nowe ukłucia i zadrapania.

Alvin wrócił. Znów chwycił Bajarza za rękę.

- Chodźcie ze mną. Jeden krok. Bajarz zebrał siły i postąpił do przodu.
- Na dół. - Alvin pociągnął go.

Bajarz poddał się i uklęknął. Bał się, że nie zdoła już wstać, przebić się przez gałęzie, które zamknęły się nad jego głową.

Alvin poprowadził jego dłoń, aż trafiła na inną i nagle ciernie cofnęły się trochę. Bajarz dostrzegł leżącego Ta-Kumsawa. Krew sączyła się z setek ran na prawie nagim ciele.

- Doszedł sam tak daleko - stwierdził Alvin z podziwem.

Ta-Kumsaw otworzył płonące gniewem oczy.

- Zostawcie mnie - wyszeptał.

W odpowiedzi Bajarz drugą ręką uniósł jego głowę. Kiedy ich ciała zetknęły się większą powierzchnią, ciernie jakby zwiędły i ustąpiły. Teraz Bajarz widział już coś niby ścieżkę, tam gdzie przedtem jej nie było.

- Nie - powiedział Ta-Kumsaw.

- Nie zejdziemy stąd, jeśli nie pomożemy sobie nawzajem - odparł Bajarz. - Chcesz czy nie, jeśli pragniesz zemścić się na Białych, potrzebujesz pomocy Białego.

- W takim razie zostawcie mnie tutaj - wyszeptał Ta-Kumsaw. - Ratujcie swój lud, porzucając mnie na śmierć.

- Nie zdołam zejść bez ciebie.

- To dobrze.

Bajarz zauważył, że Ta-Kumsaw ma już mniej ran. A nawet te, co zostały, były ledwie draśnięciami już prawie wygojonymi. Uświadomił sobie też, że i jego rany nie sprawiają bólu. Rozejrzał się. Alvin siedział w pobliżu, oparty o pień drzewa. Oczy miał zamknięte i wyglądał, jakby ktoś go przed chwilą wychłostał, taki był wycieńczony i posepny.

- Spójrz, ile go to kosztuje, że nas leczy - powiedział.

Na twarzy Ta-Kumsawa choć raz odbiło się zdziwienie; zdziwienie, a potem złość.

- Nie prosiłem, żebyś mnie leczył! - zawołał.

Wyrwał się Bajarzowi i próbował sięgnąć do Alvina. Nagle jednak ciernie pochwyciły go za ramię i Ta-Kumsaw krzyknął - nie z bólu, ale z wściekłości.

- Nie dam się zmusić!

- A dlaczego miałbyś być jedynym człowiekiem, któremu się to udało?

- Zrobię to, co postanowiłem. Nie ustąpię, cokolwiek powie kraina!

- To słowa kowala w jego kuźni - zauważył Bajarz. - Farmera wycinającego las. Oni tak mówią.

- Nie waż się porównywać mnie z Białymi.

Ale gałęzie trzymały mocno, póki Bajarz nie przedostał się do niego z trudem i go nie objął. Wtedy znowu poczuł, jak goją się jego własne rany, i widział, jak znikają rany Ta-Kumsawa - tak szybko, jak szybko opadły i ustąpiły cierniste gałęzie. Alvin patrzył na nich błagalnie, jakby pytał: "Ile sił mi jeszcze odbierzecie, nim uczynicie to, co i tak musicie uczynić?" Z ostatnim krzykiem złości Ta-Kumsaw odwrócił się i objął Bajarza jak przedtem. Szeroką ścieżką zeszli razem aż do stóp Kopca. Alvin włókł się za nimi.

Przespali tę noc tam, gdzie i poprzednią. Ale nie był to spokojny sen. Rankiem Bajarz bez słowa spakował skromny dobytek i książkę, w której litery nie miały sensu. Potem ucałował Alvina w czoło i odszedł. Nie odezwał się do Ta-Kumsawa i Ta-Kumsaw nie odezwał się do niego. Obaj wiedzieli, co powiedziała kraina, tak jak wiedzieli, że po raz pierwszy w życiu Ta-Kumsaw postąpił wbrew jej chęciom, zaspokoił inne pragnienie. Bajarz nie próbował go nawet przekonywać. Ta-Kumsaw podążył swoją drogą mimo wszystko,

choćby nawet miał cierpieć od tysiąca krwawych ran. Bajarz miał tylko nadzieję, że Alwinowi starczy sił, by pozostać z nim do końca, ocalić, kiedy wszelka nadzieja legnie w gruzach.

Cały ranek maszerował prosto na zachód. Koło południa zatrzymał się i wyjął z sakwy książkę. Z ulgą stwierdził, że znowu może czytać. Rozpieczętował karty, gdzie notował własne opowieści, i przez resztę popołudnia zapisywał wszystko, co mu się wydarzyło, co opowiedział Alvin i czego on sam lękał się w przyszłości. Wpisał też wiersz z wczorajszego ranka: te strofy, które wygłosił sam, ale które były wizją Alvina. Wiersz pozostał słuszny i prawdziwy, lecz kiedy Bajarz czytał zapisane w książce słowa, ich moc gdzieś uleciała. Nigdy jeszcze nie był tak blisko zostania prorokiem; teraz jednak dar go opuścił. Zresztą i tak nie należał do niego.

Kiedy szli z Ta-Kumsawem po łące, nie zauważyli nic niezwykłego, nie domyślili się nawet, że dla Alvina była to mapa całego kontynentu. Podobnie teraz: Bajarz spoglądał na wersy w książce i nie dostrzegał już kryjącej się w nich mocy.

Nie umiał podróżować, jak Czerwoni, przez noc, śpiąc w biegu. Dlatego kilka dni trwała jego wędrówka na zachód, do miasta Vigor Kościół. Wiedział, że wielu ludzi ma tam do opowiedzenia długą i gorzką historię. Jeśli ktokolwiek potrzebował kiedyś takiego człowieka jak Bajarz, to właśnie oni. A jednocześnie jeśli istniała kiedyś opowieść, której nie chciałby wysłuchiwać, to właśnie ta. Ale nie ulęknie się tych odwiedzin. Zniesie to. Zanim Ta-Kumsaw zakończy swoje dzieło, będzie więcej posępnych historii do opowiadania. Równie dobrze Bajarz może zacząć je zbierać już teraz, żeby potem nie zostać w tyle.

ROZDZIAŁ 16 - LA FAYETTE

Gilbert de La Fayette siedział przy swoim wielkim biurku i wpatrywał się w słoje drewna. Przed nim leżało kilka listów. Pierwszy wysłał de Maurepas do króla Karola. Najwyraźniej Freddie bez reszty uległ Napoleonowi. List pełen był zachwytów nad tym małym generałem i jego wspaniałą strategią.

I tak, Wasza Wysokość, odniesiemy wkrótce decydujące zwycięstwo i rozsławimy Twe imię. Generał Bonaparte zerwał więzy europejskiej tradycji. Uczy swoich żołnierzy walczyć na sposób Czerwonych, a równocześnie kusi tych tak zwanych Amerykanów, by stawili mu czoła na otwartym polu, jak Europejczycy. A skoro Andrew Jackson gromadzi swoją amerykańską armię, my również zbieramy armię ludzi, którzy większe od tamtych mają prawo nazywać się Amerykanami. Dziesięć tysięcy Ta-Kumsawa stanie z nami i wspólnie rozniesiemy dziesięć tysięcy Hickory'ego. Ta-Kumsaw pomści w ten sposób krew ofiar rzezi nad Chybotliwym Kanoe, my zniszczymy amerykańskie wojska i zdobędziemy kraj od Hio po jezioro Huron. Chwałę tych dokonań lojalnie ofiarowujemy Waszej Wysokości, Twój bowiem, Panie, genialny zamysł kazał Ci przysłać tu generała Bonapartego, a on tę wiktorię uczynił możliwą. Gdybyś zechciał przysłać nam jeszcze dwa tysiące Francuzów, aby wzmocnili nasze szeregi i sprowokowali Amerykanów do dalszych pochopnych ruchów, decyzja ta uznana będzie za kluczową w osiągnięciu zwycięstwa.

Był to oburzający list i zwykły hrabia - który w dodatku wypadł z łask - nie powinien go wysłać do swego władcy. Lecz Gilbert wiedział, że król Karol także jest pod urokiem Napoleona i pochwały małego Korsykanina będzie czytał chętnie i z radością.

Gdybyż Napoleon był tylko próżnym bufonem, zdolnym jedynie do wzbudzania lojalności lepszych od siebie... Wtedy La Fayette mógłby, nie brudząc rąk, czekać na jego nieuniknioną zgubę. Napoleon i de Maurepas poprowadziliby francuską armię do klęski, takiej klęski, która łatwo mogłaby obalić rząd i doprowadzić do ograniczenia władzy króla. A może nawet do obalenia monarchii, co rozsądni Anglicy uczynili już półtora wieku temu.

Niestety, Napoleon był dokładnie tym, za kogo uważali go oczarowani Karolek i Freddie: wybitnie uzdolnionym dowódcą. Gilbert wiedział, że plan Napoleona się powiedzie. Amerykanie pomaszerują na północ przekonani, że mają się zmierzyć tylko z armią Czerwonych. W ostatniej chwili przekonają się, że przeciw nim stoją Francuzi: zdyscyplinowani, dobrze uzbrojeni i fanatycznie oddani Bonapartemu. Będą zmuszeni ustawić szyki na sposób europejski. Pod ich atakami Francuzi zaczną się wolno, ostrożnie

wycofywać. A kiedy dyscyplina Amerykanów rozsypie się w ferworze pościgu, wtedy w olbrzymiej masie spadną na nich Czerwoni. Otoczą ich całkowicie. Ani jeden amerykański żołnierz nie ujdzie z życiem... I prawie nikt z Francuzów nie zginie.

To było niebezpieczne. Zuchwałe. Dla francuskich żołnierzy wiązało się z poważnym ryzykiem, jako że Amerykanie będą mieli wielką przewagę liczebną. I wymagało absolutnej wiary w Czerwonych. Ale Gilbert wiedział, że zaufanie Napoleona do Ta-Kumsawa jest w pełni usprawiedliwione.

Ta-Kumsaw wyrwie swoją zemstę. De Maurepas ucieknie w końcu z Detroit. Nawet La Fayette potrafiłby chyba wykorzystać to zwycięstwo, uzyskać zgodę na powrót, i do końca swych dni żyć godnie i dostatnio w posiadłościach swych przodków. Ale przede wszystkim Napoleon stanie się najbardziej zaufanym i uwielbianym człowiekiem w całym wojsku. Król Karol z pewnością nada mu tytuł i ziemie, po czym wyśle na podbój Europy. A to uczyni władcę jeszcze bogatszym i potężniejszym, a ludowi odbierze chęć zrzucenia okowów tyranii.

Dlatego Gilbert starannie podarł list de Maurepasa na drobne strzępki.

Drugi list był od samego Napoleona do Gilberta: otwarty, nawet brutalny w ocenie sytuacji. Napoleon zrozumiał w końcu, że choć Gilbert jest odporny na jego czar, to przecież szczerze go podziwia. I jest mu przyjacielem. Jestem twoim przyjacielem, Napoleonie. Ale bardziej jestem przyjacielem Francji. A droga, którą dla ciebie zaplanowałem, o wiele jest wspanialsza niż kariera sługusa głupiego króla.

Gilbert raz jeszcze przeczytał najważniejszy akapit listu.

De Maurepas jak echo powtarza tylko moje słowa, co jest wygodne, choć nieco nużące. Drzę na myśl o tym, co by się stało, gdyby właśnie on dowodził. Jego pomysł na sojusz z Czerwonymi to ubrać ich w mundury i ustawić w rzędach jak kręgle. Cóż za głupota! Jak król Karol może się uważać za kogoś więcej niż półgłówka, jeśli zmusza mnie do słuchania rozkazów takiego idioty jak Freddie? Jednak Karolowi Freddie bez wątpienia wydaje się wcieleniem bystrości - zna się przecież na balecie. W Hiszpanii odniosłem dla Karola zwycięstwo, które mu się nie należało, a jednak okazał się tak miękki, że pozwolił swoim zazdrosnym dworakom wysłać mnie do Kanady. Moimi sprzymierzeńcami są tutaj dzikusy, a moi oficerowie to durnie. Karolek nie zasługuje na zwycięstwo, które mu przyniosę. Ale cóż, drogi Gilbercie, królewska krew rozrzedziła się i osłabła przez te lata, które minęły od czasów Ludwika XIV. Prosiłbym cię o spalenie tego listu, ale Karolek tak mnie uwielbia, że mógłby go chyba przeczytać co do słowa i jeszcze się nie obrazić! A gdyby nawet, czy ośmieliłby się mnie ukarać? Jaką miałby pozycję w Europie, gdybym temu

staremu Zakutemu Łbu nie pomógł zapaść na dyzenterię i nie wygrał wojny hiszpańskiej, zamiast ją przegrać, co beze mnie nastąpiłoby niezawodnie?

Próżność Napoleona była nie do zniesienia, ale głównie z tego powodu, że była całkowicie usprawiedliwiona. W swoim liście nie przesadził ani trochę, choć napisał go może nieco pochopnie. Jednak Gilbert przemyślnie zachęcał Napoleona do tak szczerych wypowiedzi. Mały generał wyraźnie marzył o kimś, kto podziwiałby go szczerze, bez wymuszonej miłości. Znalazł tylko jedną taką osobę... naprawdę znalazł... w Gilbertcie, jedynym przyjacielu, jakiego będzie miał w życiu. A jednak... A jednak.

Gilbert starannie złożył list Napoleona i dołączył do niego swój, zwykłą notatkę. Napisał w niej:

Wasza Wysokość raczy łagodnie potraktować tego utalentowanego młodego człowieka. Jest arogancki, jak wszyscy młodzi; mogę wszakże ręczyć, że w jego sercu nie ma zdrady. Jak zawsze jednak polegał będę na wskazówkach Waszej Wysokości, nieodmiennie znajdującej właściwą proporcję między sprawiedliwością a łaską.

Waszej Królewskiej Mości uniżony sługa, Gilbert.

Król będzie wściekły, naturalnie. Nawet gdyby Napoleon miał rację i Karolek okazał się tolerancyjny, dworacy nigdy nie przepuszczą takiej okazji. Taki podniesie się krzyk o głowę Bonapartego, że nawet król Karol nie powstrzyma się - przynajmniej od jego degradacji.

Kolejny list, najbardziej bolesny, Gilbert wypisał własną ręką i zaadresował do Frederica, hrabiego de Maurepas. Przygotował go już dawno, prawie zaraz po przybyciu Napoleona do Kanady. Już wkrótce nadejdzie pora, by go wysłać.

W wigilię tak ważkich zdarzeń, drogi Freddie, przesyłam ci ten amulet. Otrzymałem go od świątobliwego męża i ma za zadanie chronić od kłamstw i podstępów Szatana. Noś go przez cały czas, przyjacielu, sądzę bowiem, że bardziej tobie niż mnie będzie potrzebny.

Freddie nie musiał wiedzieć, że ten "świętobliwy mąż" to Robespierre - od niego nic by nie przyjął. Gilbert wyjął amulet spod koszuli, gdzie od tak dawna wisiał na złotym łańcuszku. Co zrobi de Maurepas, gdy urok Napoleona przestanie działać? No cóż, znowu zacznie się zachowywać normalnie.

Gilbert siedział tak przez pół godziny. Wiedział, że nadeszła chwila decyzji. Nie pośle jeszcze amuletu - dopiero w kluczowym momencie Napoleon straci na Freddiego wszelki wpływ. Za to list do króla trzeba wysłać już teraz, żeby odpowiedź zdążyła dotrzeć z Wersalu do Kanady przed wiosenną bitwą z Amerykanami.

Czy jestem zdrajcą, przyczyniając się do klęski mojego króla i mojej ojczyzny? Nie, z pewnością nie. Gdybym bowiem sądził, że uczyni to Francji choćby odrobinę dobra, pomógłbym Napoleonowi zwyciężyć Amerykanów, choćby nawet oznaczało to porażkę sprawy wolności tego nowego kraju. Bo chociaż jestem Feuillantem, demokratą, w głębi serca nawet jakobinem, i choć moja miłość do Ameryki większa jest niż do któregośkolwiek z ludzi, z wyjątkiem może Franklina i Washingtona, którzy nie żyją, i Jeffersona wśród żyjących - mimo to jestem przede wszystkim Francuzem. Cóż mnie obchodzi wolność w tym zakątku bożego świata, jeśli nie mamy jej we Francji?

Nie. Czynię to, gdyż Francji najbardziej teraz trzeba straszliwej, haniebniej klęski, zwłaszcza jeśli z pozoru nastąpi w wyniku bezpośredniej interwencji króla Karola. Na przykład wskutek odebrania w wigilię bitwy dowództwa popularnemu, utalentowanemu Bonapartemu i zastąpienia go takim osłem jak de Maurepas. I to jedynie dla zaspokojenia monarszej próżności.

Na samym spodzie leżał bowiem jeszcze jeden list, pisany szyfrem - pozornie bezsensowna paplanina o polowaniach i nudnym życiu w Niagarze. Jednak wśród potoku słów Gilbert ukrył pełną treść listów Freddiego i Napoleona. Wywrą porażający efekt, gdy zostaną opublikowane, ledwie wieści o klęsce dotrą do Paryża. Rezultat będzie wstrząsający. List Napoleona znajdzie się w rękach króla, a prawie równocześnie jego zaszyfrowana wersja trafi do Robespierre'a.

Ale co z moją przysięgą wierności? Jakież teraz układam intrygi? Powinienem być albo generałem i prowadzić wojska do bitwy, albo gubernatorem i kierować machiną państwa dla dobra mieszkańców. A zamiast tego muszę spiskować, uderzać w plecy, oszukiwać... Jestem Brutusem, który popełnia zdradę dla dobra ludu. A jednak... Modłę się, aby historia łagodnie mnie oceniła. Aby było wiadomo, że gdyby nie ja, król Karol nazwałby się Karolem Wielkim II i wykorzystał Napoleona, by podbić całą Europę i stworzyć nowe imperium. Dzięki mnie, z bożą pomocą, Francja stanie się dla całego świata przykładem pokoju i swobody.

Zapalił świecę, zalał woskiem zamknięte listy do króla i do swego zaufanego sąsiada, do obu przycisnął swój sygnet. Przywołał adiutanta, który wrzucił listy do worka z pocztą i wyszedł, by zanieść je na statek - ostatni, który przed zimą spłynie rzeką w dół i dotrze do Francji.

Na biurku pozostał tylko list do de Maurepasa. List i amulet. Jak żałuję, że cię dostałem, westchnął Gilbert, zwracając się do przedmiotu na złotym łańcuszku. Gdybym mógł także ulec Napoleonowi, cieszyć się, że w chwale wkracza do historii... A ja zniszczę

mu karierę, cóż bowiem wódz - choćby na miarę Cezara - pocznie w demokracji, którą wraz z Robespierre'em stworzymy we Francji?

Ziarno zostało zasiane, wszystkie pułapki czekają...

Przez następną godzinę Gilbert de La Fayette siedział drżący w fotelu. Potem wstał, włożył najelegantsze ubranie i spędził wieczór, oglądając nędzną farsę w wykonaniu pięciorzędnej trupy, najlepszej, jaką biedna Niagara mogła sprowadzić z Matki Francji. Na końcu wstał i klaskał głośno, a że był gubernatorem, gwarantowało to trupie sukcesy w Kanadzie. Klaskał długo i mocno, zaś cała publiczność musiała bić brawo wraz z nim; klaskał, aż rozbolały go ramiona, aż amulet na piersi stał się śliski od potu, aż poczuł żar tego wysiłku płonący w mięśniach ramion i grzbietu, aż nie mógł dłużej.

ROZDZIAŁ 17 - KROSNO BEKKI

Alvin miał wrażenie, że zima trwa już połowę jego życia. Kiedyś lubił śnieżne dni. Wyglądał wtedy przez oszronione okno albo patrzył na oślepiające promienie słońca odbite w gładkim, bezkresnym morzu bieli. Ale wtedy, w tamtych czasach, zawsze mógł wrócić do domu, do ciepła, zjeść mamina kolację, wypaść się w miękkim łóżku. Nie znaczy to, że teraz szczególnie cierpiał. Nauczył się sposobów Czerwonych i całkiem nieźle sobie radził.

Tyle że wszystko to trwało już za długo. Prawie rok od tamtego ranka, gdy wyruszył z Measure'em do Hatrack River. Wtedy uważał, że to bardzo daleko. Teraz droga wydawała się krótką wycieczką w porównaniu do podróży, jakie miał za sobą. Dotarli tak daleko na południe, że kiedy Czerwoni używali tam mowy Białych, częściej był to hiszpański niż angielski. Byli na zachodzie, w mglistych nizinnych terenach wokół Mizzipy. Rozmawiali z Cree-Ekami, Chok-Tawami i "niecywilizowanymi" Irrakwa z krainy bagien. I na północy, niemal u źródeł Mizzipy, gdzie jeziora są tak liczne i połączone ze sobą, że wszędzie można dopłynąć kanoe.

W każdej wiosce witano ich tak samo.

- Znamy cię, Ta-Kumsawie. Przychodzisz mówić o wojnie. Nie chcemy wojny. Ale kiedy biały człowiek tu przyjdzie, będziemy walczyć.

A potem Ta-Kumsaw tłumaczył, dlaczego wtedy będzie już za późno, zostaną sami, a Biali spadną niczym grad i wbiją ich w ziemię.

- Musimy stworzyć jedną armię. Tylko wtedy będziemy od nich silniejsi.

To nigdy nie wystarczało. Kilku młodych kiwało głowami, chętnie by się zgodziło, ale starcy... Ci nie chcieli wojen, nie chcieli chwały, chcieli tylko spokoju, a biały człowiek wciąż był daleko, był tylko plotką.

I wtedy Ta-Kumsaw zwracał się do Alvina i mówił:

- Opowiedz im, co się zdarzyło nad Chybotliwym Kanoe.

Za trzecim razem Alvin wiedział już, co się stanie, kiedy opowie tę historię po raz dziesiąty i setny. Wiedział, gdy tylko Czerwoni siadali wokół ogniska, spoglądając na niego z niechęcią, ponieważ był Białym, i z ciekawością, ponieważ był białym chłopcem, który podróżuje z Ta-Kumsawem. Nieważne, jak upraszczał opowieść, jak mocno podkreślał, że Biali znad Wobbish wierzyli, że Ta-Kumsaw porwał i zamęczył jego i Measure'a. Wszyscy Czerwoni słuchali go posępnie i z narastającą furią. Pod koniec starcy zaciskali w palcach garści piasku, drapali ziemię, jakby chcieli uwolnić śpiącego pod nią potwora. A młodszy

krzemiennymi nożami kreślili na udach cienkie linie krwi; uczyli ostrza pragnienia, uczyli własne ciała, jak pożądać bólu i kochać go.

- Kiedy śnieg stopnieje na brzegach Hio - mówił Ta-Kumsaw.

- Będziemy - odpowiadali młodzi ludzie, a starcy kiwali głowami.

To samo w każdej wiosce, w każdym plemieniu. Oczywiście, czasem ktoś wspominał Proroka i nakłaniał do pokoju; drwili z takich i nazywali "starymi babami", choć Alvin zauważył, że właśnie stare kobiety najbardziej szalały z nienawiści.

Mimo to Alvin nigdy się nie skarżył, że na rozkaz Ta-Kumsawa ma wzbudzać gniew przeciwko własnej rasie. Przecież ta historia była prawdziwa. Nie mógł odmówić opowieści nikomu, z żadnej przyczyny, tak jak nie mogła odmówić jego rodzina, zmuszana klątwą Proroka. Oczywiście, z rąk Alvina nie pociekłaby krew. On czuł tylko to straszne brzemie, jak każdy Biały, który widział masakrę nad Chybotliwym Kanoe. Historia tej rzezi była prawdziwa. A że każdy Czerwony, co ją usłyszał, czuł nienawiść i pragnienie zemsty, chciał wybić wszystkich Białych, którzy nie odpłyną do Europy... Ale czy dlatego Alvin miał ukrywać przed nimi tę wiedzę? Czy nie było ich naturalnym prawem poznanie prawdy, aby poprowadziła ich do złego lub dobrego, wedle ich własnego wyboru?

Nie znaczy to, że Alvin mógł rozmawiać o prawach naturalnych i tym podobnych sprawach. Istotnie, zawsze był obok Ta-Kumsawa nie dalej niż na wyciągnięcie ręki. Ale Ta-Kumsaw prawie nigdy się do Alvina nie odzywał, a jeśli już, to zdaniami typu: "Złap rybę" czy "Chodźmy". Pokazywał jasno, że Alvin nie jest mu przyjacielem. Nawet więcej: że wcale mu nie odpowiada towarzystwo Białego. Ta-Kumsaw wędrował szybko, na sposób Czerwonych, i nigdy się nie oglądał, żeby sprawdzić, czy Alvin za nim nadąży. Interesował się nim tylko wtedy, kiedy polecał: "Opowiedz, co się zdarzyło nad Chybotliwym Kanoe".

Pewnego razu, kiedy opuszczali wioskę tak żądną zemsty, że patrzyli tam łakomie nawet na skalp Alvina, chłopiec zbuntował się.

- Dlaczego nie każesz mi opowiadać, jak ty, ja i Bajarz byliśmy razem na Ośmiościennym Kopcu?

Ta-Kumsaw w odpowiedzi ruszył przed siebie tak szybko, że Alvin musiał biec cały dzień, żeby dotrzymać mu kroku.

Podróżować z Ta-Kumsawem to jak podróżować samemu, myślał Alvin. Nie pamiętał już, kiedy czuł się taki samotny. Więc dlaczego nie odejdę? - pytał sam siebie. Dlaczego wciąż za nim chodzę? To wcale nie jest zabawne. Pomagam rozpętać wojnę przeciwko swoim, robi się coraz zimniej, zupełnie jakby słońce zrezygnowało z grzania i świat miał się

od końca do końca składać wyłącznie z szarych, nagich drzew i oślepiającego śniegu. A w dodatku on wcale mnie tu nie chce.

Dlaczego Alvin nie rezygnował? Po części z powodu proroctwa Tenska-Tawy, że Ta-Kumsaw nie zginie, jeśli będzie przy nim Alvin. Mógł nie lubić Ta-Kumsaw, ale wiedział, że to człowiek wielki i dobry. Skoro dzięki Alwinowi miał zachować życie, to Alvin musiał się starać jak najlepiej.

Ale chodziło też o coś więcej - nie tylko o obowiązek opieki nad bratem Proroka; nie tylko o to, by opowiadając o Chybotliwym Kanie w całej krainie czerwonego człowieka dopełnić straszliwej kary, nałożonej na jego rodzinę. Alvin nie potrafił znaleźć odpowiednich słów, żeby to sobie wytłumaczyć, kiedy biegł przez las, pogrążony w połowicznym śnie, a zieleń puszczy kierowała jego krokami i wypełniała umysł muzyką ziemi. Nie, to nie był czas słów. Lecz był to czas zrozumienia bez słów, czas pocucia właściwości tego, co robi, wiary, że Alvin jest tym, czym smar na osi wozu, który niesie wielkie zdarzenia. Mogę zużyć się cały, mogę spłonąć w żarze koła trącego o oś, ale świat się zmienia, a ja jestem częścią tego, co pomaga pchnąć go naprzód. Ta-Kumsaw buduje. Zbiera Czerwonych, aby stworzyć z nich coś nowego.

Po raz pierwszy Alvin zrozumiał, że można budować z ludzi. Że kiedy Ta-Kumsaw przemawia do Czerwonych i sprawia, że czują jednym sercem i myślą jednym umysłem, stają się czymś więcej niż grupą ludzi. A stworzenie czegoś takiego to działanie przeciw Niszczycielowi, prawda? To jak małe koszyki z trawy, które Alvin kiedyś wyplatał. Sama trawa była jedynie trawą, ale spleciona zmieniała się w coś więcej.

Ta-Kumsaw buduje coś nowego tam, gdzie przedtem nic nie było. Ale ta rzecz nie powstanie beze mnie.

Budziło w nim lęk to, że pomaga stworzyć coś, czego nie rozumie, ale też pragnienie, poznać przyszłość. Dlatego nie rezygnował, przemawiał do Czerwonych, którzy witali ich podejrzliwie, a żegnali pełni nienawiści do Białych. Dlatego codziennie patrzył na plecy Ta-Kumsaw, biegnącego przed nim coraz głębiej w las. Zieleń puszczy zmieniła się w złoto i czerwień, potem, z deszczami jesieni padającymi na nagie drzewa, w czerń, wreszcie w szarość, biel i bezruch. I cały niepokój, zniechęcenie, wszystkie lęki, ból strasznych wydarzeń, które widział w przeszłości, wszystko to przekształciło się w znużenie i niechęć dla zimy, niecierpliwe oczekiwanie nowej pory roku, topnienia śniegów i nadejścia wiosny, a potem lata.

Lata, kiedy będzie mógł spojrzeć za siebie i pomyśleć o przeszłości. Lata, kiedy będzie już wiedział, na dobre czy złe, jak to wszystko się skończyło. Kiedy przestanie

odczuwać ten mdlący śnieżnobiały lęk, który zasłania inne uczucia tak, jak śnieg zasłania ziemię.

Aż pewnego dnia Alvin zauważył, że powietrze rzeczywiście jest trochę cieplejsze, śnieg odsłania skrawki ziemi i trawę, a całkiem zniknął z gałęzi drzew. Dostrzegł błysk czerwieni - to jakiś ptak szykował się, żeby znaleźć sobie żonę i zbudować gniazdo na czas godów. I tego właśnie dnia Ta-Kumsaw skręcił na wschód, przekroczył łańcuch gór i stanął na szczycie skały, spoglądając w dolinę pełną farm Białych, w północnej części Appalachee, stanu białego człowieka.

Takiego widoku Alvin nigdy jeszcze nie oglądał. Nie było tu tak jak we francuskim Detroit, gdzie ludzie żyli stłoczeni blisko siebie, nie jak w kraju rzadkich osad, Wobbish, gdzie każda rodzina wyrąbywała sobie niewielką przestrzeń wśród puszczy. Tutaj drzewa były zdyscyplinowane i stały w rzędach, oddzielając pola jednego farmera od pola drugiego. Jedynie na wzgórzach, na granicy doliny, znowu rosły dziko. A że ziemia dzisiaj odtajała, farmerzy orali ją pługami, delikatnie i płytko, jak owi czerwoni wojownicy własne uda, gdy uczyli noże pragnienia. Farmerzy uczyli ziemię żyzności. I jak krew sącząca się pod ostrzami noży Czerwonych, tak tu przesączy się owies i kukurydza, stworzy na powierzchni ziemi cienką powłokę życia, ranę otwartą przez całe lato, póki ostrza żeńców nie dokonają innego cięcia. Potem znów śnieg jak strup uleczy ziemię, aż do ran kolejnego roku. Cała dolina tak wyglądała: ujarzmiona niby stary koń.

Nie powinienem tak tego odczuwać. Powinienem się cieszyć, że znowu widzę ziemię Białych. Kłęby dymu unosiły się z setki kominów. Byli tam ludzie; dzieci biegały i bawiły się; siedziały przecież w domu przez całą zimę. Mężczyźni mimo chłodu pocili się przy pracy. Para unosiła się z nozdrzy i z boków zwierząt pociągowych. Jak w domu, prawda? W coś takiego Armor, tato i każdy Biały chcieliby przemienić kraj Wobbish. To była cywilizacja, jeden dom tuż obok drugiego, cała ziemia podzielona tak, że nikt nie miał wątpliwości, kto jest właścicielem każdego pola, kto ma do niego prawo, a kto przyszedł nieproszony i powinien szybko się wynieść.

Ale po roku pobytu u Czerwonych, kiedy prawie nie widywał Białych - z wyjątkiem Measure'a na początku i przez dzień czy dwa Bajarza - Alvin nie patrzył na tę dolinę oczami białego człowieka. Patrzył jak Czerwony... i dlatego wydała mu się końcem świata.

- Co tu robimy? - zapytał Ta-Kumsawa.

W odpowiedzi Ta-Kumsaw po prostu zszedł w dół, prosto w dolinę Białych. Jakby miał do tego prawo. Alvin nic nie rozumiał, ale ruszył za nim.

Ku jego zdziwieniu, kiedy przechodzili przez na wpół zaorane pole, farmer nawet nie krzyknął, żeby uważali na bruzdy. Podniósł tylko głowę, zerknął na nich i pomachał ręką.

- Witaj, Ike! - zawołał.

Ike?

A Ta-Kumsaw podniósł rękę na powitanie i szedł dalej.

Alvin miał ochotę roześmiać się na całe gardło. Ta-Kumsaw znany cywilizowanym farmerom w takim miejscu, znany tak dobrze, że Białe z tej odległości go rozpoznał! Ta-Kumsaw, najdzikszy łowca Białych w całej krainie puszczy, nazwany imieniem Białego?

Jednak chłopiec wiedział, że nie warto prosić o wyjaśnienia. Szedł za Ta-Kumsawem, aż wreszcie dotarli do celu.

Dom wyglądał jak wszystkie inne domy. Może był odrobinę starszy. W każdym razie duży i rozbudowywany bez planu. Ten narożnik był chyba pierwotną chatą z kamiennym fundamentem. Potem dodali do niej skrzydło, większe niż sama chata, którą pewnie przerobili na kuchnię. Potem kolejne skrzydło od frontu, tyle że teraz piętrowe. Potem przybudówka na tyłach: zachowała kształt ściany szczytowej, obudowanej drewnianymi dachówkami, kiedyś pobielonymi, ale teraz farba się łuszczyła i odsłaniała szare drewno. W tym domu kryła się cała historia doliny - rozpaczliwa budowa byle jakiego dachu nad głową, żeby tylko schronić się przed deszczem w przerwach walki z puszczą; potem chwila spokoju: można dodać jeden czy dwa pokoje dla wygody; potem dobrobyt i więcej dzieci: trzeba wznieść ten dumny, piętrowy budynek od frontu. I wreszcie trzy pokolenia w jednym domu i budowa nie z dumy, ale dla zyskania miejsca, izb, żeby w nich położyć rodzinę.

Taki to był właśnie dom: dom, w którym można było odczytać całą historię zwycięskiej bitwy białego człowieka przeciw krainie.

A Ta-Kumsaw po prostu podchodzi do małych drzwi na tyłach i nawet się nie trudzi, żeby zapukać. Po prostu otwiera je i znika wewnątrz.

Alvin widział to i po raz pierwszy nie miał pojęcia, jak postąpić. Z przyzwyczajenia chciał już wejść za Ta-Kumsawem, jak wchodził do setek pokrytych gliną chat Czerwonych. Ale przyzwyczajenie dawniejsze podpowiadało, że tak nie można w domu, gdzie są normalne drzwi i w ogóle. Trzeba przejść na front, zapukać grzecznie i czekać, aż człowieka zaproszą.

Czekał więc przed kuchennymi drzwiami, których Ta-Kumsaw nawet nie raczył zamknąć, i obserwował, jak wpadają do sieni pierwsze wiosenne muchy. Słyszał niemal matkę, wykrzykującą coś o ludziach, którzy zostawiają otwarte drzwi, żeby naleciało much, a nocą wszyscy powariują od tego brzęczenia. Myśląc o tym Alvin zrobił to, co zawsze nakazywała mama: wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi.

Jednak nie ośmielił się pójść dalej. Rozejrzył się. W sieni na kołkach wisiało parę grubych płaszczy, a ubłocone buty leżały na podłodze. Czuł się dziwnie. Od tylu miesięcy przebywał w lesie, że teraz cisza niemal go ogłuszała. Ucichła zielona pieśń, niemal doszczętnie zagłuszyła ją kakofonia hałaśliwego życia na farmie białego człowieka wiosną.

- Isaacu - odezwał się kobiecy głos.

Urwał się jeden z białych dźwięków. Dopiero wtedy Alvin zdał sobie sprawę, że naprawdę słyszał jakiś dźwięk, nie tylko szumy życia, które docierały przez zmysły czerwonego człowieka. Spróbował sobie przypomnieć, co to było. Rytm, wyraźny, regularny rytm, jakby... jakby krosno. Słyszał krosno. Ta-Kumsaw musiał wejść do domu, gdzie jakaś kobieta tkła na krośnie. Ale nie był tu obcy: kobieta знаła go z imienia, tego samego co farmer na polu: Isaac.

- Isaacu! - zawołała znowu, kimkolwiek była.

- Becco - odezwał się Ta-Kumsaw.

Proste imię... Żaden powód, by serce Alvina zaczęło dudnić tak głośno. Ale jak Ta-Kumsaw je wymówił, jak wypowiedział! Taki ton przyspieszał bicie serca. Co więcej: Ta-Kumsaw przemówił bez tych dziwacznie zniekształconych samogłosek, zawsze obecnych, kiedy Czerwony mówi po angielsku. Miał taki akcent, jakby przybył z Anglii. Bardziej przypominał wielebnego Throwera, niż Alvin potrafił sobie wyobrazić.

Nie, nie, to wcale nie był Ta-Kumsaw. To inny człowiek, biały człowiek, który był w tym samym pokoju co biała kobieta. I Alvin ruszył cicho przed siebie, szukając miejsca, skąd dobiegły głosy, szukając Białego, którego obecność wszystko wytłumaczy.

Ale kiedy przez otwarte drzwi zajrzał do pokoju, zobaczył Ta-Kumsaw, jak trzyma za ramiona białą kobietę. Patrzyli sobie w oczy. Nie mówili ani słowa, tylko patrzyli. I nie było tu żadnego białego mężczyzny.

- Mój lud gromadzi się nad Hio - oznajmił w końcu Ta-Kumsaw swoim dziwnym, angielsko brzmiącym głosem.

- Wiem - odpowiedziała kobieta. - To już jest w tkaninie. - Zerknęła na Alvina w progu. - Nie przyszedłeś sam.

Alvin nigdy jeszcze nie widział takich oczu. Był jeszcze za młody, żeby tęsknić za kobietami, jak to, pamiętał, tęsknili Wastenot i Wantnot, kiedy galopem przekroczyli czternasty rok życia. Czyli to uczucie nie było emocją mężczyzny pragnącego kobiety. Kiedy patrzył jej w oczy, widział chwilami ogień i tańczące płomienie, od których nie wymaga się porządku i podziwiał właśnie za przypadkowość. Miała takie oczy, jakby oglądała setki

tysięcy zdarzeń i te zdarzenia nadal wirowały w ich głębi. I nikt nie potrafił, a może i nie próbował wydostać tych wizji i ułożyć z nich sensownych opowieści.

Poza tym Alvin bał się, że posiadają magiczną moc i dzięki niej przemieniły Ta-Kumsawa w Białego.

- Mam na imię Becca - oświadczyła biała kobieta.

- A to jest Alvin - rzekł Ta-Kumsaw. A raczej Isaac, bo z całą pewnością nie wyglądał teraz na Ta-Kumsawa. - Syn młynarza z kraju Wobbish.

- To ta nić, którą widziałam w tkaninie nie na swoim miejscu. - Uśmiechnęła się do Alvina. - Wejdź - powiedziała. - Chcę zobaczyć legendarnego Małego Renegado.

- Kto to taki? - zdziwił się Alvin. - Kto nie gada?

- Renegado. W całym Appalachee o was mówią. Nie wiedziałeś? O Ta-Kumsawie, który jednego dnia pojawia się w kraju Osh-Kontsy, a następnego w wiosce na brzegach Yazoo. Podburza Czerwonych do rzezi i tortur. I zawsze towarzyszy mu biały chłopiec. Namawia Czerwonych do jeszcze większych okrucieństw i uczy tajemnych sposobów męczarni, stosowanych kiedyś przez papistyczną inkwizycję we Włoszech i Hiszpanii.

- To nieprawda - zaprotestował chłopiec.

Uśmiechnęła się. Zatańczyły płomienie w jej oczach.

- Muszą mnie nienawidzić. A ja nie wiem nawet, co to jest ta pozycja.

- Inkwizycja - poprawił go Isaac.

Serce Alvina ogarnęło przerażenie. Jeśli ludzie opowiadają takie rzeczy, to uznają go za przestępcę, potwora.

- Ja tylko chodzę razem...

- Wiem, co robisz i dlaczego - przerwała mu Becca. - W tych okolicach za dobrze znamy Isaaca, by wierzyć w takie kłamstwa o nim i o tobie.

Jednak Alvin nie dbał o "te okolice". Bał się, co go czeka w domu, w kraju Wobbish.

- Nie martw się - pocieszyła go Becca. - Nikt nie wie, kim jest ten legendarny biały chłopiec. To przecież nie żaden z pary Niewiniątek, których Ta-Kumsaw posiekał w lesie na kawałki. Z pewnością nie Alvin ani Measure. A właściwie którym ty jesteś?

- Alvinem - odpowiedział Isaac.

- A tak. Już mi to mówiłeś. Trudno mi zapamiętać imiona.

- Ta-Kumsaw nikogo nie posiekał.

- Jak się pewnie domyślasz, Alvinie, w tę plotkę również nie uwierzyliśmy.

- Aha...

Alvin nie wiedział, co powiedzieć. A że już bardzo długo żył jak Czerwony, zrobił to, co zawsze robią Czerwoni, kiedy nie mają nic do powiedzenia. Coś, co Białemu nie przeszłoby nawet przez myśl.

Milczał.

- Chleba i sera? - spytała Becca.

- Bardzo chętnie. Dziękujemy - odparł Isaac.

To niesamowite. Ta-Kumsaw mówiący "dziękujemy" niby elegancki dżentelmen. To nie znaczy, że wśród swoich nie był szlachetny i wymowny. Ale w języku Białych zawsze wyrażał się sucho, mało kwieścicie. Aż do teraz. Magia.

Becca potrząsnęła małym dzwonkiem.

- To skromny posiłek, ale w tym domu żyjemy skromnie. A ja szczególnie, w tym pokoju. Tak być powinno: to takie skromne miejsce.

Alvin rozejrzał się. Miała rację. Dopiero teraz uświadomił sobie, że ten pokój jest ową dawną oryginalną chatą z bali, a jedyne pozostałe okno wpuszcza do wnętrza blask południowego słońca. Ściany były z szorstkiego starego drzewa; nie zauważył tego przez całe to płótno, udrapowane tu i tam, zwisające na hakach, spiętrzone na meblach, zwinięte w bele. Dziwne płótno: bardzo kolorowe, ale te kolory nie tworzyły żadnego wzoru. Po prostu plotły się tam i z powrotem, zmieniały odcień i barwę... szeroki pas błękitu, kilka wąskich pasemek zieleni, przeplatających się i krzyżujących ze sobą...

Ktoś wszedł, wezwany dzwoneczkiem Bekki: sądząc po głosie, jakiś stary człowiek. Posłała go po jedzenie, ale Alvin nie wiedział nawet, jak ten człowiek wyglądał. Nie mógł oderwać wzroku od płótna. Po co komu tak dużo? I czemu ktoś tka w takich jaskrawych i brzydko zestawionych chaotycznych barwach?

I gdzie ono się kończy?

Podszedł do miejsca, gdzie w kącie stało kilkanaście beli. Zauważył, że płótno na każdej z nich ciągnie się od poprzedniej. Ktoś brał koniec płótna z jednej beli i zawijał, dając początek kolejnej. W efekcie tkanina spływała z pierwszej beli, a potem znikła w środku następnej i tak dalej. To nie były bele różnego materiału, to wciąż ten sam, zwinięty tak, że chyba nie dałoby się go podnieść. A potem zaczynała się następna bela. I ani razu nożyce nie dotknęły płótna. Alvin ruszył wokół pokoju, śledząc palcami bieg pasa tkaniny. Szedł za nim aż do haków na ścianie, do zwojów rzuconych na podłogę. Szukał i szukał, aż wreszcie - właśnie w chwili, kiedy wrócił staruszek z chlebem i serem - znalazł koniec: płótno spływało z krosna.

Przez cały ten czas Ta-Kumsaw rozmawiał z Beccą głosem Isaaca. Odpowiadała mu tonem głębokim i melodyjnym, z leciutkim obcym akcentem. Jak ci Holendrzy z okolic Vigor Kościoła, którzy przez całe życie byli Amerykanami, a jednak w mowie zachowali ślad dawnej ojczyzny. Dopiero teraz, kiedy Alvin stanął przy krośnie, a chleb i ser leżały na niskim stoliku z trzema krzesłami wokół, chłopiec zaczął słuchać, o czym mówią. Właściwie dlatego, że strasznie chciał Beccę zapytać, do czego jej potrzebne to płótno. Przecież tkła je chyba ponad rok, skoro miała już taki długi pas. I ani razu nie chwyciła za nożyce, żeby jakoś je wykorzystać. Takie postępowanie mama nazywała skandalicznym marnotrawstwem: kiedy ktoś coś posiadał i nie chciał tego używać. Jak choćby Daily Framer z jej pięknym głosem: całymi dniami śpiewała w domu, ale nigdy nie włączała się do kościelnych hymnów.

- Jedz - polecił Ta-Kumsaw.

A kiedy tak surowo zwracał się do Alvina, jego głos tracił angielską wymowę; znów był prawdziwym Ta-Kumsawem. To chłopca uspokoiło. Nie chodziło o czary; Ta-Kumsaw zwyczajnie mówił na dwa sposoby. Oczywiście jednak nasuwało się więcej pytań, na przykład, gdzie Ta-Kumsaw się tego nauczył. Alvin nie słyszał nigdy choćby plotek o tym, że wódz ma białych przyjaciół w kraju Appalachee, a przecież na pewno by o tym opowiadano. Z drugiej strony łatwo zgadnąć, dlaczego wołał to trzymać w tajemnicy. Co by pomyśleli ci żądni krwi Czerwoni, gdyby zobaczyli go tu i teraz? Jak mogłaby się powieść wojna Ta-Kumsawa?

A właściwie jak Ta-Kumsaw mógł wydać taką wojnę, skoro miał prawdziwych białych przyjaciół, choćby mieszkańców tej doliny? Bez wątpienia kraina była tu martwa, przynajmniej w odczuciu Czerwonych. Jak Ta-Kumsaw to znosi? U Alvina wzbudzało to taki głód, że chociaż wpychał sobie do ust chleb i ser, aż brzuch mu sterczał, wciąż czuł ssanie w żołądku; pragnął wrócić do lasu i usłyszeć w sobie pieśń krainy.

W czasie posiłku Becca opowiadała, co słychać w dolinie, wymieniała nazwiska, które dla Alvina nic nie znaczyły, ale każde z nich mogło należeć do kogoś z Vigor Kościoła. Żyli tu nawet jacyś Millerowie, co było naturalne, skoro tak wielka dolina z pewnością miała dość ziarna do mielenia, by dać pracę więcej niż jednemu młynarzowi.

Wrócił staruszek, żeby sprzątnąć ze stołu.

- Przyszliście obejrzeć moje płótno? - spytała Becca.

Ta-Kumsaw kiwnął głową.

- Między innymi po to.

Becca z uśmiechem poprowadziła ich do krosna. Usiadła na stolku i ułożyła na kolanach nową tkaninę. Zaczęła o jakieś trzy jardy od krosna.

- Tutaj - powiedziała. - Zgromadzenie twojego ludu w Proroczym Mieście.

Alvin zobaczył, jak przesuwa palce nad całą wiązką nici osnowy, które porzuciły swoją właściwą ścieżkę, przewędrowały przez całą szerokość i zebrały się niedaleko krawędzi.

- Czerwoni ze wszystkich plemion - mówiła dalej. - Najsilniejsi z twojego ludu.

Włókna miały zielony odcień i były istotnie grubsze od pozostałych, mocne i zwarte. Becca przesunęła materiał. Zgromadzenie powiększało się, a nici nabrały barwy jasnej zieleni. Jak mogły tak zmieniać kolor? I jak w maszynierii krosna mógł tak się zmienić ich kierunek?

- A teraz Biali zbierają się przeciwko nim.

I rzeczywiście, kolejna wiązka nici, cieńsza z początku, poszerzyła się nagle i splątała w supły. Zdaniem Alvina, cała tkanina była ruiną: wszystkie włókna poplątane i nierówne. Kto by nosił koszulę uszytą z czegoś takiego? W dodatku kolory ułożono całkiem przypadkowo, zmieszane razem, nie próbując nawet utkać jakiegoś wzoru czy choćby zachować regularności.

Ta-Kumsaw przyciągnął płótno do siebie. Ciągnął, aż odsłonił miejsce, gdzie wszystkie zielone nici rozluźniały się nagle i potem urywały - przynajmniej większość z nich. Osnowa była tu cienka i rzadka, może jedna nić na dziesięć normalnych. Całkiem jak na łokciu znoszonej koszuli: kiedy człowiek zgina rękę, najwyżej kilkanaście nitek kreśli mu linie na skórze w jedną, a żadna w drugą stronę.

Jeśli te zielone nici oznaczały Prorocze Miasto, trudno nie zgadnąć, co się wydarzyło.

- Chybotliwe Kanoe - szepnął Alvin. Teraz zrozumiał sens tej tkaniny.

Becca pochyliła się i łzy kapnęły na materiał.

Ta-Kumsaw nie uronił ani jednej. Pociągnął znowu. Alvin spostrzegł resztę zielonych nici, te nieliczne, które pozostały z masakry nad Chybotliwym Kanoe. Przesunęły się do krawędzi i zniknęły. Pas tkaniny był teraz węższy. W tym miejscu zaczynało się kolejne zgromadzenie, a nici nie były już zielone. Raczej czarne.

- Czarne z nienawiści - wyjaśniła Becca. - Zbierasz swych ludzi z pomocą nienawiści.

- Czy wyobrażasz sobie wojnę prowadzoną z miłością? - spytał Ta-Kumsaw.

- To właśnie powód, dla którego w ogóle odrzucam wojnę.

- Mówisz jak biała kobieta.

- Przecież nią jest - wtrącił Alvin, według którego Becca miała absolutną rację.

Oboje spojrzeli na niego, Ta-Kumsaw niecierpliwie, Becca z... rozbawieniem? politowaniem? - a potem wrócili do tkaniny.

Wkrótce dotarli do miejsca, gdzie płótno zwisało z listwy, a dalej znikało w krośnię. Przez cały czas czarne włókna armii Ta-Kumsawa przemieszczały się bliżej siebie, łączyły, splatały. A nici niebieskie, żółte i czarne, gromadziły się w innym miejscu, aż tkanina wybrzuszała się okropnie. Była grubsza, ale zdaniem Alvina wcale nie mocniejsza. Jeśli już, to wręcz słabsza. Mniej użyteczna. Mniej pewna.

- Jeśli to potrwa dłużej, materiał nie będzie wiele wart - mruknął chłopiec.

Becca uśmiechnęła się smutnie.

- Nie słyszałam jeszcze rozsądniejszych słów, młodzieńcze.

- Jeśli ten kawałek to mniej więcej historia roku - zauważył Alvin - macie tu zebrane przynajmniej dwieście lat.

Becca przychyliła głowę.

- Więcej.

- Skąd wiecie o wszystkim, co się dzieje, że możecie przedstawiać to w płótnie?

- Och, Alvinie, pewne rzeczy ludzie po prostu robią... nie wiedząc jak.

- A jeśli zmienicie układ nici, czy zdarzy się coś innego?

Alvin pomyślał, że można by starannie przemieścić włókna, rozdzielić czarne nici, rozłożyć je równomiernie, w większych odstępach.

- To nie tak - westchnęła. - To, co tu robię, nie spowoduje żadnego wydarzenia. To mnie zdarzenia odmieniają. Nic na to nie poradzisz, Alvinie.

- Ale przecież dwieście lat temu w tej części Ameryki jeszcze nie było Białych. W jaki sposób tkanina sięga jeszcze dalej?

Westchnęła.

- Isaacu, dlaczego przyprowadziłeś go tutaj, żeby mnie dręczył pytaniami?

Ta-Kumsaw uśmiechnął się.

- Chłopcze, czy nie powtórzysz nikomu? - zapytała. - Nie zdradzisz, kim jestem i co robię?

- Obiecuję.

- Ja tkam, Alvinie. Od niepamiętnych czasów wszystkie moje krewne były tkaczkami.

- Czy tak się nazywacie? Becca Weaver? Mój szwagier, Armor-of-God, miał ojca tkacza i...

- Nikt nie nazywa nas tkaczkami. Jeśli już muszą użyć jakiegoś imienia, mówią... Nie.

Nie chciała mu powiedzieć.

- Nie, Alvinie. Nie mogę składać takiego ciężaru na twoje barki. Ponieważ chciałbyś tu wrócić. Wrócić i zobaczyć...

- Co zobaczyć? - zdziwił się Alvin.
- Jak Isaac. Jemu też nie powinnam nic mówić.
- Przecież dotrzymał tajemnicy. Nigdy nawet słowem o was nie wspomniał.
- Ale nie dochował sekretu przed sobą. Przychodzi, żeby zobaczyć.
- Co zobaczyć? - powtórzył Alvin.
- Jak długie są nici spływające do mojego krosna.

Dopiero teraz Alvin zauważył, że po drugiej stronie krosna nici osnowy przechodziły przez grzebień cienkich stalowych drutów. Te nici nie były kolorowe. Były całkiem białe. Bawełna? Na pewno nie wełna. Może len? Utkany materiał był tak barwny, że właściwie nie zwrócił uwagi, z czego jest zrobiony.

- Skąd się biorą kolory? - zapytał.

Nikt mu nie odpowiedział.

- Niektóre nici są luźne.
- Niektóre się urywają - dodał Ta-Kumsaw.
- Wiele się urywa - rzekła Becca. - I wiele się rozpoczyna. Taki jest wzorzec życia.
- Co widzisz, Alvinie? - zapytał Ta-Kumsaw.
- Jeśli te czarne nici to twoi wojownicy - odparł chłopiec - to moim zdaniem zbliża się bitwa i wielu z nich polegnie. Ale nie tylu co nad Chybotliwym Kanoe. Nie będzie aż tak źle.
- Ja też to widzę - zgodził się Ta-Kumsaw.
- A te inne kolory, takie poplątane... Co to jest? Armia Białych?
- Chodzą słuchy, że armię zbiera człowiek imieniem Andrew Jackson z zachodniego Tennizy. Nazywają go Hickory.
- Znam go - mruknął Ta-Kumsaw. - Niezbyt dobrze trzyma się w siodle.
- Robi z Białymi to samo, co ty z Czerwonymi, Isaacu. Jeździ po całym Zachodzie, ściąga ludzi i opowiada im o Czerwonym Zagrożeniu. O tobie, Isaacu. Na każdego twojego wojownika on znajduje dwóch białych. I wie, że wyruszysz na północ, żeby dołączyć do armii francuskiej. Zna wszystkie twoje plany.
- Nic nie wie - oświadczył Ta-Kumsaw. - Powiedz, Alvinie, jak wiele urywa się nici Armii Białych?
- Dużo. Może więcej. Nie wiem. Mniej więcej równo.
- W takim razie o niczym to nie świadczy.
- Świadczy o tym, że będziesz miał swoją bitwę - poprawiła go Becca. - Świadczy o tym, że więcej popłynie krwi i więcej będzie na świecie cierpienia. Dzięki tobie.
- Ale nic nie mówi o zwycięstwie.

- Nigdy nie mówi.

Alvin zastanowił się, czy nie mógłby po prostu przywiązać nowej nici do zerwanej i w ten sposób kogoś ocalić. Poszukał szpilek, ale nigdzie ich nie zauważył. Nici zwisały z tylnej belki krosna napięte, jakby wisiał na nich jakiś ciężar. Jednak Alvin nie widział, skąd się biorą. Nie dotykały podłogi. I właściwie się nie urywały. W jednym miejscu sunęły naprężone i długie, a kawałek dalej nie było już żadnych nici. W ogóle niczego nie było. Osnowa wysuwała się znikąd i ludzkie oczy w żaden sposób nie mogły zobaczyć, gdzie się zaczynała.

Jednak Alvin umiał patrzeć innymi oczami, wewnętrznymi - tak jak studiował działanie ludzkiego ciała czy zimne prądy we wnętrzu kamienia. I tym tajemnym wzrokiem spojrzał na pojedynczą nitkę, prześledził ją, zbadał włókna skręcające się i chwytające nawzajem, by dać nitce siłę. Tym razem mógł już za nią podążać coraz dalej, aż wreszcie skończyła się daleko za miejscem, gdzie znikwała dla zwykłych oczu. Kogokolwiek przedstawiała, miał przed sobą długie życie.

Każda z tych nici się urywa, kiedy umiera człowiek. I jakoś zaczyna się nowa, kiedy na świat przychodzi dziecko. Kolejne włókno wybiegające z pustki.

- To się nigdy nie kończy - powiedziała Becca. - Zestarzeję się i umrę, Alvinie, ale tkanina przetrwa.

- Czy wiecie, która z nici was przedstawia?

- Nie. I nie chcę wiedzieć.

- A ja chciałbym zobaczyć. Chciałbym wiedzieć, ile lat mi zostało.

- Wiele - oznajmił Ta-Kumsaw. - Albo kilka. Ważne jest tylko to, co z tymi latami zrobisz. Ile by ich nie było.

- Ale ważne też, jak długo będę żył - zaprotestował Alvin. - Nie mów, że nie, bo sam w to nie wierzysz.

Becca roześmiała się.

- Panno Becco - zapytał Alvin. - Po co to robicie, jeśli nie wpływacie na wydarzenia?

Wzruszyła ramionami.

- Taka praca. Każdy ma jakąś pracę do wykonania, a ta jest moja.

- Moglibyście stąd odejść i tkać materiały dla ludzi, żeby je nosili.

- Nosili i znaszali - odparła. - I nie, Alvinie, nie mogę stąd odejść.

- Musicie cały czas siedzieć w domu?

- Przebywam tutaj. Zawsze. W tym pokoju, razem z moim krosnem.

- Kiedyś błagałem cię, żebyś poszła ze mną - rzekł Isaac.

- A ja błagałam cię, żebyś został.

- Nie mogę żyć stale tam, gdzie kraina jest martwa.

- A ja nie mogę przeżyć ani chwili z dala od mojej tkaniny. Jak kraina istnieje w twojej duszy, Isaacu, tak życia wszystkich ludzi w Ameryce istnieją w mojej. Ale kocham cię. Nawet teraz.

Alvin pomyślał, że powinien odejść. Zachowywali się, jakby o nim zapominali, choć przecież z nimi rozmawiał. I wreszcie odgadł, że woleliby zostać sami. Dlatego oddalił się, znów podszedł do płótna i znowu próbował prześledzić jego drogę, tym razem w przeciwnym kierunku. Szybko, ale uważnie badał ściany, zwoje i bele, szukając najwcześniejszego końca pasa tkaniny.

Nie mógł go znaleźć. Musiał chyba szukać w drugą stronę albo coś pokręcił, ponieważ wkrótce był na tej samej znajomej ścieżce, którą już raz przechodził - ścieżce prowadzącej do krosna. Zawrócił i po chwili znowu stał przed krosnem. Odnalezienie najstarszego końca było niemożliwe, tak samo jak wskazanie miejsca, gdzie zaczynały się nici osnowy.

Spojrzał na Ta-Kumsawa i Beccę. Prowadzona szeptem rozmowa dobiegła już końca. Ta-Kumsaw ze skrzyżowanymi nogami i pochyloną głową siedział na podłodze. Becca gładziła dłońmi jego włosy.

- Ten materiał jest starszy niż najstarsza część tego domu - zauważył Alvin.

Becca nie odpowiedziała.

- Czy trwa to wiecznie?

- Odkąd mężczyźni i kobiety umieją tkać, to płótno przesuwają się przez krosno.

- Ale nie to krosno. To jest nowe.

- Zmieniamy je od czasu do czasu. Nowe budujemy wokół starego. Tym zajmują się mężczyźni z naszego rodu.

- Ten materiał jest starszy niż najstarsze osady Białych w Ameryce - stwierdził chłopiec.

- Kiedyś był częścią innej tkaniny. Ale pewnego dnia, jeszcze w starym kraju, zobaczyliśmy, że duża część nici przesuwają się poza krawędź. Mój prapraprapraprapradziadek zbudował nowe krosno. Miałyśmy potrzebne nici; oderwały się od tamtej tkaniny. Tutaj zaczęłyśmy nową. Wciąż są połączone. To właśnie widziałeś.

- Ale teraz tkanina jest tutaj.

- Jest tutaj i tam. Nie próbuj tego zrozumieć, Alvinie. Ja już dawno zrezygnowałam. Ale czy nie jest przyjemnie wiedzieć, że wszystkie nici życia splatają się w jedną wielką tkaninę?

- A kto tka dla Czerwonych, którzy odeszli na zachód z Tenska-Tawą? - spytał Alvin.
- Te nici się oderwały.

- To nie twoja sprawa - odparła surowo Becca. - Powiedzmy tylko, że zbudowano nowe krosno i poniesiono je na zachód.

- Ale Ta-Kumsaw mówił, że nikt z Białych nie przekroczy rzeki na zachód. Prorok też tak twierdził.

Ta-Kumsaw odwrócił się powoli, nie wstając z podłogi.

- Alwinie - powiedział. - Jesteś jeszcze chłopcem.

- A ja byłem jeszcze dziewczyną, kiedy cię pokochałam - przypomniała mu Becca. Spojrzała na Alvina. - To moja córka zaniósła krosno na zachód. Mogła tam pójść, gdyż jest tylko w połowie biała. - Pogładziła włosy Ta-Kumsawa. - Isaac to mój mąż. Moja córka Wieża jest jego córką.

- Mana Tawa - szepnął Ta-Kumsaw.

- Przez jakiś czas sądziłam, że Isaac zostanie z nami, zamieszka tutaj. Ale potem widziałam, że jego nie oddała się od nas, choć ciałem wciąż tu przebywał. Wiedziała, że odejdzie, żeby być ze swoim ludem. Wiedziała, dlaczego przyszedł, dlaczego sam wynurzył się z puszczy. Istnieje żądza głębsza niż głód pieśni żyjącego lasu u czerwonego człowieka, głębsza niż tęsknota kowala za gorącym mokrym żelazem, głębsza nawet niż pragnienie przenikacza, by poznać puste jądro ziemi. Ta żądza doprowadziła Ta-Kumsawa do naszego domu. Na krośnie tkala jeszcze wtedy moja matka. Nauczyłam Ta-Kumsawa czytać i pisać; poznał całą bibliotekę mojego ojca, przeczytał wszystkie książki w dolinie. Pośleliśmy go więcej do Filadelfii i te także przeczytał. Wtedy wybrał sobie imię... na pamiątkę człowieka, który napisał Principia. Kiedy osiągnęliśmy odpowiedni wiek, ożenił się ze mną. Urodziłam dziecko. Odszedł. Wrócił, gdy Wieża miała trzy lata. Zbudował krosno i zabrał ją na zachód, za góry, by żyła wśród jego ludu.

- I pozwoliliście odejść swojej córce?

- Tak jak któraś z moich babek, siedząc przy starym krośnie, pozwoliła swej córce odpłynąć za ocean pod czujnym okiem ojca. Tak. Pozwoliłam. - Becca uśmiechnęła się smutnie. - Wszyscy mamy pracę do wykonania, ale nie istnieje taka, za którą nie trzeba płacić. Kiedy Isaac ją zabierał, siedziałam już przy tym krośnie. Wszystko, co się zdarzyło, było dobre.

- Kiedy przyszliśmy, nawet nie spytaliście, jak się wiedzie waszej córce! I dalej nie pytacie!

- Nie muszę pytać. Nic złego nie może się stać strażniczkom krosna.

- Skoro wasza córka odeszła, kto zajmie wasze miejsce?

- Może zjawi się inny mąż. Taki, który zostanie w tym domu, zbuduje dla mnie nowe krosno, i drugie dla córki jeszcze nie narodzonej.

- A co wtedy będzie z wami?

- Za dużo pytań, Alvinie - wtrącił Ta-Kumsaw.

Ale głos miał cichy, zmęczony i brzmiący z angielska. Alvin podziwiał Ta-Kumsawę, który przeczytał książki białych ludzi. Dlatego nie zraził się tą łagodną przyganą.

- Co będzie z wami, kiedy wasza córka zajmie to miejsce?

- Nie wiem - odparła Becca. - Ale legenda głosi, że odchodzimy tam, skąd biorą się nici.

- I co tam robicie?

- Przędziemy.

Alvin spróbował sobie wyobrazić matkę Bekki, jej babkę i wszystkie kobiety z rodu, jak siedzą przy kołowrotekach i ciągną z wrzecion nici surowe i białe. I te nici suną gdzieś, znikają, póki się nie zerwą. A może kiedy taka nić się zerwie, one ją chwytają, chwytają całe ludzkie życie, i rzucają na wiatr, a nić potem opada i wplata się w czyjeś krosno. Życie na skrzydłach wiatru, schwyte i utkane w tkaninę człowieczeństwa, zrodzone w dowolnej chwili, potem usiłujące przedostać się do płótna, wpleść się w jego moc.

A kiedy sobie to wyobraził, wyobraził też sobie, że zrozumiał coś z tej tkaniny. Zrozumiał, że tym jest mocniejsza, im mocniej wplata się w nią każda z nici. Te, które przesuwają się po wierzchu, z rzadka tylko nurkując w splot, nie siły dodawały, lecz koloru. Te zaś, których barwa była prawie niewidoczna, wszystkie sunęły pomiędzy innymi nićmi i wiązały je razem. W nich tkwiło dobro. Od dzisiejszego dnia już zawsze, gdy Alvin zobaczy spokojnego, ledwo zauważanego skromnego człowieka, który jednak wiąże i zespala całe życie wioski czy miasta, powita go w milczeniu. A w głębi serca złoży mu hołd, gdyż będzie wiedział, że takie właśnie życie czyni tkaninę wytrzymałą, a splot gęstym.

Pamiętał też o wielu niciach, które urywały się tam, gdzie było miejsce bitwy Ta-Kumsaw. Zupełnie jakby Ta-Kumsaw użył nożyc.

- Czy nie można tego naprawić? - zapytał Alvin. - Nie ma nadziei, żeby odwrócić tę bitwę i żeby nie pozrywały się te nici?

Becca pokręciła głową.

- Gdyby nawet Isaac tam nie poszedł, bitwa odbyłaby się bez niego. Nie, te nici nie zostały zerwane czynami Isaaca. Pękają, kiedy niektórzy Czerwoni wybierają taką drogę działania, która z pewnością doprowadzi do ich śmierci w bitwie. Ty z Isaakiem nie

krążyliście po kraju, siejąc śmierć, jeżeli to właśnie cię martwi. Wy tylko dawaliście wybór. Nie musieli wam wierzyć. Nie musieli wybierać śmierci.

- Ale oni nie wiedzieli, że właśnie ją wybierają.

- Wiedzieli - stwierdziła Becca. - Zawsze wiemy. Nie przyznajemy się do tego przed sobą... aż do ostatniej chwili. Ale wtedy, Alvinie... wtedy spoglądamy na całe nasze życie i rozumiemy, jak każdego dnia wybieraliśmy sposób naszej śmierci.

- A jeśli na przykład coś spadnie na człowieka i roztrzaska mu głowę?

- On sam postanowił znaleźć się w miejscu, gdzie takie rzeczy się zdarzają. I nie patrzył do góry.

- Nie wierzę w to - oświadczył Alvin. - Moim zdaniem ludzie zawsze mogą odmienić to, co nadchodzi. I zdarzają się rzeczy, których nikt nigdy nie wybierał.

Becca uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę.

- Podejdź tu, Alvinie. Pozwól, że cię przytulę. Kocham twoją prostą wiarę, moje dziecko. Chciałabym, żebyś ją zachował, nawet jeśli sama uwierzyć nie mogę.

Objęła go na chwilę. A dłoń miała prawie taką jak mama, silną i delikatną. Alvin popłakał trochę. Szczerze mówiąc, płakał o wiele więcej, niż kiedykolwiek chciałby płakać, gdyby w ogóle chciał. I wiedział, że lepiej nie szukać własnej nici, choć przypuszczał, że znalazłby ją bez trudu - to nić zrodzona w białej części płótna, a potem przemieszczająca się i zmieniająca kolor na zielony. Tak, z pewnością stał się zielony, jak lud Proroka.

Jednego był także pewien, tak pewien, że nawet nie zapytał, choć nie wstydziłby się zadać żadnego pytania, które by mu przyszło do głowy. Był pewien, że Becca wie, która jest nić Ta-Kumsawa, i wie też, że nici Ta-Kumsawa i Alvina splecione są razem, przynajmniej na pewien czas. Póki Alvin mu towarzyszy, Ta-Kumsaw nie zginie. Chłopiec wiedział, że to proroctwo ma dwa możliwe wyjaśnienia: po pierwsze, Alvin umrze pierwszy i zostawi Ta-Kumsawa, który wtedy również zginie. Albo drugie, że nie zginie żaden z nich, a ich nici będą biegły i biegły, aż znikną. Domyślał się, że istnieje też trzecie wyjście: może zwyczajnie opuścić Ta-Kumsawa. Ale gdyby to zrobił, nie byłby Alvinem, czyli nie warto nawet rozważać tej możliwości, gdyż naprawdę wcale jej nie ma.

Alvin przespał tę noc na materacu w bibliotece. Przed snem przeczytał kilka stron książki niejakiego Adama Smitha. Gdzie spał Ta-Kumsaw, Alvin nie wiedział i nie chciał pytać. Dzieci nie powinno obchodzić, co mężczyzna robi ze swoją żoną. Alvin wiedział o tym. Zastanawiał się jednak, czy głównym powodem odwiedzin Ta-Kumsawa w dolinie była nie chęć zobaczenia krosna, ale ta żądza, o której mówiła Becca. Konieczność spłodzenia

drugiej córki, która przejmie krosno. Według Alvina był to całkiem dobry pomysł, żeby tkanina białej Ameryki znalazła się w rękach córki Czerwonego.

Rankiem Ta-Kumsaw poprowadził go z powrotem do lasu. Nie rozmawiali z Becca ani z nikim innym. Znowu wróciły dawne dni: Ta-Kumsaw odzywał się tylko wtedy, kiedy coś chłopcu nakazywał. Alvin nigdy już nie usłyszał, jak mówi głosem Isaaca; zaczął nawet wątpić, czy zdarzyło się to naprawdę.

Na północnym brzegu Hio, niedaleko ujścia Wobbish, zebrała się armia Czerwonych. Przyszło ich wielu; Alvin nie podejrzewał, że tak wielu żyje na świecie. Więcej, niż kiedykolwiek sobie wyobrażał zebranych w jednym miejscu i w tym samym czasie.

Ponieważ w takiej gromadzie musieli być głodni, przychodziły do nich także zwierzęta; wyczuwały ich potrzeby i czyniły to, do czego zostały stworzone. Czy las wiedział, że w zwycięstwie Ta-Kumsawa tkwi cała jego nadzieja obrony przed siekierami Białych?

Nie, uznał Alvin. Las robił po prostu to co zawsze: żywił swoich.

Padło i dmuchał chłodny wiatr, kiedy rankiem wyruszyli znad Hio na północ. Ale czymże jest deszcz dla czerwonego człowieka? Przybył posłaniec od Francuzów z Detroit. Czas już połączyć siły i zwabić armię Hickory'ego na północ.

ROZDZIAŁ 18 - DETROIT

To były wspaniałe chwile dla Frederica, hrabiego de Maurepas. I chociaż piekłem było życie w Detroit, z dala od wszystkich rozkoszy Paryża, podniecało go, że chociaż raz stał się częścią czegoś wielkiego. Zbliżała się wojna, fort wrzał, pogańscy Czerwoni ściągali z najdalszych zakątków dziczy, a wkrótce Francuzi pod jego, de Maurepasa, dowództwem zniszczą tych obszarpańców, których stary Kasztan prowadził od Maw-Mee na północ. Wierzba? Nie, Hickory, czy jak go tam nazywają.

Oczywiście, trochę go to niepokoiło. Frederic nigdy nie był człowiekiem czynu, a teraz działo się wokół tak wiele, że z trudem obejmował to wszystko myślą. Martwił się czasem, że Napoleon pozwala dzikusom walczyć zza drzew. Z pewnością Europejczycy, a nawet barbarzyńscy Amerykanie, powinni być dostatecznie dobrze wychowani, by nie pozwalać Czerwonym wykorzystywać nieuczciwej przewagi płynącej z umiejętności chowania się w lesie. Ale mniejsza z tym. Napoleon był pewien, że wszystko się uda. Zresztą, dlaczego nie? Sprawy rozwijały się dokładnie tak, jak Napoleon przewidywał. Nawet gubernator La Fayette, zdrajca, degenerat i Feuillant, pełen był entuzjazmu.

Przysłał nawet statkiem kolejnych żołnierzy. Dziesięć minut temu Frederic widział, jak zawijają do portu.

- Panie - odezwał się Jak-mu-tam, lokaj, który dziś wieczorem pilnował drzwi. Anonsował kogoś... coś podobnego!

- Kto? - Kto przychodzi w takiej nieprzyzwoitej godzinie?

- Posłaniec od gubernatora.

- Wpuść - rzucił Frederic.

Miał zbyt dobry nastrój, by kazać przybyszowi czekać. W końcu to wieczór. Nie musi udawać, że jest zapracowany. Przecież minęła czwarta.

Wszedł jakiś człowiek w eleganckim mundurze. Oficer... major. Frederic powinien chyba pamiętać jego nazwisko, ale przecież on był nikim. Nie miał nawet utytułowanego kuzyna. Dlatego Frederic nie wstał na powitanie. Czekał.

Major trzymał w ręku dwa listy. Jeden położył na biurku.

- Ten drugi też jest dla mnie?

- Tak, sir. Ale gubernator polecił mi najpierw wręczyć panu pierwszy, zaczekać, aż pan przeczyta w mojej obecności, i wtedy dopiero zdecydować, czy oddać drugi.

- Instrukcje gubernatora... Każe mi czekać na moją pocztę, dopóki nie przeczytam pierwszego listu?

- Drugi list nie jest adresowany do pana, panie hrabio - odparł major. - A zatem nie jest to pańska poczta. Sądzę jednak, że chętnie się pan z nim zapozna.

- A jeśli jestem zmęczony pracą i postanowię przeczytać ten list rano?

- Na taki przypadek otrzymałem jeszcze trzeci list. Odczytam go pańskim żołnierzom, jeśli w ciągu pięciu minut nie zapozna się pan z pierwszym. Trzeci list odbiera panu stanowisko i z woli gubernatora mianuje mnie komendantem Fortu Detroit.

- To bezczelność! Zuchwałość! Zwracać się do mnie w ten sposób!

- Powtarzam tylko słowa gubernatora, panie hrabio. Proszę, abyś przeczytał ten list. Nic cię to przecież nie kosztuje, podczas gdy odmowa może przynieść straszne skutki.

Niesłychane! Co sobie myśli ten gubernator? To prawda, jest markizem. Ale w rzeczywistości La Fayette dalszy jest królewskich łask niż...

- Pięć minut, panie.

Wrząc ze złości, Frederic otworzył list. Przesyłka była ciężka, a kiedy ją rozwinął, na blat wypadł ze stukiem metalowy amulet na łańcuszku.

- Co to jest?

- List, panie.

Frederic przeczytał szybko.

- Amulet! Świątobliwy mąż! Co mam z tym zrobić? Czyżby La Fayette zrobił się zabobonny?

Ale mimo tych krzyków, Frederic od razu wiedział, że włoży amulet na szyję. Ochrona przed Szatanem! Słyszał o takich amuletach, wręcz bezcennych, gdyż każdego z nich dotknęła osobiście Matka Boża. To Ona dała im moc. Czyżby to jeden z nich? Chwycił łańcuszek i wsunął przez głowę.

- Do środka - rzucił major.

Frederic spojrzał na niego zdziwiony, ale natychmiast zrozumiał, o co chodzi. Wsunął amulet pod koszulę. Teraz był niewidoczny.

- Już - rzekł. - Noszę go.

- Doskonale, panie hrabio - pochwalił major. Podał drugi list.

Był otwarty, choć wcześniej zalakowany. Frederic ze zdumieniem rozpoznał wielką pieczęć Jego Królewskiej Mości. List zaadresowano do markiza de La Fayette'a, a zawierał rozkaz aresztowania Napoleona Bonapartego, przewiezienia go w łańcuchach do Paryża i

postawienia przed sądem za zdradę, podburzanie do buntu, nielojalność i zaniedbanie obowiązków.

- Czy myślisz, że wzruszą mnie twoje prośby? - zapytał de Maurepas.

- Miałem nadzieję, że przekona cię słuszność moich argumentów - odparł Napoleon. - Jutro rozegra się bitwa. Ta-Kumsaw przyjmuje rozkazy tylko ode mnie; tylko ja w pełni rozumiem, czego ma w tym starciu dokonać francuska armia.

- Tylko ty? Skąd ta nagła próżność, skąd przekonanie, że ty jedynie zdolny jesteś dowodzić, ty jedynie rozumiesz?

- Ależ oczywiście, że ty rozumiesz, panie de Maurepas. Ale twoim zadaniem jest spojrzeć z szerszej perspektywy, podczas gdy ja...

- Nie trać czasu. Nie dam się dłużej oszukiwać. Twoje czary, twój szatański wpływ, wszystko to spływa po mnie jak bąble powietrza. Nie ma dla mnie znaczenia. Jestem silniejszy, niż ci się wydawało. Mam ukrytą moc!

- I bardzo dobrze, gdyż jedynym twoim darem nie ukrytym jest głupota - oznajmił Napoleon. - Porażka, jakiej doznasz beze mnie, uczyni cię wodzem durniów w armii francuskiej. Kiedykolwiek ktoś narazi się na haniebną, a możliwą do uniknięcia klęskę, będą mówić, że popełnił maurepas.

- Dość tego - przerwał de Maurepas. - Zdrada, podburzanie, zaniedbanie obowiązków, a jakby tego było mało, teraz jeszcze niesubordynacja. Pan Guillotin będzie miał z tobą sprawę, mój zarożumiały koguciku. Jedź, wypróbuj swoje ostrogi na Jego Wysokości. Zobaczymy, jak głęboko się wbijają, kiedy ty będziesz w łańcuchach, a twoja głowa w koszu.

Zdrada stała się jasna dopiero rankiem, ale wtedy była szybka i całkowita. Zaczęło się od tego, że francuski kwatermistrz odmówił ludziom Ta-Kumsawa wydania prochu.

- Mam swoje rozkazy - rzekł.

Kiedy Ta-Kumsaw chciał się spotkać z Napoleonem, wyśmiali go.

- Nie zobaczysz go teraz ani nigdy - powiedzieli. Więc może de Maurepasa?

- To hrabia. On nie rozmawia z dzikusami. Nie przepada za zwierzętami, jak ten mały Bonaparte.

Dopiero wtedy Alvin zauważył, że spotykali dziś prawie tylko tych Francuzów, których Napoleon starał się omijać. Nie mogli znaleźć oficerów cieszących się jego szacunkiem i zaufaniem. Napoleon upadł.

- Łuki i strzały - oświadczył oficer. - W tym celują twoi wojownicy, prawda? Kulami więcej szkód byście wyrządzili własnym ludziom niż wrogowi.

Zwiadowcy Ta-Kumsawa uprzedzili, że armia Jacksona nadciągnie koło południa. Ta-Kumsaw natychmiast posłał wojowników, by nękali nieprzyjaciela. Jednak bez muszkietów mogli najwyżej drażnić Hickory'ego słabymi ułuciami strzał wypuszczanych ze zbyt wielkiej odległości. A mieli przecież powitać Amerykanów gradem ołowiu. Łucznicy, aby strzelać, musieli podchodzić blisko szeregów wojska, toteż wielu z nich poległo.

- Nie stój przy mnie - odezwał się do Alvina Ta-Kumsaw. - Wszyscy wiedzą o prorocztwie. Myślę, że moja odwaga wynika jedynie z pewności, że nie zginę.

Alvin odsunął się, lecz nie tak daleko, by nie zdołać wejrzeć w głębi ciała Ta-Kumsawa. Gotów leczyć każdą jego ranę. Nie mógł jedynie uleczyć lęku, gniewu i rozpacz, które wzbierały w duszy wodza. Bez prochu i bez Napoleona, oczywiste zwycięstwo stawało się w najlepszym razie niepewne.

Podstawowa taktyka przyniosła skutek. Hickory od razu spostrzegł pułapkę, ale ukształtowanie terenu zmusiło go w nią wstąpić albo się wycofać. Dlatego śmiało poprowadził swoją armię między wzgórza obsadzone Czerwonymi, coraz węższym szlakiem, prosto na francuską artylerię i muszkiety. Te miały przeorać amerykańskie szeregi, zaś Czerwoni zabijać wszystkich próbujących ucieczki. Zwycięstwo byłoby całkowite. Tyle że Amerykanie powinni już być zdemoralizowani, przerażeni i zdziesiątkowani ogniem, prowadzonym cały czas przez Czerwonych.

Taktyka była skuteczna i wreszcie armia amerykańska pojawiła się w polu widzenia Francuzów. Zawahała się przed lufami dziewięciu dział nabitych kartaczami i przed dwoma tysiącami muszkietów rozstawionych tak, by wymieść, podwójnie wymieść całe pole bitwy. I wtedy - nie wiadomo dlaczego - Francuzi zaczęli się cofać. Całkiem jakby nie wierzyli w przewagę swojej niezdobytej pozycji. Nie zabrali nawet armat. Uciekali, jakby ogarnęła ich panika.

Od tej chwili przebieg walki był łatwy do przewidzenia. Hickory potrafił wykorzystać okazję. Nie zwracając uwagi na Czerwonych, jego żołnierze runęli na cofających się Francuzów. Zabijali wszystkich, którzy nie uciekali dość szybko. Zdobyli działa i muszkiety, proch i kule. Po godzinie użyli francuskiej artylerii, by w trzech miejscach przebić mury fortecy. A potem wdarli się do Detroit. Na ulicach rozgorzała krwawa walka.

Wtedy Ta-Kumsaw powinien odejść. Powinien pozwolić Amerykanom rozbić Francuzów, powinien odprowadzić swoich ludzi w bezpieczne miejsce. Może czuł się zobowiązany do pomocy, chociaż go zdradzili. Może dostrzegł promyk nadziei, że skoro tak duże siły związane są walką, jego armia Czerwonych potrafi jednak odnieść zwycięstwo. A może wiedział, że już nigdy nie zdoła zebrać razem wojowników wszystkich plemion. Jeśli

wycofa się teraz, unikając walki kto zechce znowu pójść za nim? A jeśli nie pójda za nim, nie pójda za nikim, a Biali pokonają ich powoli, podbiją dzisiaj jedno plemię, jutro drugie... Ta-Kumsaw wiedział z całą pewnością, że teraz albo odniesie zwycięstwo, choć mało prawdopodobne, albo walka będzie przegrana już na zawsze. A jego ludzie, którzy nie zostaną wymordowani, uciekną na zachód, na obce ziemie, gdzie nie rośnie las. Albo zostaną tutaj, nieliczni, żyjąc jak Biali, nie jak Czerwoni. I las umilknie dla nich na zawsze. Nieważne, czy mógł jeszcze liczyć na zwycięstwo; nie mógł bez walki zgodzić się na taką przyszłość.

Dlatego zbrojni w łuki i strzały, maczugi i noże, Czerwoni zaatakowali amerykańską armię od tyłu. Z początku cięli wrogów w krwawych pokosach, powalali na ziemię, przebijali krzemiennymi ostrzami. Ta-Kumsaw krzychał, żeby brali muszkiety, proch i amunicję zabitych. Wielu wojowników posłuchało. Ale wtedy Hickory wprowadził do akcji bardziej zdyscyplinowane oddziały. Odwrócono działa. A na otwartym polu pod ogniem kartaczy Czerwoni padali jak łany zboża.

Wieczorem, gdy zachodziło słońce, Detroit stało w płomieniach, a dym przesłonił okoliczne lasy. W duszącym mroku stał Ta-Kumsaw i kilkuset jego Shaw-Nee. Inne plemiona broniły się jeszcze gdzieś tam; większość załamała się i uciekła do puszczy, gdzie żaden z Białych nie mógł ich ścigać. Hickory osobiście kierował szturmem na zadrzewioną twierdzę Ta-Kumsawa; prowadził za sobą tysiąc Amerykanów, nie zajętych akurat plądrowaniem francuskiego miasta i rozbijaniem bożków w katedrze papistów.

Kule nadlatywały ze wszystkich stron. Ale Ta-Kumsaw wciąż stał wyprostowany, wołał do swoich ludzi, nakazywał walczyć muszkietami zabranymi Amerykanom poległym w pierwszym ataku. Przez piętnaście minut, które wydawały się wiecznością, Ta-Kumsaw walczył jak szaleniec, a jego Shaw-Nee bili się i padali dookoła. Na jego ciele wykwiwały szkarłatne plamy, krew spływała po plecach i brzuchu, ręka zwisała bezwładnie u boku. Nikt nie wiedział, skąd jeszcze bierze siły, tak ciężko był poraniony. Ale ciało miało takie jak inni ludzie i w końcu padł wśród dymów i mroku. Miał wiele ran, a każda z osobna byłaby śmiertelna.

A kiedy padł Ta-Kumsaw, ucichły strzały. Jakby Amerykanie wiedzieli, że muszą zabić tylko jednego człowieka, a złamać ducha Czerwonych - teraz i na zawsze. Kilkunastu ocalałych wojowników Shaw-Nee odczołgało się pod osłoną dymu, by gorzką wieść o śmierci Ta-Kumsawa zanieść do wszystkich wiosek Shaw-Nee, a potem do każdej chaty, gdzie żyli Czerwoni, mężczyźni i kobiety. Wielka bitwa została przegrana. Nie można zaufać Białym, Francuzom czy Amerykanom, i dlatego wspinały plan Ta-Kumsawa był z góry

skazany na kieskę. A jednak Czerwoni mieli pamiętać, że przynajmniej na pewien czas zjednoczyli się pod dowództwem wielkiego człowieka, stali się jednym ludem, śnili o zwycięstwie. Dlatego wspominano Ta-Kumsawa w pieśniach, gdy całe wioski i pojedyncze rodziny wędrowały na zachód, żeby przyłączyć się do Proroka. Wspominali go w opowieściach, przy murowanych kominkach, Czerwoni, którzy ubierali się i pracowali na posadach jak Biali. Pamiętali jednak, że kiedyś żyli inaczej, a największym z Czerwonych lasu był człowiek imieniem Ta-Kumsaw, który zginął, próbując ocalić puszcę i pradawny, skazany na zagładę styl życia.

Nie tylko Czerwoni zapamiętali Ta-Kumsawa. Nawet strzelając do widmowej postaci wśród drzew, amerykańscy żołnierze podziwiali go. Był jak bohater z dawnych czasów. Wszyscy Amerykanie to w głębi serca farmerzy albo sklepikarze; Ta-Kumsaw przypominał Achillesa i Odyseusza, Cezara i Hannibala, Dawida i Machabeusza.

- Nie można go zabić - mruzcili do siebie, widząc, jak trafiają go kule, a jednak nie pada. A kiedy w końcu padł, szukali jego ciała i nie znaleźli.

- Shaw-Nee go odciągnęli - stwierdził Hickory i tym zakończył sprawę. Nie pozwolił im nawet szukać Małego Renegado. Uznał, że biały zdrajca był pewnie równie niełojalny jak Francuzi i wymknął się w czasie walki. Zostawmy ich, powiedział Hickory, a kto chciałby się z nim spierać? Przecież zwyciężył. Raz na zawsze przetrącił grzbiet oporowi Czerwonych. Stary Hickory, Andy Jackson... chcieliby zrobić go królem, ale musiał im wystarczyć prezydent. Lecz i tak nie mogli zapomnieć Ta-Kumsawa. Szeptano, że żyje gdzieś okaleczony i czeka. A gdy ozdrowieje, poprowadzi wielką inwazję zza Mizzipy, z bagien południa albo z jakiejś ukrytej twierdzy w górach Appalachach.

Przez całą bitwę Alvin pracował ze wszystkich sił, żeby ratować życie Ta-Kumsawa. Kiedy kula przebijała ciało, łączył porwane arterie, nie dopuszczając do utraty krwi. Na ból nie miał już czasu, ale Ta-Kumsaw nie dbał o ból. Alvin przykucnął, ukryty pomiędzy stojącym a powalonym drzewem, zamknął oczy i obserwował wodza jedynie wzrokiem wewnętrznym, patrzył na ciało od środka. Nie widział obrazów, które miały przetrwać w legendach. Nie zauważał nawet, że kule osypują go skrawkami liści i drzazgami drewna. Raz nawet pocisk użądlił go w grzbiet lewej dłoni, ale nie spostrzegł tego, tak był skoncentrowany na Ta-Kumsawie.

Ale jednego był pewien: tuż poza polem widzenia czaił się Niszczyciel niby przejrzysty cień, a jego migotliwe palce sunęły przez las. Ta-Kumsawa Alvin potrafił uleczyć, ale kto będzie leczył puszcę? Kto zagoi wyrwę między plemieniem a plemieniem, czerwonym człowiekiem a drugim czerwonym człowiekiem? W ciągu godziny rozpadło się

wszystko, co zbudował Ta-Kumsaw, Alvin zaś mógł ocalić tylko jedno życie. Wielkiego, to prawda, człowieka, który zmienił świat, który coś stworzył, nawet jeśli w końcu doprowadziło to do większych cierpień i krzywd. Ta-Kumsaw był budowniczym, ale już ratując go, Alvin wiedział, że dni budowania dobiegły końca. Całkiem możliwe, że Niszczyciel darował Alvinowi życie przyjaciela. Czym był Ta-Kumsaw w porównaniu do tej uczty? Bajarz miał rację, kiedy dawno temu powiedział, że Niszczyciel potrafi rozrywać, przegryzać, kruszyć i zgniatać szybciej, niż ktokolwiek z ludzi zdoła budować.

Przez cały czas Alvin właściwie nie wiedział, gdzie jest Ta-Kumsaw. Zajmował się tylko jego wnętrzem. Wódz okrążał jego kryjówkę jak pies przywiązany do drzewa, nawijający linę na pień, biegający coraz bliżej. I kiedy w końcu zbyt wiele trafiło go kul, kiedy krew popłynęła z dziesiątka ran i Alvin nie zdołał zabić wszystkich, właśnie do jego kryjówki runął Ta-Kumsaw. Padł na chłopca i przydusił go do ziemi.

Alvin prawie nie słyszał, że wokół trwają poszukiwania. Zbyt był zajęty gojeniem ran, zespalaniem porwanych mięśni, łączeniem nerwów i nastawianiem kości. W rozpacz otworzył oczy i zaczął rozcinać ciało wodza jego własnym krzemiennym nożem, wydłubywać kule i goić te nacięcia. A bez przerwy jakby dym zbierał się nad nimi, tak że nikt nie mógł zajrzeć do niewielkiego zagłębienia, gdzie Alvin ukrywał się przed Niszczycielem.

Chłopiec przebudził się po południu następnego dnia. Ta-Kumsaw leżał obok, słaby i wyczerpany, ale cały. Alvin był brudny, wszystko go swędziało i musiał się wypróżnić. Ostrożnie wysunął się spod Ta-Kumsawa tak lekkiego, jakby był w połowie zbudowany z powietrza. Dym się rozwiął, ale chłopiec wciąż miał wrażenie, że jest niewidzialny. Szedł przed siebie w jasny dzień, ubrany jak Czerwony. Słyszał pijackie śpiewy z amerykańskiego obozu w pobliżu ruin Detroit. Pasma dymu wciąż przesuwwały się między drzewami. A wszędzie, gdzie spojrzał, leżały ciała wojowników, rzucone jak trawa na ziemię. Cuchnęło śmiercią.

Alvin znalazł strumyk i napił się, próbując nie myśleć, że jakiś trup może leżeć w wodzie powyżej. Umył twarz i ręce, zanurzył głowę i ochłodził umysł, tak jak w domu po całym dniu ciężkiej pracy. Potem wrócił, żeby obudzić Ta-Kumsawa i przyprowadzić go tutaj; niech się napije.

Ta-Kumsaw był już przytomny. Już stał nad ciałem zabitego przyjaciela. Głowę odchylił do tyłu i otworzył usta, jakby wydawał z siebie krzyk tak głęboki i głośny, że człowiek nie słyszał dźwięku, czuł tylko, jak wibruje ziemia. Alvin podbiegł i objął go, przytulił się jak dziecko, którym był przecież, ale teraz to on musiał pocieszać.

- Zrobiłeś, co tylko możliwe - szeptał. - Nic więcej nie można było zrobić.

Ta-Kumsaw milczał, lecz to milczenie też było odpowiedzią. Jakby mówił: "Żyję, a to znaczy, że mogłem zrobić więcej".

Odeszli stamtąd tego popołudnia. Nie starali się nawet ukrywać. Niektórzy Biali budzili się potem po przepiciu i przysięgali, że widzieli duchy Ta-Kumsawa i Małego Renegado idące wśród trupów armii Czerwonych. Nikt im nie wierzył. Zresztą, czy to ważne? Ta-Kumsaw nie był już groźny. Runął na nich jak fala, ale powstrzymali ją; zamierzał ich rozbić, ale to oni go złamali, jego ludzi zmienili w wodny pył. I jeśli nawet pozostało jeszcze parę kropeł, cóż z tego? Nie mieli już sił. Wszystkie poświęcili na jedno gwałtowne, nieskuteczne uderzenie.

Przez całą drogę do My-Ammy Alvin nie odzywał się do Ta-Kumsawa ani słowem. Ta-Kumsaw również milczał. Razem zbudowali kanoe. Alvin w odpowiednich miejscach zmiękczył drewno, więc nie zajęło im to nawet pół godziny. I drugie pół, żeby wystrugać dobre wiosło. Potem przeciągnęli kanoe na brzeg. Dopiero kiedy do połowy zsunęło się w wodę, Ta-Kumsaw zatrzymał się, odwrócił do Alvina i pogłodził go po twarzy.

- Gdyby wszyscy Biali byli tak wierni jak ty, Alvinie - powiedział - nigdy nie zostałbym ich wrogiem.

I kiedy Alvin patrzył, jak znika mu z oczu, wiosłując równo w dół rzeki, pomyślał, że tej porażki wcale nie uważa za klęskę Ta-Kumsawa. Jakby w tej bitwie chodziło o coś innego. O Białych - czy godni są posiąść tę ziemię. Mogą sobie wierzyć, że wygrali, że czerwony człowiek cofnął się albo zgiał kark po klęsce, ale tak naprawdę przegrali Biali. Bo Ta-Kumsaw, wiosłując po Wobbish do Hio i po Hio do Mizzipy, płynąc przez mglistą rzekę na drugi brzeg, zabierał ze sobą krainę, zabierał zieloną pieśń. To, co biały człowiek zdobył krwią i oszustwem, nie było żywą krainą Czerwonych, ale jej trupem. Biały człowiek uzyskał zgniliznę, która w jego rękach rozsypie się w pył. Alvin był tego pewien.

Ale ja jestem biały, nie czerwony. Nieważne, co o mnie mówią. I czy gnije mi pod nogami czy nie, nie znam innej ziemi. I nasz lud jest dla mnie jedynym ludem.

Dlatego ruszył brzegiem w dół Wobbish. Wiedział, że tam, gdzie do szerokiej rzeki wpada Chybotliwe Kanoe, znajdzie mamę i tatę, braci i siostry. Wszyscy czekają na niego ciekawi, co się z nim działo przez ten rok, odkąd wyruszył, by zostać uczniem kowala w Hatrack River.

ROZDZIAŁ 19 - POWRÓT DO DOMU

Napoleon nie wracał do Francji w kajdanach. Spał w kajucie i jadał przy stole gubernatora La Fayette'a, który z radością witał jego towarzystwo. W czasie gorących dni rejsu przez Atlantyk La Fayette zwierzył się z planów rewolucji Napoleonowi, swemu najdroższemu przyjacielowi. Zaś Napoleon służył radą, jak sprawić, by rewolucja potoczyła się szybciej i bardziej skutecznie.

- Najlepsze, co wypływa z tych smutnych wydarzeń - rzekł La Fayette w dniu, kiedy majtek na bocianim gnieździe wypatrzył brzegi Bretanii - to że jesteśmy teraz przyjaciółmi. A zwycięstwo rewolucji jest pewne, ponieważ ty jej pomagasz. Pomyśleć, że kiedyś ci nie ufałem, uważając za królewskie narzędzie. Narzędzie Karola! Ale już wkrótce cała Francja pozna w tobie bohatera, zaś króla i Freddiego obarczy winą za zniszczenie Detroit. Całe terytorium wpadło w ręce protestantów i dzikusów, ale my potrafimy ludowi Francji ofiarować lepszą drogę i mądrzejszych przywódców. Wiesz, Napoleonie, za takim człowiekiem jak ty tęskniłem przez te wszystkie lata, gdy marzyłem o demokracji. Tego nam było potrzeba, nam Feuillantom: dowódcy. Kogoś, kto poprowadzi nas i Francję ku prawdziwej wolności.

La Fayette westchnął i zapadł się głębiej w fotel.

Napoleon słuchał tego z satysfakcją, owszem, ale i ze smutkiem. Myślał bowiem, że La Fayette odporność na jego czar zawdzięcza jakiejś wewnętrznej mocy. Teraz wiedział, że to tylko głupi amulet, że jeśli przyszło opierać się Napoleonowi, La Fayette był jak każdy zwyczajny człowiek. Amulet leżał zasypyany w masowym grobie pod Detroit, niewątpliwie nadal umocowany łańcuszkiem do gnijącego kręgosłupa Frederica de Maurepas. I Napoleon wiedział, że nigdy już nie spotka na tym świecie nikogo równego sobie, chyba że będzie to sam Bóg albo Natura. Nikt mu się nie oprze, to pewne. Dlatego słuchał paplania markiza i tęsknił do takiego człowieka, za jakiego kiedyś uważał La Fayette'a.

Marynarze na pokładzie krzątali się, biegali, wydawali tysiące odgłosów. Zbliżali się do portu. Napoleon powrócił wreszcie do Francji.

Ta-Kumsaw nie musiał się lękać gęstej mgły, która opadła, kiedy minął ujście Hio i wpłynął na bystre prądy Mizzipy. Znał drogę. Wiodła na zachód. Każdy brzeg będzie mu schronieniem, bezpieczną kryjówką, końcem jego życia.

Gdyż to tylko dostrzegał teraz przed sobą. Kraj na zachód od Mizzipy to ziemia jego brata; miejsce, gdzie nie wkroczy biały człowiek. Sama kraina, woda, każde żywe stworzenie

będzie stawiać opór Białym, którzy nierozsądnie uwierzą, że zdołają jeszcze raz pokonać Czerwonych. Ale Czerwoni potrzebowali teraz darów Proroka, nie wojownika Ta-Kumsawa. Na wschodzie, wśród upadłych Czerwonych i głupich Białych, może być postacią z legendy. Ale na zachodzie poznają, kim jest naprawdę: wcieleniem klęski, człowiekiem o zakrwawionych rękach, który poprowadził swój lud na śmierć.

Woda chlupotała o burty kanoe. Gdzieś niedaleko zaśpiewał drozd. Oczy bolały od lśniącej bieli mgły. I nagle mgła rozwiała się, oślepiając błysnęły słoneczne promienie. Trzy pociągnięcia wiosłem pchnęły kanoe na brzeg. A tam, ku zdumieniu Ta-Kumsawa, stał człowiek wyraźnie widoczny na tle popołudniowego słońca. Zeskoczył w dół, chwycił dziób kanoe i wciągnął je na brzeg. Potem pomógł Ta-Kumsawowi wysiąść. Oślepiony słońcem Ta-Kumsaw nie widział jego twarzy, ale po dotyku ręki poznał, kto wyszedł mu na spotkanie. I po głosie szepczącym:

- Niech kanoe spłynie z prądem. Nie będziemy już pływać na drugi brzeg, bracie.

- Lolla-Wossiky! - zawołał Ta-Kumsaw. A potem zapłakał i uklęknął u stóp brata, obejmując go za kolana. Cały ból, cały żal spływały gdzieś, gdy nad jego głową Lolla-Wossiky, zwany Tenska-Tawą, zwany Prorokiem, śpiewał pieśń melancholii, pieśń o śmierci pszczoł.

Miasteczko zmieniło się trochę. Na drodze od strony Wobbish stała tablica z napisem:

Jeżeli zdołasz, omiń to miasto, przybyszu Bo nie dla ludzkich uszu opowieść usłyszysz.

Alvin dobrze wiedział, po co ją ustawiono. Ale on przecież nie był przybyszem. Nie był obcy.

A może był? Kiedy szedł w stronę Vigor Kościoła, widział nowe budynki, nowe domy. Ludzie mieszkali teraz blisko siebie, jak w prawdziwym mieście. Ale nikt nie pozdrowił go po drodze, a nawet dzieci biegające po łąkach nie miały dla niego dobrego słowa. Na pewno rodzice nauczili je, żeby nie witały obcych. A może same miały już dość słuchania, jak ojcowie i starsi bracia każdemu gościowi powtarzają swoją straszną opowieść. Lepiej już nie zapraszać nikogo.

Miniony rok odmienił Alvina. Był teraz wyższy, owszem, ale też chodził inaczej, bardziej jak Czerwony, nie przyzwyczajony do drogi Białych pod nogami, stęskniony za zieloną pieśnią lasu, w tej okolicy prawie niesłyszalną. Może teraz naprawdę jestem tu obcy? Może przez ten rok zbyt wiele widziałem i robiłem, żeby teraz wrócić i znów być Ahdnem Juniorem?

Nie musiał szukać drogi. To się nie zmieniło: nadal mosty spinały brzegi wszystkich strumieni na szlaku do domu ojca. Alvin próbował jak dawniej wyczuć gniew wody. Ale czarne zło, które kiedyś było nieprzyjacielem, też prawie go nie poznawało, kiedy szedł jak Czerwony, zjednoczony z całym żyjącym światem. To nic, pomyślał. Kraina jest ujarzmiona i oswojona; ja też stanę się Białym w swoich krokach i Niszczyciel mnie odnajdzie. Spróbuje mnie złamać, jak złamał uzdrawiającą krainę moc czerwonego człowieka. Jeżeli Ta-Kumsaw nie miał dość sił, a Tenska-Tawa mądrości, żeby mu się przeciwstawić, to coś ja mogę zrobić?

Iść przed siebie dzień po dniu, jak mówiła dawna pieśń. Iść przed siebie dzień po dniu, Pan nade mną czuwa tu, ulgę w bólu przynosi światłem swojej miłości. Amen. Amen.

Cally stał na ganku. Nic nie robił, jakby czekał na wszelki wypadek: może Alvin akurat dzisiaj wróci do domu. I może właśnie tak było. Może było. W każdym razie to Cally krzyknął. Cally go poznał, mimo że brat się zmienił.

- Alvin! Ally! Alvin Junior! Wrócił! Wróciłeś!

Pierwszym, który na to wołanie wybiegł zza domu, był Measure, jeszcze z siekierą w dłoni. Kiedy przekonał się, że to naprawdę Alvin, rzucił ją, chwycił go za ramiona i przyjrzał się uważnie, sprawdzając, czy nic mu się nie stało. Alvin postąpił podobnie: szukał blizn. Nie znalazł ani jednej, wszystko wygoiło się jak należy. Jednak Measure dostrzegł u brata głębiej ukryte rany.

- Jesteś teraz starszy, Al - powiedział cicho.

Na co Al nie znalazł odpowiedzi, bo była to przecież prawda. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy. Każdy wiedział, jak daleko po drodze cierpień i wygnania czerwonego człowieka dotarł ten drugi. Żaden z Białych nigdy nie dowie się tego, co oni.

Potem mama wyszła na ganek i tato przybiegł z młyna. Ileż było ściskania i całowania, płaczu i śmiechu, krzyków i milczenia! Nie zabili utuczonego cielęcia, ale pewne prosię nie doczekało świtu. Cally ruszył na farmy braci i do sklepu Armora-of-God, by ich zawiadomić, co się dzieje. Wkrótce cała rodzina zebrała się witać Alvina Juniora, o którym wiedzieli, że nie zginął, ale stracili już nadzieję, że go znowu zobaczą.

A potem, jako że robiło się późno, nadeszła chwila, gdy tato wbił ręce w kieszenie. Mężczyźni umilkli, po nich kobiety. Alvin skinął głową i rzekł:

- Wiem, jaką historię macie mi opowiedzieć. Mówcie więc zaraz, wszyscy, a później ja wam powiem, jaką w niej odegrałem rolę.

Tak uczynili, i on również. Znowu zapłakali, ale tym razem z bólu, nie z radości. To miejsce nad Wobbish było wszystkim, co będą w życiu oglądać; tylko tutaj mogli to znieść:

wszyscy ci, którzy dokonali mordu nad Chybotliwym Kanoe. Tu mieszkali wśród swoich i nie spotykali obcych. Gdzie mogliby odejść i żyć w pokoju, skoro każdemu gościowi musieli opowiadać o swojej zbrodni?

- Dlatego musimy tu zostać, Alu Juniorze. Ale nie ty i nie Cally. Może mógłbyś jeszcze pojechać na naukę do kowala? Jak myślisz?

- Porozmawiamy o tym później - oświadczyła mama. - Będzie dość czasu. On wrócił, i to jest najważniejsze, słyszycie? Wrócił, a nie wierzyłam. Bogu niech będą dzięki, że nie uczynił mnie prorokiem, kiedy mówiłam, że póki żyję, moje oczy już nie zobaczą mojego małego Alvina.

Alvin uściskał mamę tak mocno jak ona jego. Wolał nie tłumaczyć, że jej proroctwo się spełniło. To nie jej mały Alvin powrócił do domu. Sama musi się o tym przekonać. Na razie wystarczy, że minął rok, że widział początek wielkich przemian, że teraz, choć może inaczej niż wtedy, bardziej gorzko, życie może znowu toczyć się równą ścieżką bez żadnych przeszkód.

Nocą, we własnym łóżku, Alvin nasłuchiwał dalekiej zielonej pieśni, nadal ciepłej i pięknej, chociaż las był rzadki, a przyszłość niepewna. Ponieważ w pieśni życia nie ma przyszłości, tylko wiecznie radosna chwila obecna. To wszystko, czego teraz chcę, pomyślał Alvin. Chwili obecnej. Ona mi całkiem wystarczy.

KONIEC

Nazwa pliku: Card Orson Scott - Alvin Stwórca 02 - Czerwony Prorok
Katalog: E:\Fantastyka 02\Card Orson Scott\Card Orson Scott - Opowiesci o Alvinie
Stwórcy
Szablon: C:\Documents and Settings\Zygmunt\Dane
aplikacji\Microsoft\Szablony\Normal.dot
Tytuł: www.scan-dal.prv.pl
Temat: www.scan-dal.prv.pl
Autor: www.scan-dal.prv.pl
Słowa kluczowe: www.scan-dal.prv.pl
Komentarze: www.scan-dal.prv.pl
Data utworzenia: 2002-07-17 07:59:00
Numer edycji: 5
Ostatnio zapisany: 2008-06-21 17:22:00
Ostatnio zapisany przez: Zygmunt
Całkowity czas edycji: 27 minut
Ostatnio drukowany: 2008-06-21 17:29:00
Po ostatnim całkowitym wydruku
Liczba stron: 247
Liczba wyrazów: 79 179 (około)
Liczba znaków: 475 077 (około)